Nowy
bestseller
Mój
raz na zawsze
książę
Caroline
Linden
Amber
Romans historyczny

Mój raz na zawsze książę

CAROLINE LINDEN

Przekład
Agnieszka Kowalska

AMBER

Korekta
Barbara Cywińska
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Renata Ulanowska

Zdjęcia na okładce
© Evgeniia Litovchenko/Shutterstock
© Milllda | Dreamstime.com

Tytuł oryginału
My Once and Future Duke

Copyright © 2018 by P.F. Belsley
Published by arrangement with HarperCollins Publishers.
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2019 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7198-9

Warszawa 2020. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa
ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Mirandzie Neville, która dała mi tytuł i znacznie więcej.
Będę za tobą tęsknić, droga przyjaciółko.

Prolog

1807

*K*rótko po popołudniowej herbatce po Akademii dla Młodych Dam pani Upton rozeszła się szeptana wiadomość. Przybyła nowa uczennica, która musi pochodzić z wyjątkowej i niezwykle zamożnej rodziny. Jedna z dziewcząt zauważyła czekający na zewnątrz powóz – lśniąco czarny, z tarczą herbową na drzwiach – i wkrótce szepty się nasiliły: to musi być ukochana córka jakiegoś księcia albo nawet cudzoziemska księżniczka.

Myliły się. Dwunastoletnia Sophie Graham była sierotą i wnuczką wicehrabiego Makepeace, nie żadnego księcia ani zagranicznego dygnitarza. Poza tym nie chciała mieć z nim nic wspólnego, a wicehrabia w pełni odwzajemniał to uczucie. Nie minął tydzień, odkąd znalazła się w jego ponurej rezydencji w Lincolnshire, kiedy oznajmił, że będzie musiała jak najszybciej wyjechać do szkoły. Teraz stała milcząca w biurze pani Upton, słuchając, jak jej dziadek usiłuje zmusić dyrektorkę, by przyjęła Sophie.

– Rzecz w tym, milordzie, że zwykle nie przyjmujemy nowych uczennic w połowie roku – tłumaczyła. Była kobietą średniego wzrostu, ubierała się modnie, lecz w stłumione kolory, bez żadnych ozdób, i zupełnie nie bała się Makepeace’a. Natychmiast zdobyła tym szacunek Sophie.

– Musi pani. Jej rodzice umarli na jakąś rynsztokową gorączkę. – Zmierzył wzrokiem Sophie, która wytrzymała jego spojrzenie z

niewzruszonym wyrazem twarzy. – Nie odziedziczyła po nich niczego, zostawili ją pod moją opieką. Ona potrzebuje kobiecej ręki i jakiegoś porządnego zawodu.

– Sir, to jest akademia dla młodych dam – odparła pani Upton, z lekkim naciskiem na ostatnie słowo. – Nie kształcimy dziewcząt w zawodzie, uczymy sztuk pięknych i dobrych manier…

Makepeace machnął lekceważąco rękę

– Nie obchodzi mnie, czego ją nauczycie. To dzikuska, zaniedbana przez swoich nic niewartych rodziców. Niepotrzebna mi chłopczyca.

Dyrektorka spojrzała na Sophie, która stała spokojnie i milczała. Nie była chłopczycą, a rodzice jej nie zaniedbywali. Ale bardzo chciała, żeby pani Upton ją przyjęła, więc nie protestowała przeciwko ohydnym kłamstwom dziadka.

– Milordzie, nasze uczennice pochodzą z najlepszych brytyjskich rodzin. Nasza reputacja opiera się na moim osobistym zapewnieniu, że każda młoda dama tutaj wykazuje się nieskazitelnym charakterem i zachowaniem, które są niezbędne dla opanowania umiejętności, które im przekazujemy,

Wicehrabia parsknął ze złością.

– Rozumiem, co chce pani powiedzieć. Mój syn uciekł ze śpiewaczką operową… do tego Francuzką! To chciała pani wiedzieć? Dobra krew nigdy nie miesza się z pospólstwem. Cóż, dziewczyna jest na wpół dzika i nic na to nie poradzę, ale nosi moje nazwisko, a to, szanowna pani, znaczy więcej, niż moglibyście tu oczekiwać. – Rozejrzał się po pokoju z wyraźną pogardą. – Polecono mi waszą szkołę i chcę wszystko załatwić jak najszybciej. Proszę podać cenę.

W czasie tej tyrady twarz pani Upton stawała się coraz bardziej nieruchoma. Teraz jednak dyrektorka przyjrzała się jeszcze raz – uważniej – Sophie. W końcu coś, albo w wyglądzie Sophie, albo w słowach jej dziadka, przełamało wątpliwości pani Upton. Sophie nie miała wątpliwości, że chodziło o pieniądze. Nie miała o to żalu; prawdę mówiąc, miała

nadzieję, że dyrektorka poda zawrotną sumę. Makepeace zapłaci każdą cenę, żeby się jej pozbyć, o czym przekonała się w ciągu trzech tygodni, które z nim spędziła, a nienawidziła go wystarczająco, by z satysfakcją patrzeć, jak jest łupiony.

– Trzydzieści procent, milordzie – powiedziała dyrektorka. – Sądzę, że za trzydzieści procent dopłaty do czesnego znajdę dla niej miejsce.

– Załatwione. – Makepeace sięgnął po laskę i ciężko podniósł się z krzesła. – Jej kufer jest na zewnątrz.

– Czy chciałby pan obejrzeć szkołę?

– Nie. – Wicehrabia już był przy powozie.

Służący zdjął jej niewielki kufer i postawił na wysypanym żwirem podjeździe.

Makepeace wściekłym ruchem zdjął rękawiczki; jego krzaczaste siwe brwi najeżyły się gniewnie.

– Będę płacił czesne, dopóki nie dorośniesz – warknął. – Ani chwili dłużej. Lepiej postaraj się nauczyć tutaj czegoś pożytecznego, bo potem nie będę się tobą zajmował.

– Nigdy o to nie prosiłam. – Uniosła dumnie głowę i spojrzała mu w oczy. – Żegnam.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a w końcu prychnął pogardliwie.

– Jesteś dumna, co? Nie masz ku temu podstaw. Gdybyś nie nosiła mojego nazwiska, byłabyś tak samo nic niewarta jak twoja matka.

Wicehrabia wsiadł do powozu i rozkazał woźnicy jechać. Powóz szarpnął i ruszył natychmiast. Lord Makepeace ani razu nie obejrzał się za siebie.

– Zaprowadzę cię do sypialni, panno Graham. – Pani Upton odezwała się po chwili niezręcznej ciszy.

W jej głosie zabrzmiała ledwie wyczuwalna nuta litości. Sophie słyszała to już wcześniej, lecz teraz usłyszała także współczucie.

– Jestem pewna, że dziadek złagodnieje, kiedy zobaczy, jak pilnie się uczysz.

– Nie złagodnieje. Nigdy nie jest z niczego zadowolony i cieszę się, że już pojechał. – Odprowadziła wzrokiem powóz mijający wysoką żelazną bramę, żeby mieć pewność, że rzeczywiście odjechał. – Nie zmartwiłabym się, gdyby został napadnięty przez rozbójników.

Zwróciła szczere spojrzenie na wstrząśniętą dyrektorkę.

– I dziękuję, że mnie pani przyjęła. Obiecuję, że będę bardzo dobrą uczennicą.

Dygnęła z gracją godną najlepszej moskiewskiej baletnicy. – Ona zresztą ją tego nauczyła.

Pani Upton zabrała ją do środka i posłała jedną z nauczycielek po pannę Elizę Cross i lady Georgianę Lucas.

– Będziesz dzieliła z nimi pokój w tym semestrze – poinformowała Sophie. – To bardzo miłe i dobrze wychowane młode damy.

– Czy są w moim wieku, proszę pani? – To ogromnie ją interesowało. Rzadko miała okazję poznać swoje rówieśnice.

– Obie są w drugiej klasie. Dziewczynki w twoim wieku są w czwartej, ale ponieważ dotąd nie miałam okazji ocenić twoich umiejętności, myślę, że najlepiej będzie, jeśli zaczniesz właśnie tak. – Spojrzała niepewnie na Sophie. – Zakładam, że otrzymałaś jakąś edukację, panno Graham?

– Tak, proszę pani. – Uraziło ją nieco umieszczenie w niższej klasie, ale postanowiła nie wspominać, że mówi płynnie po francusku i trochę po włosku, że uwielbia matematykę i geografię, umie tańczyć i od czwartego roku życia gra na pianinie. Zamierzała podbić serca wszystkich w tej szkole i doszła do wniosku, że nie zaszkodzi, jeśli będzie miała w zanadrzu jakieś niespodzianki.

Pierwsza przyszła lady Georgiana, równie wysoka jak Sophie, lecz jasnowłosa i smukła. Panna Cross przybiegła chwilę później, zdyszana i zarumieniona. Była niższa i pulchniejsza niż lady Georgiana, a rysy jej twarzy były równie przeciętne jak Georgiany piękne. Sophie uśmiechnęła się do nich obu.

– Bardzo miło mi was poznać – powiedziała. – Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami.

Panna Cross uśmiechnęła się nerwowo, a lady Georgiana obrzuciła ją taksującym spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć *to się okaże*. Sophie nie przejęła się tym. Na ich miejscu też byłaby nieufna. Lecz odziedziczyła urok po swoim ojcu, a zapał po matce, więc postanowiła, że się z nimi zaprzyjaźni.

Musiała się zaprzyjaźnić. W żadnym wypadku nie zamierzała wracać do Makepeace Manor, którym jej dziadek rządził w ponurej ciszy. Spędziła dzieciństwo w stolicach Europy, podróżując drogą podyktowaną przez operową karierę matki. Śmierć rodziców zakończyła to szczęśliwe, choć chaotyczne życie, zdając ją na łaskę dziadka, który postanowił obwiniać ją za wszystkie grzechy i błędy, jakie popełnili jej rodzice – a w jego oczach było ich mnóstwo. Wkrótce Sophie domyśliła się, że śmierć była najcięższą z przewin ojca, ponieważ w swej ostatniej woli powierzył on córkę opiece wicehrabiego. Sophie była pewna, że gdyby tylko istniał jakiś sposób, żeby obalić testament i uwolnić się od niej, lord Makepeace zrobiłby to. Skoro nie mógł, odesłał ją do szkoły.

Akademia dla młodych dam może nie była tak ekscytująca jak Europa, ale dawała jej coś, czego Sophie nie zaznała przez całe dwanaście lat: stały dom. W ciągnącej się w nieskończoność drodze do szkoły pani Upton Makepeace poinformował ją, że wolne dni będzie spędzać w internacie, o ile któraś z dziewcząt nie zaprosi jej do swojego domu. Sophie zniosłaby wakacje w szkole, ale rozpaczliwie pragnęła mieć przyjaciółki.

Wiązała wielkie nadzieje z Elizą i lady Georgianą. Eliza, urocza i nieśmiała, była jedną z tych dziewczynek, które zawsze pozostaną wierne i oddane. Lady Georgiana natomiast, podziwiana przez wszystkich i stawiana za wzór, pociągała bardziej energiczną stronę Sophie. Wkrótce dowiedziała się, że Eliza jest jedyną córką człowieka zamożnego, lecz bez koneksji, zaś

Georgiana pochodziła z jednego z najznakomitszych brytyjskich rodów i była o wiele młodszą siostrą hrabiego Wakefielda.

Po kolacji uczennice szły uczyć się w swoich pokojach. Sophie powtarzała francuski – język swojej matki – stwierdzając z ulgą, że przynajmniej z jednego przedmiotu nie ma zaległości – kiedy jej uwagę przykuły szepty koleżanek.

– Spróbuj jeszcze raz – mówiła Georgiana. – Nauczysz się tego.

– *Próbuję* – odparła z udręką Eliza. – Naprawdę, po prostu nie mogę…

– Czy to arytmetyka? – spytała Sophie, zerkając na leżącą przed nimi książkę.

– To jest dla mnie za trudne – szepnęła zawstydzona Eliza.

Sophie uśmiechnęła się. Przetrząsnęła swój kufer i znalazła talię kart.

Lady Georgiana uniosła brwi.

– Hazard?

– Nie hazard, jeśli nie ma zakładu – prychnęła Sophie. – Ale karty to doskonały sposób na ćwiczenie dodawania, odejmowania i wszelkiego rodzaju działań. – Rozdała kilka kart. – W tej grze sumuje się wartość kart. Musisz to zrobić bardzo szybko i cicho i ocenić, czy chcesz dodać jeszcze jedną kartę.

– Damy nie powinny grać w karty. – Lady Georgiana usiadła na brzegu łóżka i przyglądała się kartom z fascynacją.

– Naprawdę? – Sophie była zaskoczona. – W Paryżu wszystkie damy grają. A w Londynie… ojciec mówił, że większą namiętność do hazardu niż angielskie damy żywią tylko angielscy dżentelmeni.

– Nie! – parsknęła Georgiana.

– Ależ tak. – Sophie nie dodała, że jej ojciec wiedział o tym doskonale, ponieważ grywał z nimi wszystkimi. Kiedy matka zaczęła tracić głos z powodu choroby gardła, wrócili z Europy do Anglii, gdzie papa, wykorzystując swój urok i nazwisko, grą w karty zapewniał im utrzymanie.

Sophie pomagała mu ćwiczyć sztukę zachowywania pozorów beztroskiej nieuwagi przy pełnym skupieniu na obliczeniach.

Eliza przysunęła się nieco bliżej.

– Czy to naprawdę pomoże mi w rachunkach? Ja… to dla mnie bardzo trudne.

– Oczywiście! – Sophie położyła na stole dwie karty. – Ile są warte te karty? Dodaj liczby.

– Sześć – odparła Eliza, patrząc na czwórkę kier i dwójkę trefl.

– A teraz? – Dołożyła kierową siódemkę.

– Trzynaście – powiedziała powoli dziewczynka.

– Dobrze! Teraz? – Na stole pojawiła się ósemka karo.

– Dwadzieścia… – zawahała się Eliza. – Jeden.

– To o wiele zabawniejsze niż dodawanie liczb na kartce – stwierdziła lady Georgiana, uśmiechając się z zadowoleniem. – Gdzie się tego nauczyłaś?

– Od ojca. – Zauważyła, że koleżanki wymieniły się spojrzeniami. – On i moja mama umarli – dodała. – Dziadek mnie nie chciał, więc przywiózł mnie tutaj.

– Och, to straszne – powiedziała Eliza.

Sophie zdobyła się na uśmiech. Śmierć rodziców była straszna. Jej dziadek był straszny. Pani Upton była najmniej straszna z tego, co jej się przydarzyło.

– Wolę być tutaj niż z nim. A wy wolałybyście wrócić do domu?

– Och. – Eliza sprawiała wrażenie zaskoczonej. – Moja matka też umarła, kiedy byłam dzieckiem. Ojciec przysłał mnie tutaj, żebym nauczyła się być damą. Tęsknię za nim, ale…

– Mój brat też chciał się mnie pozbyć – wtrąciła pospiesznie lady Georgiana. – Ale tak jak ty wolę być tutaj. Mój brat to okropny dziwak. Cieszę się, że mnie nie chce.

Sophie uśmiechnęła się szeroko.

– Akademia pani Upton dla Niechcianych Dziewcząt.

Georgiana wybuchnęła śmiechem, a Eliza wstrzymała oddech.

– To *okropne*… – Ale usiadła na brzegu łóżka obok Georgiany.

Sophie rozdała kolejne karty i w przyjaznej atmosferze ćwiczyły dodawanie. Sophie stopniowo nauczyła je reguł gry, a potem obliczania wyników. Eliza robiła to coraz pewniej, aż w końcu sumowała karty niemal tak szybko jak Georgiana.

– Co powinnaś zrobić z tymi kartami? – spytała Sophie.

Eliza spojrzała na swoje karty – dziesiątkę trefl i piątkę kier.

– Dobrać jedną, ponieważ połowa kart ma wartość sześć lub mniej?

– Właśnie! Świetnie sobie radzisz – zapewniła ją Sophie, kiedy drzwi gwałtownie się otworzyły.

– Młode damy. – Pani Upton była wstrząśnięta. – Co to ma znaczyć?

Eliza pobladła. Georgiana skrzywiła się i westchnęła głośno. Wszystkie trzy stanęły na baczność.

– Hazard – powiedziała z wyraźnym niezadowoleniem – nie jest zachowaniem odpowiednim dla młodych dam.

– To nie jest hazard – odparła Sophie. – Żadna z nas nie ma pieniędzy.

Ta odpowiedź nie rozbawiła dyrektorki.

– To bardzo subtelna różnica, panno Graham, i nie przekonuje mnie. Hazard jest nie tylko niemoralny, ale też wpędza w nieodpowiednie towarzystwo, a także niszczy reputację i pozbawia majątku. Żaden szanujący się dżentelmen nie będzie chciał wiązać się z damą uprawiającą hazard. Rozpozna w niej niebezpieczną skłonność do niegodziwości i nie będzie chciał być odpowiedzialny za jej przegrane.

– A jeśli ona będzie wygrywać? – szepnęła Sophie.

Pani Upton posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Każdy hazardzista, który tak myśli, zmierza wprost ku katastrofie. Złuda wygranej skłania ludzi do stawiania w grze coraz większych sum, aż

w końcu rujnują siebie i swoje rodziny. Jakie są szanse wygrania za każdym razem, panno Graham?

Sophie nie odpowiedziała. Nazbyt dobrze pamiętała te noce, kiedy Papa wracał do domu późno, przybity tym, że za mało wygrał.

– Hazard zniszczył wielu porządnych mężczyzn – kontynuowała pani Upton. – Nie potraficie sobie wyobrazić, o ile gorsze jest to dla kobiet. Zapamiętajcie moje słowa, młode damy: hazard to prosta droga do ruiny. Unikajcie go za wszelką cenę.

– Tak, proszę pani – odparła ze łzami w oczach Eliza.

– Tak, proszę pani – powtórzyła jak echo Georgiana.

Pani Upton uniosła brwi.

– Panno Graham?

Sophie już miała coś powiedzieć, ale powstrzymała się w porę.

– Tak, proszę pani.

Dyrektorka przyjrzała im się uważnie.

– Ponieważ nie zna pani jeszcze obowiązujących tu reguł, panno Graham, tym razem wam daruję. Ale to się nie może powtórzyć.

Zabrała karty i wyszła, wcześniej gasząc lampę.

– Będę ćwiczyła dodawanie w inny sposób – powiedziała Eliza, gdy już leżały w łóżkach. – Papa byłby wstrząśnięty, gdyby pani Upton napisała mu, że grałam w karty. Liczy na to, że poślubię jakiegoś dżentelmena, a to znaczy, że muszę być damą. Gdyby tylko arytmetyka nie była tak ważna dla dżentelmenów…

– Nie jest – odezwała się Georgiana ze swojego łóżka. – Żaden z dżentelmenów, których znam, nie umie liczyć. Nie lubią nawet rozmawiać o tym ze swoimi sekretarzami, którzy zajmują się tym za nich.

– Kilka rozdań nie robi nikomu krzywdy. I nie uprawiałyśmy hazardu.

Sophie pomodliła się w duchu, dziękując, że pani Upton zabrała jej stare karty, a nie talię papy. Walczyłaby jak dzikie zwierzę, żeby ją zachować –

podobnie jak każdą z nielicznych pamiątek po rodzicach – a za to mogłaby zostać wyrzucona ze szkoły i być znowu zdana na łaskę lorda Makepeace'a.

Serce jej się ścisnęło na myśl o rodzicach. Jeszcze cztery miesiące temu żyli i mieli się dobrze; z finansami było krucho, ale mieli szczęśliwy dom. A potem wszystko przepadło. Suchoty, powiedział doktor; miała szczęście, że nie zachorowała.

Szczęście. Nie cierpiała tego słowa.

Sophie zmusiła się, żeby oddychać równo i głęboko. Wszystko w życiu było dziełem przypadku. Można liczyć tylko na własne starania, ponieważ los rzadko bywa łaskawy. Sophie nauczyła się tego bardzo wcześnie i nigdy, przenigdy nie zapomni. Nigdy nie można liczyć na szczęście.

– Ale pani Upton uczy nas arytmetyki, jakby była niezbędna damom – mówiła Eliza, nieświadoma wzburzenia Sophie. – Będę musiała znaleźć jakiś inny sposób, żeby się tego nauczyć… Chociaż mam nadzieję, że nie będę musiała robić skomplikowanych rachunków…

Georgiana zachichotała.

– To dlatego, że możesz *liczyć* na znalezienie przystojnego i czarującego męża, Elizo, który będzie cię traktował jak księżniczkę, nie zważając na to, czy radzisz sobie z rachunkami.

– Mam nadzieję – powiedziała smętnie Eliza. – Nie jestem tak piękna jak ty ani tak mądra jak Sophie, więc nie mogę ryzykować.

Sophie przytuliła się do poduszki, słuchając ich rozmowy. To krótkie zdanie, w którym Eliza nie tylko uznała ją za mądrą, ale wymieniła jej imię, sprawiło jej nieoczekiwaną przyjemność. Już nie była sama na tym świecie, mimo że mama i papa nie żyli, dziadek okazał się ogrem, a rodzina matki była gdzieś daleko, na kontynencie. Wiedziała, że ma jednego, a może dwóch wujów i zapewne jakichś kuzynów, ale żaden z nich nie przyszedł jej nigdy z pomocą.

Mogła nie mieć żadnej rodziny godnej wspomnienia, ale szczere i zaufane przyjaciółki byłyby dobrym początkiem. A coś jej mówiło, że ona,

Eliza i Georgiana zostaną wspaniałymi przyjaciółkami.

1

1819
Londyn

Klub Vega zajmował dziwne miejsce w Londynie. Ukryty w ślepej uliczce niedaleko St. James Square, leżał dokładnie w połowie drogi między bogactwem i blichtrem Mayfair a nędzą slumsów Whitechapel. Bez ceregieli obsługiwał obie te skrajności; mówiło się, że każdy – książę i portowy robotnik, dama i ulicznica – może starać się o przyjęcie. Od szczęśliwców, którzy zdobyli srebrny żeton członka, oczekiwano spełnienia tylko dwóch warunków.

Spłacaj swoje długi. Trzymaj język za zębami.

Jak głosiła plotka, członkowie musieli złożyć przysięgę, że nie wyjawią niczego, co działo się w murach klubu Vega. Była to tylko pogłoska, ponieważ nikt nie mógł ani nie chciał jej potwierdzić. Zapytani wprost członkowie twierdzili, że nic na ten temat nie wiedzą, po czym pospiesznie się oddalali. Ale nawet najbardziej zdeterminowanym łowcom plotek nigdy nie udało się dowiedzieć niczego więcej o tej jaskini hazardu i przysięga milczenia stała się nieodłączną częścią legendy klubu Vega, niezależnie od tego, czy istniała naprawdę. Wszystko to sprawiało, że o rzeczach, które działy się jego murach, krążyły najdziwniejsze opowieści.

Jack Lindeville, książę Ware, wiedział wszystko o klubie Vega. Był jego zmorą, chociaż nigdy nie odwiedził tego miejsca. Jego młodszy brat Philip

był tam stałym bywalcem, wraz z gronem przyjaciół. Czasami zapraszali i jego, ale Jack zawsze odmawiał. Wiedział, dlaczego pragnęli jego towarzystwa, i zdawał sobie doskonale sprawę, że nie zawdzięczał tego swojemu urokowi ani poczuciu humoru. Młodzi mężczyźni o stałych dochodach zawsze szukali zamożnych partnerów do gry, a księstwo Ware – o czym często przypominał mu Philip – należało do najbogatszych w Anglii.

Jack rozumiał, że stanowi łakomy kąsek dla spłukanych przyjaciół Philipa. Na ich nieszczęście nie był jednak na tyle głupi, by ulec. Wystarczy, że raz nie dopisze szczęście, żeby zrujnować sobie życie.

Uśmiechnął się ponuro, myśląc o tym, kiedy siedział w powozie jadącym St. Martin’s Lane w kierunku klubu Vega. Pech, jak twierdził Philip, był przyczyną jego ostatniego niepowodzenia: dwójka trefl, podczas gdy, żeby wygrać, potrzebował jakiejkolwiek karty wyższej od trójki. Philip był pewien, że prawidłowo ocenił swoje szanse, a rozdający się pomylił, chociaż nie zaryzykował powiedzenia tego na głos, żeby nie stracić członkostwa. W efekcie jednak podpisał weksel na prawie dwa tysiące funtów, których nie mógł spłacić.

Philip był skruszony. Przepraszał, prosząc o tę przysługę. Przysięgał, że to się nigdy więcej nie powtórzy, chociaż powtarzało się już kilka razy. Ale zwierzył się też swojej matce, która wpadła jak burza do gabinetu Jacka i nalegała, by uregulował dług brata, by uchronić go przed poniżeniem i nędzą.

Początkowo Jack się nie przejął. Philip sam ściągnął na siebie kłopoty i skoro był wystarczająco dorosły, by podpisać weksel na taką sumę, to powinien sam znaleźć sposób na jego wykupienie. Ale matka przekonywała, potem prosiła, a w końcu zaczęła płakać i zarzucać mu bezduszną obojętność na obowiązki wobec rodziny. Wtedy Jack ustąpił. Kiedy księżna na coś się uparła, nie było sposobu, żeby ją od tego odwieść.

Powóz nagle się zatrzymał. Służący otworzył drzwi i Jack wysiadł. Spłaci dług Philipa, ale nie obejdzie się bez konsekwencji. Jego brat miał niezależny dochód – dzięki swojej matce – ale dostawał też pensję z posiadłości Ware, którymi zarządzał Jack. Od siedmiu lat dbał o te posiadłości i niech go diabli, jeśli pozwoli, by ciężka praca poszła na marne z powodu pecha Philipa przy karcianym stoliku.

Z zaciśniętymi ustami wkroczył do klubu. Przysadzisty gość w nieskazitelnie białym ubraniu pojawił się, zanim Jack zdążył zrobić kolejny krok.

– Dobry wieczór, sir. W czym mogę pomóc?

– Przyszedłem zobaczyć się z Dashwoodem – odparł Jack, wymieniając nazwisko właściciela klubu. Wyjął wizytówkę i podał ją mężczyźnie.

– Czy on pana oczekuje?

Jack uśmiechnął się ponuro.

– Powiedziałbym, że nie będzie zaskoczony moim przybyciem.

Philip bez wahania posługiwał się nazwiskiem brata.

Jeśli pan Dashwood jest choć w połowie tak sprytny, jak sugerowała jego reputacja, zapewne oczekiwał wizyty Jacka od chwili, gdy Philip nabazgrał swój podpis na wekslu.

Menedżer obrzucił go taksującym spojrzeniem.

– Być może nie. Czy mógłby pan zaczekać w jadalni?

Wielkie nieba, nie. Mógłby spotkać kogoś znajomego i dać się wciągnąć w rozmowę. Jack chciał mieć to jak najszybciej za sobą, najchętniej tak, żeby nikt się nie zorientował, że w ogóle tu był.

– Zaczekam tutaj – odparł tonem dającym jasno do zrozumienia, że nie zamierza długo czekać.

Menedżer skinął głową.

– Może chciałby pan tymczasem zagrać partyjkę?

Ponad jego ramieniem Jack mógł zajrzeć do głównego salonu klubu. Nie był tandetny ani kiczowaty, jak oczekiwał, lecz urządzony ze smakiem;

wyglądał jak normalny klub dla dżentelmenów… tyle że były tu kobiety. Nie dziewki uwieszone u łokci mężczyzn, lecz damy z towarzystwa. Jack uniósł nieznacznie brwi, widząc lady Rotherwood grającą w wista.

– Vega nie wyklucza dam – powiedział menedżer, zauważając jego spojrzenie. – Dla niektórych dżentelmenów może to być odrobinę zaskakujące, ale bardzo szybko dostrzegają zalety.

Jack zacisnął mocniej wargi. Nierozważne damy mogły stracić fortunę równie łatwo jak lekkomyślni młodzieńcy.

– Nie wątpię. – Zaczął się zastanawiać, czy Philip kiedykolwiek przegrał z którąś z kobiet, ale doszedł do wniosku, że nie ma to większego znaczenia. Stracone pieniądze to stracone pieniądze.

A jednak był zaintrygowany. Damy grające na pieniądze z mężczyznami. Jakże postępowe. Menedżer oddalił się poinformować pana Dashwooda, a Jack zrobił krok naprzód, by rozejrzeć się po klubie, bezpiecznie zasłonięty wysoką palmą.

Rozpoznał Angusa Whitleya i Fergusa Frasera, kolegów Philipa. Siedzieli przy stoliku z jeszcze jednym mężczyzną i odwróconą do niego plecami kobietą w soczyście karmazynowej sukni. Jej upięte ciemne włosy odsłaniały jasną skórę. Nosiła na szyi czarną wstążkę zawiązaną w elegancką małą kokardkę na karku; jej luźne końce wiły się intrygująco, kusząc, by za nie pociągnąć.

Jack zatrzymał na niej wzrok. Jaka kobieta chciałaby należeć do klubu hazardowego? Każda szanująca się dama wzdrygnęłaby się na samą myśl o nim. Lady Rotherwood, choć była wicehrabiną, słynęła z nierozwagi. Zastanawiał się, jakie wymagania stawiano tu członkom i czy były inne dla kobiet niż dla mężczyzn. Nie mogły być bardzo restrykcyjne, skoro Philip został przyjęty bez trudu. Philip, którego jedynym atutem było słynne nazwisko, urok i powszechnie znany brak szczęścia w grze.

Whitley coś krzyknął i rzucił karty. Fraser roześmiał się, zadowolony z wygranej. Sięgnął po kupkę pieniędzy leżącą pośrodku stołu, lecz kobieta

powstrzymała go, dotykając jego nadgarstka. Jack nie miał pojęcia, co powiedziała, lecz z tego, jak Fraser nagle pobladł, wywnioskował, że nie mogło to być nic miłego. Trzeci mężczyzna odłożył karty i wybuchnął głośnym śmiechem, zwracając na siebie uwagę wszystkich. Najwyraźniej kobieta pokonała wszystkich trzech.

I wydawała się zupełnie nieskrępowana tym, że znalazła się w centrum uwagi. Powiedziała coś, na co Whitley się roześmiał, a goście przy sąsiednim stoliku zaczęli się krztusić ze śmiechu. Jack nie widział jej twarzy, ale sam ruch głowy, nieznacznie przechylonej na bok, kiedy zbierała pieniądze, powiedział mu, że była zadowolona. Whitley znowu rozdał karty.

Nic dziwnego, że Philip lubił to miejsce. Jack zastanawiał się, czy jego brat zna damę w karmazynowej sukni.

– Wasza wysokość – rozległ się głos tuż za nim. Jack odwrócił się, rad, że oderwano go od tych myśli. – Pan Dashwood czeka na pana.

Menedżer poprowadził go przez drzwi dyskretnie ukryte za palmami, potem krótkim korytarzem do następnych drzwi. Zapukał raz, otworzył i skłonił głowę, gdy Jack wchodził do środka.

– Nicholas Dashwood, do usług, wasza wysokość – ukłonił się Dashwood. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o twardych, ostrych rysach. – Przepraszam za zwłokę. Nie spodziewałem się pana.

– Przychodzę w sprawie długu mojego brata.

Słysząc chłodny ton głosu Jacka, Dashwood nieznacznie uśmiechnął się jednym kącikiem ust.

– Powiedział, że może się tak zdarzyć.

Jack zapanował nad gniewem, który ogarnął go na myśl, że Philip był na tyle pewny siebie, by powiedzieć coś takiego Dashwoodowi. Ale powinien był to przewidzieć. Philip nie miał żadnych skrupułów, kiedy próbował wydostać się z opresji.

Właściciel klubu obszedł biurko, biorąc z blatu leżącą na nim kartkę.

– Dwa tysiące sto dwadzieścia funtów.

Jack wziął głęboki oddech, żeby jeszcze raz się opanować. Philip skłamał nawet w tej sprawie, kiedy powiedział, że chodzi o mniej niż dwa tysiące.

– Czy mogę zobaczyć?

Dashwood z lekkim uśmiechem podał mu papier. Często bywał w takiej sytuacji. Jackowi wystarczyło raz spojrzeć na kartkę, by nie mieć wątpliwości, że to pismo Philipa. Zobowiązywał się zapłacić wielką sumę sir Lesterowi Bagwellowi.

– Czy ma pan w zwyczaju ręczyć za długi członków swojego klubu? – Jack oddał mu weksel.

– Ja za nic nie ręczę. – Dashwood oparł się o biurko. – Członkowie mogą wymieniać weksle lub gotówkę według uznania. Czasami wolą, żebym je przechował. Nie jako poręczyciel, lecz w ramach przysługi. Jestem tylko pośrednikiem, jeśli woli pan tak to nazwać. W naszym klubie obowiązuje tylko kilka zasad, a najważniejsza z nich każe spłacać długi.

Co znaczyło, że sir Lester obawiał się, że Philip może nie zapłacić tego, co był winien, i chciał, żeby Dashwood zmusił go do podporządkowania się zasadom klubu. Jack z ponurą miną wypisał notę do swojego banku, w duchu przeklinając brata. Bez słowa podał papier Dashwoodowi, który w zamian dał mu weksel Philipa.

– Cała przyjemność po mojej stronie, wasza wysokość. – Dashwood podszedł do drzwi. – Mam nadzieję, że jeśli kiedykolwiek będzie pan szukał stolika do gry, wróci pan do klubu Vega.

Cholernie mało prawdopodobne – pomyślał Jack.

Dashwood odprowadził go do wyjścia. Pod wpływem impulsu Jack jeszcze raz zerknął przez palmowe gałęzie w stronę głównej sali. Jego brat przysiągł uroczyście, że w ramach pokuty na miesiąc zrezygnuje z gry, ograniczy wydatki i zacznie postępować w sposób bardziej umiarkowany. Philipa nie powinno tu być. Ale dama w karmazynowej sukni… Poczuł

dziwnie pragnienie zobaczenia jej twarzy. Tylko po to, żeby wiedzieć, jakiego rodzaju kobiety przychodzą do tej jaskini hazardu.

Ku swemu nieprzyjemnemu zaskoczeniu zobaczył pośrodku sali, w niewielkiej grupce ludzi skupionych wokół stolika, ciemną czuprynę brata. Jack stanął jak wryty. Philip znowu to zrobił. Znowu grał, stawiał sumy, na które nie było go stać, i z całą pewnością opowiadał wszystkim, że brat będzie spłacał jego długi – dziś, jutro, w nieskończoność. Kiedy Jack obserwował rozwój wypadków, rozległ się radosny okrzyk, a Philip uniósł ręce i roześmiał się.

Jack znał ten gest. Philip właśnie przegrał. Zawsze przegrywał ze śmiechem, z żartem, wielkopańskim gestem. Dopiero później, kiedy zastanawiał się nad konsekwencjami tego, co zaszło, okazywał skruchę. Ponieważ Jack właśnie uregulował jeden jego potężny dług, uważał, że ma pełne prawo wywlec brata z klubu, zanim zdąży zaciągnąć kolejny – który, co uświadomił sobie z wściekłością, także będzie musiał spłacić. Philip obstawił w grze, w której wszystko zależało wyłącznie od szczęśliwego trafu. Jack zawrócił na pięcie, bezceremonialnie minął Dashwooda i wkroczył do sali. Podchodząc bliżej, usłyszał Philipa.

– Skoro już muszę przegrywać, to przynajmniej z najpiękniejszą kobietą w Londynie. – Zgromadzeni wokół docenili śmiechem jego galanterię.

Idiota, mruknął z wściekłością Jack przeciskając się przez tłum. *Nie musisz przegrywać; musisz przestać grać*. Dashwood pozbawi go członkostwa, jeśli Jack odmówi spłacenia długu. Prawdę mówiąc, Jack nie miałby nic przeciwko temu, żeby Philip został wyrzucony ze wszystkich salonów gry w Londynie. Pogodził się z tym, że będzie musiał poświęcić życie posiadłościom Ware, ale niech go diabli, jeśli pozwoli się zrujnować spłacaniem długów Philipa.

W końcu dotarł na miejsce i stanął, niestety za plecami brata. Nieświadomy jego obecności, Philip ukłonił się głęboko i podał kości

jakiejś kobiecie – tej samej damie w karmazynowej sukni, która wcześniej grała w karty z jego nieodpowiedzialnymi przyjaciółmi.

– Dziękuję panu. – W jej głosie dźwięczało rozbawienie. – Wygrywanie z panem to prawdziwa przyjemność.

Odwróciła się do stolika, wzięła do ręki kości i musnęła je wargami.

– Pięć! – powiedziała głosem, który zabrzmiał niemal uwodzicielsko, po czym rzuciła.

Wśród tłumu rozszedł się pełen uznania pomruk, lecz Jack nie potrafił oderwać od niej wzroku.

Nie była klasyczną pięknością, ale miała w sobie coś hipnotyzującego, z idealnie owalną twarzą i oczami koloru sherry. Na czarnej wstążce na szyi nosiła zawieszony srebrny medalion, a kiedy pochyliła się, żeby rzucić kości, Jack dostrzegł jej piersi, które omal nie rozsadziły karmazynowej tkaniny. Wyprostowała się, posłała Philipowi zalotne spojrzenie i rzuciła po raz drugi. Jack zmusił się, by oderwać od niej wzrok w samą porę, by zauważyć zainteresowanie malujące się na twarzy brata.

Dwie myśli zaprzątały umysł Jacka. Po pierwsze, że patrzy na jakąś przedwieczną syrenę, bezwstydną i podstępną jak wąż. Philip był tak pochłonięty wpatrywaniem się w jej biust, że nawet nie zauważył swojej przegranej.

A po drugie – że jej pragnie.

2

Klub Vega znajdował się bardzo blisko drugiego domu Sophie Campbell.

Czasami wyobrażała sobie, że klub był niegdyś domem dżentelmena, może nawet hrabiego lub markiza. Ciemna boazeria kojarzyła jej się z eleganckim strojem, uzupełnionym wytwornymi dodatkami kryształowych kandelabrów i pluszowych dywanów. W innych jaskiniach hazardu panowała atmosfera skrytości, jakby słoneczne światło było jakimś rodzajem zarazy, której za wszelką cenę należy unikać – lecz nie w Vega. Zasłony spuszczano tylko nocą, a umieszczone wysoko okna wpuszczały świeże powietrze w ciepłe wieczory. Palić wolno było tylko w pokoju w głębi, a jadalnia mogła się śmiało równać z salą w Mivart's Hotel, być może po to, by damy mogły czuć się swobodniej.

To była najważniejsza cecha Vegi: przyjmowano kobiety; nie tylko jako gości towarzyszących mężczyznom, ale jako pełnoprawne członkinie. Niełatwo było zdobyć członkostwo, ale Sophie zorientowała się bardzo szybko, że to idealne miejsce dla jej celów. Klub Vega przyciągał najróżniejszych mężczyzn, a wszyscy byli gotowi przegrywać do kobiet. Miało to dla niej kluczowe znaczenie, bo tak właśnie zarabiała na życie.

Od chwili gdy przybyła do akademii pani Upton, Sophie wiedziała, że kiedy dorośnie, będzie zdana wyłącznie na siebie. Rankiem w dniu jej osiemnastych urodzin pani Upton wezwała ją, by delikatnie przekazać jej wiadomość, że lord Makepeace nie będzie dłużej płacił za jej naukę. Ponieważ list wicehrabiego przyszedł rano w jej urodziny, Sophie mogła

sobie wyobrazić, jak bardzo ten zgorzkniały stary człowiek nie mógł się doczekać jego wysłania. Dyrektorka zaproponowała jej posadę nauczycielki matematyki, ale Sophie odmówiła. U pani Upton miałaby niewielkie szanse na dobre życie; w wielkim świecie – kto wie? Zawsze lubiła ryzykować.

Z pewnością nie było łatwo. Nie mając pieniędzy, przyjęła posadę damy do towarzystwa owdowiałej wicehrabiny. Anna, lady Fox, okazała się prawdziwym objawieniem. Była niekonwencjonalna, odważna, hojna i dowcipna. I zasiała w głowie Sophie ziarno pewnego pomysłu. *Każda kobieta powinna mieć własny majątek* – powtarzała często – a Sophie uśmiechała się smutno wiedząc, że to wcale nie takie łatwe. Ale lady Fox wiedziała, co mówi. Kiedy umarła, zostawiła Sophie trzysta funtów. *Na dobry początek* – napisała w testamencie. Sophie uznała, że to był jeden z rzadkich uśmiechów losu, którego nie może zaprzepaścić. Mając trzysta funtów i własne niewielkie oszczędności, wymyśliła sobie zmarłego męża, zmieniła nazwisko i w wieku dwudziestu jeden lat wyruszyła do Londynu, by wcielić w życie swój Wielki Plan.

Był to w gruncie rzeczy całkiem prosty plan. Kiedy zapewni sobie niezależność, stanie się panią własnego losu i będzie mogła pójść własną drogą. Jeśli nawet niezależność – to znaczy pieniądze – nie jest kluczem do szczęścia, to w każdym razie ogromnie pomaga w jego osiągnięciu, dlatego Sophie postanowiła zdobyć ją, korzystając ze swojego jedynego przynoszącego zyski talentu: hazardu.

Niekiedy czuła wyrzuty sumienia z powodu tego, że żyje kosztem strat ponoszonych przez innych. Doskonale pamiętała wykłady pani Upton potępiające hazard i wiedziała, że dyrektorka miała rację, mówiąc, że to niebezpieczne i prowadzi do ruiny. Wprawdzie wypracowała – i ściśle się ich trzymała – żelazne zasady, aby nie przegrać zbyt dużo, pozostawała kwestia jej reputacji… jakakolwiek by ona była.

Jej przyjaciółki także się tym martwiły. Od pierwszego dnia w szkole pani Upton, ponad dekadę wcześniej, ona, Georgiana i Eliza były

nierozłączne. Kiedy Sophie była z lady Fox, a jej przyjaciółki wciąż w szkole, pisały do siebie co tydzień. Teraz, gdy wszystkie znalazły się w Londynie – Eliza w domu ojca w Greenwich, a Georgiana z przyzwoitką, spotykały się co dwa tygodnie, zazwyczaj w niewielkim, lecz przytulnym domu Sophie przy Alfred Street.

– Chyba zainwestujesz część pieniędzy? – pytała często Eliza. – Tak byłoby bezpieczniej.

– Nigdy – odpowiadała stanowczo Sophie. – Nie ma nic bardziej ryzykownego od gry na giełdzie.

– Papa radzi sobie całkiem dobrze i wielokrotnie proponował, że mógłby ci coś doradzić – przypomniała Eliza. Nie było to jednak żadną pociechą dla Sophie; pan Cross mógł sobie pozwolić na stratę tysiąca funtów, gdyby nie dopisało mu szczęście – ona nie.

Georgiana uważała, że powinna się zdecydować na inny rodzaj inwestycji.

– Tak naprawdę powinnaś się postarać, żeby któryś z dżentelmenów w Vega zakochał się w tobie. Sterling mówi, że sir Thomas Mayfield byłby dla ciebie doskonałą partią. – Wicehrabia Sterling był przyszłym mężem Georgiany i najczęściej cytowanym przez nią autorytetem we wszelkich sprawach.

Sophie parsknęła śmiechem.

– Thomas Mayfield! Baronet! Chyba oszalałaś.

– Oszalałam? – Georgiana spojrzała szeroko otwartymi zielonymi oczami na Elizę. – Czy szaleństwem jest sugerować, że powinna sobie znaleźć jakiegoś wysokiego, przystojnego dżentelmena? Takiego, który potrafi doprowadzić większość dam w Londynie do omdlenia jednym szatańskim uśmiechem?

Eliza roześmiała się, a Sophie przewróciła oczami.

– To ty wydajesz się nim zauroczona. Czy powinnyśmy ostrzec lorda Sterlinga?

– Oczywiście, że nie. Sterling nie ma się czego obawiać. Jestem w nim zakochana od wieków – odparła Georgiana i machnęła lekceważąco ręką.

Wicehrabia Sterling, którego posiadłości sąsiadowały z ziemiami hrabiego Wakefielda, oświadczył się Georgianie, kiedy tylko skończyła osiemnaście lat, a ona z radością go przyjęła. Lord Wakefield wahał się i opóźniał ślub, lecz wszyscy wiedzieli, że jest ekscentrykiem, a zaręczyny pozwoliły Georgianie spędzić dwa sezony w Londynie na kupowaniu wyprawy, podczas gdy Sterling i Wakefield ustalali szczegóły.

– Może właśnie dlatego powinnaś dać spokój Sophie. Ty znalazłaś bez trudu swojego bohatera, ale nie wszystkie miałyśmy tyle szczęścia.

– Och, ale ja właśnie pragnę waszego szczęścia! – wykrzyknęła stropiona Georgiana. – Czy sir Thomas jest naprawdę aż taki zły?

– Nie – skłamała z uśmiechem. – Po prostu nie jest dla mnie.

Nie uszło jej uwadze to, że Sterling uznał baroneta za doskonałą partię *dla niej*. Thomas, o lepkich rękach i elastycznym poczuciu honoru, byłby absolutnie nie do przyjęcia jako kandydat na męża lady Georgiany Lucas, ani nawet panny Elizy Cross. Ale dla pani Sophie Campbell, niezbyt zamożnej wdowy spędzającej wieczory w klubie hazardowym, stanowił cenną zdobycz. Sophie była świadoma swojej pozycji towarzyskiej.

– A więc jakiś młodszy syn – ciągnęła niezrażona Georgiana. – Lord Philip Lindeville.

– Kto? Nie!

– Na pewno go pamiętasz, Sophie. W zeszłym miesiącu widziano cię z nim kilka razy – powiedziała z powagą Georgiana. – Sterling mówi, że to świetny kompan. I jest zabójczo przystojny.

– Papa mówi, że to łobuz – zauważyła Eliza.

– Którego trzeba zmienić miłością. – Georgiana mrugnęła do niej porozumiewawczo.

Sophie parsknęła śmiechem.

– To dla mnie za duży kłopot.

Eliza wydawała się wstrząśnięta, a Georgiana prychnęła z rozbawieniem.

– Tylko ty możesz uważać adoratora za kłopot, Sophie!

– Lord Philip – odparła – nie jest moim adoratorem.

Ta rozmowa z jakiegoś powodu nie dawała jej spokoju, kiedy wieczorem przybyła do klubu Vega. Wieczór był chłodny i pochmurny, co chwilę padał deszcz. Założyła karmazynową suknię nie po to, by przyniosła jej szczęście, lecz żeby dodać sobie otuchy; to był jej ulubiony kolor. Kiedy pan Forbes, menedżer klubu, wziął od niej płaszcz, zerknęła na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem. Nie czuła się staro, ale mając dwadzieścia cztery lata, nie była już młodziutka. Nie chciała zadzierać nosa na wzmiankę o adoratorze. Sophie nie miałaby nic przeciwko temu, jeśli jakiś dżentelmen zakochałby się w niej, a ona pokochała jego. Gdyby tylko mężczyźni, których spotykała, byli zainteresowani tym samym…

Zakładając, że wciąż będzie wygrywać, zdobycie dziesięciu tysięcy funtów – sumy, którą uznała za wystarczającą dla finansowego bezpieczeństwa – zajmie jej jeszcze sześć lat. Sześć lat i dziesięć tysięcy funtów oznaczały niezależność. Musi zapamiętać to równanie, inaczej może być zdana na łaskę lubieżnych baronetów, nawet w połowie nie tak przystojnych jak Thomas Mayfield. Wyprostowała się i weszła do salonu. Po chwili znalazła stolik i zajęła miejsce z pewnym siebie uśmiechem.

Minęła co najmniej godzina. Początkowo nieco przegrała, ale szybko nadrobiła stratę. Była o sześćdziesiąt funtów do przodu, kiedy ktoś za nią zawołał:

– Pani Campbell!

Sophie drgnęła zaskoczona. Wraz z partnerem, Gilesem Carterem, radośnie łupili panów Whitleya i Frasera w wista. Wist był grą nie tylko uważaną za najzupełniej odpowiednią dla dam, ale też łatwą do wygrania przy zachowaniu trzeźwości umysłu i skupienia. Pan Whitley nie był dostatecznie skupiony, a pan Fraser sączył już trzeci kieliszek madery.

Radosne powitanie lorda Philipa Lindeville’a przerwało im w połowie trzeciego rozdania.

– Cóż za przyjemność spotkać panią tutaj. – Skłonił się lekko.

– Pana także, sir. – Uśmiechnęła się i skinęła głową. Przyjaciółki, wspominając o lordzie Philipie, nie myliły się bardzo; często dotrzymywał jej towarzystwa. Był czarujący i zabawny, choć może nieco zbyt przekonany o sile swojego uroku. Sophie wiedziała, co mówi, kiedy uznała go za kłopot – jako adoratora.

– Może zagrałaby pani ze mną? – Uśmiechnął się i zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. – Obiecywałem, że nie przyjdę tu dzisiaj, ale pokusa spotkania pani była zbyt silna.

– Nie chciałabym kusić żadnego mężczyzny do złamania obietnicy – powiedziała, uśmiechając się kokieteryjnie.

– To była głupia obietnica. – Roześmiał się. – Chodźmy, zapewne pani wygra, co będzie dla mnie wystarczającą pokutą.

– Och, ale jesteśmy w trakcie rozgrywki – próbowała protestować, lecz lord Philip zdążył już wymienić porozumiewawcze spojrzenia ze swoim przyjacielem, panem Whitleyem.

Ten pospiesznie wstał z krzesła.

– Na mnie już pora. Doszczętnie mnie pani złupiła. – Ukłonił się, a pan Fraser czym prędzej poszedł w jego ślady.

Pan Carter, jej partner w grze, jeszcze się wahał, lecz Sophie potrafiła rozpoznać, kiedy Philip jest zdeterminowany i nie da się spławić.

Powściągnęła irytację i odłożyła karty.

– Panie Carter, mam nadzieję, że jeszcze pan ze mną zagra. Myślę, że przy wiście tworzymy niepokonany zespół.

Tak jak na to liczyła, rozpogodził się, a nawet życzył jej szczęścia, kiedy pozwoliła się odciągnąć lordowi Philipowi.

– Byliśmy w trakcie rozgrywki – zganiła go, gdy wziął ją pod ramię. – Cierpliwość jest cnotą, milordzie.

Philip uśmiechnął się szeroko.

– Nic dziwnego, że nie mam żadnych cnót. Przyszedłem tylko porozmawiać z Dashwoodem, ale zobaczyłem panią i zupełnie zapomniałem o swojej misji.

– Czy powinnam to uznać za komplement? – Jedynym powodem, dla którego mógł chcieć zobaczyć się z panem Dashwoodem, właścicielem klubu Vega, mogło być zarekomendowanie nowego członka lub spłacenie długu – i to dużego. Sophie dwukrotnie miała okazję wygrać zakład na tyle duży, że pan Dashwood uznał za stosowne nadzorować spłatę należności. Nie przypuszczała, żeby Philip tak łatwo zapomniał o swoich planach, gdyby to on miał odebrać wygraną.

Przyglądał się jej. Ciemne włosy opadały mu na czoło romantycznymi falami, a jego wargi wygięły się w szelmowskim uśmiechu.

– Tak. Powinna pani uznać to za komplement. Proszę powiedzieć, że tak jest, a ja także poczuję się skomplementowany.

Był tak przystojny i uroczy, że niemal żałowała, że będzie musiała odrzucić jego oczywiste zainteresowanie. Ścisnęła lekko jego ramię.

– Komplementy lekko przychodzą i łatwo się je odwzajemnia.

– Wcale nie lekko – odparł. – Ale proszę odwzajemnić.

Roześmiała się.

– Jak widzę, przeczuwa pan dzisiaj uśmiech losu. A zatem kości?

W kości gra się szybko. Kilka kolejek i pozbędzie się go, bez względu na to, co powie lub zrobi. Lord Philip ostatnio wykazywał zbyt wielki entuzjazm.

A szkoda. Wprawdzie nikt o tym nie wiedział, ale Sophie rozglądała się za kandydatem na męża, a gdyby Philip się nadawał, byłoby to bardzo dogodne. Georgiana byłaby z niej dumna, gdyby udało jej się zdobyć brata księcia.

Lecz choć bardzo go lubiła, lord Philip Lindeville z całą pewnością nie nadawał się na męża – w każdym razie nie jej męża. W ciągu trzech lat,

które spędziła w Londynie, Sophie bardzo dokładnie określiła swoje wymagania, a Philip spełniał bardzo niewiele z nich. Był czarujący, ale lekkomyślny; przyjacielski, ale zadufany w sobie; niemal nieprzyzwoicie przystojny, od ciemnych falujących włosów po smukłą figurę, ale zbyt dobrze zdawał sobie z tego sprawę, podobnie jak wszystkie kobiety w mieście. I co najgorsze, łatwość, z jaką przychodziło mu tracenie pieniędzy – dzięki czemu był tak pożądanym partnerem w klubie Vega – czyniła go zupełnie nieodpowiednim kandydatem na męża. Sophie nie zamierzała wychodzić za mężczyznę, który mógłby przegrać całą ich przyszłość. Dlatego choć miał nienaganne pochodzenie i wyraźnie okazywał jej zainteresowanie, Sophie będzie musiała go odrzucić.

Giles Carter poszedł za nimi do stolika. Spojrzała na niego smutno, kiedy Philip poprosił o kości. Pan Carter był znacznie bliższy jej oczekiwaniom. Był co najmniej o dekadę starszy od niej, ale miał własny, niezależny dochód. Wiedziała, że Philip musi liczyć na pensję wypłacaną przez brata, lecz sam uważa ten dochód za niewystarczający nawet dla kawalera, a tym bardziej dla żonatego mężczyzny. Pan Carter wiedział, kiedy przestać grać, choć ostatnio grywał dłużej, niż podpowiadałby rozsądek… przynajmniej z nią. Sophie miała nadzieję, że to dobry znak. Zawsze przegrywał z wdziękiem i wydawał się niemal rozczarowany, kiedy wygrał. Pan Carter nie był okrutny, skąpy ani brzydki – byłby doskonałym mężem.

Jednak wszelkie nadzieje na to ległyby w gruzach, gdyby pozwoliła, żeby Philip skusił ją do przekroczenia granicy przyzwoitości. Sophie zdawała sobie sprawę, że balansuje na tej granicy, i była zdeterminowana zadbać, by noga jej się nie powinęła. Pozwalała sobie flirtować z mężczyznami, kiedy wygrywała, lecz nigdy nie na tyle, by pomyśleli, że dąży do romansu.

– O ile zagramy? – Philip sięgnął po kości; jego ciemne oczy błyszczały, kiedy na nią patrzył.

– Każda runda o gwineę?

Zrobił smutną minę, kładąc na stole garść żetonów, wbrew swoim zapewnieniom, że chciał tylko porozmawiać z Dashwoodem.

– Ach. Pieniądze.

Zaśmiała się cicho, zdając sobie sprawę, że u jej boku stoi pan Carter.

– Coś jeszcze? – Zanim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się do stolika. – Siedem! – oznajmiła, rzucając kości.

W tej grze wszystko zależało od szczęścia. Gracz podawał liczbę, od pięciu do dziewięciu, po czym rzucał kości. Jeśli suma oczek odpowiadała podanej liczbie, wygrywał. Jeśli wyrzucił dwa lub trzy – przegrywał. Zasady były dość skomplikowane; jedenastka lub dwunastka przegrywała, ale gracz często miał możliwość powtórzenia rzutu i dopiero po przegraniu trzech rund z rzędu trzeba było oddać kości.

Sophie rzuciła trzy razy, nim wygrała.

– Świetny początek! – pochwalił z entuzjazmem lord Philip. Zawsze pogodnie przyjmował porażkę, jakby nie zależało mu na pieniądzach. Wkrótce przegrał dwie kolejne rundy. Na jego twarzy odmalowała się irytacja, ale tylko przez moment. Wziął kości i przez kilka sekund obracał je w dłoni.

Wiele lat wcześniej, w szkole pani Upton, Sophie obliczała prawdopodobieństwo wygranej w kości, zapisując ostatnie strony podręcznika do matematyki, póki świeca całkiem się nie wypaliła. Po surowej reprymendzie dyrektorki nigdy więcej nie odważyła się grać z innymi dziewczętami w akademii, ale chłopcy w stajniach – to zupełnie inna sprawa. Wielu gier w karty nauczyła się od ojca, w stajniach zaś poznała również kości. Umiała ocenić szanse w każdej grze. Wiedziała, kiedy powinna zachować ostrożność, a kiedy może zaryzykować, i dotychczas stosowała tę taktykę ze wspaniałym skutkiem – przez trzy lata spędzone w Londynie udało jej się powoli zebrać sumę czterech tysięcy funtów, głównie dzięki wygranym w klubie Vega.

A jednak hazard to wielkie ryzyko… chyba że gra się z lordem Philipem.

On nigdy niczego nie obliczał. Jeśli w jednej rundzie wyrzucił wysoką sumę oczek, w następnej obstawiał wysoko; jeśli wyrzucił niską – obstawiał nisko. Wiodłoby mu się znacznie lepiej, gdyby spróbował przewidzieć swoje szanse, jak zawsze postępowała Sophie. Nie lubiła wykorzystywać jego nierozwagi, ale dziś była zirytowana tym, że przerwał jej partię z panem Carterem. Jeśli wygra dużą sumę, nie będzie miał pretensji. Czasami ludzie wprost sami wpychali jej w ręce swoje pieniądze.

Posyłając jej nieśmiały uśmiech, Philip rzucił kośćmi i nie przegrał. Jego oczy rozbłysły triumfalnie, chociaż jeszcze nie wygrał. Dołożył żeton do puli i wrócił do gry.

Wokół nich zebrała się spora grupka, półgłosem stawiano zakłady. Sophie zachowała spokój, obserwując grę przeciwnika. Jest na prostej drodze do klęski, pomyślała. To przykre, ale nieuniknione. Z każdym rzutem jego ekscytacja rosła. Z każdym rzutem podnosił stawkę.

Przy ósmej pomyślnej kolejce rozległy się ciche wiwaty, po czym nadszedł fatalny dziewiąty rzut. Lord Philip odchylił głowę do tyłu i jęknął. Zebrał żetony i podał Sophie.

– Proszę zagrać ze mną jeszcze raz.

– Nie powinien pan… – Czując wyrzuty sumienia, próbowała odwołać się do jego rozsądku, lecz Philip nachylił się ku niej i mrugnął porozumiewawczo.

– Jedna kolejka? Proszę dać mi szansę.

Zawahała się. Wszystko wskazywało na to, że Philip zostanie tu przez całą noc. Jeśli ona nie wygra jego pieniędzy, zrobi to ktoś inny. Może po jeszcze jednej rundzie dałby się namówić do czegoś mniej ryzykownego.

– Dobrze, zagram jeszcze jedną kolejkę, ale tylko jedną…

– Chciała powiedzieć *wygram* jeszcze jedną kolejkę – powiedział ktoś w pobliżu, wywołując wybuch śmiechu.

Lord Philip spojrzał na niego z irytacją i sięgnął po kości.

– Skoro już muszę przegrywać, to przynajmniej do najpiękniejszej kobiety w Londynie. – Podał jej kości z głębokim ukłonem.

Sophie także umiała zjednać sobie widzów. Ucałowała kości, rzuciła i wygrała za pierwszym razem, wywołując entuzjastyczny okrzyk widzów. Podała kości Philipowi.

– Pańska kolej, milordzie.

Nie odrywał od niej wzroku; patrzył zafascynowany, z lekko rozchylonymi ustami.

– Proszę je dla mnie pocałować – poprosił, zniżając nieco głos. – Na szczęście.

Kątem oka Sophie widziała obserwującego ją z obojętnym wyrazem twarzy Gilesa Cartera. Niech to diabli. Philip stawał się problemem; będzie musiała zacząć go unikać.

– Skoro tak rozpaczliwie pan tego potrzebuje… – Posłała całusa w stronę kości. – *Bonne chance*, milordzie.

– Przestańcie natychmiast!

3

Surowe, oschłe słowa przecięły powietrze niczym miecz, zaskakując Sophie tak, że omal nie upuściła kości. Lord Philip odskoczył jak oparzony, chowając rękę za plecy.

– Zaczekaj. – Nagle zabrzmiał jak zdenerwowany chłopiec. – Mogę wyjaśnić…

– Przestań, niech cię diabli – powtórzył mężczyzna, który im przerwał. Był wściekły. Wielkie nieba, czy przy stoliku dojdzie do pojedynku? Sophie zerknęła niepewnie na Gilesa Cartera. Co powinna zrobić?

Pan Carter zrobił krok naprzód, gdy tłum się rozstąpił, robiąc przejście dla nowo przybyłego. Podniesiona na duchu tym, że może jednak liczyć na czyjeś wsparcie – Philip cofnął się jeszcze o krok z wyrazem napięcia na twarzy – przyglądała się przybyszowi z zainteresowaniem. Coś w jego twarzy wydawało jej się znajome, a kiedy zerknęła na lorda Philipa, doszła do wniosku, że muszą być spokrewnieni.

Oczywiście. Odprężyła się. Philip wspominał o nim. To musi być książę, jego posępny starszy brat, który kontrolował dochody Philipa i beształ go za przegrane pieniądze. Philip twierdził, że jest ponury i nudny, całe dnie spędza nad księgami rachunkowymi. Sophie złapała się na tym, że wyobrażała sobie kogoś znacznie starszego i o wiele mniej atrakcyjnego.

Nie mogłaby się bardziej mylić.

Był jasnowłosy, a w ciemnym wieczorowym stroju wyglądał poważnie i surowo. Jego twarz była tak piękna, jakby ją wyrzeźbił Michał Anioł. Philip

był podobnego wzrostu, lecz smuklejszy; doskonale dopasowane ubranie księcia podkreślało jego szerokie ramiona, wąskie biodra i zgrabne łydki. Sophie byłaby zaskoczona, gdyby okazał się starszy od Philipa o więcej niż pięć lat.

Lecz w jego szaroniebieskich oczach nie było ciepła, kiedy omiótł ją spojrzeniem jednocześnie taksującym i lekceważącym, pod którym poczuła się bardzo mała i bezwartościowa. Stanął naprzeciwko nich, wpatrując się w brata.

– A więc? – zapytał głosem cichym, lecz twardym.

Philip uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby.

– Jak miło cię tu zobaczyć. Przyszedłeś zagrać partyjkę?

Książę znowu zerknął na Sophie.

– Nie, nie planowałem tego. I wierzę, że ty także nie.

Sophie rozejrzała się na boki spod opuszczonych rzęs, ale wyglądało na to, że utknęła. Z tłumem zafascynowanych gapiów za plecami, Philipem u boku i księciem naprzeciwko nie miała żadnej drogi ucieczki.

– Nie planowałem. – W tonie Philipa pojawiła się wyzywająca nuta. – Ale zauważyłem moją drogą przyjaciółkę, panią Campbell, i wszystkie moje dobre chęci rozwiały się jak dym. Po prostu nie potrafiłem się oprzeć. Czy możesz mnie o to winić? – Ujął jej dłoń i uniósł do ust.

Sophie zarumieniła się; jak on śmiał zrzucać winę na nią?

– Milordzie – mruknęła, wyrywając rękę z jego uścisku. – Robi się późno. Dokończymy grę innym razem. – Odłożyła kości na stół i dygnęła.

– Może tak będzie najlepiej. – Philip posłał jej smutny uśmiech, choć zawierający sugestię zażyłości, której wolałaby uniknąć. – Do następnego razu, droga pani.

– Nie bądź śmieszny – odezwał się książę. – To niemożliwe.

– O? – uśmiechnął się Philip. – W takim razie wybacz, Ware…

– Chodzi mi o to, że nie dokończysz gry następnym razem – warknął jego brat. – Ani z nią, ani z nikim innym. To koniec, Philip. Mam już dość

tych błazeństw.

– Błazeństw? – powtórzyła Sophie, mimo że postanowiła się nie wtrącać.

– Nie jestem dzieckiem, wasza wysokość – prychnął Philip niemal w tej samej sekundzie.

– Skoro tak, to znaczy, że jesteś głupcem – odparł spokojnie książę. – Po dziecku można oczekiwać, że z wiekiem nabędzie rozsądku i godności.

Twarz Philipa przybrała odcień głębokiego szkarłatu.

– Ware – wycedził. – Przestań.

– *Przestań*. To samo powiedziałem tobie i to samo mi obiecałeś – powiedział książę tonem zimnym jak lód. – Miesiąc. Obiecałeś przez miesiąc trzymać się z dala od gry. A jednak jesteś tutaj, tego samego dnia, kiedy złożyłeś obietnicę. Jakie masz wyjaśnienie?

– Przyszedłem tylko zobaczyć się z Dashwoodem – wymamrotał Philip. Tłum się przerzedził, ale w sali było tak cicho, że wszyscy słyszeli ich rozmowę. Giles Carter gdzieś zniknął.

– *Ja* przyszedłem zobaczyć się z Dashwoodem – warknął książę. – Ty przyszedłeś przegrywać pieniądze, których nie masz. – Zerknął na Sophie, tym razem z nieskrywaną pogardą. – Widzę, jak mocne jest twoje postanowienie, skoro jesteś gotów dać się oskubać pierwszej kobiecie, która się do ciebie uśmiechnie.

A więc Philip obiecał przestać grać i złamał dane słowo. W duchu Sophie podzielała gniew księcia; już wcześniej pomyślała, że Philip powinien skończyć, a gdyby jego brat był choć odrobinę bardziej uprzejmy, przyłączyłaby się do niego i namawiała Philipa, by się opanował.

Ale nie zamierzała pozwolić, żeby winiono i potępiano ją za brak rozwagi kogoś innego.

– Niech ten wśród nas, który jest bez grzechu, pierwszy rzuci kamieniem – powiedziała beztrosko. – Nie wątpię, że wszyscy powinniśmy przemyśleć swoje błędy, ale publiczne ich omawianie nikomu nie służy.

– Moralność – wycedził książę. Po raz pierwszy zaszczycił ją czymś więcej niż przelotnym spojrzeniem. – To coś nowego w twoim towarzystwie, Philipie.

Philip wciągnął głowę w ramiona niczym żółw. Jego uszy były ogniście czerwone.

– Dość, Ware – mruknął. – *Proszę*, Jack.

Jack. Cóż za beztroskie imię dla tak sztywnego człowieka. Sophie zrobiło się żal Philipa, ruganego w obecności przyjaciół i znajomych. Książę nie mówił głośno, ale zwracał na siebie uwagę.

– Tak, ja też proszę – odezwała się do księcia swoim najłagodniejszym tonem. – To nie jest odpowiedni czas ani miejsce.

– O? A mnie się wydawało, że nie ma czasu do stracenia. – Jego spojrzenie znowu prześlizgnęło się po niej. – Nie wątpię, że wolałaby pani, żebym milczał, dopóki nie wygra pani od niego okrągłej sumy.

Odetchnęła głęboko, aby nie powiedzieć czegoś, czego mogłaby później żałować. Powinna była bardziej stanowczo odprawić Philipa, kiedy przerwał jej grę z Carterem.

– To absolutna nieprawda. Nie zamierzałam doprowadzić nikogo do bankructwa i sama taka sugestia jest dla mnie oburzająca.

– Nie mieszaj jej do tego – wtrącił się Philip. – Moja droga, lepiej będzie, jeśli się pani oddali, żebym mógł dalej spierać się z moim szlachetnym bratem w cztery oczy.

Wargi księcia wygięły się w ponurym uśmiechu, a przez głowę Sophie przemknęła myśl, że trudno byłoby mu się oprzeć, gdyby się częściej uśmiechał.

– Ile pani od niego wygrała?

– To nie jest pańska sprawa – odparła z oburzeniem. Czy to ważne, jak się uśmiecha, skoro jest taką bestią o lodowatym sercu?

– Jest, jeśli on błaga mnie, żebym spłacił jego długi – powiedział książę. – Czy pani jest jego następną wierzycielką?

Philip spurpurowiał, upokorzony i wściekły. Zrobił krok do przodu i położył rękę na ramieniu Sophie. Jego palce zatrzymały się na chwilę, po czym przesunęły w dół jej pleców. Zesztywniała, co Philip odebrał jako zachętę. Zbliżył się jeszcze bardziej, stając między nią a bratem.

– Zostaw ją w spokoju – powiedział bardzo cicho. – Pani Campbell i ja jesteśmy… przyjaciółmi. – Ledwie zauważalna pauza sugerowała coś więcej. – Nie zrobimy sobie krzywdy.

– Nie bądź głupcem. – Książę nie odrywał oczu od Sophie. – Ona nie jest twoją przyjaciółką. Nie jest nawet twoją kochanką, co jeszcze usprawiedliwiałoby twoje wydatki. Ona tylko wygrywa twoje pieniądze.

Sophie zbladła z wściekłości.

– Jak pan śmie…

– Mogę to udowodnić. – Książę w końcu oderwał od niej wzrok. Wziął ze stołu kości, które wcześniej odłożyła. – Chce pani grać? W takim razie proszę zagrać ze mną.

Wyciągnął rękę i po chwili wahania Philip z obrażoną miną podał mu kilka żetonów. Nawet nie patrząc, książę rzucił wszystkie na stolik.

Sophie szybko liczyła w myślach. Na stoliku leżało niemal pięćdziesiąt gwinei – zawrotna suma.

– Gra pan bardzo wysoko, sir.

– A więc jedna gwinea na rundę – powiedział chłodno. – A może boi się pani przegrać, skoro przeciwnikiem nie jest nieopierzony smarkacz?

Lord Philip drgnął nerwowo. Posłał bratu wrogie spojrzenie, które książę całkowicie zignorował. Nie uszło jednak uwadze Sophie. Słowa księcia były kpiną z niej, a jednocześnie publicznym upokorzeniem jego brata.

Z upokorzeniem i pogardą umiała radzić sobie tylko w jeden sposób: nie ustępując ani o krok. Zaznała tego wielokrotnie: od kilku zadufanych w sobie dziewcząt w akademii pani Upton, które wyśmiewały jej pozycję towarzyską, po londyńskie matrony krytykujące jej niezależny styl życia. Ucieczka byłaby okazaniem słabości, a ponieważ książę obraził ją

publicznie, ucierpiała jej reputacja. Sugerował, że wykorzystuje sytuację, a może wręcz, że jest oszustką. Oczywiście Sophie lubiła wygrywać – musiała, żeby się utrzymać – ale zawsze grała uczciwie, zdarzało jej się przegrywać i umiała być wyrozumiała. A w tym przypadku, ponieważ w łagodny sposób próbowała odwieść Philipa od gry, niesprawiedliwość słów księcia zabolała ją jak policzek.

– Boję się? – Wyprostowała się z godnością, naśladując gest pani Upton. – Pana? – Zawiesiła głos i spojrzała na niego kpiąco. – Cóż panu przyszło do głowy?

Twarz Philipa wykrzywił mściwy uśmiech. Książę zacisnął zęby.

– A więc grajmy.

Musiała być szalona, skoro się na to zgodziła. Szalona, nierozważna i prawdopodobnie głupia, ale Sophie zdarzało się robić gorsze rzeczy. Skoro książę chciał grać w kości, nic nie sprawi jej większej przyjemności niż pokonanie go.

Z opowieści Philipa o bracie zapamiętała między innymi to, że książę nie uprawia hazardu i ostro go potępia. To zaś znaczyło, że będzie grał jak zupełny amator. Książę Ware zachowywał się grubiańsko i obraźliwie, więc Sophie z przyjemnością myślała o odwecie. Czuła całkowicie nieuzasadnioną solidarność z lordem Philipem i przemożne pragnienie utarcia nosa jego nieznośnemu bratu.

Cofnęła się do stolika, położyła żeton i wzięła do ręki kości.

– Siedem. – Jej głos rozległ się bardzo wyraźnie w ciszy, jaka panowała przy stoliku. Wydawało się, jakby zostali tylko we dwoje na całym świecie. Patrząc prosto w oczy swojej nemezis, kusicielskim gestem musnęła wargami kości i rzuciła je na stół.

4

Sophie wiedziała, że powinna była odejść w chwili, gdy książę kazał bratu przestać grać. W kościach wszystko zależało od szczęśliwego trafu, a jej tego wieczoru najwyraźniej fortuna nie sprzyjała. Nie tylko Giles Carter gdzieś przepadł, ale w dodatku, dzięki księciu, sama Sophie znalazła się w centrum uwagi.

Jednak jeśli jej los nie sprzyjał, to na niego się wprost uwziął. Przegrywał, i to z kretesem. Po pierwszej rundzie na jego czole pojawiła się nieznaczna zmarszczka, kiedy obserwował stolik. Wydawał się niemal uroczo zdumiony, jakby zasady gry nagle się zmieniły. To dało jej chwilę na zastanowienie. Jak to możliwe, że czuła się nieswojo, wykorzystując przewagę nad Philipem, a chwilę później tak wielką satysfakcję sprawiło jej pokonanie człowieka, który nigdy wcześniej nie grał w kości?

Zza pleców księcia Philip posłał jej triumfalne spojrzenie. Nie powstrzymała się i odpowiedziała lekkim uśmiechem, lecz w tej samej chwili książę podniósł wzrok i zauważył to. Zacisnął zęby.

– Zgaduję, że jest pani zawodową hazardzistką.

Sophie spojrzała na niego z wściekłością.

– Może po prostu ucieleśnieniem szczęścia.

– Szczęścia? – powtórzył. – I nie sprzyja mi pani, podobnie jak wcześniej mojemu bratu.

Wziął do ręki kości.

Niech więc będzie. Skoro on chce przegrać, Sophie wygra z przyjemnością.

Podniosła stawkę. Zaczęła subtelnie flirtować z niektórymi z widzów, których zebrała się tymczasem spora grupa, i pytać, co powinna dalej zrobić. Za każdym razem chcieli, żeby grała wyżej, więc podbijała. Philip przysunął się bliżej; odzyskał dobry humor i wiwatował za każdym razem, gdy wygrywała. A szczęście niezmiennie sprzyjało jej tylko odrobinę bardziej niż księciu.

Zaskoczyło ją, że grał dalej, choć już wygrała od niego zawrotną sumę. Nawet najbardziej nieudolny gracz zdałby sobie sprawę, że tego wieczoru nie ma szczęścia, i wycofałby się, z sakiewką wprawdzie lżejszą, lecz nie całkowicie opróżnioną. Ale nie książę. A za każdym razem gdy tracił kolejny żeton, coś w niej drgało.

W końcu, choć wyglądało to nieco obcesowo, książę oparł dłonie na stole i zaczął oceniać straty. Złociste włosy opadły mu nierównymi falami na czoło, w pewnym momencie rozpiął nawet kurtkę. Teraz o wiele bardziej przypominał swojego młodszego brata.

– Dość – powiedział.

Posłała mu olśniewający uśmiech.

– Jak pan sobie życzy, sir. I pozwolę sobie powiedzieć, że to była prawdziwa przyjemność.

Zebrani wybuchnęli śmiechem. Po jej stronie stolika piętrzył się stos żetonów. Przy dwustu funtach przestała liczyć, ile wygrała. To była dla niej najlepsza noc w całym roku.

Słysząc to, spojrzał na nią, wyraźnie rozdrażniony. Jego błękitne jak morze oczy rozbłysły, usta zacisnęły się w wąską linię.

– Jeszcze jedna runda.

Zaśmiała się z niedowierzaniem.

– Cóż za nałogowy gracz! – parsknął ze śmiechem stojący obok niej Philip. Widać było, że bawi się znakomicie. Sophie oparła dłoń na stoliku,

by nachylić się ku niemu, i powiedziała, zniżając nieco głos:

– Myślę, że przegrał pan dość jak na jedną noc.

Książę powoli omiótł ją wzrokiem, powoli przechodząc od dłoni do twarzy. Zbyt późno uświadomiła sobie, że jej słowa, które w zamierzeniu miały być życzliwą radą dla kogoś, komu szczęście nie sprzyja, mógł odebrać jako protekcjonalne.

– Ale już nie o żadną śmieszną stawkę.

W tym momencie przestała czegokolwiek żałować. Śmieszna stawka! Nic dziwnego, że Philip nim gardził.

– Niech pan to zapamięta, Philipie – powiedziała lekkim tonem, nie odrywając oczu od księcia. – Sto gwinei to śmieszna suma.

Philip się zakrztusił. Książę wpatrywał się w nią. Mięśnie jego twarzy nieznacznie drgały, zdradzając tłumione emocje.

– Stawiam pięć tysięcy funtów.

Sophie otworzyła usta ze zdumienia, a wśród zebranych rozległy się pełne podniecenia – i zachwytu – szepty. Najwyraźniej w klubie Vega nie widuje się codziennie aż takiej brawury.

– Po jednej rundzie, do przegranej, zwycięzca bierze wszystko. Jeśli oboje przegramy, rozejdziemy się w zgodzie.

Jej wzrok bezwiednie powędrował w stronę pieniędzy, które zdążyła dotychczas wygrać. Musiałaby postawić wszystko w jednej rundzie. Jeśli wygra, będzie to zaledwie niewielka część jej zysku z tej nocy. I prawie osiągnie sumę dziesięciu tysięcy, którą sobie wyznaczyła. Po jednej rundzie miałaby niezależność w zasięgu ręki…

Ale pierwsza reguła hazardu mówi: łatwo przyszło, łatwo poszło. Księciu nie dopisywało szczęście, ale to nie znaczyło, że jej szanse na wygraną były większe.

– Nie dzisiaj, sir – powiedziała, nie bez nuty żalu. Lepiej zachować te kilkaset funtów, które już wygrała.

– Źle mnie pani zrozumiała. Nie musi pani ryzykować. – Popełniła błąd i spojrzała na niego.

Zupełnie obojętny na rozlegające się wokół szepty, wstał i złożył ręce na piersi. W takiej pozycji jego barki wydawały się jeszcze szersze, a ramiona – potężniejsze. Kiedy wpatrywał się w Sophie, miał twarz tak skupioną, że jej serce zaczęło trzepotać. Chciała odwrócić wzrok, lecz nie potrafiła.

– Chcę spędzić tydzień w pani towarzystwie.

Gdyby Jack zobaczył, że ktoś zachowuje się tak jak on tego wieczoru, pomyślałby, że ma do czynienia z niebezpiecznym szaleńcem.

A ponieważ to on był tym kimś, nie miał wątpliwości, że stracił rozum. Zlekceważył własny rozsądek i zamiast po prostu powstrzymać Philipa przed zrujnowaniem sobie życia, urządził scenę, która z pewnością wywoła burzę plotek w całym Londynie, bez względu na to, jakich przysiąg wymagał Dashwood od swoich gości. A co najgorsze, złamał swój własny ślub, że będzie unikał hazardu jak ognia; do tego grał w kości – które w mgnieniu oka mogą uczynić człowieka żebrakiem.

Lecz ta kobieta miała w sobie coś, co go prowokowało i fascynowało. Jej fryzura rozluźniła się w czasie gry i mały kosmyk opadł na kark, jak jeszcze jedna czarna wstążka. Za każdym razem kiedy pochylała się nad stołem, żeby wziąć kości – lub swoją wygraną – nie mógł oderwać wzroku od tego pukla, który go wabił i kusił, żeby go dotknąć, wtulić twarz w burzę kasztanowych włosów, wdychać jej zapach. Niemal czuł jej pełne wypukłości stykające się z jego ciałem. Kiedy uśmiechnęła się po dobrym rzucie, nie myślał o pieniądzach, które stracił, a jedynie o tym, jak smakują jej pełne, różowe wargi.

Kompletne szaleństwo.

Od lat żadna kobieta tak na niego nie działała i był wstrząśnięty siłą własnej reakcji. Patrzył na nią bezradny, zdając sobie sprawę, że flirtowała z każdym łajdakiem, który tłoczył się przy stoliku, próbując zajrzeć w jej

ogniście czerwony gorset. Przy tym nie mógł nie zauważyć, że ów gorset był imponująco wypełniony. Nic dziwnego, że Philip złamał obietnicę z jej powodu. Uwadze Jacka nie umknęła fascynacja malująca się na twarzy brata, kiedy ją obserwował, a w żadnym wypadku nie zamierzał dopuścić, żeby zrobiła z Philipa głupca. On, Jack, po prostu wystąpił w obronie brata przed niebezpieczną kusicielką, żeby go ocalić.

Lecz w chwili gdy ich spojrzenia się spotkały, przestał myśleć o Philipie.

Odtąd zachowywał się trochę jak szaleniec; namówił ją, by z nim zagrała, i grał nierozważnie, nawet wtedy, gdy stało się całkiem oczywiste, że nie ma pojęcia, co robi. Sądził, że Philip zachowuje się jak głupiec, ale ostatecznie to on wyszedł na głupca, w obecności wszystkich londyńskich hazardzistów.

Szept rozszedł się wśród zebranych, kiedy podał swoją skandaliczną stawkę. Philip, który dotąd jawnie cieszył się jego upokorzeniem, skoczył ku niemu.

– Co ty robisz, do diabła?

Jack ledwie na niego spojrzał.

– Gram.

– Nie możesz grać o coś takiego!

– Nie? – Odwrócił się, by spojrzeć na panią Campbell. Na ile jest nierozważna? Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, lekko rozchylając wargi. Postąpiłaby najroztropniej, zbierając wygraną i wychodząc z sali.

– Pięć tysięcy funtów – powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszał. Zerknęła na Philipa, niemal przepraszająco – Albo tydzień w moim towarzystwie.

Zastanawiała się nad tym. Poczuł dziwny ucisk w sercu. Zapewne nie uda mu się wygrać, biorąc pod uwagę jego szczęście, ale… rozważała taką możliwość.

Wyprostował się szybko i podszedł do stolika.

– Dobrze.

Wśród tłumu rozległy się pełne zaskoczenia szepty. Philip zamarł, wstrząśnięty. Jack niemal nie zauważał tego wszystkiego; ogarnęło go poczucie triumfu, ekscytujące i upajające. Pani Campbell uniosła głowę, żeby spojrzeć mu wyzywająco w oczy, a Jack uświadomił sobie, gdzieś w najgłębszych zakamarkach duszy, że z nią przegra.

I ta myśl przyprawiła go o szybsze bicie serca, niech to diabli.

– Chwileczkę, wasza wysokość – rozległ się czyjś głos tuż obok. Dashwood, właściciel klubu, zręcznie przecisnął się między zebranymi. – To dość wysoka stawka.

Jack odwrócił się powoli.

– Czy uważa pan, że mnie nie stać?

Wśród tłumu rozległy się nerwowe śmiechy. Wszyscy wiedzieli, że mógłby sobie pozwolić na pięciokrotnie większy zakład.

– Nie to mnie martwi – odparł Dashwood spokojnie. – Nie jest pan członkiem klubu i nie mogę niczego gwarantować… żadnej ze stron.

Jack uniósł głowę i zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

– Czy zamierza pan nam przeszkodzić?

Właściciel milczał przez chwilę. Zapewne byłoby to wbrew jego naturze, gdyby próbował zabronić jakiegokolwiek zakładu.

– Nie, jeśli dama jest pewna, że tego właśnie chce. – Przechylił głowę i spojrzał na nią pytająco. – Pani Campbell?

Milczała. Jack obserwował bicie pulsu na jej szyi; studiował róż jej policzków. Była apetyczna niczym świeżo zerwane truskawki. Powinien mieć nadzieję, że pytanie właściciela da jej okazję, by jeszcze raz się zastanowić i zrezygnować. Musiał oszaleć, żeby zrobić coś takiego. Oczarowała Philipa i wyraźnie była na jak najlepszej drodze, żeby zrobić to samo z nim.

Ale wydał w duchu triumfalny okrzyk, kiedy uniosła dumnie głowę i powiedziała, głośno i wyraźnie:

– Jestem pewna, panie Dashwood.

Właściciel klubu skinął głową i usunął się na bok. Jack wziął kości i podał je pani Campbell. Czubki jej palców musnęły jego dłoń, a ich spojrzenia się spotkały. Wytwornym gestem wskazał stolik, zapraszając, by rzucała pierwsza.

– Siedem – powiedziała, rzucając kości. Ósemka. Skrzywiła się i zebrała kości do następnego rzutu. Dziewiątka. Z ponurą miną rzuciła jeszcze raz.

Jedenastka.

Jej rzęsy zatrzepotały, lecz nic nie powiedziała. Jack sięgnął po kości. Po raz pierwszy tego wieczoru wydały mu się lekkie i miłe w dotyku. Przytrzymał je chwilę, ważąc w dłoni. Nie mógł teraz przegrać. Jeśli przegra, będzie remis i każde z nich pójdzie swoją drogą. Ale jeśli wygra…

– Sześć – powiedział cicho i rzucił. Kości toczyły się przez chwilę po stole, aż w końcu się zatrzymały.

Dwie trójki.

Oddychała głęboko, patrząc na niego. To był jedyny rzut, który udał mu się tego wieczoru. Wśród widzów rozległy się szepty i okrzyki. Jack odwrócił się do brata, który stał przy stoliku z twarzą bladą jak kreda.

– Skończyłeś z tym. Nie spłacę już żadnego twojego długu, w tym ani innym klubie.

– Tak. Dobrze. – Philip z trudem łapał oddech. – Zgadzam się na to. Zasłużyłem. Ale nie rób tego… nie jej…

Jack spojrzał na panią Campbell. Wciąż stała przy stoliku jak sparaliżowana. Wszyscy się cofnęli, zostawiając ją samą pośrodku niewielkiego kręgu. Wpatrywała się w kości, a długie rzęsy rzucały cienie na jej jasne policzki.

Nagle odezwało się jego sumienie. Nie miał nic do niej osobiście. Mógłby porozmawiać z nią na osobności, w gabinecie Dashwooda, i wytłumaczyć, dlaczego wyznaczył taką stawkę. Starał się tylko ocalić brata przed ruiną. Cóż – zerknął przelotnie na jej pierś – może nie była to cała

prawda, ale ponad wszelką wątpliwość jej część. Uwolni panią Campbell od tego zobowiązania pod warunkiem, że obieca nigdy więcej nie grać z Philipem. To był jego główny cel… niech to, jego jedyny cel, chociaż dużo go kosztowało, by oderwać od niej wzrok… oddzielić ją od brata.

Philip przecisnął się obok niego i wziął panią Campbell za rękę.

– Proszę się nie martwić, droga pani – powiedział. – To był wymuszony zakład. Nie musi pani czuć się do niczego zobowiązana. – Posłał Jackowi jadowite spojrzenie.

Drgnęła, jakby wyrwana z transu.

– Co?

– Oczywiście, nie musi pani! – wykrzyknął Philip. Zniżył głos, lecz Jack nadal go słyszał. – Zrobił to, żeby mnie ukarać, ponieważ się przyjaźnimy. Nie może tego od pani wymagać… a ja mu na to nie pozwolę, Sophie.

Philip ujął w dłonie jej dłoń i uniósł do ust, a pani Campbell powoli spojrzała na Jacka.

W jej oczach nie było strachu – tylko wściekłość. I pozwoliła, żeby Philip przytrzymał jej rękę o wiele za długo.

Sumienie Jacka zamilkło.

– Wprost przeciwnie. – Przechylił głowę, a Dashwood, który stał w pobliżu, choć ostentacyjnie odwrócony w inną stronę, westchnął ciężko. – Pani Campbell, przegrała pani zakład, na który dobrowolnie się zgodziła. Dług musi zostać spłacony.

Jej pierś falowała, a oczy błyszczały.

– Tak. Oczywiście. Rozumiem. Jeśli jego wysokość odwiedzi mnie jutro, z pewnością będziemy mogli…

– Panie Dashwood – przerwał jej Jack. – Proszę zebrać wygraną pani Campbell i dopilnować, żeby trafiła na jej rachunek. – Wziął ją pod ramię i odciągnął od Philipa. Stawiła opór, więc objął ją w pasie i przygarnął do siebie. Był to gest przeznaczony dla Philipa, a jednak Jackowi serce zaczęło

bić szybciej, kiedy poczuł ciepło jej ciała. Ruszył w kierunku drzwi, zabierając ją ze sobą.

– Proszę się zatrzymać – wydyszała. – Proszę zaczekać…

– Przyjęła pani zakład i przegrała. Wszyscy w klubie Vega spłacają swoje długi, moja droga.

– Tak, ale nie mogę pójść z panem *teraz*…

– Ależ może pani. – Z tyłu dobiegły podniesione głosy. To Philip kłócił się z Dashwoodem, który nie zgadzał się interweniować. Jack poczuł ponurą satysfakcję; może teraz Philip uwierzy w końcu, że mówił najzupełniej poważnie.

– Jutro – próbowała protestować pani Campbell, lecz ścisnął mocniej i zamilkła.

– Co zmieni się jutro? Próbuje pani znaleźć jakieś wyjście albo gra na zwłokę, dopóki Philip czegoś nie wymyśli. – Przyglądał się jej, kiedy służący pobiegł po jej płaszcz. – Proszę się nie martwić – dodał z rozbawieniem, widząc jej bladą z wściekłości twarz. – Nie mam wobec pani żadnych planów.

Pochylił się, muskając wargami włosy na jej skroni. Pachniała pomarańczami.

– Czy może pani powiedzieć to samo o moim bracie?

Jej twarz stała się równie czerwona jak suknia. Jack zerknął na jej gorset i poczuł ogarniającą go falę ciepła. *Zapomnij o Philipie* – chciał powiedzieć. *To ja cię uwiodę*. Co stanowiło najbardziej oczywisty dowód na to, że oszalał.

Przybiegł służący z rzeczami Jacka i jej płaszczem. Ledwie zdążyła się ubrać, pociągnął ją za drzwi. Zaczęło padać i pani Campbell przysunęła się do niego, szczelniej owijając się płaszczem. Philip wołał coś za nimi, lecz Jack go zignorował. To, co robił, robił dla dobra brata i nie miał nastroju na dalsze kłótnie.

Powóz Ware’a czekał tam, gdzie go zostawił, chociaż Jack spędził w klubie znacznie więcej czasu, niż zamierzał. Służący otworzył drzwi, zachowując kamienną twarz, nawet gdy Jack wpakował do środka swoją towarzyszkę. Wcisnęła się w kąt, podczas gdy Jack otrzepał się z wody i wydawał polecenia służącym.

Philip wypadł z klubu i podbiegł, siny z wściekłości.

– Nie waż się tego robić – warknął, zaciskając pięści. – Nigdy ci nie wybaczę!

Jack obrzucił go wyniosłym, książęcym spojrzeniem, którego nauczył się od ojca.

– Gdybyś dotrzymał danego słowa, to wszystko nie byłoby potrzebne. Zobaczymy się za tydzień, drogi bracie. – Trącił rondo kapelusza w kpiącym ukłonie i wsiadł do powozu.

5

Sophie usiadła na obitym pluszem siedzeniu i próbowała uporządkować kłębiące się w jej głowie myśli.

Zrobiła to. W ciągu kilku krótkich godzin rzuciła na szalę – i zapewne zaprzepaściła – wszystko, nad czego osiągnięciem tak ciężko pracowała. Z goryczą przypomniała sobie słowa pani Upton: *hazard to prosta droga do ruiny*. Dziś wieczorem postąpiła wbrew wszystkiemu, czego się kiedykolwiek nauczyła, i oto jak skończyła.

Książę wsiadł do powozu i zajął miejsce naprzeciwko niej. Światło latarni przez moment oświetliło jego złote włosy, a potem służący zatrzasnął drzwi, zamykając ją z księciem.

Żałowała, że nie słuchała uważniej, kiedy Philip opowiadał o swoim bracie. Żałowała, że nie posłuchała własnego instynktu i nie odwiodła Philipa od dalszej gry. Gdyby wtedy mu odmówiła, mogłaby nadal grać w wista z panem Carterem, radośnie dodając kolejne sto funtów do swoich oszczędności. Książę nakłonił ją do szaleństwa, proponując oszałamiającą stawkę – pięć tysięcy funtów! – i to ją zgubiło.

Ale jeśli książę Ware sądził, że kupił na tydzień jej ciało i duszę, to czeka go przykre rozczarowanie.

– Jest pan kompletnie szalony! – Najlepiej zacząć od ataku.

– Szalony? – parsknął śmiechem. – Nie wątpię.

Zacisnęła obie dłonie na płaszczu, żeby go nie uderzyć.

– To jest niemal porwanie. Wprawdzie przegrałam zakład, ale to nie znaczy, że ma pan prawo wywlekać mnie z klubu jak policjant poszukiwanego przestępcę.

– To, co pani robiła z moim bratem, powinno być uznane za przestępstwo – odparł.

Zaskoczona Sophie aż otworzyła usta.

– Przestępstwo! Gra w kości jest całkowicie legalna w Londynie, a pański brat przyszedł tam z własnej woli po to, żeby grać. Czemu nie oskarża pan Dashwooda o to, że wpuścił go do klubu?

– Nie dalej jak dziś rano Philip dał mi słowo, że na miesiąc powstrzyma się od gry. – Głos księcia był zimny jak lód. – A jednak zastałem go w klubie, bo nie potrafił się oprzeć z pani powodu.

Miała ochotę rzucić w niego czymś bardzo ciężkim.

– Rozgrywałam bardzo spokojną partię wista z kilkoma dżentelmenami, kiedy przyszedł. To on zakłócił mój spokój, grożąc, że urządzi scenę, jeśli z nim nie zagram. Zaproponowałam kości, ponieważ pomyślałam, że to skończy się najszybciej.

– Z jego pieniędzmi w pani sakiewce.

– Tylko dlatego, że tak źle gra – odcięła się, urażona. – Ale teraz widzę, że to musi być cecha rodzinna.

Odetchnął głęboko. Sophie spięła się w sobie, ale kiedy się w końcu odezwał, jego głos zabrzmiał tak samo spokojnie i obojętnie jak wcześniej.

– Owszem, dziś wieczór popełniono wiele błędów.

Te słowa rozbudziły w niej nadzieję.

– Jeszcze nie jest za późno. Proszę mnie odwieźć do domu, a ja dam panu słowo, że nigdy więcej nie usiądę z lordem Philipem przy jednym stoliku. Ani do gry, ani przy kolacji, ani przy cholernej herbacie. Co więcej, jeśli dostarczy mi pan listę swoich przyjaciół, których chciałby pan uchronić przed moim odrażającym towarzystwem, postaram się ją zapamiętać i unikać ich wszystkich.

– To nie będzie konieczne. – W półmroku ledwie widziała jego twarz; odwrócił się od niej i wyglądał przez okno. – Wystarczy Philip.

– Dobrze! – wykrzyknęła. Nie zamierzała nigdy więcej rozmawiać z Philipem. – A teraz proszę mnie odwieźć do domu…

– Nie.

Była pewna, że się przesłyszała.

– Co? Dlaczego?

– Przyjęła pani zakład i przegrała. Członkowie klubu Vega spłacają swoje długi, nieprawdaż?

Krew odpłynęła jej z twarzy. Po raz pierwszy poczuła lęk. Owinęła się szczelniej płaszczem, choć nie mogłoby jej to obronić. Była sama w zamkniętym, jadącym Bóg wie dokąd powozie, zdana na jego łaskę; nie mogła liczyć na żadną pomoc.

– Chce pan mnie zniszczyć – powiedziała głucho, mając jednocześnie nadzieję, że to najgorsze, co może ją spotkać.

Prychnął lekceważąco.

– Ależ nie.

– Ale jeśli pan… Urządził mi pan dzisiaj scenę w publicznym miejscu, wyciągnął mnie z klubu, wcześniej ogłaszając, że chce tylko *mojego towarzystwa* przez tydzień – powiedziała głosem drżącym ze zdenerwowania.

Nawet gdyby jej w ogóle nie dotknął, wystarczająco wiele osób zobaczyło ich wychodzących razem, by dać pożywkę plotkom. Będą mówić o kobiecie, która rzuciła na szalę w grze własne ciało, i straci resztki szacunku, na jaki mogła liczyć.

– Tak – odparł. – Żeby panią powstrzymać przed doprowadzeniem mojego brata do ruiny.

– Zagrałam z nim tylko jedną partię! – krzyknęła. – *Jedną*. Potem próbowałam go zniechęcić, ale on uparł się, żeby grać dalej. Skoro tak

bardzo troszczy się pan o jego sakiewkę, powinien pan przede wszystkim trzymać go z dala od klubu.

– Gdybym tylko mógł.

Sophie uniosła ręce w kpiącym zdziwieniu.

– Jak to? Nie potrafi pan wpłynąć na postępowanie własnego brata, ale bez skrupułów ogranicza moją wolność? Dlaczego?

– Jeśli nie odpowiadały pani warunki, trzeba było nie przyjmować zakładu – odparł. – Dlaczego się pani zgodziła? Łatwe pieniądze były zbyt dużą pokusą? Wygrana od Philipa pani nie wystarczyła?

Tak. Nie mogła zaprzeczyć. Ten zakład był zbyt wielką pokusą, by się oprzeć. Sophie odwróciła się do okna. Powinna była się wycofać w chwili, gdy książę podszedł do Philipa, a co gorsza, zdawała sobie z tego sprawę już wtedy. Jakiś przewrotny siedzący w niej diabełek zatrzymał ją tam, a potem skusił do włączenia się w dyskusję. Czy miała powód, by stawać w obronie Philipa? Nie. Philip jest dorosłym mężczyzną, starszym od niej. I skoro nie potrafił dotrzymać danego bratu słowa, to wyłącznie jego wina – i sam powinien ponieść konsekwencje. Czy miała powód, żeby drażnić księcia? Czy roztropnie było przyjmować jego wyzwanie? Zdecydowanie nie.

Teraz musiała go przekonać, że w jego interesie leży odwieźć ją do domu.

– Moja pokojówka zawiadomi policję, jeśli nie wrócę.

– Mój służący zapewne już w tej chwili puka do pani drzwi. Poinformuje ją, że została pani gdzieś pilnie wezwana i wróci do domu za tydzień.

– Co… Co… – Ze zdenerwowania brakowało jej słów. – Jak pan śmiał?

– Jak śmiałem nie chcieć, żeby pomyślała, że jej pani została napadnięta albo zamordowana w jakimś ciemnym zaułku? – zapytał.

– Jak pan śmiał ją okłamywać…

– Okłamywać? – Nachylił się i blask latarni przez moment oświetlił jego twarz. Był przystojny jak Lucyfer. – Wolałaby pani, żebym powiedział jej

prawdę?

Nie, niech go szlag. Colleen była dobrą dziewczyną, ale gdyby się dowiedziała, że Sophie przegrała skandaliczny zakład i została wywieziona przez księcia Ware na tydzień w nieznanym celu, na pewno komuś by o tym powiedziała. Choćby tylko kucharce, która była jeszcze bardziej gadatliwa.

Książę oparł się wygodnie.

– Powie jej pani, co zechce, po powrocie do domu.

– Gdybyśmy pojechali tam teraz, mogłabym jej wyjaśnić… – zaczęła, lecz książę nie pozwolił jej dokończyć.

– Nie.

Sophie przez chwilę oddychała przez nos, starając się zachować spokój. Pan Dashwood stał bezczynnie, podobnie jak cała rzesza gości, pozwalając, by książę uprowadził ją niczym jeńca. Musi pokazać się w Londynie, inaczej nawet nieskorzy do plotek członkowie klubu Vega zaczną plotkować. Mogłaby spróbować wyskoczyć z powozu, ale przy dzisiejszym pechu zapewne złamałaby nogę. Przysunęła twarz do okna, mimo wszystko rozważając tę możliwość. Już jakiś czas temu minęli Hyde Park i jechali w zupełnej ciemności.

– Dokąd jedziemy? – spytała, próbując zobaczyć cokolwiek przez deszcz.

– Do Alwyn House.

– Gdzie?

– Do jednej z moich wiejskiej rezydencji – odparł, jakby miał ich więcej, niż potrafił zapamiętać. – W Chiswick.

Wielkie nieba. To nawet nie w Londynie. Wszystko, co położone dalej niż Kensington, było za miastem. Utknie tam, nie mając żadnej szansy, by wymknąć się i wrócić do domu.

– To porwanie!

– Niech pani nie będzie śmieszna. – W jego głosie po raz pierwszy zabrzmiało niemal rozbawienie. – To ledwie sześć mil stąd.

– Czemu tak daleko? Dałam panu przecież słowo, że nie zobaczę się z Philipem…

– Ale Philip nie dał słowa, że nie zobaczy się z panią. – Jego głos stał się na powrót oschły. – Co nie znaczy, że ufałbym mu, gdyby dał słowo.

– Ale dlaczego *ja* mam być za to ukarana?

Zaśmiał się gorzko.

– Zapewniam panią, że ja jestem ukarany o wiele bardziej dotkliwie.

Spojrzała na niego z nienawiścią. Było o wiele za ciemno, żeby mogła widzieć jego twarz, lecz od czasu do czasu w mroku błyskał jego biały krawat lub złote włosy. Nie żeby czuła potrzebę zapamiętania jego rysów. Jak mogła uważać, że jest przystojny?

– Jakie to typowe dla mężczyzny. Sam pan wywołuje kłopoty, a potem czuje się pokrzywdzony. Jeśli uważa pan, że został ukarany, to mogę powiedzieć tylko, że solidnie pan na to zasłużył.

Otuliła się szczelniej płaszczem i ostentacyjnie odwróciła do niego bokiem.

Jack nie podjął dyskusji. Akurat w tej sprawie całkowicie się z nią zgadzał.

Jaki diabeł go opętał, by zaproponować ten przeklęty zakład?

Zazdrość, podszepnęło mu sumienie. Zazdrość o to, jak Philip trzymał ją za rękę, i o to, jak Sophie patrzyła na niego – zalotnie, ciepło i z ufnością. O to, jak ich głowy zbliżyły się do siebie, z oczywistą zażyłością. Właśnie tak kiedyś patrzyła na niego Portia – zanim uciekła z innym mężczyzną.

Zamknął oczy i odetchnął ciężko, zirytowany na siebie tym, że w ogóle o niej pomyślał. Portia Villiers należała do jego zamierzchłej przeszłości. Udzieliła mu przykrej – ale koniecznej – lekcji na temat kobiet. Dzisiaj dostał kolejną nauczkę i mógł tylko mieć nadzieję, że tym razem skończy się to dla niego lepiej niż poprzednio. Ażeby tak było, musi wymyślić, co zrobić z panią Campbell.

Jazda do Alwyn House zwykle trwała nie dłużej niż godzinę. Było to idealne miejsce na krótkie wypady z Londynu, bez długotrwałych przygotowań. Latem Jack bywał tam niemal co tydzień. Droga aż do Turnham Green była dobrze utrzymana i wysypana tłuczniem, ale kiedy dotarli do zakrętu na południe, w stronę Alwyn, znacznie zwolnili. Jack za późno zorientował się, że musiało tu o wiele mocniej padać; wiejskie drogi na dalszej części trasy były w znacznie gorszym stanie.

Nagle powóz przechylił się gwałtownie na bok. Pani Campbell krzyknęła wystraszona, kiedy rzuciło nią na drugą stronę siedzenia. Jack zdążył ją złapać, zanim upadła na podłogę, ale wtedy kolejne szarpnięcie cisnęło nimi o ścianę powozu.

– A ja się zastanawiałam, co jeszcze może dziś pójść nie tak – wydyszała, wyplątując się z fałd płaszcza.

Jack odetchnął głęboko pomarańczowymi perfumami i czymś jeszcze, co musiało być jej własnym zapachem. Upadła mu na kolana, a próbując się podnieść, oparła dłoń na jego udzie.

– Pani Campbell – wykrztusił, przytrzymując ją, żeby jej dłoń się nie ześlizgnęła. – Proszę zaczekać.

Powóz wciąż był mocno przechylony na bok, a ona starała się wstać.

– Niech mi pan pomoże! – odparła, a Jack posłusznie puścił ją i lekko popchnął. Wylądowała na przeciwległym siedzeniu w chwili, gdy powóz wrócił do normalnej pozycji.

– To tylko deszcz. – Poruszył ręką pod osłoną płaszcza. Wciąż czuł mrowienie w dłoni, którą obejmował ją w talii.

W odpowiedzi tylko prychnęła.

Powóz przemieszczał się teraz wolniej, niż mogliby iść pieszo, podskakując, szarpiąc i przechylając się to na jedną, to na drugą stronę. Jack wdrapał się na siedzenie i przytrzymał. Dobrze, że byli nie dalej niż milę od drogi prowadzącej do domu. Kiedy już dotrą na miejsce, odda ją w

ręce gospodyni, a sam włoży głowę do zimnej wody, żeby odzyskać rozsądek.

Ledwie zdążył to pomyśleć, znowu stanęli. Powóz zachwiał się jeszcze raz jak pijany i zatrzymał się, dziwacznie przechylony na bok. Jack nabrał jak najgorszych przeczuć.

Drzwi się otworzyły i do środka wpadły krople deszczu.

– Wasza wysokość, powóz utknął. Nie ruszymy z miejsca.

Mój Boże, pomyślał. Niedługo przyszło mu czekać na karę.

– Co możemy zrobić?

Kompletnie przemoczony służący zawahał się.

– Jesteśmy niecałą milę od Alwyn House. Jeffers pojedzie po pomoc, ale droga rozmiękła. Każdy wóz utknie tak samo jak my.

Nie mógł przecież spędzić całej nocy uwięziony w powozie z panią Campbell. Jack pochylił się, żeby wyjrzeć przez okno powozu. Służący tkwił po kostki w błocie.

– Poślij Jeffersa po konie. Nie ma sensu tracić czasu na sprowadzanie wozu. Będziemy musieli pojechać konno.

Pani Campbell wyraźnie się zaniepokoiła.

– Wielkie nieba, czy nie ma żadnego innego domu w pobliżu? – spytała z niepokojem.

– Nie – odparł krótko.

– Żadnej gospody?

– Nie przy tej drodze.

– Boże chroń nas przed głupotą – mruknęła na tyle głośno, żeby ją usłyszał. – To bardzo nieudolne porwanie, wasza wysokość.

– To nie jest porwanie – warknął. – Chce pani wysiąść? – Otworzył z rozmachem drzwi powozu, aż służący musiał odskoczyć. – Może pani odejść w każdej chwili.

– Tak zrobię. – Nasunęła kaptur płaszcza i przesunęła się w stronę drzwi.

– Gdzie jest najbliższy dom? – zwróciła się do służącego.

Ten otworzył usta ze zdumienia.

– Alwyn House, proszę pani. Tam jedziemy. To niecałą milę stąd. – Wskazał ręką w ciemność.

Pani Campbell spojrzała z irytacją na Jacka, który milcząc, uniósł brew. To przecież nie jego wina, że powóz utknął.

– A za nami?

– Nie wiem, proszę pani.

Westchnęła.

– A więc Alwyn będzie musiało wystarczyć. Przepraszam. – Szturchnęła kolano Jacka, które blokowało wyjście.

– Nie chce pani chyba iść pieszo? – spytał z niedowierzaniem.

– Jeśli do wyboru mam to albo siedzieć tutaj godzinami z panem, to tak, chcę – odparła. – Nie jest bardzo zimno, a od deszczu się nie rozpuszczę.

– A błoto? – Wskazał ręką za otwarte drzwi.

Uniosła spódnicę i przyjrzała się swoim stopom w cieniutkich skórzanych pantoflach.

– Zniszczę wszystko, co mam na sobie. Zamierzam przesłać panu rachunek za wszystkie straty.

– Nie ma pani pojęcia, dokąd iść.

Przechyliła głowę i uśmiechnęła się nieznacznie.

– To nigdy dotąd mnie nie powstrzymało.

Jack patrzył na nią w milczeniu, a Sophie tym razem popchnęła jego kolano. Odruchowo się usunął, a ona, nie mówiąc już ani słowa, znalazła się na zewnątrz, z pomocą zdumionego służącego.

Przez chwilę oddychał głęboko, skupiając się tylko na tym. W ogóle nie powinien był opuszczać Ware House w Londynie. Lepiej byłoby pozwolić, żeby Philip doprowadził się do ruiny, z jej korzyścią albo kogokolwiek innego. Powinien był się odwrócić i wyjść z klubu w chwili, gdy zobaczył jej twarz i poczuł ogarniającą go falę pożądania. To był znak z niebios, a ponieważ go zignorował, teraz będzie musiał brnąć milę w deszczu i błocie.

Nie wątpił, że to kolejna kara.

Z ponurą miną podniósł kołnierz płaszcza i wysiadł z powozu. Wielkie krople deszczu uderzały w jego ramiona – ciężkie i mokre, ale nie zimne, jak powiedziała pani Campbell. Jack patrzył na nią z dezaprobatą. Stała przed powozem i rozmawiała z woźnicą, jedną ręką przytrzymując kaptur pod brodą. Woźnica wskazywał drogę w kierunku Alwyn, a ona skinęła głową. Silniejszy podmuch wiatru rozchylił jej płaszcz, odsłaniając ognistą czerwień sukni – sukni, która wkrótce zostanie zniszczona przez deszcz. Jack ruszył naprzód, krzywiąc się za każdym razem, kiedy stopy grzęzły mu w błocie.

– Wyprzęgnij konie! – polecił woźnicy, przekrzykując szum deszczu. – Idźcie do Alwyn House. Rano sprowadź powóz.

Nie było sensu zwlekać. Konie były przyzwyczajone do jazdy wierzchem, ale byłoby szaleństwem próbować ich dosiąść teraz – w ulewie, bez siodeł i uprzęży. Stały spokojnie, ale Jack doskonale wiedział, że lepiej nie ryzykować. Woźnica i służący będą musieli je prowadzić.

– Tak, wasza wysokość. – Woźnica skinął głową i dał znak służącemu, żeby mu pomógł.

Jack zwrócił się do pani Campbell.

– Skoro pani jest na tyle szalona, by iść pieszo, ja też będę musiał iść.

Spojrzała na niego nieporuszona.

– Nie musi pan czuć się zobowiązany.

– Nie ma pani pojęcia, jak trafić do domu, a gospodyni się pani nie spodziewa. – Skończył zapinać guziki płaszcza i mocniej wcisnął kapelusz na głowę. To nie będzie dla niego przyjemny spacer; pani Campbell, w swojej sukni i lekkich pantoflach, będzie miała jeszcze gorzej. Oczywiście sama się na to zdecydowała, wbrew jego radom.

– Idziemy?

Ruszyli, z pochylonymi głowami. Tutaj musiało padać znacznie dłużej niż w Londynie. Droga zamieniła się w bagno, a na skrawkach twardszego

gruntu zebrały się wielkie kałuże, czyhające niczym Charybda na nieostrożny krok. Jack szedł przodem, wskazując drogę i osłaniając Sophie przed wiatrem. Tym samym nie widział jej, więc uznał, że warto znosić deszcz zacinający w twarz. *Pokuta* – powtarzał sobie, czując spływającą za kołnierz wodę. W pełni sobie na to zasłużył, skoro był takim idiotą; zaczął nawet czuć wyrzuty sumienia, że wciągnął w to panią Campbell.

Ale towarzysząca mu kobieta wcale nie narzekała. Nie odezwała się ani słowem, kiedy brnęli błotnistą drogą, a za każdym razem gdy oglądał się za siebie, patrzyła uważnie pod nogi. Jej płaszcz zupełnie przemókł; to był lekki, wieczorowy płaszcz. Nie chronił przed deszczem, ale z drugiej strony nie był tak ciężki, kiedy przemókł.

Deszcz lał bez przerwy. Jack skupił się na utrzymaniu równowagi. Nie zniósłby takiego upokorzenia, gdyby potknął się i przewrócił twarzą w błoto.

W końcu zobaczyli bramę z kutego żelaza. Skręcił, mając nadzieję, że pani Campbell ma na tyle przytomny umysł, by pójść za nim, i odetchnął z ulgą, gdy wszedł na wysypany żwirem podjazd – usiany kałużami, ale znacznie solidniejszy niż błotnista droga. Deszcz wciąż padał mu na głowę i ramiona, ale perspektywa gorącej kąpieli i kieliszka brandy dodawała Jackowi sił. Przyspieszył kroku.

Szarpnięcie za łokieć wyrwało go z zamyślenia. Pani Campbell chwyciła go za rękaw, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w majaczący przed nimi budynek.

– To jest pański dom?

Jack skinął głową.

– Na szczęście tak.

Zamrugała. Krople deszczu, które zawisły na jej długich rzęsach, spłynęły po policzkach. Płaszcz rozchylił się pod szyją i Jack bezwiednie zerknął na jej wilgotną, jasną skórę. Była przemoczona. On też, ale z jakiegoś powodu zupełnie tego nie czuł. Nagle przestał myśleć o tym, żeby

samemu wziąć kąpiel, lecz jego wyobraźnię pochłonęła wizja jej w kąpieli, z puklami włosów wijącymi się w kłębach pary i zaróżowioną skórą…

Wielkie nieba. Oderwał od niej wzrok i spojrzał na Alwyn. Ten dom był prawdziwą perłą, wzniesiony przez pradziadka w stylu francuskiego château, choć o znacznie mniejszej skali. Jak zawsze perspektywa spędzenia tu kilku dni poprawiła mu humor.

– Czy ma pani coś przeciwko temu?

Zamrugała znowu i puściła jego rękaw.

– Absolutnie nie, jeśli jest tam ciepło i sucho.

– Dobrze. – Nie czekając na nią, ruszył naprzód.

Dopiero po kilku minutach dobijania się do drzwi doczekali się reakcji. Jack łomotał kołatką, zdając sobie sprawę, że tuż za nim stoi ociekająca wodą kobieta.

– Czy ktokolwiek jest w domu? – spytała w końcu pani Campbell.

– Tak. Zawsze ktoś jest. – Jack znowu uderzył kołatką. – Ale nikt się nas nie spodziewał.

– Domyślam się – powiedziała cierpko. – To było porwanie pod wpływem impulsu.

– Proszę przestać to powtarzać. – Posłał jej poirytowane spojrzenie. – Chciała pani przygody, więc proszę, oto przygoda.

– Nie chciałam przygody z panem – odcięła się.

– Zatem niech to będzie nauczka dla pani. Nie należy zawierać zakładów, których nie zamierza się honorować.

Usłyszał zgrzyt zasuwy i cofnął się, zanim drzwi się uchyliły.

Lokaj obrzucił ich wyniosłym spojrzeniem przez szparę w drzwiach.

– Kto tam?

– Ware. – Nie zważając na deszcz, Jack zdjął kapelusz. – Otwórz drzwi, Wilson.

Lokajowi omal oczy nie wyskoczyły z orbit. Otworzył drzwi na oścież i ukłonił się nisko.

– Proszę o wybaczenie, wasza wysokość. Nie dostaliśmy wiadomości o pańskim przyjeździe…

– Wiem. – Jack przecisnął się obok niego.

Zgodnie z jego instrukcjami dom był utrzymywany w stanie gotowości. Alwyn było jego azylem. Zawsze mógł się tu schronić, żeby przez kilka dni odetchnąć od książęcych obowiązków. Nie mógł o nich zupełnie zapomnieć, bo sporo pracy zabierał ze sobą, ale przynajmniej miał tu ciszę i spokój. Jego matka nie znosiła tego domu, ponieważ był zbyt oddalony od londyńskiego życia towarzyskiego, a Philip uważał go za zbyt staroświecki, więc Jack zawsze miał Alwyn tylko dla siebie.

Ale, oczywiście, nie dzisiaj. Rozpinając guziki płaszcza, zerknął na panią Campbell, która stała w progu z niepewną miną.

– Proszę wejść do środka – powiedział. – Chyba że polubiła pani deszcz.

Zmrużyła oczy, a jej pełne wargi skrzywiły się z irytacją, ale weszła, a Wilson zamknął za nią drzwi.

Jack odwrócił się, słysząc odgłos szybkich kroków. Gospodyni wręcz zbiegała po schodach.

– Wasza wysokość – wydyszała, dygając. – Nie spodziewaliśmy się pana…

– Wiem, pani Gibbon – uspokoił ją. – Podjąłem tę decyzję pod wpływem chwili. – Unikał wzroku pani Campbell, kiedy powtarzał jej słowa. Rzucił swój płaszcz na wyciągnięte ręce Wilsona.

– To pani Campbell. Przygotujcie dla niej gorącą kąpiel i pokój. Jest pani głodna? – Odwrócił się do swojego gościa.

Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

– Hm. Nie, ale herbata nie byłaby od rzeczy…

– Świetnie. Pani Gibbon, powierzam ją pani opiece. – Jack skierował się w stronę schodów. Jego buty skrzypiały przy każdym kroku i niczego nie pragnął bardziej, niż je w końcu zdjąć.

– Sir! – zatrzymał go okrzyk pani Campbell. Stojąc już na pierwszym stopniu, odwrócił się powoli.

Zdążyła już zdjąć płaszcz. Jak się spodziewał, jej szkarłatna suknia była kompletnie przemoczona i przywarła do ciała od ramion po kolana. Przez mokrą tkaninę przebijał zarys gorsetu, a Jack wyobraził sobie, że widzi też jej stwardniałe sutki. Wyobraził sobie, jak rozsznurowuje suknię i zsuwa ją, napawając się każdym calem wilgotnej od deszczu skóry. Wyobraził sobie, że wciąga ją do wielkiej miedzianej wanny, która z pewnością już stała przygotowana w jego pokoju, i przeszył go dreszcz.

Niech go diabli. Był gorszy niż Philip.

– Tak? – spytał oschle, starając się zapanować nad niepożądanymi reakcjami własnego ciała.

– Co… – Sprawiała wrażenie zagubionej. – Co mam robić?

Zdjąć tę mokrą suknię. Rozpuścić włosy. Uśmiechnąć się do mnie tak jak do Philipa.

– Proszę się ogrzać i wysuszyć – odparł. – A potem… potem porozmawiamy.

I nic więcej, na miłość boską. Odwrócił się i wszedł po schodach.

6

Sophie ledwie się powstrzymała, by nie powiedzieć czegoś bardzo nieuprzejmego do pleców oddalającego się księcia. Był doprawdy nieznośny.

Gospodyni czekała, z trudem kryjąc zaciekawienie. Lokaj wziął od niej przemoczony do cna płaszcz i bezszelestnie zniknął. Sophie wzięła się w garść.

– Dobry wieczór – zwróciła się do gospodyni. – Pani Gibbon, nieprawdaż?

– Tak, proszę pani.

Sophie obejrzała swoją mokrą suknię z karmazynowej bawełny. To była jedna z jej ulubionych, teraz niewątpliwie zniszczona – zaplamiona błotem aż po kolana.

– Powóz utknął na drodze, niecałą milę stąd. Domyślam się, że padało przez cały dzień?

– Od wczoraj, proszę pani. – Gospodyni zawahała się, po czym spytała z niedowierzaniem. – Szła pani całą milę?

– O, tak. Nie było innego wyjścia. Muszę przyznać, że chwilami było ciężko.

Twarz kobiety złagodniała.

– Z jego wysokością była pani całkowicie bezpieczna, ale z pewnością nie było łatwo. Tędy, proszę pani. Musi się pani ogrzać i osuszyć. – Ruszyła po schodach.

– Przykro mi, że przeze mnie ma pani więcej pracy – powiedziała Sophie, wspinając się po szerokich stopniach z polerowanego drewna. Starała się nie myśleć o mokrych śladach, które zostawiała, a które ktoś ze służby będzie musiał powycierać.

– Proszę się tym nie martwić – zapewniła ją gospodyni. – Jego wysokość zawsze zostawia odpowiednie polecenia dotyczące domu.

Sophie rozejrzała się jeszcze raz dookoła. Wszyscy nazywali tę budowlę domem, jakby była czymś podobnym do jej małego ceglanego domku przy Alfred Street. Jej zdaniem była to rezydencja – wewnątrz nawet bardziej niż z zewnątrz. Ściany pomalowano na jasny odcień błękitu, a drewniane podłogi lśniły w świetle lampy. Zerknęła w górę i aż westchnęła, widząc łukowe sklepienie, na którym nawet w półmroku połyskiwały złote listki.

Na piętrze pani Gibbon poprowadziła ją korytarzem do urządzonego z przepychem pokoju.

– Proszę wybaczyć, że nie wszystko jest przygotowane, ale pokojówka zajmie się tym natychmiast.

Pociągnęła za sznur od dzwonka, po czym otworzyła kolejne drzwi, prowadzące do przytulnej garderoby, z podłogą przed kominkiem wyłożoną płytkami. W głębi stała spora miedziana wanna.

– Przygotowanie kąpieli chwilę potrwa, ale proszę zdjąć to przemoczone ubranie. – Przyjrzała się uważnie Sophie, która zaczęła już drżeć z zimna. – A potem… cóż, zobaczymy, co da się zrobić.

Zanim Sophie zdjęła przemoczoną suknię i bieliznę i owinęła się kilkoma kocami, przyszły dwie służące, przynosząc jej herbatę. Popijając, Sophie przyglądała się, jak rozpalają ogień, przygotowują wannę i półgłosem rozmawiają z panią Gibbon. Ktoś wziął od niej ubranie, obiecując, że postara się je uratować.

Kiedy wanna została napełniona parującą wodą, zanurzyła się w niej z rozkoszą. W domu miała tylko pokojówkę, Colleen, i kucharkę, która przychodziła co drugi dzień. Przyjemnie było, kiedy cała rzesza ludzi

zajmowała się tylko nią, chociaż uważała, że książę jest jej winien przynajmniej tyle za to, jak arogancko ją potraktował.

Książę. Zanurzyła się w wodzie aż po brodę, wystawiając tylko kolana. Co zrobić z księciem?

Philip twierdził, że przyszedł do klubu, żeby spotkać się z panem Dashwoodem, i był zaskoczony jak chłopiec, który coś przeskrobał, kiedy pojawił się jego brat. Pan Dashwood powiedział, że książę nie należy do klubu, a sam książę oznajmił Philipowi, że *już nigdy więcej* nie spłaci za niego hazardowego długu. Zatem książę musiał przyjść do klubu Vega w celu uregulowania długu Philipa. Sophie mogła zrozumieć gniew księcia, jeśli sprawy wyglądały tak, jak je przedstawił.

Ale dlaczego, do diabła, zwrócił się przeciwko niej? Philip nie był jej nic winien, chociaż mógłby być, gdyby grali dalej. O ile wiedziała – i wiedział zapewne także książę – Philip wciąż był w klubie Vega i grał jak opętany, ponieważ wiedział, że nie ma przy nim brata, który mógłby go powstrzymać.

A teraz to ona utknęła tutaj, daleko od Londynu, z mężczyzną, którego ani nie znała, ani nie lubiła. Deszcz wciąż uderzał o szyby, a kiedy ustanie, potrzebny będzie co najmniej jeden suchy dzień, żeby drogi stały się znowu przejezdne. Przez całą drogę powozem Sophie była pogrążona w nieprzyjaznych myślach o księciu, co przyniosło jej dużą ulgę, ale teraz nadeszła pora, by zająć się bardziej praktycznym problemem – jak do niego podejść. Szkoda, że Philip nie opowiedział jej o nim więcej. Szkoda, że nigdy o to nie zapytała.

Przelewała wodę przez palce. Był młodszy, niż się spodziewała, z pewnością nie mógł mieć więcej niż trzydzieści pięć lat, co znaczy, że bardzo wcześnie odziedziczył tytuł. Jaki to mogło mieć na niego wpływ? Zastanawiała się, jak bardzo jego wychowanie różniło się od wychowania Philipa; jej wydawali się zupełnie do siebie niepodobni.

W końcu doszła do wniosku, że nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Powinna się skupić na umowie, którą zawarła z księciem, to znaczy nigdy więcej nie grać z Philipem. Jeśli pokaże, że to rozumie, jest dyskretna i godna zaufania, on może być bardziej skłonny odesłać ją nazajutrz z powrotem do Londynu.

A powinna tam wrócić jak najszybciej. Mimo że pan Dashwood surowo zakazywał rozsiewania plotek, ta historia wypłynie. Sophie doskonale zdawała sobie sprawę, co będzie, jeśli tak się stanie. Jeśli rozejdzie się wieść, że zawarła skandaliczny zakład, żeby spędzić tydzień z księciem Ware, a do tego on ją porwał z klubu Vega w środku nocy, po czym przez tydzień nikt jej nie widział, straci resztki poważania w towarzystwie. Wszyscy będą sądzić, że została kochanką księcia, a to pozbawiłoby ją wszelkich szans na znalezienie przyzwoitego męża. Sophie nie zamierzała pozwolić, żeby ten człowiek zrujnował jej życie.

Podjąwszy decyzję, wyszła z wanny. Pani Gibbon zostawiła dla niej stos ciepłych koców i Sophie weszła do drugiego pokoju – teraz jasno oświetlonego i ogrzanego huczącym w kominku ogniem – odświeżona i pełna energii.

Jej determinacja nieco przygasła, kiedy gospodyni poinformowała ją, że nie udało jej się znaleźć żadnego odpowiedniego ubrania. Jedynymi kobietami w domu były dwie pokojówki, kucharka i sama pani Gibbon, ale żadna z nich rozmiarami nie była nawet zbliżona do Sophie.

– Wciąż szukamy czegoś stosownego – zapewniła gospodyni. – Ale znalazłam dla pani coś na dzisiaj.– Położyła na łóżku piękny szlafrok z niebieskiego aksamitu.

Sophie wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

– Czyje to jest?

– Jego wysokości – odparła pani Gibbon. – Jego lokaj przyniósł mi ten szlafrok, kiedy zapytałam, co robić. Obiecuję, że rano będę miała dla pani stosowne ubranie.

Sophie dotknęła miękkiej tkaniny. Szlafrok był obszyty purpurowym jedwabiem i tak dekadencki, że niemal westchnęła, muskając go palcami.

– Przepraszam – dodała gospodyni. – Przyniosę pani jedną z moich nocnych koszul. To najlepsze, co mogę teraz zrobić.

Sophie drgnęła, wyrwana z zamyślenia.

– Dziękuję – powiedziała pospiesznie. – To bardzo miłe z pani strony.

Gospodyni skinęła głową.

– Jego wysokość prosił, żebym pani przekazała, że będzie w bibliotece, gdyby chciała pani z nim porozmawiać.

Niewątpliwie miała sporo do powiedzenia księciu. Oczywiście wolałaby się z nim spotkać, mając na sobie coś innego niż jego szlafrok, ale to on ponosił odpowiedzialność za takie okoliczności. Jeszcze raz pogładziła miękki aksamit.

– Dziękuję, pani Gibbon. Tak zrobię.

Jack poczuł, że odzyskuje rozsądek, kiedy ogrzał się i wysuszył.

Posłał Michaelsa – służącego, który pomagał mu pod nieobecność lokaja – żeby poinformował panią Gibbons, że będzie w bibliotece, gdyby gość chciał z nim porozmawiać, po czym rozsiadł się w jednym z wygodnych skórzanych foteli przed kominkiem. Michaels przyniósł mu kieliszek brandy i pozostawił sam na sam z myślami.

A kiedy Sophie Campbell nie było w pobliżu, o wiele łatwiej przyszło mu uporządkować myśli.

Po pierwsze i najważniejsze, zrobił to, co należało. Philip potrzebował czegoś, co by nim wstrząsnęło. Jack musiał przyznać, że nie był to najbardziej zręczny ani dyplomatyczny manewr, ale nie można było przepuścić takiej okazji, skoro się nadarzyła.

Obracał w dłoni kieliszek i przyglądał się odbiciu płomieni w bursztynowym płynie. Kluczowym elementem każdej strategii jest wiedzieć, czego chce druga strona. Philip udowodnił, że jeszcze bardziej

niż emocji, jakie daje mu gra, pragnie pani Campbell. Widząc, jak ją pocieszał i dotykał, Jack nie miał co do tego wątpliwości. O ile nie zamierzał towarzyszyć Philipowi na każdym kroku niczym niańka, o tyle nie powstrzymałby go przed rzuceniem się w szpony hazardu w jakimkolwiek innym miejscu, a więc nie miał innego wyjścia. Jack nie łudził się, że w ten sposób wyleczy brata ze złych nawyków, ale przynajmniej zrobi na nim mocne wrażenie.

A co do samej pani Campbell… Z jakiego powodu atrakcyjna młoda kobieta miałaby co noc oddawać się grze w klubie Vega? Przychodziły mu do głowy tylko dwie odpowiedzi i żadna z nich nie świadczyła o niej dobrze. Po pierwsze, podobnie jak Philip i jego znajomi, mogła przepuszczać majątek, swój własny lub kogoś innego, wyłącznie dla jałowej rozrywki. Jeśli takie były jej motywy, to Jack nie miał najlżejszych wyrzutów sumienia. Nawet jeśli była dziedziczką ogromnej fortuny, uprawianie hazardu to głupota i brak rozwagi.

Z drugiej strony, możliwe, że kierowało nią coś innego niż tylko poszukiwanie dreszczyku emocji. Nie uszło jego uwadze, że wprawdzie do klubu Vega przyjmowano kobiety, lecz niewiele było tak pięknych i pełnych życia jak ona. Każdy mężczyzna w klubie z pewnością dobrze znał jej szkarłatną suknię i niesforny kosmyk ciemnych włosów. Mogła grać o coś więcej niż pieniądze. Jeśli jej intencją było zdobycie Philipa jako bogatego kochanka, to Jack zamierzał stanowczo położyć kres podobnym fantazjom. Taka kobieta mogła wyssać krew z mężczyzny znacznie szybciej niż stolik do gry.

A jeżeli jakimś przypadkiem się mylił, to mógł jej po prostu zapłacić mimo wszystko pięć tysięcy funtów. Przecież właśnie tego chciała, czyż nie?

Z tyłu otworzyły się drzwi, więc pociągnął łyk brandy, szykując się do konfrontacji. Nie zwykł przepraszać za swoje czyny. W tym przypadku nawet ich nie żałował. Gdyby była brzydka lub stara, postąpiłby tak samo

stanowczo, żeby nie pozwolić jej doprowadzić Philipa do ruiny – może niezupełnie w ten sam sposób, ale równie zdecydowanie. To, że była młoda i atrakcyjna, czyniło ją jeszcze bardziej niebezpieczną.

– Ufam, że ma pan lepszy plan, jak wrócić do Londynu, niż miał pan na przyjazd tutaj. – Podeszła do kominka i Jack omal nie wypuścił z ręki kieliszka, kiedy na nią spojrzał.

Włosy opadały jej na plecy luźnymi falami, lśniące w blasku ognia niczym polerowany mahoń. Ale to widok jej ubrania wprawił go w prawdziwe osłupienie. Kiedy szła, długi aksamitny szlafrok ciągnął się po podłodze. Podwinięte rękawy odsłaniały dłonie. Dwukrotnie owinęła się paskiem, co podkreślało jej szczupłą talię… i jakie piękne wypukłości składały się na jej figurę! Dopiero po chwili dotarła do niego rzecz oczywista.

– To jest mój szlafrok – powiedział.

Spojrzała na niego zuchwale i podciągnęła plączącą się jej wokół nóg tkaninę.

– Pani Gibbon nie udało się znaleźć nic innego, co mogłabym założyć. Pokojówka, która miała podobną do mojej posturę, niedawno odeszła. Ubrania drugiej pokojówki są na mnie za małe, a pani Gibbon za duże, więc zostało tylko to. – Z lubością pogładziła dłonią miękki aksamit. Jack nie odrywał wzroku od jej palców wyobrażając sobie dotyk tkaniny… i skóry pod nią.

– Wszystko, co miałam na sobie, jest przemoczone i najpewniej zniszczone, ponieważ był pan uprzejmy wpaść na obłąkany pomysł porwania mnie z Londynu w samym środku ulewy.

– Wcale pani nie porwałem. – Pociągnął jeszcze jeden łyk brandy, starając się nie patrzeć na jej nagą kostkę wysuniętą spod szlafroka. Czy poza tym też była naga? Ta myśl nie pomagała mu się skupić.

– Nie pozwolił mi pan wrócić do domu, jak chciałam. – Usiadła na sofie naprzeciwko niego i poły szlafroka się rozchyliły, odsłaniając smukłą nogę,

nagą do kolana. Na szczęście okryła się, zanim zdążyła zauważyć, że na nią patrzy.

A właściwie pożera ją wzrokiem. Czy naprawdę w całym domu nie znalazło się żadne damskie ubranie?

Czuł, że za moment oszaleje. Co go opętało, żeby ściągnąć tę kobietę do Alwyn House? Przecież nie uda mu się wytrzymać z nią całego tygodnia. Ona go wykończy, w taki lub inny sposób.

– Jaki ma pan plan? – spytała wprost. – Co chce pan osiągnąć?

– Philip – odparł, z ulgą chwytając się tego tematu – złamał dane mi słowo, więc musi ponieść konsekwencje.

– W takim razie dlaczego nie przywiózł pan tu Philipa?

Ponieważ nie miał ochoty spędzić nawet dnia, a tym bardziej całego tygodnia sam na sam z Philipem. Starał się stłumić tę myśl.

– To nic by nie dało. Wściekałby się i ciskał, a potem natychmiast wrócił do hazardu.

– I dlatego zostawił go pan w klubie, pozwalając grać dalej bez najmniejszych przeszkód – powiedziała z powagą. – Rozumiem pana tok myślenia.

Pociągnął jeszcze jeden łyk brandy. Z każdą chwilą widział coraz mniej sensu w swoim rozumowaniu. Co miała na sobie, pod tym szlafrokiem?

– Skoro nie chciała pani brać w tym udziału, trzeba było odejść, zamiast stawać w jego obronie.

– Rzeczywiście, powinnam była tak zrobić – prychnęła. – Ale, jak sam pan powiedział, uległam chciwości. Perspektywa wygrania pięciu tysięcy funtów za jednym razem była zbyt kusząca, by się oprzeć.

Uniósł kieliszek w kpiącym salucie.

– To grzech śmiertelny.

Mruknęła, niechętnie przyznając mu rację.

– A zatem Philip jest strasznym kłamcą?

Jack zmierzył ją zimnym spojrzeniem, nic nie mówiąc.

– Czy przekraczam granicę, pytając o to? – Co niewiarygodne, w jej głosie zabrzmiało rozbawienie. – Powiedział pan, że złamał obietnicę powstrzymania się od gry. Wie pan, widuję go bardzo często. Najczęściej w klubie Vega, ale również w innych miejscach. Jeśli sądzi pan, że tylko ja wygrywam od niego pieniądze, to jest pan w błędzie.

– Nigdy tak nie uważałem. – Jack pomyślał o czeku, który niedawno wręczył sir Lesterowi Bagwellowi, i dopił resztkę brandy.

– Skoro już o tym mówimy, na ile udało się pani go oskubać?

Posłała mu piorunujące spojrzenie. Jack uświadomił sobie, że się jej przygląda, i wstał z fotela. Podszedł do stolika, żeby nalać sobie więcej brandy, ponieważ najwyraźniej jeden kieliszek nie wystarczy. Kierując się impulsem, nalał także sherry i podał pani Campbell.

– Dziękuję – powiedziała zaskoczona.

Spróbowała wina i jej rzęsy zatrzepotały, kiedy przymknęła oczy z wyraźną przyjemnością. Wypiła jeszcze jeden łyk. Jej wargi błyszczały, zwilżone sherry.

Jack nie mógł od niej oderwać wzroku. Wielkie nieba, jej wargi. Wrócił na swój fotel, nie przestając na nią zerkać. Był niemal zauroczony wszystkim, co robiła. Kiedy otworzyła oczy, zmusił się, by odwrócić wzrok od jej nagiej kostki, lśniących włosów, a przede wszystkim od jej ust.

– Najwyżej kilkaset funtów – odparła z opóźnieniem na jego pytanie. Przechyliła głowę i spojrzała na niego. – Oczywiście nie wszystko za jednym razem, ja od czasu do czasu również przegrywałam.

– Ale domyślam się, że niezbyt często.

Podciągnęła kolana pod brodę, opierając stopy na poduszce. Wypiła jeszcze jeden łyk sherry i odstawiła kieliszek.

– Nie, nieczęsto. On gra nierozważnie.

– Jak bardzo?

Ogień w kominku rzucał błyski na jej twarz, nadając jej zamyślony wyraz. Jack starał się nie zwracać uwagi na to, że spod krawędzi jego

szlafroka wystają jej nagie palce u stóp. Zdjęła proste pantofle, które bez wątpienia należały do pani Gibbon. Wszystko to zupełnie nie pasowało do wizji intrygantki, uwodzącej swoje ofiary i doprowadzającej je do ruiny. Możliwe, że po prostu świetnie grała, starając się przekonać go o swej niewinności, ale jeśli tak, to była najlepszą aktorką, jaką Jack miał okazję oglądać.

– Nigdy nie oblicza swoich szans – powiedziała po chwili. – Zawsze podbija stawkę, nawet wtedy, gdy nie powinien. Poza tym… Cóż, nie da się tego ująć inaczej. Ma strasznego pecha.

– W odróżnieniu od pani – mruknął Jack.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Nie ma takiego szczęścia jak ja.

W jej słowach wychwycił podtekst, którego nie umiał odczytać.

– W takim razie brakuje mu też rozsądku, skoro nadal gra, mimo że szczęście mu nie dopisuje.

– Gra, bo nie boi się przegrać. – Oparła podbródek na kolanach i uśmiechnęła się, widząc wyraz jego twarzy. – Przypuszczam, że to dzięki panu.

– Nie powinien tego traktować jako rzeczy oczywistej.

– Ale to ostatnia deska ratunku – powiedziała, nie przejmując się jego opryskliwym tonem. – Zwłaszcza jeśli wie, że zawsze może na pana liczyć. Hazard polega na ryzyku i niewielu ma podobne wsparcie.

Wiedział to wszystko. Dawniej, zanim został księciem, Jack sam lubił ten dreszcz emocji; nigdy nie sięgał po kości, rzadko siadał do kart, najczęściej zawierał bardziej osobiste zakłady. Czy uda mu się pokonać Stuarta Drake’a w wyścigu powozem z Londynu do Greenwich? Owszem, udało się i wygrał dziesięć funtów. Czy uda mu się zatańczyć z najpiękniejszą panną w każdej sali balowej, którą odwiedzali, nie zdradzając swojego tytułu, co – jak twierdził Aiden Montgomery – byłoby niemal oszustwem? Tak, udało się i sakiewki jego przyjaciół stały się lżejsze o kilka gwinei.

Ale potem odziedziczył tytuł i nagle tak frywolne rozrywki stały się czymś niestosownym – poza tym i tak nie miał na nie czasu. Jego ojciec oczekiwał, że będzie żył dziewięćdziesiąt lat, nie spodziewał się, że utonie tuż przed pięćdziesiątką. Jack natomiast oczekiwał beztroskiej młodości, a nie odziedziczenia tytułu i wszystkich związanych z tym obowiązków przed trzydziestką. Zakłady o wynik wyścigu wydawały się czymś niepoważnym, niemal dziecinnym.

– Czy właśnie to panią pociąga? – spytał. – Ryzyko?

Roześmiała się, chociaż nie był to wesoły śmiech.

– Och, nie. Wolę myśleć o szansie na wygraną niż ryzyku przegranej.

Oczywiście. Jack oderwał wzrok od jej nagich stóp.

– Mówi pani jak prawdziwa szulerka.

– Za którą mnie pan uważa. – Kolejny krzywy uśmiech.

– A nie jest nią pani? – wycedził. – Bywa pani w jaskiniach hazardu i regularnie uwalnia ludzi takich jak mój brat od znacznych sum pieniędzy. Przyznała pani, że chętnie uwolniłaby *mnie* od pięciu tysięcy funtów.

– To pan zaproponował zakład – odparła, niezbita z tropu. – Bardzo chciałabym wiedzieć dlaczego.

Pokonany własną bronią. Jack dopił brandy i wpatrywał się w pusty kieliszek. Dwa wystarczą. Gdyby wypił więcej, straciłby przytomność umysłu – i tak nieco przytępioną tego wieczoru – i mógłby zrobić coś niewybaczalnie głupiego. Palce u jej stóp nie dawały mu spokoju.

– Tylko użyteczne narzędzie, nic więcej – mruknął.

– Żeby oddzielić mnie od Philipa? – prychnęła. – Jeśli tak, to było zupełnie niepotrzebne. Powiedziałam przecież, że nie zamierzałam grać z nim w kości. Przerwał mi partię i wciągnął w grę, której nie chciałam. Wiem doskonale, że powinnam unikać Philipa.

Spojrzał na nią sceptycznie. Wcale nie wyglądało na to, by unikała Philipa, kiedy składała pocałunek na kościach w jego dłoni.

– Naprawdę – zapewniła. – Wbrew temu, co może pan pomyśleć, nie chcę nikogo zrujnować i nie lubię patrzeć, jak moi przyjaciele tracą majątek. Uważam go za przyjaciela, ale ostatnio stał się nieco uciążliwy. Gdyby pan po prostu wziął mnie na stronę i poprosił o pomoc w odciągnięciu go od stolika, zrobiłabym to z przyjemnością. – Cień figlarnego uśmiechu przemknął przez jej wargi, a Jack poczuł ucisk w żołądku. – Za o wiele mniej niż pięć tysięcy funtów.

Drażniła się z nim.

– Philip wyobraża sobie, że łączy go z panią więcej niż przyjaźń – odciął się.

Jej twarz na moment zastygła. Ale to nie było zaskoczenie; wiedziała, że Philip jej pożąda. Jednak nie potrafiła powiedzieć, czy była z tego zadowolona. Jack pomyślał, że jest bardzo dobra w ukrywaniu uczuć i myśli.

Lecz wtedy w mgnieniu oka zmieniła się w zalotną damę z towarzystwa. Otworzyła szerzej oczy, a na jej wargach pojawił się kokieteryjny uśmiech.

– Doprawdy? – spytała ze zdziwieniem. – Wielkie nieba. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się, żeby jakiś dżentelmen darzył mnie ciepłym uczuciem, a ja dowiedziałabym się o tym od jego brata. – Spojrzała na niego wzrokiem pełnym nadziei. – Czy jest zakochany do szaleństwa? Czy powinnam czekać na oświadczyny? Czy wkrótce zostaniemy rodziną, wasza wysokość?

Na miłość boską, nie. Jack z trudem zachował spokój, kiedy pomyślał, że ta kobieta mogłaby zostać jego szwagierką. Wodziłaby Philipa za nos, a on… widok jej u boku brata wpędziłby go do grobu.

– Byłoby głupotą przyjmować go, nawet gdyby się oświadczył. Nie ma własnego majątku, a wszystkie dochody traci przy karcianych stolikach.

Roześmiała się radośnie. Jack uśmiechnął się mimowolnie.

– Ależ ma pan minę! Myśli pan, że mówiłam poważnie? – Pokręciła głową, wciąż się uśmiechając. – Oczywiście że nie przyjęłabym Philipa.

Nie wyszłabym za niego ani nie związała się w żaden inny sposób. Byłby okropnym mężem, a ja…

– Tak? – spytał, kiedy nagle przerwała.

Oblizała wargi.

– Dobrze wiem, że jest poza moim zasięgiem – dokończyła beztrosko. – Brat księcia Ware! Nawet nie śniłabym o zdobyciu takiej partii.

Nie to chciała powiedzieć. Pochylił się, żeby odstawić kieliszek, i skorzystał z okazji, przesuwając się w fotelu tak, żeby lepiej ją widzieć.

– Niektóre kobiety skorzystałyby z okazji usidlenia takiego dżentelmena.

– Doprawdy? – uśmiechnęła się szczerze i wzruszyła ramionami. – Widocznie nie jestem taka jak większość kobiet.

Owszem… Ale dlaczego nie? Co było w niej tak wyjątkowego, co kusiło go i wabiło, choć doskonale wiedział, że powinien jej okazywać dezaprobatę i pogardę? Nie wiedział, co o niej myśleć. Nie powinien w ogóle o niej myśleć.

– Tak, zauważyłem – powiedział spokojnie. – Oddaje się pani hazardowi i sama przyznaje, że lubi wygrywać, ale od razu dodaje pani, że nie chce nikogo doprowadzić do ruiny. Prawdziwa szulerka nie przejmowałaby się tym. To podsuwa mi myśl, że gra pani w inną grę. Ale kiedy zasugerowałem, że Philip mógłby oczekiwać od pani czegoś więcej niż przyjaźni, bardzo starała się pani nie tylko zaprzeczyć, ale wykpić ten pomysł. Za bardzo, moim zdaniem. Ta myśl nie była pani całkiem obca. Możliwe, że nie odwiedza pani londyńskich jaskiń hazardu w poszukiwaniu zamożnego opiekuna i taka sugestia jest dla pani obraźliwa lub wręcz poniżająca, ale nie oburzyła się pani, kiedy to powiedziałem. Wie pani, że Philip chciałby pójść z nią do łóżka, a każdy, kto widział, jak pani z nim flirtowała tego wieczoru, mógłby założyć, że zachęca go pani do tego. Zastanawiała się pani, jakim byłby kochankiem lub nawet mężem, a jednak twierdzi, że odrzuca obie te możliwości. To każe mi przypuszczać, że grała

pani o znacznie więcej niż kilka gwinei, ale Philip po prostu nie jest dostatecznie grubą rybą. – Przechylił nieznacznie głowę. – Czy mam rację?

W czasie jego przemowy wyprostowała się i opuściła stopy na podłogę. Patrzyła na niego z lekko rozchylonymi ustami, a jej spojrzenie było mroczne.

– Długo się pan nad tym zastanawiał, prawda?

– Nie bardzo – odparł. – Nigdy wcześniej nawet o pani nie słyszałem.

Nie potrafił się powstrzymać i co chwilę zerkał na szlafrok, który nieco się rozchylił, odsłaniając intrygujący skrawek piersi. Choć bardzo się starał opanować, krew w nim się gotowała.

– Ale umiem rozpoznać kobiety takie jak pani.

Przez moment sądził, że udało mu się nią wstrząsnąć. Jej oczy błysnęły, odetchnęła głęboko, ale szybko się opanowała.

– Oczywiście, że tak pan pomyślał – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Dobranoc, wasza wysokość.

Wstała, dygnęła z gracją i aksamitny szlafrok rozchylił się jeszcze bardziej. Teraz Jack zauważył cień między jej piersiami.

Zaschło mu w ustach. Nic. Nie ma nic pod spodem. Pani Campbell podciągnęła nieco połę szlafroka – jej nogi nie były niczym osłonięte, niech to diabli – założyła pantofle i wyszła z pokoju, nie zaszczycając go spojrzeniem.

I choć Jack przypuszczał, że ostatnią uwagą trafił w dziesiątkę, nie potrafił myśleć o niczym innym niż jej bose stopy.

7

Następnego ranka Jack stał przy oknie w pokoju śniadaniowym, z filiżanką kawy w dłoni, i obserwował zmoczony deszczem ogród.

Jak poinformował go Wilson, w Chiswick padało z krótkimi przerwami niemal od tygodnia. Zamknięty w swoim londyńskim domu, Jack o tym nie wiedział. Wychodził od czasu do czasu, ale zwykle to świat przychodził do niego, w ukłonach i zawsze czegoś chcąc. Przy lepszej pogodzie wybierał się na poranne przejażdżki, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie robił tego od kilku dni. Zapewne z powodu deszczu.

Gdyby nie Philip, byłby teraz w domu przy St James Place, przeglądał przy śniadaniu najświeższe gazety, a potem wrócił do gabinetu i zakopał się w stosie petycji, rachunków, raportów, próśb i żądań napływających z całej Anglii. O tej porze zwykle czekały na niego trzy lub cztery osoby ze sprawami tak ważnymi, że nie mogły zostać przekazane pocztą. W którymś momencie pojawiłaby się jego matka, zapewne po to, by zasugerować, że czegoś oczekuje, albo rzucić krytyczną uwagę na temat czegoś, co zrobił inaczej, niż zrobiłby jego ojciec. Czasami mógłby odwiedzić go jeden ze starych znajomych, ale minęło tyle czasu, odkąd Jack gdzieś z nimi wychodził, że większość z nich przestała się trudzić. Zanimby się zorientował, nadeszłaby pora obiadu, a potem wieczorne przyjęcia, od których nie mógł się wymówić.

Ale dzisiaj było zupełnie inaczej. Wilson nie został uprzedzony o jego przybyciu, więc nie sprowadził z Londynu gazet, a Persy – jego sekretarz –

został w mieście ze wszystkimi papierami. Ojciec ostrzegał, żeby nigdy nadmiernie nie ufał żadnemu pracownikowi, ale może najwyższy czas przekonać się, co Percy potrafi zrobić sam. Prawdę mówiąc, Percy i księżna nie będą nawet wiedzieli, gdzie jest, dopóki do nich nie napisze. Czuł się, jakby był znowu na uniwersytecie i wymykał się z zajęć, żeby robić coś – cokolwiek – bardziej ekscytującego, nawet jeśli tym czymś miałaby się okazać zupełna bezczynność. Jack uniósł filiżankę i wypił łyk kawy, napawając się tym uczuciem.

Z tyłu otworzyły się drzwi.

– Wasza wysokość? – odezwał się Wilson.

– Tak?

– Ludzie wrócili z powozem. Mówią, że oś jest pęknięta, a naprawa zajmie kilka dni.

Nie zaskoczyło go to.

– A drogi? – spytał, chociaż znał odpowiedź.

– Nieprzejezdne, sir. Trzeba było sześciu ludzi i czterech koni, żeby wyciągnąć powóz z błota i sprowadzić go do Alwyn.

– Dziękuję. Powiedz im, żeby zrobili wszystko, co trzeba, żeby naprawić oś. Czy koniom nic się nie stało?

– Jednemu wbił się kamień, wasza wysokość, ale stajenny już się nim zajął.

Jack skinął głową.

– To wszystko, Wilson.

– Tak, proszę pana. – Z cichym trzaskiem drzwi zamknęły się za lokajem.

Alwyn House stał pośrodku rozległego, wypielęgnowanego parku. W posiadłości były i inne powozy, ale przeznaczone na krótkie trasy. Skoro drogi były nieprzejezdne, a powóz uszkodzony, znaczyło to, że Jack utknął w Chiswick.

A raczej *oboje* utknęli.

Jak na zawołanie, drzwi otworzyły się znowu. Jeszcze zanim zdążyła się odezwać, Jack wiedział, że to pani Campbell. Jakby wyczuł delikatne wibracje w powietrzu, a poza tym zobaczył jej odbicie w szybie.

– Dzień dobry.

Zauważył, że nie użyła jego tytułu. I jej postawa nie wyrażała szacunku. Przez ostatnie siedem lat Jack przywykł do jednego i drugiego. Jeszcze przed śmiercią ojca był hrabią Lindsay, traktowanym przez wszystkich stosownie do tej pozycji. Ta kobieta jednak traktowała go, jakby byli sobie równi.

Prawdę mówiąc – z ledwie zauważalną wyższością. To było intrygujące i irytujące zarazem.

– Dzień dobry, pani Campbell. – Odwrócił się i patrzył, jak podchodzi do zastawionego stolika.

Poruszała się lekko i z gracją, niczym tancerka. Uniosła pokrywki na kilku półmiskach, najwyraźniej zamierzając sama się obsłużyć; Jack dał znak służącemu, który stał przy stole, i ten wyszedł bez słowa, zostawiając ich samych.

– Widzę, że znalazła pani coś do ubrania.

Wzięła grzankę i bułeczkę, dołożyła do tego jajko, po czym usiadła przy stole.

– Tak. Ta kreacja należała do pokojówki, która odeszła dość niespodziewanie zeszłej wiosny. Pani Gibbon przepraszała wylewnie, ale ubranie jest czyste, suche i całkiem znośnie na mnie pasuje. Nie mogę wybrzydzać, jeśli coś spełnia te warunki. – Pogładziła dłonią prosty, granatowy gorset. – To pana barwy, jak sądzę?

Oderwał wzrok od jej dłoni, znajdującej się niepokojąco blisko ciemnego rowka między piersiami. Miała na sobie strój pokojówki, ale zrezygnowała z chusteczki, którą służące zwykle wsuwały za dekolt, więc jej biust był dobrze widoczny.

– Tak.

– Piękny, jak na strój dla służby.

– Tak? – Wzruszył ramionami. – Nie ja go wybierałem.

– Ach. – Posmarowała grzankę dżemem. – Zbyt przyziemne zajęcie dla księcia.

– Tak. – Nie było sensu zaprzeczać.

Spojrzała na niego znad śniadania. Stał przy przeciwległym końcu stołu, a światło z okna – choć raczej słabe – padało na jego twarz.

– W korytarzu widziałam Wilsona, pańskiego lokaja. Powiedział, że udało się sprowadzić powóz.

– Owszem. – Jack usiadł w fotelu i sięgnął po dzbanek z kawą. – Niestety, oś jest złamana. Naprawienie jej potrwa kilka dni.

Na chwilę przestała przeżuwać i otworzyła szerzej oczy. Spojrzała na okno, niewątpliwie obserwując spływające po szybie krople deszczu. Dokończyła grzankę, delikatnie otarła usta i w końcu znowu na niego popatrzyła.

– Jesteśmy tu uwięzieni?

– To zabrzmiało dość złowieszczo. Drogi rozmiękły i jazda do Londynu wozem zaprzężonym w kuce albo gigiem to zły pomysł, a nic innego nie mamy.

Przez dłuższą chwilę nic nie odpowiedziała. Zerknął i zauważył, że na niego patrzy, z lekkim rozbawieniem. Miała naprawdę piękne oczy – czyste, inteligentne i szczere. A teraz patrzyła na niego jak na idiotę. To go zirytowało; zła pogoda nie jest przecież jego winą.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – powiedział, żeby ją sprowokować. – I tak przegrała pani tydzień.

Jej nóż szczęknął o talerz.

– Ten przeklęty zakład! Pan to zaproponował. Co pan chciał osiągnąć?

Jack otworzył usta, ale nagle zdał sobie sprawę, że nie umie odpowiedzieć na to pytanie.

– Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że przegram.

– Cóż… ja spodziewałam się, że wygram! – powiedziała zaskoczona.

Uśmiechnął się mimowolnie.

– To obojgu nam powinno dać do myślenia.

Prychnęła ze zniecierpliwieniem i przewróciła oczami.

– Zważywszy, że żadne z nas tego nie chciało, może powinniśmy zaryzykować i spróbować wrócić do Londynu? To zminimalizowałoby straty dla nas obojga.

Nigdy nie powiedziałem, że nie chciałem tego. Jack poruszył się niespokojnie w fotelu.

– Nie. To byłoby głupie i niemal na pewno zakończyłoby się katastrofą.

Przez jej twarz przemknął wyraz irytacji. Wstała od stołu i podeszła do stolika, żeby nalać sobie filiżankę herbaty. Kiedy wróciła, znowu uśmiechała się uprzejmie.

– Zatem co będziemy robić, skoro ugrzęźliśmy tutaj?

Właśnie w tym momencie Jack zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od lat ma zupełnie wolny czas. Zwykle jego wizyty w Alwyn House były starannie zaplanowane i zapowiedziane na kilka dni wcześniej. Jego sekretarz i zarządca przyjeżdżali wraz z nim, zabierając stos papierów do pracy. Nawet tutaj, w prywatnym zaciszu, zwykle pracował przez wiele godzin.

Ale wszystko to zostało w Londynie i nawet jeśli jutro dogonią go obowiązki, dziś był całkowicie wolny. Rozparł się wygodnie w fotelu, przyzwyczajając się do nowej dla niego sytuacji.

– Nie wiem – powiedział cicho, niemal ze zdziwieniem.

Pani Campbell pokręciła głową.

– To naprawdę jest najgorsze porwanie, o jakim słyszałam. Od księcia oczekiwałam czegoś więcej.

– O. A tak dokładniej, czego?

Zastanowiła się przez chwilę, popijając herbatę.

– Hm… Czy ma pan tu jakiś loch? – Pokręcił głową. – Albo salę tortur?

– Niestety – odparł cierpko, choć wbrew sobie zaczynał się całkiem dobrze bawić.

Westchnęła.

– Proszę spróbować mnie zrozumieć. Uprowadził mnie pan z Londynu do pięknego domu pełnego służby, łącznie z kucharką, która jest warta dwa razy więcej, niż pan jej płaci, niezależnie od tego, ile wynosi jej pensja. Jeśli tak wyobraża pan sobie karę, to chciałabym zobaczyć pańską wizję przyjemności.

A ja bardzo chciałbym ci ją pokazać. Jack ugryzł się w język, żeby zachować tę zdradziecką myśl dla siebie.

– To jest piękny dom. Prawdę mówiąc, mój ulubiony. Ale jest dość nowy i nie sądzę, żeby gdzieś na strychu były poukrywane jakieś średniowieczne narzędzia tortur.

– Pański ulubiony dom. – Uniosła brew. Jej twarz była cudownie ekspresyjna; z samego ruchu brwi mógł odgadnąć, że z niego kpi, chociaż zachowała uprzejmie poważny ton. – Czy ma ich pan tak wiele, żeby trzeba było tworzyć listę rankingową?

– Wystarczą dwa, żeby mieć możliwość wyboru – zauważył.

– Czy ma pan tylko dwa?

– Nie. – Zastanowił się przez moment. – Pięć.

Teraz uniosła obie brwi.

– Pięć domów. Wielkie nieba! Jak można wybrać jeden spośród tak wielu?

– Całkiem łatwo. Ten jest najmniejszy i najbardziej przytulny. – Powiedział tak, żeby się z nią podrażnić, chociaż była to prawda.

– Rozumiem. – Rozejrzała się dookoła. – W takim razie jak opisałby pan pozostałe?

– Pełne przeciągów – odparł. – Zimne. Ciemne, w większości. – Odwrócił się do okna i westchnął, widząc mgłę i ołowiane, deszczowe chmury. – W słoneczne dni ten pokój jest jasny i radosny.

– Dzisiaj muszę panu uwierzyć na słowo. – Dokończyła herbatę i odsunęła się od stołu. – Cóż, myślę, że zwiedzę dom i zobaczę, dlaczego jest pana ulubionym. Skoro i tak żadne z nas nie ma pilniejszych zajęć… – dodała, kiedy na nią spojrzał.

Prawdopodobnie było to najbezpieczniejsze, co mógł robić razem z nią. I, co ciekawe, spodobał mu się ten pomysł. Lubił ten dom, a od dwóch miesięcy nie miał okazji go odwiedzić.

– Z przyjemnością panią oprowadzę.

Sophie długo w nocy nie mogła zasnąć, próbując znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, w której się znalazła.

Niewątpliwie musiała wrócić jak najszybciej do Londynu. Jej nieobecność zostanie odebrana jako potwierdzenie najdzikszych plotek, a plotki na pewno zaczęły już krążyć, po publicznym widowisku z udziałem jej i księcia. Książę twierdził, że nie ma wobec niej żadnych planów, ale uparcie lekceważył jej zapewnienia, że będzie trzymała się z dala od Philipa. To było niepokojące. Sophie nauczyła się wykorzystywać swój urok i siłę perswazji, a teraz bardziej niż kiedykolwiek musiała przekonać księcia do swoich racji.

Ale podczas gdy ona starała się odwoływać do jego rozsądku, książę siedział tylko, wpatrywał się w nią z lekkim uśmieszkiem tymi chłodnymi, szaroniebieskimi oczami i wytykał każdy, nawet najdrobniejszy błąd w argumentacji. Doprowadzał ją do wściekłości. Nie miała innego wyjścia, jak tylko próbować dalej; to on był tu panem i władcą i jedyna droga powrotu prowadziła przez niego.

Być może zwiedzając dom, uda jej się więcej o nim dowiedzieć. Nie przypominał żadnego z mężczyzn, których znała; był powściągliwy, chłodny i cholernie książęcy. Starała się zignorować tę ostatnią cechę, gdyż przypominała jej o własnej bezsilności w porównaniu z nim, ale nie sposób było nie dostrzec różnicy w ich sytuacji życiowej.

Poprowadził ją przez hol wejściowy, który widziała tylko w świetle słabej lampy, kiedy tu dotarli. Wysoko umieszczone okna wpuszczały szare światło dnia, ale nawet w tak ponurym oświetleniu hol prezentował się imponująco. Kiedy świeciło słońce, błękitne ściany musiały wyglądać jak przedsionek nieba, a podłogi były wypolerowane na wysoki połysk. Jej wzrok przykuł portret jakiejś damy w bogato haftowanej sukni staroświeckiego kroju, zawieszony wysoko nad drzwiami, które właśnie otworzył książę. Jej twarz była poważna, wręcz majestatyczna. Przy jej stopach stał mały piesek, trzymający w zębach skraj jej szala. W tle majaczyły falujące wzgórza i budowla, którą zapewne był sam Alwyn House.

– Kto to jest? – spytała Sophie bez zastanowienia.

Książę zatrzymał się i spojrzał w górę.

– Moja prababka. Dom został zbudowany dla niej, a ona sama nadzorowała projektowanie ogrodów.

– Ojej – szepnęła zaskoczona. – Pański pradziadek musiał ją bardzo kochać.

– Przeciwnie. Myślę, że nawzajem nie mogli znieść swojego widoku zbyt długo. Zbudował ten dom i zamknął ją tutaj.

Zbita z tropu, Sophie odwróciła wzrok.

– Och.

Ware złożył ręce za plecami i przyglądał się swojej prababce.

– Przypuszczam, że tutaj była znacznie szczęśliwsza. Dał jej całkowicie wolną rękę, mogła robić w domu, cokolwiek zechciała, pod warunkiem że nie opuszczała go.

– Urocze. – Nie przyszło jej do głowy nic innego, co mogłaby powiedzieć.

Podobnie mógłby się zachowywać jej dziadek, lord Makepeace. Książę posłał jej zagadkowe spojrzenie, po czym machnął ręką, zapraszając, by

przeszła przez drzwi. Przeszli przez wysoki hol ze schodami i stanęli przed kolejnym pokojem.

– Pokój błękitny – powiedział, chociaż nie było to konieczne.

Na podłodze leżał olśniewający dywan w kolorze szafirowego błękitu, tkany w niekończące się pnącza i kwiaty. Drewniane ornamenty z polerowanego mahoniu skrzyły się złoceniami, podobnie jak meble, z obiciami z ciemnoniebieskiego adamaszku. Wysokie okna wychodziły na ogród, wyglądający dość ponuro w deszczu, lecz starannie urządzony i utrzymany. Sophie powoli przeszła się po pokoju, uważnie oglądając obrazy przedstawiające sielankowe sceny.

– Proszę popatrzeć w górę – powiedział książę. Posłusznie uniosła głowę i wstrzymała oddech.

Sufit był pokryty ośmiokątami i kwadratami z ciemnego drewna. Jednak nie to go wyróżniało. Naprawdę godne uwagi były rzeźby. Cały sufit wydawał się żywy, jakby ktoś odwzorował las w orzechowym drewnie. Z każdego zakamarka wyzierały jakieś zwierzęta – jelenie i psy, ptaki a nawet mityczne stworzenia.

– Jakie to piękne – szepnęła, wyciągając szyję, by lepiej widzieć. – To niesamowite! Ile czasu musiało trwać wyrzeźbienie tego wszystkiego!

– Mój brat i ja w dzieciństwie często kładliśmy się tutaj i próbowaliśmy odszukać różne zwierzęta – powiedział książę.

Roześmiała się z niedowierzaniem, znajdując smukłą łasicę, tłustego kota, a nawet egzotycznego słonia.

– Wcale mnie to nie dziwi! – Obeszła sofę, wciąż patrząc w górę, i potknęła się o brzeg dywanu.

Książę zrobił błyskawiczny krok naprzód. Sophie krzyknęła wystraszona, spodziewając się upadku, ale on chwycił ją i przytrzymał. Odruchowo złapała go za rękaw i ich ręce się splotły. Przez chwilę żadne z nich nawet nie drgnęło, aż w końcu książę bez słowa ją postawił. Przeprosiła cicho i cofnęła się o krok. Serce biło jej jak szalone, i pod wpływem upadku, i

tego, że znalazła się w jego objęciach. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak blisko niego się znalazła, i teraz nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

To było głupie. Zrobił coś, co zrobiłby każdy dżentelmen. Sophie odetchnęła głęboko.

– Które pan lubi najbardziej?

Spojrzał na nią ze zdumieniem. Złożył ręce za plecami i wyprostował się, przybierając typowy dla siebie nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Przepraszam?

– Ulubione zwierzę. Na suficie.

Spojrzał w górę, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Ach… Sfinks. Nad kominkiem – dodał, ponieważ Sophie natychmiast uniosła głowę. – Myślę, że ma twarz mojego dziadka.

A, tu jest. Podeszła bliżej, tym razem patrząc pod nogi.

– Jakie to pomysłowe.

– Zawsze tak uważałem. Jak przypuszczam, prababka kazała wyrzeźbić jego twarz, podobnie jak wszystkich pozostałych dzieci, ponieważ niemal nigdy ich nie widywała.

– Nigdy! – wykrzyknęła. – Dlaczego?

– I on, i jego bracia zostali wysłani do szkoły, kiedy tylko osiągnęli odpowiedni wiek, i rzadko tutaj bywali. Siostry odesłano do innych arystokratycznych rodzin albo do szkół. Jedna z nich umarła, ale dwie pozostałe debiutowały i wyszły za mąż, zanim skończyły osiemnaście lat.

W jego głosie zabrzmiała tylko spokojna zaduma, ale Sophie odniosła wrażenie, jakby nagle cień spowił ten piękny pokój. Dostrzegła w nim rozpacz osamotnionej matki.

– Ile dzieci? – spytała cicho.

– Sześcioro. Córki mogły z nią mieszkać, dopóki nie skończyły dwunastu lat.

– To okrutne! – wybuchnęła. – Jaki człowiek oddziela matkę od jej własnych dzieci?

Westchnął.

– Ten sam, który skazał swoją żonę na zesłanie i odwiedzał ją tylko raz do roku, żeby spłodzić kolejne dziecko.

To znowu przypomniało jej własnego dziadka. Wydziedziczył swojego syna, ojca Sophie, a potem odesłał ją do szkoły pani Upton. To, że było jej tam dobrze, nie zmienia faktu, że dziadek zrobił to, żeby się jej pozbyć. Posmutniała i zacisnęła usta, zanim się zreflektowała.

– Mam nadzieję, że następny pokój będzie przyjemniejszy – rzuciła beztrosko. – Inaczej zacznę się zastanawiać, czemu lubi pan ten dom.

– Uważa pani, że jest ponury? – Książę przez chwilę przyglądał się jej uważnie, ale teraz uniósł głowę i znowu spojrzał na sufit. – Tak wtedy było.

– O. Czy pana i Philipa też wysłano do szkoły?

– Oczywiście – potwierdził. – Chociaż mój ojciec nigdy nie próbował rozdzielić nas z matką.

– Czy rodzice okazywali wam uczucie?

Tym razem się zawahał. Cień przemknął przez jego twarz i Jack nie odpowiedział. Podszedł do drzwi w głębi pokoju i czekał tam na nią. Sophie przypomniała sobie, że to nie jest jej sprawa, i ruszyła za nim.

– Pokój muzyczny – oznajmił, otwierając drzwi.

Co do tego nie mogło być wątpliwości – po jednej stronie stał fortepian, a po drugiej, przykryta płótnem harfa. Sophie urzekło piękno tego pomieszczenia. Wysokie okna z trzech stron dawały widok na park rozciągający się przed domem. Ściany były jasnożółte, z długimi draperiami z kwiecistego jedwabiu, dobranymi do obić na meblach. Kiedy spojrzała na podłogę, doszła do wniosku, że dywan musiał zostać utkany na specjalne zamówienie; zdobiły go wijące się nuty, przeplatane fantazyjnymi harfami i lirami. Ten pokój urządził ktoś, kto kochał muzykę.

Ale najbardziej fascynującą rzeczą był fortepian. Najpiękniejszy, jaki Sophie miała okazję widzieć od lat, godny wirtuoza. Ostrożnie otworzyła

wieko. Na tabliczce widniało nazwisko Johna Broadwooda i Synów, o których Papa mówił, że robią najlepsze fortepiany na świecie.

– Gra pan? – Dotknęła klawiszy. Dźwięk zabrzmiał odrobinę fałszywie.

– Nie.

– A śpiewa pan? – Uderzyła w kolejny klawisz, sama nie wiedząc, czemu pyta.

– Niezbyt dobrze.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie? Myślałam, że wszystkich dżentelmenów uczy się muzyki.

Zamiast odpowiedzieć, zapytał:

– A pani gra?

– Tak. Ale ten fortepian jest rozstrojony. – Zamknęła klawiaturę.

Jaka szkoda – tak piękny instrument w domu, w którym nikt nie gra.

– Dyrektorka mojej szkoły nalegała, żeby każda z dziewcząt umiała grać przynajmniej na jednym instrumencie.

Rozejrzała się po pokoju. Był piękny, ale nieużywany. Na fortepianie nie leżały nuty, harfa była przykryta, panował tu wręcz nienaturalny porządek. Wnętrze urządził ktoś kochający muzykę, ale muzyki od dawna tu nie było.

– Zgaduję, że nie spędza pan tu dużo czasu.

– Ponieważ nie umiem grać – dokończył książę. – Nie.

Cóż za marnotrawstwo: mieć tak piękny pokój i nie używać go. Gdyby ten dom należał do jej rodziny, ten pokój byłby najczęściej używany. Ojciec grałby, a matka śpiewałaby arie i pieśni. Przez chwilę wyobraziła sobie w tym wnętrzu swoją rodzinę, zanim rozdzieliła ich choroba. Papa przy fortepianie, mama śpiewająca na tle okien, Sophie przewracająca kartki z nutami…

Zamrugała, odsuwając od siebie wizję, która nigdy nie będzie prawdziwa. Podeszła do okna, odwracając się plecami do fortepianu. Stąd widać było kolumnowe wejście do domu, za dnia jeszcze bardziej onieśmielające niż w nocy. Sophie patrzyła, dopiero teraz zdając sobie

sprawę, jak długą drogę przeszli w deszczu. Za żwirowym podjazdem i starannie przystrzyżoną trawą las, przez który szli w ciemności, wydawał się bardzo, bardzo odległy. Sophie wyobraziła sobie, że widzi także bramę z kutego żelaza. Widok parku był imponujący, ale z jakiegoś powodu sprawił, że poczuła się samotna. Wszystko było piękne, ale zbyt nieruchome, zbyt odległe.

Podobnie jak sam książę, jeśli się nad tym zastanowić.

Odwróciła się.

– Który pokój lubi pan najbardziej?

– Bibliotekę, gdzie rozmawialiśmy zeszłej nocy.

– Pójdziemy tam? – Jeśli chciała go poznać, powinna odwiedzać pokoje, w których rzeczywiście bywał.

Skinął głową i poprowadził ją przez błękitny pokój, a potem do galerii. Wysokie, wąskie okna wpuszczały niewiele światła i panował tu półmrok.

– Tutaj nie ma nic ciekawego.

Zwolniła, kiedy mały obrazek w ramce przyciągnął jej spojrzenie.

– To Philip – powiedziała z zaskoczeniem, oglądając wykonany ołówkiem szkic. – Jako mały chłopiec.

– Tak. – Książę zatrzymał się obok niej. – Ja go narysowałem.

Spojrzała na niego zaskoczona. Portret przedstawiał ponad wszelką wątpliwość Philipa, o kilka lat młodszego, z dłuższymi włosami i bardziej niewinnym uśmiechem. Wyglądał radośnie, siedząc na gałęzi drzewa, które zostało tylko naszkicowane kilkoma kreskami w tle. Sophie wyobraziła sobie, jak wdrapuje się na drzewo i spuszcza bose stopy nad stawem lub jeziorem, w którym łowił ryby albo rzucał kamienie do wody.

– Wygląda tak beztrosko i szczęśliwie.

Książę zmierzył ją długim, taksującym spojrzeniem.

– To było dawno temu.

– A teraz nie jest? – Przyglądała się szkicowi. Został narysowany z uczuciem. Philip uśmiechał się do brata, który go rysował.

– Musieliście być sobie bardzo bliscy w dzieciństwie.

Książę odetchnął głęboko.

– Tak. Jako chłopcy byliśmy bardzo podobni. Spędzaliśmy całe godziny nad jeziorem. To tam najczęściej uciekaliśmy z lekcji.

Lecz jako mężczyźni bardzo różnili się od siebie. Ciekawość nie dawała Sophie spokoju. Dlaczego ich drogi się rozeszły?

– Myślałam, że zostaliście wysłani do szkoły.

– Oczywiście – odparł beznamiętnie. – Ale w czasie wakacji też były lekcje. Ojciec na to nalegał.

– O? – To było ciekawe i dotyczyło bezpośrednio jego. – Jakie lekcje?

– Zarządzanie uprawami. Księgowość. Architektura, kiedy ojciec budował łaźnię. – Skrzywił się nieznacznie. – Bardzo nudne lekcje.

– Philip zapewne ich nie cierpiał.

Przez jego twarz przemknął grymas

– Philip nie musiał uczestniczyć w większości z nich.

Ach… więc to były lekcje dla dziedzica. Sophie nie odrywała wzroku od szkicu, zastanawiając się, czy Philip chodził nad jezioro, kiedy jego starszy brat uczył się zarządzać uprawami.

– Ale zapewne czegoś musiał się uczyć.

– Nieco księgowości. Obaj uczyliśmy się powozić w Alwyn House. Zawsze kiedy tu byliśmy, matka zapraszała mnóstwo gości i musieliśmy uczestniczyć we wszystkich przyjęciach, które urządzała. Uważa, że na wsi jest spokojnie i nudno. – Zawiesił głos. – Ale ojcu się tu podobało.

– To dlatego lubi pan ten dom?

Przez chwilę studiował portret Philipa.

– Lubię go z tego samego powodu co mój ojciec – powiedział w końcu.

W jego głosie usłyszała ton, który powstrzymał ją przed zadawaniem dalszych pytań.

– To świetny rysunek – powiedziała. – Ma pan wielki talent.

Jego twarz przybrała nieobecny wygląd.

– Dziękuję, ale to było dawno temu.

– Jestem pewna, że nie zapomniał pan tego. – Uśmiechnęła się przekornie, ale jego twarz nawet nie drgnęła. – Pójdziemy dalej?

Jak dotąd nie dostrzegła żadnego powodu, dla którego mógłby lubić ten dom bardziej niż inne, chyba że pozostałe były ponurymi mauzoleami. Wprawdzie Alwyn House był piękny i luksusowy, ale na razie im więcej widziała, tym bardziej tęskniła za swoim przytulnym domem w Londynie. Miała tam kieszonkowy zegarek swojego ojca i grzebienie matki – pamiątki po szczęśliwych czasach, które wywoływały uśmiech na jej twarzy.

Książę tylko skinął głową i otworzył drzwi. Minęli odświętną jadalnię, olśniewającą obiciami z czerwonego adamaszku, z trzema kryształowymi kandelabrami i wielkim obrazem przedstawiającym wesele w Kanie.

– Moja matka kazała ją powiększyć – wyjaśnił, kiedy Sophie zdziwiła się wielkością sali w wiejskim domu. – Często urządzała wielkie przyjęcia.

Ponieważ uważała, że ten piękny dom jest cichy i nudny. Sophie przypuszczała, że Philip wdał się w matkę; on też zawsze szukał towarzystwa i rozrywki, podczas gdy książę wydawał się bardziej powściągliwy.

Myślała o tym, kiedy wrócili do biblioteki. Wciąż padało i dzień był raczej ponury, a mimo to biblioteka sprawiała imponujące wrażenie. Przestronne pomieszczenie było owalne, o zielonych ścianach z białymi wykończeniami. Oba krańce owalu, za marmurowymi kolumnami, wypełniały półki z książkami. W nocy było za ciemno, a ona była zbyt zdenerwowana, żeby to zauważyć, ale teraz…

– Jak pięknie! – nie wytrzymała. – Zeszłej nocy zupełnie nie zwróciłam na to uwagi.

Książę podszedł do wysokiego okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Czemuż to?

– Cóż, był pan okropnie irytujący – odparła z roztargnieniem, rozglądając się po wnętrzu. – Musiałam się skupić na zachowaniu spokoju.

– O? – Oparł się ramieniem o ścianę i obserwował ją. – Chciała pani coś powiedzieć, ale nie dokończyła. Co to było?

Spojrzała na niego zaskoczona. Dzięki licznym oknom w bibliotece światło było dużo lepsze. Jego spojrzenie było równie czyste i skupione jak zeszłej nocy, ale nie tak przeszywające. Zniknął też lekko pogardliwy ton i – niestety – Sophie uświadomiła sobie, jak bardzo jest przystojny.

Nie. Giles Carter był przystojny, ze swoją kwadratową szczęką i nitkami siwizny na skroniach. Książę Ware był olśniewający. Gdyby nie to, że przewróciła się na niego w błękitnym pokoju i poczuła, że jest żywy i prawdziwy, mogłaby wziąć go za dzieło artysty, marmurową rzeźbę w perfekcyjnie skrojonym ubraniu i drogich butach, ze złotymi włosami, których lekkie fale były jego jedyną niedoskonałością.

Ona zaś stała naprzeciwko niego w sukni pożyczonej od zwolnionej z pracy pokojówki. Wzięła głęboki oddech i czując na skórze szorstkość tkaniny, przypomniała sobie, że jej pozycja jest tylko niewiele wyższa niż pokojówki, co dla człowieka takiego jak książę stanowi kolosalną różnicę.

– Chciałam powiedzieć, żeby się pan odpieprzył – odparła beztrosko.

Książę uniósł brwi, jakby jeszcze nikt nigdy nie powiedział mu, żeby się odpieprzył.

– Naprawdę?

Sophie roześmiała się i kontynuowała zwiedzanie biblioteki. W szklanej witrynie leżały miniatury; pochyliła się, żeby im się lepiej przyjrzeć.

– Oczywiście. Jak pan śmiał nazwać mnie szulerką i powiedzieć, że umie rozpoznać kobiety takie jak ja? Nic pan o mnie nie wie.

Odchrząknął.

– Trochę wiem.

Wciąż pochylona nad miniaturami, machnęła lekceważąco ręką.

– Wie pan bardzo niewiele. Głównie to, że nie potrafię się oprzeć zakładowi o wielką sumę z kimś, kto najwyraźniej ma wielką ochotę przegrać.

– To znaczące.

– Owszem – przyznała. – Ale nie daje pojęcia o moim charakterze. – Zerknęła na niego z figlarnym uśmiechem. – Myślę, że to samo można powiedzieć o Philipie.

– Co nie świadczy o nim dobrze. – Książę złożył ręce na piersi. – Gdzie poznała pani mojego brata?

– W Somerset House. – Sophie przez chwilę napawała się jego zaskoczeniem. – Na wystawie Royal Academy. Jest pan zdziwiony, że bywam w takich miejscach?

– Oczywiście, że nie.

– Ależ tak. Proszę się nie martwić, nie czuję się urażona. Ustaliliśmy już, że nic pan o mnie nie wie.

– Wprost przeciwnie – powiedział ponuro. – Trudno mi uwierzyć, że *Philip* bywa na takich spotkaniach. Przyznaję, że nie znam pani, ale dobrze znam mojego brata i Royal Academy jest jednym z miejsc, w których nigdy nie spodziewałbym się go spotkać

– Och. – Zacisnęła usta skonsternowana. – Mój błąd.

– Proszę się nie martwić. Nie czuję się urażony. Nic pani o mnie nie wie.

Uśmiechnęła się cierpko, pokonana własną bronią.

– Teraz poznał pan jedną z moich wad: czasem oceniam zbyt pochopnie.

Niespodziewanie odpowiedział jej uśmiechem. Sophie bezwiednie cofnęła się o krok. Kiedy się uśmiechał, książę Ware był nieznośnie atrakcyjny. Przypuszczała, że większości kobiet podobał się nawet ponury, ale uśmiechnięty… Och, uśmiechnięty wyglądał jak mężczyzna, dla którego można stracić głowę.

– Coś nas łączy, pani Campbell.

– Doprawdy? – spytała beztroskim tonem, starając się odsunąć od siebie wszelkie myśli o traceniu głowy dla księcia. – To niezbyt dobrze o nas świadczy.

– A jednak wskazuje, że mamy szansę się rozumieć znacznie lepiej, niż mogłoby się wydawać.

Sophie zamilkła wobec tej subtelnej, lecz wyraźnej wymówki, a książę podszedł i stanął obok niej. Patrzyła na niego, nie mogąc oderwać wzroku. Uważać – najzupełniej obiektywnie – że jest atrakcyjny, to jedno, ale mieć tę atrakcyjność tak blisko siebie to zupełnie inna sprawa.

Cóż… z bliska oddziaływał jeszcze mocniej. Widziała złocisty lok jego włosów, który opadł na krawat i zawijał się romantycznie w górę; czuła jego czysty, męski zapach, z kawową nutą. Patrzył na nią z ukosa, oczami, które dziś miały intensywnie niebieski kolor i gdzieś głęboko w jej wnętrzu zaczęło narastać oczekiwanie – a nawet, co gorsza, tęsknota.

– Zastanawiam się, co jeszcze może nas łączyć – powiedział cicho.

Sophie zesztywniała.

– Nic.

– Zupełnie nic?

Stał zbyt blisko niej. Poczuła falę gorąca i brakowało jej tchu; cofnęła się o krok, żeby odzyskać jasność myśli.

– Mówi pan, jakby wiedział o czymś, o czym ja nie wiem. Co pana zdaniem nas łączy, wasza wysokość?

Jego wargi drgnęły w uśmiechu.

– Determinacja.

– W służbie zupełnie różnych celów – odcięła się.

– Starałem się uchronić mojego brata przed ruiną.

– Ja natomiast starałam się uchronić *siebie* przed ruiną. Proszę mi wybaczyć, że nie przedkładam ocalenia Philipa nad własne.

– Ocalenia – powiedział z namysłem. – Nie sądziłem, że w grę chodzi ocalenie Philipa, wydawało mi się, że chodzi o jego dobre imię i wiarygodność. Czy naprawdę obawiała się pani o siebie?

Wciąż się o to obawiała. Musiała zachować bardzo subtelną równowagę między tym, co robiła, żeby się utrzymać, a bronieniem reputacji.

– Gdyby pan wiedział, ile kosztuje kobietę utrata dobrego imienia, nie zadałby pan tego pytania. Ale przypuszczam, że jako książę może pan robić, cokolwiek zechce, a i tak będzie pan wszędzie mile widziany.

– Zazdrości mi pani tego? Czy pani także chciałaby wszędzie być mile widziana?

Przeciągał strunę, próbując ją rozgryźć. Sophie robiła dokładnie to samo i nie spodobało jej się, kiedy użył przeciwko niej jej własnej taktyki. Cofnęła się jeszcze o krok i spojrzała na niego wyniośle.

– Jeśli tak, to najwyraźniej byłam skuteczna. Książę był gotów zaryzykować pięć tysięcy funtów dla niewielkiej szansy wygrania tygodnia w moim towarzystwie!

– Istotnie. – Omiótł ją wzrokiem, szybko, lecz dokładnie. To nie było cyniczne spojrzenie, jakim zaszczyciłby szulerkę, lecz taksujące spojrzenie mężczyzny, i ciało Sophie zareagowało falą gorąca. Może nie tylko ona czuła ten magnetyzm.

– Czy ten zakład zamknął przed panią jakieś drzwi?

Roześmiała się beztrosko.

– Mógł otworzyć niewłaściwe.

– A więc to był błąd.

– Tylko dlatego, że przegrałam – odcięła się urażona Sophie.

Zakołysał się na piętach.

– Czy dużo pan czyta? To wspaniała biblioteka.

– Codziennie – odparł. – Chociaż rzadko coś tak zabawnego jak to.

Przyjrzała się dokładnie misternej okładce, którą muskała palcami. Te książki musiały być warte fortunę. Każda z nich została oprawiona w skórę.

– Ale biblioteka należy do pana.

– Posiadanie książek to jeszcze nie wszystko.

– Szkoda, skoro ma je pan zawsze pod ręką.

Zdjęła z półki jedną z książek i otworzyła ją, przerzucając kartki.

– „Kłócenie się z nią daje wielką satysfakcję; i myślę, że nigdy nie wypada tak korzystnie jak wtedy, gdy robi wszystko, co w jej mocy, żeby mnie dręczyć”. – Spojrzała na niego kokieteryjnie. – Być może powinien pan więcej czytać. Na tych stronach jest zawarta niezwykła mądrość.

Cienka zmarszczka pojawiła się między jego brwiami. Wyciągnął rękę i Sophie posłusznie podała mu książkę. Przeglądał ją przez chwilę w milczeniu, po czym przeczytał na głos:

– „Jak uroczo okazuje pogardę wobec mojego autorytetu”. – Przechylił głowę i spojrzał na nią badawczo. – Widzę, że to pani zna doskonale.

– Owszem, widziałam tę sztukę na scenie – przyznała. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że jej głos zabrzmiał miękko i łagodnie.

Odstawił książkę na półkę i oparł dłoń o grzbiety, tuż przy głowie Sophie.

– Nie wątpię. – I uśmiechnął się.

Stał bardzo blisko, łokciem dotykając jej ramienia. Powinna znowu się cofnąć, lecz coś ją powstrzymało. Książę mógł twierdzić, że zakład był tylko sposobem na oddzielenie jej od Philipa, ale czuła, że nie miałby nic przeciwko temu, by cieszyć się jej towarzystwem również na inne sposoby.

Mężczyźni flirtowali z nią już wcześniej. Sophie świetnie wiedziała, kiedy udało jej się wzbudzić zainteresowanie w mężczyźnie. Kiedyś zrobiła to celowo – bardzo dawno temu. To było upajające przeżycie, pełne młodzieńczej pasji i dające dreszcz emocji wywołany robieniem czegoś nieprzyzwoitego. Dopiero kiedy odzyskała jasność myśli, zdała sobie sprawę, jak wielkie ryzyko podjęła. Jej ukochany był miły i delikatny, ale kiedy z nią zerwał, odetchnęła z ulgą, że obyło się bez poważniejszych konsekwencji. Od tamtej pory ignorowała, odrzucała lub udaremniała wszelkie próby, jakie mężczyźni podejmowali, by ją uwieść. Tak było bezpieczniej, chociaż mniej ekscytująco.

Dzisiaj bardzo wyraźnie uświadomiła sobie, o ile mniej było to ekscytujące. Zwykle nie odwzajemniała takiego zainteresowania i była

zaskoczona tym, że teraz je poczuła. Co gorsza, czuła je również zeszłej nocy, kiedy traktował ją z wyższością i zarzucał chęć doprowadzenia do ruiny jego brata. Dzisiaj uśmiechał się do niej i był czarujący, a Sophie przekonała się, że była w stanie nie ulegać jego urokowi, dopóki go nie lubiła, ale kiedy się uśmiechnął i opuścił gardę… Ten przebłysk poczucia humoru i człowieczeństwa zmienił go z zimnego, wyniosłego księcia w nieodparcie atrakcyjnego mężczyznę. Mężczyznę, z którym utknęła w tym pięknym domu, w zupełnym odosobnieniu, tylko we dwoje…

Wzdrygnęła się, kiedy dotarło do niej, jakimi drogami podążają jej myśli. Idiotka, powiedziała sobie. Najgorsze, co mogłaby teraz zrobić, to pozwolić się uwieść księciu – mężczyźnie, którego nie znała, a który uważał ją za oszustkę. Musiała położyć temu kres, zanim któreś z nich posunie się za daleko.

– Dość tych poważnych rozważań. – Uśmiechnęła się promiennie. – Musimy pana nauczyć grać, wasza wysokość.

8

Jack musiał wysłać służącego, żeby poszukał kart. Mgliście przypominał sobie, że stoliki do gry ustawiano w bibliotece, kiedy matka wydawała tu przyjęcia, ale to było wiele lat temu. Od śmierci ojca nie przyjmował gości w Alwyn House.

Patrzył, jak pani Campbell sadowi się na tej samej sofie, z której poprzedniego wieczoru dręczyła go bosymi stopami. Dzisiaj nosiła suknię zwolnionej pokojówki, która nie miała w sobie nic uwodzicielskiego, a jednak był bardziej zafascynowany niż kiedykolwiek dotąd. Kim była ta kobieta i dlaczego on czuł się tak bezradny, czemu doprowadzała go do szaleństwa? Michaels wrócił z talią kart, a ona podziękowała mu promiennym uśmiechem, od którego Jack poczuł ucisk w żołądku. Bardzo chciałby, żeby uśmiechnęła się w taki sposób do niego.

– Jest pani w tym niezwykle biegła – zauważył, kiedy tasowała karty ze zręcznością krupiera. Ale zamiast skupić się na tym, gdzie zdobyła takie umiejętności, zaczął się zastanawiać, jak by to było czuć na skórze dotyk tych zwinnych palców.

Uśmiechnęła się skromnie, nie przestając przerzucać kart.

– Każda kobieta jest krynicą ukrytych talentów, wasza wysokość.

Przez głowę Jacka przemknęła burza niebezpiecznych myśli. Zapragnął zapytać, jakie talenty ona ukrywa. Poruszył się niespokojnie w fotelu.

– I sekretów?

– Nie inaczej mężczyźni, jak sądzę.

Rozdała karty i zachęciła gestem, żeby po nie sięgnął.

– Czy grał pan w loo?

– Tak.

– Bez limitu? – spytała z promiennym uśmiechem.

Loo bez limitu mogło zrujnować człowieka w jedną noc.

– Szuka pani już nowej ofiary?

Zatrzepotała rzęsami, spojrzała na niego i podniosła swoje karty. Teraz już wiedział, że to ostrzeżenie, a nie zaproszenie.

– Zna mnie pan zbyt dobrze, sir.

Uświadomił sobie, że zupełnie jej nie zna, ale był coraz bardziej zaintrygowany.

– Jest nas za mało do loo.

Posłała mu surowe spojrzenie znad kart. Trzyma je celowo przed twarzą, pomyślał.

– Nie mamy też pieniędzy. To jest lekcja, wasza wysokość, aby oszczędzić panu w przyszłości przegranych.

Uśmiechnął się i w końcu sięgnął po karty.

– Pas.

– Co? – Opuściła karty i spojrzała na niego ze zdumieniem; pasując, kończył grę. – Nie może pan teraz pasować. Zepsuje pan grę.

– Ale zachowam majątek. – Uśmiechnął się, widząc wyraz jej twarzy, tak uroczo skonsternowany. – Widzi pani, jakie to proste? Nic nie straciłem.

– I nic pan nie wygrał.

Jack odłożył karty na stół.

– Nie czuję potrzeby wygrywania. Dlaczego pani ją odczuwa?

– To ekscytujące – odparła po ledwie zauważalnej chwili wahania. – Rozumiem, że ta idea może być panu obca, ale gorąco polecam się z nią zapoznać.

– Mówi pani o wygrywaniu? – Rozparł się wygodnie w fotelu. – Wygrałem zeszłej nocy.

Jej policzki poróżowiały.

– Nie wątpię, że głęboko pan tego żałuje.

Przyglądał jej się przez chwilę.

– Nie – odparł powoli. – Nie sądzę.

Zerknęła na niego, czujna i nieufna.

– Poniosłam spektakularną klęskę, jeśli zwycięstwo z zeszłej nocy dało panu choć cień satysfakcji.

Dało mu znacznie więcej niż cień satysfakcji.

– Osiągnąłem swój cel.

Jej oczy błysnęły, rzuciła karty na stół.

– Philip! Przysięgam, można by pomyśleć, że jest pańskim synem, sądząc z tego, do czego jest pan gotów się posunąć w jego sprawie.

Jack pomyślał, co na jego miejscu zrobiłby ojciec. Książę był przyzwoity do szpiku kości. Gdyby żył, Philip niewątpliwie siedziałby teraz tutaj skruszony i dobrowolnie poddałby się każdej karze, jaką wyznaczyłby mu książę. Jack wyobraził sobie brata sprzątającego stajnie albo pomagającego w oraniu pola któregoś z dzierżawców z Kirkwood.

Oczywiście gdyby ojciec nadal żył, Philip zapewne nie zacząłby się zachowywać tak nierozważnie. Książę był cierpliwym człowiekiem, znosił sporo młodzieńczych wybryków, ale do czasu. Chciał, żeby jego synowie byli silnymi, honorowymi mężczyznami, i położyłby kres skłonnościom Philipa, zanim doprowadziłyby go do ruiny – Jackowi się to nie udało.

– Philip nie czuje wobec mnie takiego respektu.

Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, po czym wzięła do ręki karty.

– Może powinniśmy zacząć od czegoś łatwiejszego. – Rozdała karty, kładąc dwie przed nim. – Blackjack.

– Co wygram? – spytał cicho.

– Nie mnie – odparła natychmiast.

Jack uśmiechnął się szeroko.

– A może… – Zawiesił głos i zastanowił się. – Muzykę.

Wzdrygnęła się.

– Co?

– Zagra pani na fortepianie.

– Jest straszliwie rozstrojony – zaprotestowała.

Machnął lekceważąco ręką. Widział, jak pożerała instrument wzrokiem. Muzyka coś dla niej znaczyła. Nawet w jej proteście zabrzmiała tęsknota. Nie powiedział nic, tylko czekał.

Spuściła wzrok, wpatrując się w karty. Przełożyła je.

– Pańskie uszy tego pożałują – ostrzegła. – Ale skoro pan nalega, niech będzie.

– Zaryzykuję.

– W takim razie lepiej niech pan się skupi i wygra – powiedziała zgryźliwie.

Grali przez godzinę. Jack zgodził się tylko dlatego, że zobaczył sposób na to, by dowiedzieć się o niej czegoś więcej, ale wkrótce gra go wciągnęła. Oczywiście znał blackjacka; grywał w niego przed laty, dla zabicia czasu, kiedy musiał bywać na balach, ponieważ matka nalegała. Wtedy grał całkiem dobrze i choć przez lata wyszedł z wprawy, teraz dość szybko wpadł w rytm. Jednak po kilku minutach zdał sobie sprawę, że pani Campbell jest o wiele, wiele lepsza, niż on był kiedykolwiek. Uśmiechała się i rozmawiała swobodnie, nawet złośliwie jak zawsze, ale oczy odnotowywały każdy ruch. Jej palce dotykały kart w niemal zmysłowy sposób. To, jak przechylała głowę i uśmiechała się, pytając, czy chce jeszcze jedną kartę, rozpraszało go – co niewątpliwie było celowe. I nie ulegało wątpliwości, że ma talent do tej gry. Po jakimś czasie domyślił się, że musiała rejestrować w pamięci każdą wyłożoną kartę, zwiększając swoje szanse na wygraną.

Krótko mówiąc, grała jak profesjonalistka.

Czy to możliwe? Jack starał się skupić na grze przynajmniej na tyle, by uniknąć upokorzenia, chociaż w głowie kłębiły mu się dziesiątki pytań o

siedzącą naprzeciwko niego kobietę. Zrozumiał, jak udawało jej się pokonywać Philipa, który – jak sama powiedziała – grał skrajnie nierozważnie. Jack sądził, że jego brata rozpraszał jej olśniewający biust, lecz teraz pomyślał, że musiało chodzić o coś więcej.

Oczywiście, jeśli była tak sprawna jak mężczyźni, którzy żyli z hazardu, to dlaczego dotąd nie oskubała Philipa doszczętnie? Z pewnością mogła to zrobić. Może z szacunku wobec niego? Po namyśle Jack doszedł do wniosku, że chciała wygrywać, ale nigdy zbyt dużych sum. To wyjaśniałoby, dlaczego tak przeraziło ją jego postępowanie, i zarzuty, że robi z niej publiczne widowisko. Była stałą bywalczynią klubu Vega, wszyscy ją znali i grywali z nią, ale starała się nie zwracać na siebie uwagi. Wygrywanie co noc znacznych sum okryłoby ją niepożądaną sławą.

To jednak nie tłumaczyło wszystkiego. Jack nie liczył dokładnie, ile przegrał w klubie Vega, ale była to spora suma, która pozwoliłaby owdowiałej damie żyć wygodnie przez rok. Powiedziała, że czasami przegrywa, ale Jack mógłby się założyć, że wygrywała znacznie częściej. Nawet teraz, choć nie grali na pieniądze, na jej twarzy malowało się skupienie. Chciała wygrywać, zawsze.

Długi? Może mąż zostawił jej długi? A właściwie kim był jej mąż? Dlaczego nie zadbał o jej bezpieczeństwo? Musiała wyjść za mąż bardzo wcześnie, skoro owdowiała w tak młodym wieku. Może roztrwoniła pieniądze i nie umiała ich utrzymać? Zmarszczył brwi; nie, to do niej nie pasowało. Wydawała się zbyt uporządkowana. Zastanawiał się, jaka by była, gdyby choć na chwilę całkowicie opuściła gardę.

Rozkojarzenie go uratowało. Zbyt pochłonięty zastanawianiem się, dlaczego są jej potrzebne pieniądze i jak ominąć jej linie obrony, odrzucił następną kartę, chociaż zamierzał ją wziąć. Sophie uśmiechnęła się lekko, odwróciła ją zręcznym ruchem i zamarła, wyraźnie zaskoczona. Treflowa szóstka miała zbyt dużą wartość i zrujnowała jej układ.

Jack spojrzał na swoje karty – czternaście – i wydał triumfalny okrzyk.

– Jak… – Odwróciła kilka ostatnich kart z talii. Żadna z nich nie była większa od czwórki i biorąc każdą, wygrałaby z jego czternastką. Zmusiła się do uśmiechu.

– Dobrze rozegrane, sir.

– To pani powinna była wygrać – powiedział, czując przypływ wielkoduszności po nieoczekiwanym zwycięstwie.

Z uśmiechem zebrała karty.

– Nie, nie! Nikt nie oszukiwał, wygrał pan uczciwie.

Wierzył jej. Ta kobieta grała, żeby wygrać, ale przegrywała z godnością i wdziękiem.

– Chyba powinnam uznać, że jestem bardzo dobrą nauczycielką, skoro po godzinie nauki uczeń pokonał mistrza. Chce pan, żebym zagrała teraz czy później? – Odłożyła karty i spojrzała na niego, uśmiechając się, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Jack poczuł przerażające pragnienie pocałowania jej. Nawet w stroju pokojówki, rozdająca karty niczym doświadczona szulerka, nadal olśniewała. Od lat nie spędził tak przyjemnego popołudnia, mimo wszystkich pytań, które nie dawały mu spokoju. Stanowiła zagadkę, cudowną, piękną tajemnicę, a on był wstrząśnięty tym, jak bardzo go fascynowała. Mógłby spędzić resztę dnia – resztę tygodnia! – próbując poznać jej sekrety. A zwłaszcza ten, jak sprawić, żeby szczerze się do niego uśmiechnęła.

Nie przypuszczał, żeby pocałowanie jej teraz ułatwiło mu to zadanie.

– Chciałbym teraz – powiedział. – Proszę.

Wrócili do pokoju muzycznego. W drzwiach pani Campbell się zatrzymała.

– Ojej.

Jack nawet nie zwolnił. Kiedy oni grali w karty w bibliotece, służący pracowali tutaj, odsłaniając meble i odkurzając. Krzątali się po całym domu, doprowadzając każde pomieszczenie do stanu doskonałości. Zwykle

odbywało się to przed jego przyjazdem, ale tym razem nie mieli takiej możliwości. Jack otworzył klapę fortepianu i czekał.

Opanowała się i usiadła.

– Czy kazał go pan też nastroić?

– Raczej nie.

Zręcznym ruchem przebiegła palcami po klawiszach.

– A więc to może być wstrząsające przeżycie dla pańskich uszu.

– Moje uszy nie są tak wrażliwe jak pani, więc nie sądzę, żebym zauważył różnicę.

Mruknęła coś w rodzaju: „Lepiej uważać, o co pan prosi” i zaczęła grać. Z początku parę razy się pomyliła i kilka dźwięków zabrzmiało fałszywie, ale stopniowo odzyskała pewność siebie. Jack usiadł tak, żeby móc widzieć jej twarz. W miarę gry opuszczała ją chłodna rezerwa.

Jack już dawno zdążył się nauczyć, że najlepiej jest przyznawać się do własnych słabości – przynajmniej przed samym sobą. Pani Campbell w błyskawicznym tempie stawała się jego słabością. Nie, to nie tak. Był nią całkowicie oczarowany. Pragnął dowiedzieć się o niej wszystkiego, od tego, co ją bawiło, po to, jak wygląda bez ubrania. I zdawał sobie doskonale sprawę, że takie pragnienia mogą prowadzić tylko do kłopotów.

Ale, na Boga, zupełnie się tym nie przejmował.

Grała pierwszą melodię, w której mgliście rozpoznał jakiś utwór Mozarta. Całkowicie pochłonięty obserwowaniem jej nie powiedział nic, kiedy skończyła. Ale zamiast wstać od fortepianu, pozostała na miejscu, a na jej twarzy malowała się niemal tęsknota. Uśmiechnęła się, nieznacznie uderzając kilka klawiszy, po czym zaczęła znowu grać.

Widział wyraźnie, że ta muzyka coś dla niej znaczy. W pierwszy utwór włożyła więcej duszy niż technicznej zręczności, ale ten ją naprawdę poruszał. Kołysała się w rytm muzyki, a chwilami spuszczała głowę i zapadała cisza. Mógłby przysiąc, że słuchała jakiegoś akompaniamentu, który słyszała tylko ona.

– Nie znam tego utworu – powiedział, kiedy wybrzmiała ostatnia nuta i zapadła melancholijna cisza.

– To była ulubiona melodia mojej matki – powiedziała cicho, nieobecnym wzrokiem patrząc gdzieś przed siebie.

– Czy nauczyła się pani grać ją dla niej?

Nie odpowiedziała. W nabożnym skupieniu przesunęła palcami po klawiszach, tak delikatnie, że nie wydały żadnego dźwięku.

– To piękny instrument, wasza wysokość – powiedziała w końcu. – Powinien pan kazać go nastroić.

Zadrżała lekko, a Jack uświadomił sobie, że jest bliska łez.

Niech to. Oczywiście – mówiła o matce w czasie przeszłym. Jack dobrze wiedział, jak to jest stracić rodzica, a przecież był starszy niż ona teraz, kiedy jego ojciec umarł.

– Przykro mi, że ją pani straciła – powiedział cicho.

Nie patrząc na niego, zamknęła klawiaturę i wstała od fortepianu.

– Proszę mi wybaczyć, sir. Muszę nieco odpocząć.

Dygnęła z trudną do opisania gracją i wyszła z pokoju.

Jack poszedł za nią, gnany niejasnym pragnieniem pocieszenia jej, ale powstrzymał się, świadom, że to on stał się przyczyną jej smutku. Nawet na niego nie spojrzała, a kiedy weszła po schodach, puściła się biegiem. Jack stanął jak wryty i słuchał odgłosu jej kroków w korytarzu na piętrze, czując się jak skończony kretyn.

9

W porze obiadu Sophie unikała księcia. Udało jej się zapanować nad emocjami i postanowiła nigdy więcej nie grać na fortepianie. Nie miała pojęcia, co ją skłoniło, żeby zagrać *Zmęczonego żołnierza* z *Artakserksesa* Arne'a. To był ulubiony utwór mamy, który przyniósł jej sławę w całej Europie. To z pewnością z powodu tego fortepianu – instrument był naprawdę piękny, chociaż nieco rozstrojony. Z jaką przyjemnością papa zagrałby na nim; z jaką przyjemnością mama zaśpiewałaby w tym pięknym pokoju muzycznym, o tak cudownej akustyce.

Ale nie powinna poddawać się takim myślom i wspomnieniom. Gdyby jej rodzice byli tu teraz, byliby wstrząśnięci, widząc, w jakie tarapaty się wpakowała. Zawsze powtarzała sobie, że zrozumieliby decyzje, jakie podjęła w życiu, ale ta… *sytuacja*… była głupia i wcale nie musiało do niej dojść, gdyby tylko Sophie umiała nad sobą zapanować. A teraz jedynym sposobem wydostania się z opałów było zachowanie rozsądku i przytomności umysłu.

Kiedy zeszła po schodach, czekała na nią pani Gibbon.

– Jego wysokość jest na zewnątrz.

Spojrzała na nią zaskoczona.

– Na deszczu?

– Nie, proszę pani. W portyku – odparła z uśmiechem gospodyni. Poprowadziła ją przez hol do szerokich drewnianych drzwi, które stały otworem.

Sophie podziękowała cicho i wyszła na szeroki taras, oświetlony czterema mosiężnymi latarniami zwieszającymi się ze stropu portyku.

Deszcz wyglądał jak gęsta mgła. Układał się w smugi, zupełnie jakby chmury opadały ku ziemi. Niebo rozjaśniło się nieco, przybierając złocistoszare odcienie, jakby chmury ustępowały przed siłą zachodu słońca. Wypielęgnowany ogród widoczny z okien błękitnego pokoju leżał dalej na prawo, a wprost przed nimi rozciągał się starannie przystrzyżony trawnik z majaczącymi w oddali magnoliami. Wyłożona kamieniami ścieżka wiła się w kierunku jeziora, którego położenie wskazywały drzewa rosnące wzdłuż brzegu.

– Jaki piękny widok – odezwała się do wpatrzonego w dal mężczyzny.

Odwrócił się. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, znowu przyprawiając o dreszcz.

– Rzeczywiście. – Spojrzał przed siebie, kiedy podeszła i stanęła obok niego. – Jezioro powstało na przegrodzonym tamą strumieniu, sięga daleko w głąb lasu. Chodziliśmy tam razem z Philipem w dzieciństwie. Mieliśmy czółno uwiązane przy moście i wypływaliśmy dalej, gdzie nie było nas widać z domu, żeby kąpać się i łowić ryby.

– Jak miło.

– Tak. – Zawahał się. – Chciałbym panią przeprosić za to, co wydarzyło się wcześniej.

Wiedziała, co ma na myśli, ale odruchowo posłała mu promienny uśmiech.

– Za to, że porwał mnie pan z Londynu?

Uśmiechnął się cierpko. Doskonale wiedziała, że nie za to przepraszał.

– Nie. Za to, że poprosiłem, żeby pani zagrała.

– Och. Ostrzegałam, że fortepian jest rozstrojony… – próbowała obrócić wszystko w żart, ale kiedy spojrzał na nią ze zrozumieniem i współczuciem, zamilkła.

– Przywołałem smutne wspomnienia, co nie było moim zamiarem. Przepraszam.

Poczuła ucisk w gardle i przełknęła ślinę.

– Nie ma za co. Nie mógł pan wiedzieć. Prawdę mówiąc, nie powinnam była grać tego utworu. Od tak dawna nie siedziałam przy fortepianie…

– Musiała pani ją stracić bardzo wcześnie.

Sophie zmusiła się do uśmiechu.

– Tak. Miałam dwanaście lat.

– To smutne. Bardzo mi przykro – powiedział ze szczerym współczuciem. – Lubiła muzykę?

Uśmiechnęła się szczerze.

– Bardzo. Kiedy byłam zła albo niegrzeczna, śpiewała reprymendy. Nasz dom zawsze wypełniała muzyka. To był jej ulubiony utwór, bardzo często słyszałam, jak go śpiewała…

Zanim mama straciła swój czysty, piękny sopran. Sophie odsunęła od siebie tę myśl.

– Myślę, że to było straszne rozczarowanie dla wszystkich, kiedy okazało się, że nie mam głosu i niewielki talent do fortepianu, choć bardzo starałam się ćwiczyć. A potem w szkole…

– Czy w szkole nie było nauczyciela muzyki? – spytał książę, kiedy zamilkła, pogrążając się znowu w przykrych wspomnieniach.

– Był. Ale to nie to samo – szepnęła.

Żadne lekcje muzyki u pani Upton nie mogły się równać z obserwowaniem mamy śpiewającej dla cara albo zachwytem nad kotlistami mediolańskiej orkiestry. Z żadnym nauczycielem nie poznawała muzyki tak jak przy papie, czując ją i żyjąc nią w sposób zupełnie niedostępny uczennicom szkoły dla młodych dam. Papa nawet na tak rozstrojonym fortepianie umiałby dać koncert, który wycisnąłby łzy z oczu wszystkich słuchaczy i nikt nie usłyszałby nawet jednej fałszywej nuty.

– Ojciec zachęcał mnie do rysowania – powiedział książę. Sophie spojrzała na niego zaskoczona, ale on wpatrywał się w jezioro w oddali. – On sam szkicował, chociaż to były raczej rysunki architektoniczne. On rysował budowle, a ja mieszkających w nich ludzi.

Uniósł rękę i wskazał na prawo.

– Tam, za rogiem domu, stoi łaźnia, którą zaprojektował.

– Czy nadal pan rysuje? – spytała cicho.

Jego ręka opadła bezwładnie.

– Nie.

– Dlaczego?

Silny podmuch wiatru opryskał ich kropelkami deszczu. Sophie nie potrafiła się oprzeć; uniosła twarz i głęboko wdychała chłodne, wilgotne powietrze. Nigdy nie przyznałaby się do tego głośno, ale wieczór był wspaniały. W Londynie w czasie deszczu narzekałaby, że niszczy pantofle, chodząc po mieście. Ale tutaj mogła po prostu stać i napawać się spokojnym pięknem krajobrazu.

Kiedy otworzyła oczy, książę przyglądał się jej jak zahipnotyzowany. Na jego twarzy malowało się tylko skupienie, bez śladu wcześniejszej powściągliwości i chłodu. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy, ale odwrócił się i znowu spojrzał w dal.

– Z tych samych powodów, dla których pani przestała grać, jak sądzę. Inne sprawy zajmowały mój czas i uwagę.

Przez chwilę w milczeniu obserwowali deszcz.

– Ten dom zawsze był dla mnie azylem – powiedział w końcu książę. – Nawet jako chłopiec, kiedy miałem lekcje do odrobienia, po skończeniu mogłem pójść do lasu albo nad jezioro. Teraz należy do mnie, jest tylko mój, bo matka go nie lubi, a Philip woli inne rozrywki. Nie chcę, żeby to bezpieczne schronienie wypełniały gniew i nieprzyjemne myśli. – Spojrzał na nią. – Nie powinienem był zmuszać pani do przyjazdu tutaj. Byłem

wściekły na Philipa, ale… cóż. Stało się, a na deszcz nie mam wpływu. Czy przyjmie pani moje przeprosiny? – Wyciągnął rękę.

Powoli ona także podała mu rękę. Książę nie nosił rękawiczek, ona także.

– Tak, wasza wysokość.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

– Czy moglibyśmy sobie to darować? Wystarczy Ware.

– Świetnie. Ware. – Tym razem jej uśmiech był nieśmiały, lecz szczery. Wciąż trzymał jej dłoń i zanim puścił, jego palce lekko się zacisnęły. Sophie ukryła dłoń w fałdach sukni i poruszyła palcami, aby zetrzeć z nich jego ciepło.

– Pomyślałem, żeby zjeść kolację w pokoju śniadaniowym. Jadalnia jest…

– Zbyt okazała na zwykłą kolację? – dokończyła, kiedy się zawahał.

– Szukałem słowa lepszego niż przytłaczająca – odparł i jeszcze raz uśmiech rozjaśnił jego twarz.

Wbrew sobie odwzajemniła uśmiech.

– Zbyt duża dla dwóch osób?

Roześmiał się. Sophie mimowolnie przyłączyła się do niego. Miał cudowny śmiech; jaka szkoda, że nie śmiał się częściej.

– O wiele za duża. – Podał jej ramię.

Przyjęła je nieufnie. Przystojny, atrakcyjny, a teraz stawał się czarujący. Będzie musiała być bardzo, bardzo ostrożna, żeby nie zrobić z siebie idiotki.

10

Następnego ranka Jack kończył właśnie śniadanie, kiedy Wilson przyniósł pierwszą złą nowinę.

– Wasza wysokość, jest tu pan Percy.

Percy właśnie w tej chwili powinien pilnie pracować w rezydencji Ware'a w Mayfair. Percy znał swoje miejsce, co znaczyło, że istnieje tylko jedno wyjaśnienie jego obecności w Alwyn. Jack złożył gazetę – Wilson musiał skoro świt posłać po nią kogoś – i wstał.

– Gdzie?

– W porannym pokoju, wasza wysokość.

Jack zerknął w stronę drzwi. Pani Campbell jeszcze się nie pojawiła. Co niepokojące, nie mógł się doczekać spotkania z nią.

– Czy pani Campbell już wstała?

– Tak sądzę. Pani Gibbon udało się znaleźć kilka odpowiednich dla niej ubrań, ale wspomniała, że będą wymagały drobnych przeróbek.

Oczywiście; nie miała własnych strojów. Jack odetchnął dopiero teraz, zdając sobie sprawę, jak bardzo spiął się w sobie, kiedy minuty mijały, a ona nie przychodziła.

– Bardzo dobrze.

Lokaj skinął głową, otworzył z rozmachem drzwi i Jack poszedł spotkać się ze swoim sekretarzem.

Richard Percy stał w pokoju porannym. Ubłocone buty i przemoczony płaszcz świadczyły, że przed chwilą przyjechał konno z miasta.

– Wasza wysokość. – Ukłonił się, widząc w drzwiach Jacka. – Proszę mi wybaczyć to wtargnięcie…

– Ale jej wysokość moja matka odchodzi od zmysłów z niepokoju – dokończył cierpko Jack. – Czyż nie?

– Tak, proszę pana. – Percy wyraźnie się odprężył.

Jack wiedział, że niepokój matki nie wynikał z obawy o jego bezpieczeństwo. Prawdę mówiąc, najprawdopodobniej w ogóle się nie niepokoiła, tylko złościła. Od chwili gdy odziedziczył tytuł, wbijała mu do głowy, że musi być bez zarzutu pod względem finansowym, moralnym i towarzyskim. Zawarcie skandalicznego zakładu z kobietą w klubie dla hazardzistów było jedną z tych rzeczy, które mogły urazić jej poczucie przyzwoitości, a nagły wyjazd z tą samą kobietą do Alwyn House zapewne doprowadził ją na krawędź szaleństwa.

Przez chwilę zastanawiał się, co Philip powiedział matce. Philip nigdy nie potrafił się oprzeć, jeśli miał szansę opowiedzieć dobrą historię, a scena w klubie Vega była niewątpliwie najbardziej szokującą rzeczą, jaką Jack zrobił w ciągu ostatnich kilku lat. Oczywiście jeśli Philip powiedział jej o tym, musiał też przyznać, że znowu grał w klubie, tym samym łamiąc obietnicę, która była warunkiem spłacenia jego długu przez Jacka. Philip niechętnie przyznawał się do winy.

Cóż. Możliwe, że księżna nie zwróciłaby na to uwagi, wstrząśnięta poczynaniami Jacka. Nigdy nie było tajemnicą, że faworyzowała drugiego syna, tak podobnego do niej, natomiast Jack – dziedzic tytułu – mógłby równie dobrze być wyłącznie synem swojego ojca.

– Możesz zapewnić jej wysokość, że mam się doskonale i wrócę do miasta, kiedy będzie mi to odpowiadało.

– Czy zamierza pan długo tu zostać, sir? – Percy cofnął się o krok, rażony spojrzeniem Jacka. – Pytam tylko, żeby wiedzieć.

– Nie – odparł krótko Jack. – Kilka dni.

– Oczywiście. – Percy oblizał wargi, po czym wyjął z kieszeni opieczętowany list i podał mu. – Jej wysokość poleciła mi to dostarczyć.

Jack wziął list, nie patrząc na niego.

– Wilson pośle kogoś, żeby przygotował pokój. Idź się wysuszyć. Możesz wrócić do Londynu, kiedy tylko twój koń będzie gotowy. Ufam, że przez kilka dni poradzisz sobie beze mnie.

Sekretarz ukłonił się i wyszedł. Jack zaklął głośno w pustym pokoju. List od matki ciążył mu w dłoni niczym kowadło. Wiedział, co w nim przeczyta. Od dnia, w którym odziedziczył tytuł, nieustannie przypominała mu, że musi pamiętać o swojej pozycji i postępować odpowiednio, żeby okazać szacunek ojcu i wszystkim książęcym przodkom.

Złamał pieczęć i rozłożył list. Jak się spodziewał, matka wyrażała swoje oburzenie i rozczarowanie, kończyła zaś surowym stwierdzeniem, że podważył swoją rolę głowy rodziny, dopuszczając się dokładnie takiego zachowania, od jakiego trzeba odwodzić Philipa. Jego brat, pisała księżna, czuje się upokorzony i oszołomiony takim postępowaniem; dodawała, że odtąd nie sposób będzie zapanować nad jego zachowaniem.

Jack zacisnął usta. Już teraz nie sposób było zapanować nad zachowaniem Philipa i nie miało to nic wspólnego z poczynaniami Jacka.

Najgorszy jednak był ostatni akapit. *To, że zrobiłeś coś takiego, nie tylko mną wstrząsnęło, ale też postawiło w wyjątkowo kłopotliwej sytuacji. Liczyłam, że będziesz mi towarzyszył na dzisiejszym balu u Benthamów; z Twojej nieobecności wnoszę, że o tym zapomniałeś, co zmusza mnie do wysłania niewybaczalnie późnych przeprosin. Na balu będzie lady Stowe i jej córka, a obie oczekują twojej obecności. Nie spodziewałam się, że zaniedbasz je tak beztrosko i łatwo; Twój ojciec nie byłby zadowolony…*

To niesprawiedliwe, pomyślał z irytacją Jack. Rodzina Stowe’ów była im bliska od dziesięcioleci. Zmarły hrabia był najdroższym przyjacielem ojca, a lady Stowe i matka Jacka były praktycznie nierozłączne. Tragicznym zbiegiem okoliczności ten sam wypadek na łódce, który doprowadził do

śmierci hrabiego, odebrał też – po tygodniu choroby – życie księciu. Na łożu śmierci ojciec błagał Jacka, żeby zadbał o lady Stowe i jej córkę, Lucindę, i Jack mu to obiecał. Od tamtego czasu przez siedem lat natychmiast robił dla nich wszystko, o cokolwiek poprosiły. Nigdy ich nie zaniedbywał.

To prawda, że zapomniał o tym jednym balu. W innych okolicznościach poszedłby, gdyby lady Stowe i jej córka także się wybierały. Lucinda debiutowała w tym sezonie i Jack wiedział, że ojciec oczekiwałby, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by odniosła towarzyski sukces. Ostatnim razem kiedy ją widział, tuż przed świętami, mówiła, że bardzo się denerwuje.

Jednak matka nie myślała o nerwach Lucindy; próbowała go zawstydzić i w ten sposób zmusić do powrotu do Londynu – czemu nie zamierzał ulegać. Nie tylko nie przywykł, by go do czegoś zmuszano, ale też wciąż nie wiedział, co myśleć o pani Campbell – za to przekonał się, że jest niezwykle ekscytująca, bardziej niż jakikolwiek bal.

Wcisnął list do kieszeni i niespiesznie wrócił do pokoju śniadaniowego. List zawierał coś niepokojącego. Było oczywiste, że Philip znajdzie sposób, by zrzucić winę na *niego*, odsuwając od siebie wszystkie zarzuty. Dopóki księżna wierzyła, że Philip jest raczej ofiarą niż draniem, będzie nadal wypłacała mu pensję, zamiast nakłaniać do zmiany postępowania. Może Jack powinien wziąć księgi rachunkowe i pokazać matce, ile musiał wydać na spłatę ostatnich długów Philipa; był pewien, że brat jej o tym nie powiedział. Ojciec uważał, że rachunki nie są sprawą dla kobiet, z wyjątkiem domowych wydatków, a nawet te on musiał zaakceptować. Zmarły książę traktował swoją żonę i młodszego syna z pobłażliwością, która utrzymywała ich w nieświadomości i uwalniała od odpowiedzialności za konsekwencje ich poczynań. Wszystko to spadło na Jacka, a oczekiwanie, że będzie robił wszystko dokładnie tak samo jak ojciec, zaczynało mu ciążyć.

Kiedy wszedł do pokoju, pani Campbell siedziała przy stole i jadła śniadanie. Dzisiaj miała na sobie prostą suknię w ciemnym odcieniu zieleni. Zaczął się zastanawiać, skąd ją wzięła, ale przypomniał sobie, że w ogóle nie powinien myśleć o jej strojach, dopóki miała na sobie coś przyzwoitego. Ta suknia – niestety – miała mniejszy dekolt niż wczorajsza suknia pokojówki.

– Dzień dobry – powiedziała z uśmiechem, kiedy stanął w drzwiach.

– Dzień dobry. – Zajął miejsce przy stole.

Nie może pozwolić, żeby Percy ją zobaczył. Percy pracował wcześniej dla jego ojca i czasami Jack podejrzewał, że jest lojalny raczej wobec tytułu niż tego, kto go akurat nosił. Percy nie był ślepy, a gdyby doniósł księżnej, że Jack przyjechał do Alwyn z piękną kobietą, to by ją doprowadziło do furii. Jack nie miał ochoty zastanawiać się nad tym.

– Czy chciałaby pani zwiedzić dzisiaj strychy?

Spojrzała na niego ze zdumieniem i Jack uświadomił sobie, jak dziwnie mogło zabrzmieć to pytanie.

– Pytała pani o lochy i sale tortur, których niestety nie ma w Alwyn. Strychy są najbliższym, co mogę zaproponować w zastępstwie. Deszcz nie przestaje padać, co znaczy, że utknęliśmy tu na jakiś czas. Staram się znaleźć jakieś rozrywki.

Jej wargi wygięły się w tym nieśmiałym uśmiechu, który wydawał mu się tak urzekający.

– Skoro przedstawia pan to tak kusząco, jak mogłabym się oprzeć?

Dokończyli śniadanie i Jack polecił Wilsonowi przygotować kilka lamp. Szepnął też lokajowi, że nic nie powinno przeszkodzić Percy’emu w jak najszybszym powrocie do Londynu. Potem skierował się do wschodniego skrzydła, mając u boku panią Campbell, która z jakiegoś niejasnego powodu nie mogła się doczekać zwiedzenia ciemnych, zagraconych strychów.

– Co tam znajdziemy? – spytała, kiedy otworzył drzwi, za którymi znajdowały się schody prowadzące na strych. Gdy zastanawiał się nad odpowiedzią, poczuł na twarzy podmuch gorącego, zatęchłego powietrza.

– Prawdę mówiąc, nie jestem pewien. Od lat nie byłem na górze.

Podciągnęła spódnicę i ruszyła za nim po schodach.

– Tu też bywaliście z Philipem?

Jack uśmiechnął się i zerknął za siebie. Z wyższego stopnia zobaczył jej dekolt i potknął się na schodach, omal nie upuszczając lampy.

– Hm… nie – powiedział, próbując sobie przypomnieć, o co pytała. – Philip kiedyś się tu zgubił i był tak przerażony, że nigdy więcej nie chciał wejść na strych.

Ściskając w dłoni skraj sukni, spojrzała na niego z lekko rozchylonymi wargami.

– Niemożliwe! – powiedziała zaskoczona.

Zaschło mu w ustach. Może to był zły pomysł. Nie potrafił myśleć o niczym innym niż o tym, że znalazł się z nią sam na sam w ciemności. Wydawało się, że nie jest już zła na niego, a minęły całe wieki, odkąd jakaś kobieta wydawała mu się tak pociągająca…

– Od tamtej pory to była moja kryjówka – powiedział, wciąż rozkojarzony widokiem jej pełnych warg i wypukłości biustu. – Bez matki, brata i lekcji.

– Co pan tu znalazł? – Była nieco zdyszana, kiedy dotarła na szczyt schodów. Jack ukradkiem przyglądał się jej falującej piersi pod napiętą zieloną tkaniną sukni.

– Przede wszystkim stare meble – odparł. Sofy i leżanki, na których można uwieść kobietę. – I trochę starej broni.

– Ojej. – Weszła na strych.

Wysoki, mansardowy strop wznosił się ponad nimi, niknąc w ciemności. Deszcz bębnił o łupkowe dachówki, niezbyt mocno, ale miarowo. Dzięki chmurom nie było gorąco, lecz przyjemnie ciepło.

– Teraz rozumiem, co miał pan na myśli – powiedziała cicho.

– Hmmm? – Wyglądała jak Madonna, namalowana z nabożeństwem przez oddanego artystę, kiedy stała z uniesioną głową, patrząc na wysokie sklepienie. W blasku lampy jej skóra jaśniała jak czyste złoto.

– Cóż za wspaniała kryjówka! – Uśmiechnęła się promiennie. – Nikt by pana tu nie znalazł. I jak pan mówił, pełno tutaj mebli. Mając lampę, trochę ciasteczek i dobrą książkę, kto nie chciałby się zaszyć w takim miejscu? – Uniosła lampę i weszła dalej.

Szli powoli. Podobnie jak reszta Alwyn House, strych był utrzymany w idealnym porządku – wszystkie meble były opakowane i starannie posegregowane według pokoi.

Pani Campbell znalazła ozdobną klatkę dla ptaków, a Jack z zaskoczeniem przypomniał sobie papugę swojej babki.

– Miała paskudnie ostry dziób – powiedział, krzywiąc się.

Parsknęła śmiechem.

– To zabrzmiało, jakby próbował pan wkładać palce do klatki.

– Czemu pani tak pomyślała? – Przyglądał się złotej klatce zawieszonej na ozdobnym stojaku. – Zapamiętałem ją jako znacznie większą. Papuga była ogromna.

– Nic dziwnego, że dziobała. Każde stworzenie zamknięte w zbyt małej klatce wściekałoby się na tych, którzy je uwięzili.

– To nie ja ją uwięziłem – mruknął. – Do dziś została mi blizna. – Przesunął kciukiem po jaśniejszym śladzie na palcu.

Uśmiechnęła się.

– Proszę sobie wyobrazić, jak musiała się czuć papuga, całe życie w zamknięciu.

Posłał jej ostre spojrzenie, ale ona już poszła dalej, z pogodnym wyrazem twarzy, zafascynowana dziwnym krzesłem. Jack pamiętał je doskonale – stało niegdyś w bibliotece – i pokazał Sophie, jak odchylić siedzenie, żeby zamienić krzesło w niskie schodki. Zapuszczali się coraz dalej, aż dotarli do

końca wschodniego skrzydła. Kiedy Jack wyjął zegarek i zerknął na tarczę, ze zdumieniem stwierdził, że spędzili kilka godzin na pokrytym kurzem strychu. A co najbardziej wstrząsające, mógłby przysiąc, że minęło zaledwie kilka minut.

– Strych jest niemal równie intrygujący jak sam dom – powiedziała, przysiadając ostrożnie na krawędzi starej sofy upchniętej pod krokwiami. – To historia pańskiej rodziny.

– Niezupełnie. – Jack wszedł na kufer i otworzył jedno z wysokich, wąskich okien.

Uchyliło się o kilka cali i zacięło, ale wpuściło powiew powietrza, które było cudownie rześkie. Z okna widział stajnie i zastanawiał się, czy Percy już wyjechał.

– W tym celu musiałaby pani pojechać do Kirkwood Hall. Dom należał do rodziny, jeszcze zanim Henryk Tudor zasiadł na tronie.

– Wielkie nieba! Tam musi być prawdziwa historia. – Wychyliła się w stronę okna, wdychając chłodne powietrze.

– To kompulsywne gromadzenie wszystkiego dla przyszłych pokoleń. Za sto lat podłoga tego strychu zarwie się pod ciężarem rodzinnej historii.

Uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od pokrytego kurzem okna.

– Proszę pomyśleć, jakie to będzie fascynujące dla pańskich wnuków.

– Czytanie moich starych zadań z łaciny? Nie sądzę. – Znalazł właśnie stare podręczniki swoje i Philipa, starannie ułożone w biurku, które mgliście pamiętał z dziecinnego pokoju. Czemu ktoś uznał za stosowne je przechować – nie potrafił sobie wyobrazić.

– Nie wiem – powiedziała ze smutkiem. – Będą oglądać pana portrety na dole, sztywne i pompatyczne. Mogą się ucieszyć, kiedy odkryją, że i pan był kiedyś chłopcem o okropnym charakterze pisma i musiał powtarzać łacińskie słówka tak samo jak oni.

Jack zignorował uwagę na temat sztywnego i pompatycznego portretu. Oparł się o wyjątkowo ohydną komodę z szufladami naprzeciwko sofy, na

której siedziała. Przez chwilę przestała zachowywać wymuszoną rezerwę; miała niemal ten sam wyraz twarzy co wczoraj, kiedy zapytał ją o matkę.

– To zabrzmiało, jakby mówiła pani o sobie w dzieciństwie.

– O mnie? – Uśmiechnęła się i westchnęła. – Nie. Moi rodzice umarli, kiedy miałam dwanaście lat. Prawie nic mi po nich nie zostało. – Zamilkła, wpatrzona w przestrzeń. – Mój ojciec został wydziedziczony przez swoich rodziców, więc nigdy nie miałam okazji poznać rodzinnej siedziby. Wszystko, co związane z jego młodością, jest dla mnie stracone, ale gdybym miała szansę obejrzeć jego stare zeszyty do łaciny, zobaczyć, co bazgrał na marginesach, poznać jakąś jego cząstkę… skorzystałabym z takiej okazji.

– Dlaczego?

Spojrzała na niego ze zdumieniem i Jack zdał sobie sprawę, że jego pytanie mogło zabrzmieć zbyt ostro i natarczywie.

– Dlaczego pani ojciec został wydziedziczony? – spytał łagodniej.

– Za to, że ożenił się z moją matką. – Uniosła dumnie głowę. – Ale nigdy tego nie żałował.

Jack uniósł brew. W *jej* głosie zabrzmiała nuta żalu, kiedy mówiła o rodzinnej historii, o której jej ojciec musiał zapomnieć, gdy został wydziedziczony.

– Nie żałował – powtórzyła z naciskiem. – Jego ojciec chciał, żeby ożenił się z dziewczyną, której rodzina mieszkała w sąsiedztwie, którą znał od dzieciństwa. Ale papa mówił, że czułby się, jakby żenił się z własną siostrą, a poza tym to dałoby jego ojcu… – Urwała i zacisnęła usta. Jej oczy rozbłysły i wyglądała dość groźnie, mimo smugi z kurzu na podbródku i pajęczyn na pożyczonej sukni.

Jack domyślił się, że pani Campbell nie ma dobrego zdania na temat swojego dziadka.

– Miał szczęście, że mógł pójść za głosem serca.

Spojrzała na niego ostro, lecz wyraz irytacji szybko przeszedł w żal.

– On *postanowił* pójść za głosem serca. Oczywiście, to wymagało pewnego poświęcenia z jego strony, ale pogodził się z tym.

– To godne pochwały – odparł Jack.

Zatem jej ojciec nie dziedziczył żadnego ważnego tytułu ani posiadłości. Żaden dziedzic nie mógłby pójść za głosem serca, chyba że kierowałoby go ono do damy o nieskazitelnym pochodzeniu i majątku.

– Ale dlaczego rodzina nie mogła zaakceptować pani matki?

Zaczerpnęła tchu, by odpowiedzieć, i nagle zamarła, przyglądając mu się nieufnie.

– Była Francuzką – powiedziała lekkim tonem, który już nauczył się rozpoznawać: próbowała odwrócić jego uwagę. Jack przypuszczał, że francuskie pochodzenie nie było jedynym, co zarzucano jej matce, ale postanowił nie drążyć tego tematu. Na razie.

– Nie pochodziła z Paryża, chociaż nie wiem, czy byłoby to lepsze, czy gorsze. Urodziła się w Nicei – dodała pani Campbell.

– Przypuszczam, że ta różnica nie miała większego znaczenia, skoro przede wszystkim nie mogła być angielską dziewczyną mieszkającą w sąsiedztwie.

Roześmiała się.

– Właśnie! I szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby to mogło cokolwiek zmienić dla mojego dziadka. Bez względu na to, z kim ożeniłby się papa, on znalazłby coś, z czego mógłby być niezadowolony.

– Znam ten typ ludzi.

– Kiedy byłam mała, nazywałam go Ogrem – odparła z szelmowskim uśmiechem.

Jack roześmiał się, ale dobrze zapamiętał jej słowa. Powiedziała, że straciła rodziców, kiedy miała dwanaście lat; czy po ich śmierci dziadek zrobił coś, czym ostatecznie zraził ją do siebie? Nie byłoby czymś zupełnie niezwykłym odrzucenie niechcianej wnuczki, zwłaszcza pochodzącej z małżeństwa, któremu się sprzeciwiał. Być może pani Campbell musiała

bardzo wcześnie nauczyć się sama o siebie dbać. Potem jej mąż najwyraźniej okazał się niezbyt użyteczny, a więc musiała stać się jeszcze bardziej niezależna. Kim jest ta kobieta? Jack zaczynał się zastanawiać, dlaczego nie ma żadnych koligacji.

– Skoro nie miała pani możliwości eksplorowania strychu we własnym rodzinnym domu, z przyjemnością zaproponuję pani mój – powiedział z lekkim ukłonem. – Wnosząc z opisu, pani dziadek musiał być bardzo podobny do mojego pradziadka.

– Tego, który zesłał tu swoją żonę? – Starła kurz z kawałka parapetu i oparła na nim łokieć, rozsiadając się wygodniej na starej sofie. Podmuchy wiatru poruszały luźne pasma włosów na jej skroni, zupełnie jakby muskały je delikatne palce kochanka. – Dlaczego to zrobił?

– Przypuszczam, że nie zależało mu na niej. Ani jej na nim.

Pukiel włosów zawinął się jej przy policzku, łaskocząc kącik ust. Jack był jak zahipnotyzowany tym widokiem, a uznał, że w panującym na strychu półmroku może bezkarnie się jej przyglądać.

– Można zadać sobie pytanie, dlaczego w ogóle zdecydowali się pobrać.

Uśmiechnął się ponuro.

– To było małżeństwo korzystne dla nich obojga. Książęta Ware nie żenią się z powodu takich błahostek jak uczucia.

– Nie? – Wydawała się szczerze zaskoczona; przechyliła głowę i spojrzała na niego. – Nigdy?

Jack pomyślał o Portii. Był zakochany do szaleństwa, tak mu się przynajmniej wydawało, i ożeniłby się z nią, co zakończyłoby się katastrofą.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Myślałam, że bogaty i wpływowy książę może robić, co mu się podoba, żenić się z kim zechce, i nikt nie odważy mu się sprzeciwić. – Pokręciła głową z udawanym smutkiem. – A tymczasem wy musicie się żenić z kawałkiem ziemi albo sumą pieniędzy zamiast z rzeczywistą osobą.

Zacisnął usta z irytacją.

– To nie jest tak, że musimy.

– Och. – Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. – A zatem każde pokolenie *wybiera* małżeństwo z czysto finansowych pobudek.

– Ja z nikim się nie ożeniłem – powiedział.

– Oczywiście. – Spuściła wzrok i uśmiechnęła się.

Za późno zdał sobie sprawę, że tylko się z nim drażniła. Odetchnął i wyjrzał przez okno, ale kątem oka widział jej twarz.

– Przypuszczam, że jeśli idzie o małżeństwo, mam taką samą swobodę jak pani.

Uniosła gwałtownie głowę.

– Co ma pan na myśli?

Aha, trafił. Wzruszył ramionami.

– Jest pani niezależną wdową, może pani robić, co jej się podoba, i nikt nie odważy się pani sprzeciwić.

– Chyba że zechciałabym wrócić do domu. – Spojrzała na niego znacząco. – Czy sądzi pan, że pańscy przodkowie byli szczęśliwi, zawierając małżeństwa z przyczyn dynastycznych?

– Szczęśliwi? Nie mam pojęcia. Zadowoleni? Tak sądzę. Przypuszczam, że znajdowali… satysfakcję gdzie indziej.

Wiedział, że tak było. Jego przodkowie byli cholernie zorganizowani i Jack widział rejestry prezentów, które dawali swoim kochankom i utrzymankom. Jego dziadek utrzymywał w Londynie dom przeznaczony wyłącznie do schadzek; służba miała za zadanie każdego dnia odwracać materac i zmieniać pościel.

– Moi rodzice bardzo się kochali – powiedziała cicho. – Cieszyli się sobą nawzajem. Być może bardziej praktyczne małżeństwa zapewniłyby im bogactwo, ale nic nie mogło się równać z ich szczęściem.

– Czy właśnie tego pani pragnie?

Spojrzała mu w oczy.

– Uwierzy mi pan, jeśli powiem, że tak?

– Ja… – Zawahał się, przypominając sobie, jak zarzucił jej, że szuka bogatego męża. – Uwierzę.

Przez chwilę milczała. A potem uśmiechnęła się szeroko.

– Byłoby cudownie – rzuciła beztrosko. – Ale takie związki wydają się niezwykle rzadkie.

To nie była odpowiedź na jego pytanie. Nie żeby miało dla niego jakiekolwiek znaczenie, kogo albo dlaczego poślubi, pod warunkiem że nie miałby to być Philip. A temu już przekonująco zaprzeczyła. A więc jakiego mężczyzny szukała? Jack odchrząknął, zastanawiając się, co go opętało, by wdać się w tę rozmowę.

– Może zwiedzimy drugą stronę domu, póki jeszcze jest dobre światło?

Zerwała się na równe nogi, zanim skończył mówić.

– Oczywiście.

Sophie pomyślała, że musiała postradać rozum. Co jej strzeliło do głowy, żeby rozmawiać z księciem o miłości i małżeństwie?

To na pewno półmrok i duszna atmosfera strychu osłabiły jej czujność. A może stulecia rodzinnej historii widoczne wszędzie dookoła – coś, czego sama nigdy nie doświadczyła, a za czym w głębi duszy tęskniła. Myśl, że mogłaby znaleźć lalkę matki z dzieciństwa albo pierwszy zeszyt ojca, nastroiła ją dziwnie sentymentalnie. Oczywiście, to wyjaśniało, dlaczego powiedziała właśnie jemu – gorzej nie mogła wybrać! – o romantycznym, choć zakazanym małżeństwie swoich rodziców. Do tej pory wiedziały o tym tylko Eliza i Georgiana, a jednak coś ją podkusiło, żeby opowiedzieć także księciu Ware.

Wschodnia część strychu nie była tak intrygująca. Wzdłuż ścian w równych rzędach stały skrzynie i kufry. Kiedy udało jej się otworzyć jedną ze skrzyń, zobaczyła jakieś metalowe elementy, starannie owinięte we flanelę i przykryte słomą.

– To rycerska zbroja i broń! – Triumfalnie uniosła długi pręt zakończony groźnie wyglądającym hakiem. – Jak pan sądzi, ilu wrogów powalili tym pańscy przodkowie? To wygląda jak włócznia.

Ware sprawiał wrażenie zaskoczonego i podszedł bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. Oglądał włócznię przez chwilę, po czym spojrzał dziwnie na Sophie.

– To jest stary pogrzebacz. O ile wrogowie nie próbowali wtargnąć do domu przez kominek, raczej nikt nie został nim powalony.

Skrzywiła się i odłożyła pogrzebacz, który naprawdę powinien być włócznią.

– Jakie to zwyczajne.

– Ostrzegałem. – Uśmiechnął się.

To zniechęciło ją do otwierania następnych skrzyń. Sophie przyjrzała się jednemu z kufrów.

– Co to jest? – Dotknęła małej srebrnej plakietki przybitej na boku.

Książę przysunął bliżej lampę i ukląkł. Niechcący otarł się przy tym ramieniem o jej łokieć, wywołując dreszcz, który przeszył ją aż do stóp. Cofnęła się, odruchowo dotykając miejsca, gdzie ich ciała się zetknęły. Cofnęłaby się jeszcze dalej, lecz nie było dość miejsca – utknęła mając skrzynie za plecami, a jego szerokie ramiona i złote włosy przed sobą. Klęczał z głową na wysokości jej kolan – w sam raz, by wpleść palce w jego włosy.

Przerażona, zmusiła się, by przestać na niego patrzeć, i wbiła wzrok w konstrukcję dachu. Był nieprzyzwoicie przystojnym mężczyzną. Do tego dzisiaj był bardzo miły i pozwalał jej buszować wśród starych mebli. Zanim zdążyła temu zapobiec, w jej głowie zaczęły rozbrzmiewać słowa Georgiany o sprawieniu, żeby jeden z dżentelmenów, których poznała w klubie Vega, zakochał się w niej. I nie potrafiła nie myśleć o tym, że Ware’a poznała właśnie tam.

Mężczyzn, z którymi grała, najczęściej trzymała na dystans; nie chciała wychodzić za nałogowego hazardzistę. Ale książę Ware nie był hazardzistą. Nie był też zimnym, sztywnym nudziarzem, jakiego opisywał Philip. Był wręcz nieznośnie atrakcyjny, zwłaszcza kiedy się uśmiechał, i interesował się nią. Poczuła falę ciepła na myśl, że mogłaby z nim flirtować tutaj, w tym ciemnym, zacisznym świecie, gdzie byli tylko oni dwoje…

– Monogram mojej babki – powiedział nagle, aż drgnęła zaskoczona. – W jak Wilhelmina, pod książęcą koroną. – Wstał i stanął obok niej. – Doskonale jeździła konno. Nawet w podeszłym wieku utrzymywała wspaniałą stajnię.

Sophie starała się nie zwracać uwagi na to, że ich ręce prawie się stykały, a gdyby zrobiła ćwierć obrotu w lewo, znalazłaby się w jego ramionach.

– Wilhelmina – powiedziała, rozpaczliwie szukając czegokolwiek, co mogłoby odwrócić jej uwagę od takich myśli. – Cóż za niezwykłe imię.

– Jej ojciec był niemieckim księciem. Małżeństwo zostało zaaranżowane, ponieważ pradziadek sądził, że zjedna sobie przychylność Jerzego II, jeżeli sprowadzi swojemu synowi narzeczoną z Hanoweru.

– Oczywiście – mruknęła.

Westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Tak, to małżeństwo było zaaranżowane z przyczyn politycznych. Ale jestem przekonany, że się lubili i dziadek nigdy jej nie odesłał. Prawdę mówiąc, spełniał wszystkie jej zachcianki. Sprowadzał dla niej konie z najlepszych stajni Europy.

– Prawdziwe małżeństwo z miłości – powiedziała.

Spojrzał na nią z irytacją.

– Czy każdy musi się żenić z miłości?

– Oczywiście, że nie. Ludzie mogą się też pobierać dla majątku albo z jakiegokolwiek powodu zapragną.

– Domyślam się, że wie pani coś o tym – odparł. – Skoro już była pani zamężna.

Racja – mityczny pan Campbell. W czasie długiej podróży powozem z Bath do Londynu trzy lata temu Sophie wymyśliła dla siebie zupełnie nową historię, łącznie z tragicznie zmarłym mężem. W jej wyobraźni pan Campbell był wysokim i szczupłym, odrobinę chorowitym, ale uczonym mężczyzną, którego mogła opłakiwać, ale nie tęsknić za nim. Żeby uniknąć pytań o rodzinę, mówiła, że pochodził ze Szkocji, ale jego matka była Amerykanką.

Ale książę nie chciał wiedzieć tego wszystkiego.

– Pastor nie pyta o powody zawarcia małżeństwa. Jeśli zapowiedzi odbyły się jak należy, po prostu odprawia ceremonię.

– Musiała pani być bardzo młoda.

Uśmiech zamarł na jej twarzy.

– Młoda, ale nie naiwna.

– Przypuszczam, że to było małżeństwo z miłości. – Nawet w słabym świetle lampy jego oczy były intensywnie niebieskie i błyszczące. – Skoro związek pani rodziców był tak szczęśliwy.

Odwróciła wzrok.

– Mówiłam już… takie związki zdarzają się bardzo rzadko.

Są rzadkie i mają swoją cenę. Jej Wielki Plan przewidywał znalezienie miłego, wrażliwego mężczyzny o zacnych dochodach. Kogoś, kogo mogłaby lubić, ale nie zakochać się w nim. Wprawdzie Sophie tęskniła za miłością i oddaniem, jakie łączyło jej rodziców, ale nie była pewna, czy miałaby dość odwagi, by jak oni pójść za głosem serca. Czy potrafiłaby zrezygnować ze wszystkiego dla mężczyzny? Nawet mężczyzny, który by ją kochał? Czy potrafiłaby poświęcić samą siebie, żeby zdobywać pieniądze na jedzenie, mieszkanie, lekarza? Jej rodzice szczerze się kochali, ale przyszło im za to drogo zapłacić – a z czasem zapłaciła także Sophie.

– Co jest w tych kufrach? – spytała, żeby zmienić temat. – Jest ich mnóstwo.

Książę przyjrzał się jej badawczo; zauważył, że nie odpowiedziała na jego pytanie, i z jakiegoś powodu wydawał się rozczarowany. Chciał poznać odpowiedź.

– Najprawdopodobniej ubrania. – Przyciągnął kufer z ozdobną literą W i otworzył wieko.

Wewnątrz pod srebrnym papierem leżały warstwy delikatnych tkanin. Sophie ostrożnie odsunęła papier i aż wstrzymała oddech na widok złocistej sukni bogato wyszywanej perłami i ozdobionej koronką.

– Mogę? – Spojrzała pytająco na księcia, który skinął głową.

Delikatnie wyjęła suknię, z zapartym tchem podziwiając misterną robotę. Nawet teraz, sześć dekad po tym, jak wyszła z mody, skrzyła się i olśniewała.

– Jest piękna – szepnęła Sophie. – Oszałamiająco piękna.

Zapragnęła wyjąć suknię z kufra i zobaczyć ją w pełnym słońcu. Chciała stanąć przed lustrem, przyłożyć ją do siebie i choć przez chwilę wyobrażać sobie, że należy do niej. Zerknęła na księcia spod opuszczonych rzęs; stał oparty o jeden z kufrów i obserwował ją – odprężony, lecz czujny. Być może tak naprawdę pragnęła uwierzyć, że w sukni takiej jak ta byłaby godna uwagi księcia…

– Może jednak małżeństwo dla pieniędzy i pozycji ma jakieś zalety – mruknął cierpko książę.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Nigdy nie twierdziłam, że nie ma. – Uważała tylko, że nie są one warte ryzyka.

Ostrożnie odłożyła suknię na miejsce i starannie przykryła ją papierem.

– To prawdziwy kufer ze skarbami – powiedziała, zamykając wieko.

– Zdaje się, że to suknia, w której została przedstawiona na dworze. W Kirkwood Hall w Somerset wisi portret babki w tym stroju.

Kolejny skarbiec rodzinnej historii.

– Musiała wyglądać jak narzeczona Apollina.

– Chyba pani żartuje. Apollo byłby zbyt pospolitym mężem dla księżnej Ware – odparł Jack z kamienną twarzą. Sophie spojrzała na niego zaskoczona, po czym wybuchnęła śmiechem. Książę także, patrząc na nią ciepło i życzliwie. Odsunął kufer na miejsce.

– Czy chce pani otworzyć następny?

Jakaś jej część chciała zobaczyć, jakie jeszcze skarby są tu ukryte, ale wsunęła za ucho niesforny kosmyk włosów i skrzywiła się lekko, zdejmując pajęczyny z palców.

– O ile w którymś z kufrów nie kryje się duch, gotowy jęczeć i potrząsać łańcuchami dla naszej rozrywki, to raczej nie. Myślę, że wzbiliśmy dość kurzu na jeden dzień. – Otrzepała suknię, zbyt późno dostrzegając wady zwiedzania strychów. Cała się zakurzyła.

– Niestety, duchy to jeszcze jedna rzecz, której brakuje w Alwyn – powiedział książę z udawanym rozgoryczeniem. – A nawet jeśli są tu jakieś, to zachowują się bardzo cicho. – Przyjrzał się jej, przechylając głowę. – Nigdy nie przypuszczałem, że kobiety mogą być amatorkami duchów.

– Och – machnęła lekceważąco ręką. – Odkrycie pięknych sukien jest jeszcze lepsze niż zobaczenie ducha.

Uśmiechnął się i rozejrzał dookoła.

– Przypuszczam, że jest ich tu tyle, że wystarczyłoby do ubrania całego dworu.

Sophie pomyślała o swojej skromnej londyńskiej garderobie – teraz uboższej o jedną karmazynową suknię. Pani Gibbon przyniosła ją rankiem, mówiąc, że nic więcej nie da się zrobić z plamami. Zielona suknia, którą miała dziś na sobie, zapewne kolejny spadek po pokojówce, była cała pokryta kurzem. Alwyn House miał więcej strojów – i o wiele piękniejszych – niż ona.

– Jeżeli wszystkie są tak wspaniałe jak ta, którą widziałam, to prawdziwa zbrodnia trzymać je w kufrach – powiedziała. – Czy gronostajowe płaszcze

pańskiego dziadka też są tu schowane?

Książę nie odpowiedział. Przyglądał się jej z bardzo dziwnym wyrazem twarzy. Uniósł rękę i przesunął palcami po jej policzku. Sophie stała jak sparaliżowana; niemal nie mogła oddychać. Dotyk jego palców, muskających jej skórę tak, jak mężczyzna mógłby dotykać kobietę, którą kocha, znowu rozbudził w niej to straszne uczucie – dziwny pociąg do niego i całkowicie niepożądane pragnienie, żeby wplótł palce w jej włosy, przyciągnął ją do siebie i zniewolił na tych starych kufrach…

Cofnął rękę i strzepnął palcami.

– Pajęczyny – powiedział niskim, ochrypłym głosem.

Jej twarz płonęła. Ona cierpiała w paroksyzmach pożądania, a on zauważył, jak się ubrudziła. *Głupia, głupia, głupia* – skarciła samą siebie.

– Niebezpieczeństwa zwiedzania strychów! – Zaczęła energicznie otrzepywać suknię. – Powinnam się umyć…

Książę wydał niski, gardłowy dźwięk.

– Jest pani niezwykłą kobietą, pani Campbell.

Bardziej niż sądzisz, pomyślała nerwowo Sophie. Zdobyła się na beztroski uśmiech.

– Uznam to za komplement, wasza wysokość.

Powoli spojrzał jej w oczy, a jej zrobiło się gorąco na myśl, że obserwował ją, kiedy próbowała oczyścić z kurzu gorset.

– Słusznie – powiedział, przerywając pełną napięcia ciszę. – To miał być komplement.

To powiedziawszy, wziął lampę i skierował się do drzwi, a Sophie z bijącym sercem poszła za nim.

11

Nie wiem, jak pan – oznajmiła trzeciego dnia rankiem pani Campbell – ale ja oszaleję, jeśli nie wyjdę z tego domu.

Jack uniósł brew.

– Na deszcz?

Wyjrzała przez okno.

– Dziś jest bardziej mgła niż deszcz. W Rosji to byłby piękny dzień, który szkoda zmarnować, siedząc w domu.

– Kiedy była pani w Rosji? – zainteresował się.

Zamiast odpowiedzieć, odsunęła krzesło i wstała.

– Myślałam o krótkim spacerze po ogrodzie na początek, a potem może nad jezioro. Powiedział pan, że prowadzi tam ścieżka. Przyłączy się pan do mnie czy zamierza spędzić cały dzień, obijając się na sofie w bibliotece?

Jack także wstał od stołu.

– Nie *obijałem się* od lat, droga pani.

Uśmiechnęła się triumfalnie.

– A zatem poprośmy Wilsona, żeby znalazł nam jakieś parasolki.

Miała rację co do deszczu. Kiedy wyszli na zewnątrz, ledwie było słychać, że pada. Pani Campbell odetchnęła głęboko – z ulgą, jak zauważył – i wykrzyknęła:

– Jak pięknie!

Jack poprawił kołnierz płaszcza i mrużąc oczy, spojrzał na niebo. Dzisiaj było jaśniej, chmury zmieniły kolor z ołowianego na perłowy. Może to

znaczy, że przestanie padać.

Wilson przyniósł dwie parasolki, lecz Jack wziął tylko jedną. Posłał lokajowi znaczące spojrzenie, a ten czym prędzej ukłonił się i wrócił do domu z drugą parasolką. Pani Campbell stała odwrócona do nich tyłem i patrzyła na ogród, więc tego nie widziała. Jack otworzył parasol i zrobił krok w jej stronę.

– Pójdziemy? – Podał jej ramię.

Spojrzała najpierw na niego, potem na jego ramię. Zawahała się przez moment, ale w końcu ujęła go za łokieć. Jej dotyk był najlżejszy z możliwych, a mimo to Jack poczuł jego echo w całym ciele. Uniósł parasol i wyszli razem do ogrodu.

– Kto projektował te ogrody? – spytała, kiedy mijali róże, na których płatkach osiadły krople deszczu.

– Najpierw moja prababka. Przyznaję, że niewiele wiem o ogrodach. Pani Gibbon z pewnością opowie pani całą historię.

– Czy jest tu od dawna?

Skinął głową.

– Co najmniej trzydzieści lat. W każdym razie odkąd pamiętam.

– Cóż za lojalność – mruknęła.

– Nie wszyscy uważają, że moja rodzina jest odrażająca.

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam – fuknęła z oburzeniem.

– Nazwała pani mojego pradziadka potworem. Wyraziła pani dezaprobatę wobec zaaranżowanego małżeństwa dziadków. Twierdziła, że mój brat byłby okropnym mężem, a mnie nazwała irytującym i zarzucała mi porwanie. – Z niejasnego powodu uśmiechnął się, recytując tę listę zarzutów. Być może z powodu niewzruszonego wyrazu jej twarzy.

– Rzeczywiście – odparła natychmiast. – Można by pomyśleć, że płaci pan wyjątkowo wysokie pensje, żeby utrzymać tak lojalną służbę.

– A więc ktoś byłby gotów pracować nawet dla ogra, gdyby płacił wystarczająco dobrze?

– Cóż, jeśli nie można zdobyć majątku przez małżeństwo, to trzeba na niego zapracować. – Przechyliła głowę i spojrzała na niego wyzywająco. – Choć rozumiem, że księciu taka myśl może być zupełnie obca.

– Ma pani całkowitą rację – odparł. – Ja nigdy nie pracuję dla pieniędzy.

Zatrzymała się.

– Nie chciałam powiedzieć… – Wydęła usta, a Jack złapał się na tym, że nie odrywa od niej wzroku.

Co więcej – pomyślał nawet, jak łatwo mógłby pochylić się i ją pocałować, tutaj, w ogrodzie, na deszczu, kiedy wyglądała na tak czarująco skruszoną, z ustami ułożonymi jak do pocałunku.

– Philip mówił, że bardzo dużo pan pracuje.

Na wzmiankę o bracie Jack przestał myśleć o całowaniu pani Campbell. Odwrócił wzrok od jej pełnych, różowych ust.

– Tak. Niestety, Philip jeszcze nigdy nie wykazał zainteresowania tym, czy służba ma regularnie płacone pensje, pobieraniem czynszu ani żadnymi innymi nudnymi sprawami, którymi się zajmuję.

– Ja nie… – Zawahała się. – Nie chciałam pana urazić – powiedziała łagodniejszym tonem. – Wprost przeciwnie! Philip jest nieodpowiedzialnym łobuzem, co czyni go zabawnym kompanem, ale nie mężczyzną godnym podziwu. Chodziło mi o to… – Znowu się odwróciła, żeby spojrzeć na dom, ogrody i mokre od deszczu trawniki. – Praca za pensję służącej to zupełnie inny świat niż to wszystko tutaj. Gdyby musiał pan się martwić, skąd wziąć pieniądze na jedzenie, na mieszkanie i lekarstwa, to… tak, zgodziłby się pan pracować nawet dla ogra, gdyby dobrze płacił.

Gdy mówiła, irytacja zaczęła go opuszczać. Jack zdał sobie z czegoś sprawę: była uboga. Co więcej, pracowała za pensję. Martwiła się o koszty jedzenia i mieszkania.

Nietrudno było odgadnąć tę historię: jej rodzice umarli i zostawili ją, jeszcze jako dziecko, bez majątku. Jej dziadek – nazywała go Ogrem –

niewiele dla niej zrobił, podobnie jak mąż. To dziwne, że nigdy o nim nie mówiła. Ale w jego głowie zaczął się tworzyć obraz kobiety zmuszonej do tego, by samej sobie radzić na świecie. A musiał przyznać, że hazard był najbardziej przyzwoitym z różnych sposobów, jakimi mogła zarabiać na życie.

– Staram się nie być ogrem – powiedział w końcu. – W każdym razie nie zawsze. Ale musi pani zapytać panią Gibbon, żeby wiedzieć, czy mi się to udaje.

Jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech ulgi.

– Nie wątpię, że zbeształaby mnie za samą sugestię, że mógłby nim pan być! Kiedy tu dotarliśmy, zapewniła mnie z wielkim przekonaniem, że idąc pieszo całą milę w burzy, z panem byłam całkowicie bezpieczna.

Jack w tym momencie wcale nie czuł się *bezpiecznie*. Niespodziewany gość budził w nim głębokie pożądanie i z coraz większym trudem przychodziło mu pamiętać, że jest dżentelmenem. Jeśli zbyt długo będzie spacerował z nią po ogrodzie tak jak teraz, z jej dłonią na ramieniu i mając tak kusząco blisko jej usta, może ulec szaleństwu i zrobić coś idiotycznego – na przykład pocałować ją. Ale ona chciała wyjść z domu, a powóz wciąż jeszcze był w naprawie.

Wtedy wpadł na pomysł.

– Czy jeździ pani konno?

Uniosła ze zdziwieniem brwi.

– Tak, ale nie mam odpowiedniego stroju.

Jack zauważył, że znowu ma na sobie suknię pokojówki, tę z głębokim dekoltem, i skinął głową.

– Myślę, że uda nam się rozwiązać ten problem.

Minęło trochę czasu, nim pani Gibbon udało się odszukać starą amazonkę w kufrach na strychu – ale w końcu ją znalazła. Kiedy pani Campbell się przebierała, Jack poszedł do stajni. Dawno minęły czasy,

kiedy w Alwyn trzymano tuzin lub więcej doskonałych wierzchowców, ale wciąż było tu kilka koni.

Wypytywał stajennego, dokąd najlepiej udać się na przejażdżkę, kiedy w drzwiach pojawiła się jakaś postać. Podniósł wzrok i zapomniał, co chciał powiedzieć, kiedy do środka wbiegła pani Campbell, strzepując krople deszczu z rękawów.

Amazonka była staroświecka, lecz pasowała na nią wprost idealnie. Miała intensywny szmaragdowy kolor ze złotym szamerunkiem na żakiecie i otoczony mgiełką koronki kołnierzyk. Dopasowany żakiet podkreślał kształt jej biustu i talii, a długa spódnica kołysała się kusząco na biodrach. Złożyła na piersi dłonie w rękawiczkach i spod szerokiego ronda kapelusza spojrzała Jackowi w oczy.

– Czy tak może być? – spytała lekkim tonem, stając tak, jakby pozowała do portretu. – A może pańska babka wstanie z grobu, żeby ukarać mnie za bezczelność?

– Nie – odparł cicho. – Gdyby miała kogoś ukarać, to mnie.

Ale byłoby warto. Na myśl o wszystkich innych pięknych strojach, które musiały leżeć zamknięte w kufrach, poczuł ucisk w gardle. Sophie Campbell była zjawiskiem w stroju pokojówki. Gdyby założyła złocistą dworską suknię, z diamentami we włosach i na szyi, nikt nie domyśliłby się, że nie jest księżną…

Oddychając ciężej, niż powinien, odwrócił się do Owensa, stajennego, aby skupić uwagę na czymkolwiek innym niż jego intrygująca towarzyszka.

– Łąka na górze – powiedział lakonicznie Owens. – Równo i nie stoi woda.

– Tak. Wspaniale. Daj pani Campbell Minerwę – powiedział, wskazując klacz o łagodnym charakterze i spokojnym kroku. Wcześniej już kazał osiodłać dla siebie konia. Jego ulubieniec został w Londynie, ale Maksymilian, stary wałach, któremu nie będzie przeszkadzał deszcz, też był dobry.

Trzymał się z boku, dopóki stajenni nie przygotowali Minerwy i nie wyprowadzili jej na środek stajni. Stał tam blok do wsiadania i Owens przytrzymał Minerwę przy nim, czekając, żeby pomóc pani Campbell przy wsiadaniu. Jack przyglądał się, jak podchodzi, przytrzymując jedną ręką spódnicę. Sprawiała wrażenie, że dobrze wie, co robi, i zapewne nie potrzebowała jego pomocy, a jednak bezwiednie ruszył w jej stronę.

– Proszę mi pozwolić – powiedział, zanim weszła na blok. – Minerwa tego nie lubi.

Owens spojrzał na niego dziwnie, słysząc to kłamstwo, ale posłusznie zatrzymał konia. Jack splótł palce i lekko się pochylił. Po krótkiej chwili wahania pani Campbell oparła stopę na jego dłoniach, przytrzymując się jego ramion. Jej spódnicę czuć było nieco stęchlizną, lecz Jack wciągnął głęboko powietrze w płuca i podsadził ją. Wylądowała zgrabnie w siodle, ale Jack poczekał, aż przełoży kolano przez łęk i ułoży spódnicę. Minerwa poruszyła się niespokojnie i przez krótką, uderzającą do głowy chwilę pani Campbell przycisnęła nogę do jego piersi. Poczuł jej kolano na ramieniu i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, wyobraźnia podsunęła mu wizję jej kolan uniesionych przy jego biodrach, podczas gdy on poruszał się nad nią, napawając się dotykiem jej gładkiej skóry, wbijając się w nią…

Niech go Bóg ma w opiece.

– Dziękuję, wasza wysokość – powiedziała, odrywając go od tych zmysłowych wizji. Skinął sztywno głową i wskoczył na Maksymiliana, już w siodle dyskretnie poprawiając bryczesy.

Przejechali przez dziedziniec, po czym skręcili w drogę prowadzącą do lasu.

– Łąka na górze leży za lasem – powiedział, utrzymując Maksymiliana tuż obok Minerwy. – Owens mówi, że jest sucha i równa, więc nadaje się do przejażdżki.

– Wspaniale. – Zauważył, że trzyma się w siodle pewnie, choć ostrożnie, jakby od dłuższego czasu nie jeździła konno.

– Mimo wszystko powinniśmy uważać. Jest mokro i Minerwa może się poślizgnąć.

– Oczywiście. – Poklepała klacz po szyi. – Nie zamierzam się ośmieszyć, pędząc przez pola na złamanie karku, żeby w końcu wylądować w błocie.

Uśmiechnęła się, a Jack się roześmiał, choć czuł ucisk w żołądku na myśl o pani Campbell tarzającej się w błocie.

– A zatem spokojna przejażdżka – podsumował, przechodząc w kłus. Kiedy zerknął za siebie, pani Campbell jechała powoli; jej twarz promieniała radością pod szerokim rondem kapelusza.

Jechali przez las ścieżkami, które wiły się między drzewami, omijając większe kałuże. Kiedy wyjechali na łąkę, okazało się, że deszcz przestał padać.

– Wielkie nieba – szepnęła pani Campbell. Zatrzymała Minerwę i z rozchylonymi ustami patrzyła na łąkę. – Proszę tylko spojrzeć…

Na końcu łąki majaczyła ledwie widoczna tęcza. Jack spojrzał na nią pytająco, unosząc brew, a Sophie energicznie skinęła głową. Ruszyli przez łąkę galopem. Powietrze było rześkie i ciepłe i teraz Jack docenił pomysł wyjścia z domu. Nie żałował dnia spędzonego na strychu, ale ta przejażdżka była nieporównanie bardziej ożywcza.

Dotarli na drugą stronę łąki i zwolnili.

– Ojej! – zawołała pani Campbell. – To było wspaniałe!

Zwiało jej kapelusz i pukle mahoniowych włosów opadły na policzki. Oczy jej błyszczały, policzki miała zarumienione i Jack pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział nikogo, kto byłby tak otwarcie szczęśliwy. Roześmiał się i poczuł dreszcz ekscytacji na myśl, że to jego zasługa.

– W końcu coś, co podoba się pani w Alwyn House.

Żartobliwie machnęła w jego stronę szpicrutą, ale jej uśmiech był radosny i zaraźliwy. Jeszcze bardziej promienny i radosny niż ten, którym obdarzyła Philipa.

– To miejsce jest cudowne dzięki Minerwie. Minnie, kochanie, jesteś wspaniała! – Pochyliła się nad karkiem klaczy, żeby podrapać ją za uszami.

Jack odwrócił się i spojrzał za siebie. Jej kapelusz leżał w stratowanej trawie – mała szara plama wśród traw.

– Minerwa idzie wszędzie, gdzie prowadzi Maksymilian. Jest w nim zadurzona.

– O?

– Proszę zobaczyć, jak za nim idzie. Niech pani puści wodze – poradził i skierował swojego konia w stronę kapelusza.

– To nieuczciwe! – zawołała Sophie, kiedy Minerwa ruszyła za nim.

Jack uśmiechnął się szeroko.

– Dlatego że idzie za głosem serca? – przypomniał jej własne słowa.

Przewróciła oczami.

– Dlatego że cały czas byłam z siebie dumna, myśląc, że nie zapomniałam, jak się jeździ konno, a ona tylko szła za wami.

– Jak długo nie siedziała pani w siodle?

Dojechali do kapelusza; Jack pochylił się i podniósł go. Był mokry, ale poza tym nieuszkodzony.

– Och, całe lata. Utrzymanie konia kosztuje o wiele więcej niż wynajęcie dorożki.

Maksymilian przyjaźnie trącał Minerwę pyskiem. Jack wybrał tę właśnie parę, ponieważ wiedział, że konie się lubią.

– Widzi pani? – powiedział, wskazując na nie głową. – Prawdziwa miłość.

– Nie będę tego kwestionować, ponieważ dowodzi, że miałam rację: prawdziwa miłość jest rzadka, lecz potężna. – Wyciągnęła rękę po kapelusz.

– Skąd pani wie, że jest rzadka? – Przytrzymał kapelusz.

Podobało mu się, jak pukle włosów opadają jej luźno przy policzkach. To nadawało jej uroczo potargany wygląd, swobodny i fascynujący.

Oczywiście, niemal wszystko w niej ostatnio cholernie go fascynowało, sprawiając, że pragnął jeszcze większej bliskości.

Poruszyła palcami, domagając się zwrotu nakrycia głowy.

– Ile zna pan małżeństw opartych na prawdziwej miłości?

– Kilka – odparł, uparcie trzymając jej kapelusz.

Uniosła brwi.

– Ale nie w pańskiej rodzinie.

Jack westchnął i oddał jej zgubę.

– Z ich własnego wyboru.

Nie spiesząc się, założyła kapelusz, poprawiając wszystkie niesforne pukle.

– Przypuszczam, że to nas różni, wasza wysokość – powiedziała, w końcu ujmując wodze. – Myślę, że to rzadkie zjawisko, i nie przedłożyłabym nad nie obowiązku ani korzyści towarzyskich. Pojedziemy?

Popędziła Minerwę, zostawiając go samego na środku pola. Stał, zastanawiając się, dlaczego zadał to pytanie. Jej opinie na temat miłości nie powinny mieć dla niego znaczenia.

Jeszcze przez pewien czas kontynuowali przejażdżkę, przemierzając kilkakrotnie łąkę. Jack zdał sobie sprawę, że nie zadała najbardziej oczywistego pytania: dlaczego nie mogą wrócić konno do Londynu? Łąka nie była zryta koleinami ani rozmokła jak drogi, ale wydawało się, że zachowując ostrożność, mogliby przejechać także drogami. Ponieważ codziennie przy śniadaniu znajdował na stole świeże gazety, przypuszczał, że Owens regularnie jeździ na Maksymilianie do najbliższego posterunku pocztowego.

Ale nie zapytała o to i Jack zaczął przypuszczać, że dobrze się bawi. To zaś mu odpowiadało, ponieważ zaczynał myśleć, że tydzień spędzony w jej towarzystwie to stanowczo za krótko.

Zanim wrócili ubłoceni do stajni, niebo znacznie się rozjaśniło. Owens zajął się końmi, a Jack podał jej ramię, gdy ruszyli w stronę domu. Przyjęła je najzupełniej naturalnie.

– Dziękuję, że zabrał mnie pan na przejażdżkę.

– To była dla mnie prawdziwa przyjemność, pani Campbell. – Zaskoczyło go, ile prawdy było w tych słowach. Jak wielką przyjemność sprawiał mu każdy dzień z nią.

– Wie pan, nie sądzę, żebym spędziła tyle czasu z jedną osobą od śmierci moich rodziców – powiedziała.

Jack pomyślał o Percym, swoim sekretarzu, który każdego dnia całymi godzinami siedział w jego gabinecie, kiedy pracowali. Ale Percy się nie liczy.

– Dla mnie to też dość niezwykłe.

– Ktoś mógłby pomyśleć, że zostaliśmy przyjaciółmi – rzuciła lekko.

Pomijając fakt, że żywił wobec niej pewne uczucia, które nie mają zastosowania wobec przyjaciół, Jack całym sercem się z nią zgodził.

– Można tak pomyśleć.

Zerknęła na niego z ukosa, jakby usłyszała jego niewypowiedziane zastrzeżenie.

– Nie przypuszczam, żeby to przetrwało, kiedy stąd wyjedziemy. Ale może… tylko teraz… mógłby pan mówić mi po imieniu. – Jack stanął jak wryty. Uśmiechnęła się i machnęła beztrosko ręką. – Znużyło mnie już to ciągłe „pani Campbell”. Ale jeśli uważa pan, że to niestosowne…

– Nie. – Przykrył jej dłoń swoją. – Źle mnie zrozumiała…ś, Sophie.

Uśmiechnęła się jeszcze radośniej, niemal zbyt radośnie.

– Dobrze… Ware.

Jack wiedział, że zwracając się do niej po imieniu, przełamie barierę, za którą nie będzie już odwrotu. *Zostaliśmy przyjaciółmi* – powiedziała; *to nie przetrwa*, *kiedy stąd wyjedziemy*. To zabrzmiało jak pierwszy krok na drodze pokusy. Każdy, najmniejszy stopień zażyłości prowadzi do

kolejnego, jeszcze jednego i następnego, bo nie widział końca swojej fascynacji tą kobietą i, niech to diabli, chciał jak najszybciej pokonać je wszystkie. Wiedział, że igra z ogniem, ale zamiast próbować gasić pożar, zacisnął palce na jej dłoni i uśmiechnął się, patrząc w jej bursztynowe oczy.

Niebezpieczeństwem będzie się martwił później.

12

Kiedy się przebrała, Sophie wylewnie przepraszała panią Gibbon za stan, w jakim oddawała amazonkę, lecz gospodyni machnęła lekceważąco ręką.

– Jego wysokość chciał, żeby pani ją założyła, a jaki z niej pożytek, kiedy leży w kufrze?

Zabrała mokre, ubłocone ubranie i skierowała się do wyjścia.

– Mam pani powiedzieć, że kolacja będzie podana niedługo i może pani zejść, kiedy zechce.

– Och – powiedziała zaskoczona, lecz gospodyni już wyszła, zostawiając ją samą w pokoju.

Stanęła przed wysokim lustrem, żeby się upewnić, że wygląda na tyle dobrze, na ile to możliwe w starej sukience pokojówki. Przez chwilę myślała o pięknych sukniach, które muszą leżeć w kufrach na strychu. Skoro mogła pożyczyć strój do konnej jazdy, to może mogłaby jakąś inną suknię…

Nie. Stanowczo odsunęła od siebie tę myśl. Te stroje nie należały do niej, ale do księcia. To, że pozwolił jej założyć amazonkę, nie znaczy, że chce ją widzieć w jednej z tych pięknych sukien. A ona sama…

To, że chciała wyglądać dziś atrakcyjnie, było pod każdym względem głupie i nierozważne, zważywszy, że już teraz dręczyła ją trudna do opanowania pokusa flirtowania z Ware’em.

Wyprostowała się przed lustrem.

– Opamiętaj się – powiedziała surowo do swojego odbicia.

Nie była księżną i nie zasługiwała na noszenie książęcych sukien, podobnie jak nie powinna się zastanawiać, czy pozwolić, żeby książę ją uwiódł. Dobrze, że deszcz przestał padać i będzie mogła niedługo wyjechać do Londynu, gdzie wróci do dawnego, zwyczajnego życia, a Ware do swojego, wytwornego. Jeszcze raz strzepnęła spódnicę, żeby wyrównać ostatnią zmarszczkę, po czym odwróciła się i zeszła na kolację.

Jedli, jak co wieczór, w pokoju śniadaniowym. W blasku świec panowała w nim zupełnie inna atmosfera, a dziś jeszcze bardziej intymna. Doszła do wniosku, że to z powodu imion; nazywał ją Sophie, co sama mu zaproponowała pod wpływem impulsu. Ona mówiła mu Ware, za każdym razem nie mogąc wyjść z podziwu, że jest w tak zażyłych stosunkach z księciem.

Po kolacji snuli się bezczynnie po domu. Ware pokazał jej jeszcze kilka swoich rysunków, schowanych w zakamarkach biblioteki. Był uroczo skromny i nazywał je bazgrołami, zaś jej zdaniem były całkiem dobre. Jeden z rysunków przedstawiał konia – „najlepszego skoczka w całej Brytanii”, jak powiedział – zaś inny Kirkwood Hall, jego posiadłość w Somerset. Wyglądała jak pałac z epoki Tudorów i wydawała się dokładnie tak onieśmielająca, jak Sophie oczekiwała, że będzie wyglądała książęca rezydencja. Teraz w końcu zrozumiała, dlaczego Alwyn było jego ulubioną siedzibą; wszystkie pozostałe były prawdziwymi zamkami.

Ale mogłaby słuchać bez końca, jak o nich opowiada. Jego głos się zmienił. Wcześniej był chłodny i oficjalny, wręcz nieznośnie arystokratyczny. Przez ostatnie dwa dni stał się cieplejszy, bardziej ożywiony. Śmiał się, kiedy się z nim drażniła, zamiast mierzyć ją surowym spojrzeniem. Przez moment przypuszczała, że mógł poczuć się urażony – co było jej zamiarem – ale teraz doszła do wniosku, że ponieważ wcale nie był nudny i arogancki, nie podobało mu się, że tak o nim myślała. Kilka razy zauważyła, że posyłał jej łobuzerskie spojrzenia. Zastanawiała się, jaki był w młodości. I co mogłoby się wydarzyć, gdyby poznała go wtedy?

Ostatecznie trafili do biblioteki, która zdążyła stać się ulubionym pokojem Sophie w tym domu. Z przyjemnością usiadła na sofie, raczej nieelegancko układając się na jedwabnym obiciu.

– To był cudowny dzień – oznajmiła. – Proszę uważać, bo uprowadzę Minnie z pańskich stajni.

Dotąd szedł za nią powoli, a teraz obszedł sofę dookoła i usiadł w fotelu.

– Uciekłaby przy pierwszej nadarzającej się okazji, żeby wrócić do Maksymiliana.

– Ach, tak. Prawdziwa miłość. – Roześmiała się.

– Domyślam się, że nie należy jej stawać na drodze. – Wyjął dwa kieliszki i owinął ściereczką szyjkę butelki, którą trzymał.

Sophie uniosła się, spoglądając na butelkę.

– Czy to szampan?

– Owszem. – Odkorkował, napełnił kieliszki i podał jej jeden. Bąbelki uderzały delikatnie o kryształ. – Wilson mówi, że drogi są coraz lepsze. Powóz został naprawiony. Jeśli jutro dopisze pogoda, możemy wrócić do Londynu.

– O! – Wypiła łyk, potem jeszcze jeden. – To wspaniałe – szepnęła.

Sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Nigdy pani nie piła szampana?

– O, nie. – Wypiła jeszcze trochę, ciesząc się smakiem chłodnego, cierpkiego wina. – To zbyt elegancki trunek jak na miejsca, w których zwykle bywam.

– Zatem powinniśmy wypić dwie butelki, żeby uczcić naprawienie powozu.

I powrót do Londynu. Sophie uniosła kieliszek w niemym toaście, przypominając sobie, czego się domagała od trzech dni. Teraz, gdy nadszedł ten moment, wcale nie czuła ulgi, której oczekiwała. Po powrocie do Londynu nie będzie gry w karty z księciem, przejażdżek w deszczu ani zwiedzania zakurzonych strychów. Sophie wróci do karcianych stolików, do

ciułania szylingów i funtów, żeby zebrać majątek, który pozwoli jej znaleźć męża albo wykupić rentę na starość. Będzie spotykać się co dwa tygodnie z przyjaciółkami, słuchać zachwytów Georgiany nad lordem Sterlingiem i narzekań Elizy na przeświadczenie ojca, że jej imponujący posag musi przyciągnąć dobrze urodzonego męża.

Uśmiechnęła się na myśl o przyjaciółkach. Jak byłyby zdumione, gdyby dowiedziały się, że jest z księciem, odpoczywa na sofie w jego wiejskiej rezydencji i pije z nim szampana.

Lecz jej uśmiech szybko zbladł. Nie mogła im przecież o tym opowiedzieć; gdyby rozeszły się plotki, mimo wyraźnego zakazu pana Dashwooda, być może już nigdy nie zobaczyłaby swoich przyjaciółek. Pan Cross był pobłażliwy i bardzo lubił Sophie, ale nawet on zaprotestuje, jeśli będzie się obawiał, że jej reputacja może zaszkodzić Elizie. Zaś przyzwoitka Georgiany już wcześniej niechętnie zgadzała się na ich regularne spotkania przy herbacie. Wystarczy choćby cień skandalu związanego z nazwiskiem Sophie, a lady Sidlow wpadnie w furię.

Nie, po powrocie do Londynu jej życie nie będzie już takie samo.

Odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Ware’a. Obserwował ją, a kiedy ich oczy się spotkały, Sophie poczuła dreszcz. Jego wyniosła rezerwa zupełnie zniknęła. Wcześniej sądziła, że jest nieustępliwy i surowy, a teraz wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Rozsiadł się w fotelu, równie wygodnie jak ona na sofie, jedną ręką podpierając podbródek, w palcach drugiej trzymając kieliszek z szampanem.

– Dziwnie będzie wrócić do Londynu po tym wszystkim – powiedział.

– Bardzo – przyznała.

– Za kilka dni będzie się wydawało, że to było jak sen. Wakacje od świata i jego trosk.

Skinęła głową i mruknęła twierdząco. Dokończyła szampana i Ware nachylił się, żeby napełnić jej kieliszek.

– Czy wciąż chce pani wracać?

Sophie usiadła wygodniej. W tej chwili jej odpowiedzią byłoby zdecydowane *nie*. Ten moment był niemal doskonały. Ale nie może trwać wiecznie, a fakt, że Sophie pragnęła, by trwał, był sygnałem ostrzegawczym, że najwyższa pora wracać.

– Oczywiście – odparła. – Tak trzeba.

– Hmm. – Rozparł się wygodniej w fotelu. – Przestałaś się domagać, żebym cię odwiózł natychmiast.

– Nie jestem głupia – powiedziała z szelmowskim uśmiechem. – Rozumiem, że przy złamanej osi powozu i padającym nieustannie deszczu natychmiastowy wyjazd jest niemożliwy nawet dla księcia Ware.

– A jednak ten szczęśliwy moment nadchodzi, a ty nie skaczesz z radości.

Nie. Nie tylko nie paliła się do stawienia czoła konsekwencjom, ale też w końcu przyznała sama przed sobą, że kilka ostatnich dni spędziła bardzo przyjemnie.

Z nim. Właśnie dlatego, że z nim.

– Powiedziałeś, że nie spodziewałeś się wygrać tego zakładu – powiedziała cicho, patrząc w sufit. Zdobiły go wymyślne złocone ornamenty i fryz mitologicznych postaci baraszkujących na obrzeżu. Kandelabr ze szlifowanego kryształu skrzył się w blasku lamp. Ten sufit był prawdopodobnie wart więcej niż cały jej dom.

– Dlaczego go zaproponowałeś?

Uniósł się lekko w fotelu, pochylił się, opierając łokcie na kolanach i spojrzał na nią. Złote włosy opadły mu na czoło tak, że aż chciało się je poprawić.

– Nie domyśliłaś się?

Odwróciła się do niego.

– Powiedz mi. Nie jestem dobra w zgadywaniu.

Odetchnął głęboko, a potem pochylił się i pocałował ją. To była raczej subtelna zapowiedź pocałunku niż prawdziwy pocałunek. Zamknęła oczy,

czując muśnięcie jego warg, i przesunęła się ku niemu niczym kwiat poszukujący słońca. Czubkami palców dotknął jej podbródka i bardzo delikatnie uniósł jej głowę. Z jej gardła wydobyło się ciche westchnienie.

Książę uniósł głowę. Przez chwilę patrzyli na siebie.

– Czy to wszystko? – szepnęła Sophie, zbyt późno zdając sobie sprawę, jak mocno bije jej serce. – Wszystko, czego chcesz?

– Nie. – Jednym palcem, lekko niczym piórkiem, powiódł po jej szyi. Poczuła dreszcz przechodzący po skórze, a sutki stwardniały jej pod wpływem jego wzroku.

– Nawet nie dziesiąta część.

Nie była w stanie zmierzyć się z tą decyzją. Przebywając z nim sam na sam przez całe trzy dni, narażona na jego cierpkie poczucie humoru, zaskakującą normalność i nieznośną atrakcyjność, okazała się praktycznie bezbronna, kiedy znowu napotkała jego spojrzenie, tym razem gorące i wygłodniałe. Powinna pomyśleć o swojej reputacji, i tak już niebezpiecznie nadwyrężonej po tamtym zakładzie; powinna pomyśleć o Philipie, który uznałby to za zdradę ze strony ich obojga. Powinna pomyśleć o Gilesie Carterze, który był jej największą szansą na zawarcie porządnego małżeństwa. Powinna pomyśleć o sobie i o tym, jak będzie się czuła, jeśli ulegnie temu dziwnie potężnemu urokowi mężczyzny, który nigdy się w niej nie zakocha.

Ale kiedy otworzyła usta…

– Pokaż mi – wyszeptała. – Proszę.

W odpowiedzi uśmiechnął się powoli i drapieżnie, jakby zapłonął w nim jakiś niezwykły rodzaj ognia i Sophie poczuła ten żar w całym ciele. Krok po kroku pokonał jej obronę, zabierając ją na przejażdżkę, pokazując swój dom, prowokując ją, by go ośmieszyła, a potem śmiejąc się z samego siebie. Zaczęła go lubić, o wiele bardziej, niż przypuszczała, że potrafi. Ale kiedy spojrzał na nią tak jak teraz, z rysami wyostrzonymi pożądaniem i namiętnością, poczuła tylko wypełniającą ją żądzę.

Mogła winić o to deszcz, drogi albo nawet szampana, ale prawda była taka, że pragnęła księcia Ware. Chciała, żeby wziął ją do łóżka i kochał się z nią raz za razem, aż w końcu nie będzie pamiętała niczego oprócz dotyku jego dłoni i ust. Chciała poczuć się przy nim pożądana, tak samo jak ona pragnęła jego.

Tym razem jego wargi były twarde i zaborcze. Uniósł jej głowę, a kiedy rozchyliła usta, jego język zaatakował i zwyciężył. Poddała się bez walki, wplotła palce w jego włosy i przytrzymała go przy sobie, odwzajemniając pocałunek. Jego palce zsunęły się z szyi na krawędź dekoltu i zatrzymały się, aż w końcu wiła się i prężyła, pragnąc, aby zdarł z niej ubranie i ją posiadł.

Przesunęła się na sofie, żeby zbliżyć się do niego. Otoczyły ją jego ramiona i poczuła lekkie szarpnięcie, kiedy zaczął rozpinać guziki. Gorset się rozluźnił i Sophie pochyliła się, pomagając się z niego uwolnić.

Klęczał teraz przed sofą, nie przestając jej całować. Sophie niemal owinęła się wokół niego, z udami przyciśniętymi do jego boku, ramionami obejmującymi go za szyję. Położył rękę na jej kolanie i powoli przesunął w górę, podciągając spódnicę. Ujął jej pośladki i przyciągnął do siebie; jęknęła cicho, kiedy przysunął się do niej i nawet przez warstwy ubrania poczuła jego erekcję.

Nerwowymi, niepewnymi ruchami zrywała z niego ubranie. Na podłogę spadł żakiet, a tuż po nim krawat. Wcisnął ją w poduszki, muskając ustami wypukłości jej piersi, jednocześnie zdejmując kamizelkę. Pragnąc poczuć na skórze dotyk jego skóry, sięgnęła za plecy, żeby rozpiąć pozostałe guziki.

Z jego gardła wydobył się cichy śmiech.

– Zostaw – powiedział cicho, rozwiązując tasiemkę przytrzymującą halkę.

– Zdejmij koszulę – wyszeptała, a on posłusznie ściągnął koszulę przez głowę.

Położyła dłonie na jego nagim torsie i niemal jęknęła z pożądania. Boże, był idealny – smukły i twardy, i tak gorący pod dotykiem jej palców. Mruknął coś niezrozumiałego, zerwał z niej halkę i polizał pierś.

– Och! – Wyprężyła się i chwyciła go za ramiona. Jego mięśnie się napięły, a potem jego dłoń spoczęła na jej kolanie i zaczęła powoli sunąć w górę.

– Pragnę cię od chwili, gdy cię zobaczyłem – szepnął i lekko szarpnął podwiązkę. Sophie drgnęła zaskoczona. – Chcę się z tobą kochać, Sophie, tak bardzo, że trudno mi się opanować.

Serce mu dudniło; czuła to pod palcami. I w niej krew się gotowała; spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– Tak. *Tak*.

Na moment szelmowski uśmiech rozjaśnił jego twarz. Sophie poczuła jego dłoń na udzie, a kiedy jego palce musnęły miękkie włosy między jej nogami, rozchyliła szerzej kolana. Patrzyła na niego oczami, które wypełniała prośba.

Zaklął półgłosem, po czym jednym ruchem odrzucił jej spódnicę i przyciągnął ją na skraj sofy. Rozpostarła się lubieżnie, z jedną stopą na podłodze, drugą na oparciu sofy i księciem klęczącym między udami. Położył dłoń na jej policzku i zaborczym gestem przesunął w dół, zatrzymując się na chwilę, by objąć palcami pierś, a wreszcie dotarł do brzucha. Kiedy jej dotykał, jego oczy były szare jak burzowa chmura, a palce śmiałe i zdecydowane, doprowadzały ją na skraj szaleństwa.

Pod dotykiem Ware’a czuła się jak rażona prądem. Była pewna, że włosy stanęłyby jej dęba, gdyby nie to, że rzucała głową i wiła się, czując jego usta na swojej piersi. Rozłożyła szeroko ramiona i wbiła palce w poduszki, czując narastającą falę rozkoszy.

– Sam twój widok – powiedział książę gardłowym szeptem. – Wystarczyłby, żebym doszedł…

Zmusiła się, żeby otworzyć oczy, i zobaczyła, jak unosi się nad nią, jedną ręką zsuwając spodnie. Sophie wstrzymała oddech, rozchyliła uda jeszcze szerzej, a kiedy wbił się w nią jednym mocnym pchnięciem, przekroczyła granicę. Krzyknęła cicho, poddając się spazmom rozkoszy.

– Boże – wychrypiał książę, wbijając palce w jej biodra, przytrzymując ją mocniej przy sobie.

Wycofał się nieco i pchnął znowu, przyprawiając ją o drżenie.

– Możesz to zrobić jeszcze raz?

– Co? – Ledwie udało jej się wykrztusić; włosy zasłaniały jej twarz i czuła się, jakby była pijana, mając go nad sobą, wokół siebie i w sobie.

– Jeszcze raz. – W jego głosie słychać było napięcie; wsunął rękę pod jej podwiniętą spódnicę.

– Ja… ja nie… – Odebrało jej głos, gdy poczuła jego dotyk. Wszystkie mięśnie w jej ciele się naprężyły i jęknęła cicho.

– Niektóre kobiety mogą dojść ponownie niemal natychmiast. – Wycofał się i znowu pchnął.

– Nie wiem – szepnęła drżącym głosem. – Spróbuj…

Wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i zwiększył tempo. Sophie nie była pewna, czy uda jej się to przeżyć. Był taki wielki i silny, gruby i twardy wewnątrz niej. Żołądek jej się ścisnął i ledwie mogła oddychać. Kiedy chwyciła go za ramię, poczuła mięśnie twarde jak żelazo i skórę śliską od potu.

I, co niesamowite, fala rozkoszy zaczęła znowu w niej narastać, tym razem szybciej, nie tak intensywnie jak poprzednio, ale wystarczająco, żeby zbić ją z tropu. Zdała sobie sprawę, że zaczęła szlochać, chociaż jej ciało wychodziło naprzeciw jego pchnięciom, które stawały się coraz szybsze i mocniejsze aż do chwili, gdy zamarł w bezruchu. Dyszał ciężko, głowa mu opadła, a Sophie czuła go głęboko w sobie.

– Wasza wysokość. – Nic więcej nie była w stanie wyszeptać.

Cichy śmiech wydobył się z jego piersi. Pocałował ją niespiesznie.

– Myślę, że teraz powinnaś mi mówić po imieniu. Jack.

Uśmiechnęła się, szaleńczo szczęśliwa.

– Jack.

– Sophie. – Pocałował ją jeszcze raz. – Moja Sophie.

Serce zaczęło jej bić szybciej.

– Co teraz, Jack? – Objęła go za szyję, napawając się jego ciepłem. Mimo że była prawie naga, wcale nie czuła chłodu.

– Teraz. – Ujął w dłoń jej pierś i przesunął kciukiem po sutku. Sophie zadrżała, a wtedy on uśmiechnął się szelmowsko. – Zamierzam kochać się z tobą jak należy.

– Jak należy?

– Tak. – Pochylił się i musnął sutek językiem, znowu przyprawiając ją o dreszcz. – W moim łóżku, przy zapalonych lampach, żebym mógł widzieć każdy błysk namiętności na twojej twarzy, i bez tego wszystkiego. – Szarpnął brzeg jej spódnicy.

Tak, mimo że wciąż jeszcze czuła drżenie w całym ciele i opadła z sił, coś w jej wnętrzu się rozpaliło na myśl o tym, co proponował. Owinęła nogi wokół jego bioder, ciesząc się jego ciężarem.

– To nie zabrzmiało przyzwoicie, za to bardzo książęco.

Uniósł brwi.

– Rozumiem. Uważasz, że jestem zbyt przyzwoity. Zbyt książęcy. – Roześmiała się, ale on przycisnął mocniej biodra do jej bioder i zamilkła. To, że czuła go w sobie, zapierało jej dech w piersi. Oparł policzek na jej policzku i szepnął:

– Skoro chcesz rzeczy nieprzyzwoitych, to będziesz je miała.

– Jak bardzo nieprzyzwoite? – spytała zaintrygowana.

– Chcę cię zobaczyć nagą w moim łóżku – szepnął jej do ucha. – Jak ucztę przygotowaną tylko dla mnie. Chcę cię mieć na dywanie przed kominkiem i widzieć refleksy ognia na twojej skórze. Chcę cię mieć w wannie, siedzącą na mnie i śliską od wody. Chcę cię w moim niebieskim

szlafroku i niczym więcej, opartą plecami o ścianę i obejmującą mnie nogami.

– Ojej. – Głos jej zadrżał, kiedy sobie to wszystko wyobraziła, i krew zaczęła się w niej gotować. Mimo że regularnie bywała w jaskiniach hazardu, spłonęła rumieńcem.

– Czy mam cię teraz zabrać do łóżka? – Przygryzł lekko płatek jej ucha, a Sophie skinęła głową. Tak, tak, *tak*.

Potrzebowali kilku minut, żeby doprowadzić ubrania do względnego porządku. Książę… Jack narzucił jej na ramiona swój żakiet, zasłaniając potarganą suknię i bieliznę. Wsunął przez głowę koszulę, zapiął spodnie i przerzucił sobie przez ramię krawat i kamizelkę. Wyglądał zawadiacko i niefrasobliwie, piękniej niż mężczyzna miałby prawo wyglądać, ale dopiero kiedy wziął ją za rękę, serce Sophie spróbowało wyskoczyć z piersi. Jego palce, duże i mocne, splotły się z jej palcami. Zatrzymując się tylko po to, żeby wziąć butelkę z szampanem, wyprowadził ją z biblioteki,

Spięła się z obawy, że mogą spotkać kogoś ze służby, ale na szczęście w korytarzach nie było żywego ducha. Jack zatrzymał się przy drzwiach bardzo blisko jej pokoju i otworzył je; prowadziły do luksusowo urządzonego pomieszczenia.

– O, umieścili mnie tuż obok ciebie! – szepnęła zaskoczona.

Kiedy zamknął drzwi, spojrzenie jego szaroniebieskich oczu prześlizgnęło się po niej.

– Tak. to pokój księżnej.

Sophie poczuła, że policzki jej płoną.

– A więc musieli przypuszczać, kiedy pojawiliśmy się nocą, że jesteśmy kochankami…

– Biorąc pod uwagę, że chciałem tego już wtedy, nie narzekam. – Oczy mu błyszczały. – Zdejmij żakiet.

Opadł na podłogę.

– A teraz suknię.

Bardzo powoli rozpięła ostatni guzik utrzymujący suknię i delikatna tkanina zsunęła się z jej ciała.

– I całą resztę. – Jego głos znowu zabrzmiał nisko i ochryple.

Zrobiła krok do tyłu, bawiąc się sznurkiem od gorsetu.

– Czy teraz nie twoja kolej?

Zdjął koszulę przez głowę i rzucił ją na podłogę.

– Tak. Wielkie nieba, tak.

13

Jack obudził się, czując słońce na twarzy i przyjemne ciepło w mięśniach. I jedno, i drugie było czymś niecodziennym. Zwykle budził się o brzasku, ponieważ nie mógł dłużej spać, przytłoczony codziennymi obowiązkami. Zwykle o tej porze w pokoju byłby już jego lokaj, żeby wyczyścić jego ubranie i podgrzać wodę do golenia, bo wszak książę nie może cały ranek wylegiwać się w łóżku. Zwykle nie budził się z uczuciem tak głębokiego odprężenia, ale dziś…

Coś poruszyło się tuż przy nim i przywróciło mu poczucie rzeczywistości. Wstrzymując oddech, odwrócił głowę. Sophie leżała obok niego na boku, rozpuszczone mahoniowe włosy przykrywały jej nagie ramiona. Ciemne rzęsy rzucały głębokie cienie na jej policzki, usta miała lekko rozchylone. Wyglądała tak pięknie, że Jack zapragnął zatrzymać czas i po prostu ją obserwować.

Kochanie się z nią było elektryzujące; było jednym z doznań tak fascynujących, że mężczyzna byłby gotów posunąć się do każdego szaleństwa, żeby trwało dłużej. Była odważna, nie wahała się mówić mu, co jej się podoba, a jej jęki i westchnienia jeszcze bardziej podsycały płonący w nim ogień. To pozbawiło go wszelkich złudzeń, że potrafiłby od niej odejść. Gdyby budziła w nim tylko pożądanie, mógłby odejść; gdyby zależało jej tylko na tytule lub majątku – także. Ale ona najwyraźniej nie dbała o to wszystko. Sprawiła, że poczuł się jak mężczyzna, a nie książę, a jego spełnienie było tak potężne, że zobaczył gwiazdy.

Ujął w palce kosmyk jej włosów. Dzięki Bogu za Philipa i jego skłonność do hazardu. Co za szczęście, że matka prośbami i groźbami skłoniła go do pójścia do klubu Vega. Niemal dziękował niebiosom, że jego brat namówił Sophie do jeszcze jednej gry, ponieważ gdyby nie to, Jack nigdy by jej nie poznał. A teraz nie chciał jej stracić.

Lecz niezaprzeczalną prawdą było to, że ich idylla miała się wkrótce skończyć. Promienie słońca sączące się przez szczelinę w zasłonach świadczyły, że deszcz przestał padać. Powóz został naprawiony, a drogi obeschły na tyle, by dało się nimi przejechać. Nadeszła pora powrotu do Londynu.

Myśli Jacka przez chwilę błądziły w tym kierunku. Co potem? Chciał znowu zobaczyć Sophie. Chciał siadać z nią do kolacji, śmiać się z nią i kochać. Z pewnością uda im się to w Londynie, przy zachowaniu odrobiny dyskrecji…

A jednak… W Londynie będą tysiące ciekawskich oczu, obserwujących każdy ruch. W Londynie będzie czekał Percy i książęce obowiązki. W Londynie będzie musiał zająć się Philipem i matką. Księżna gwałtownie zaprotestuje przeciwko jego związkowi z kobietą taką jak Sophie, a Philip dostanie apopleksji.

Jack puścił pukiel jej włosów, pozwalając, żeby opadł na poduszkę. Spędził noc w łóżku z kobietą, której pragnął jego brat. Wprawdzie Sophie zapewniała go, że nie odwzajemnia zainteresowania Philipa, lecz to nie miałoby większego znaczenia dla jego brata. Sophie miała rację: kiedyś byli sobie bliscy – wtedy, gdy Philip, jako ulubieniec matki, cieszył się ze swobody, nie mając obowiązków ciążących na dziedzicu. Tytuł stał się klinem wbitym między nich – nie dlatego, by Philip go pragnął, ale ponieważ żywił urazę z powodu władzy, jaką dawał Jackowi. Uznałby ten romans za jeszcze jedną demonstrację siły.

Wprawdzie Jack przyznałby bez wahania, że właśnie tak to się zaczęło, lecz z czasem przerodziło się w coś zupełnie innego. Zamierzał dać

Philipowi nauczkę, ale nie uwodząc z wyrachowaniem Sophie. Mógł mieć takie plany w czasie tamtej brzemiennej w skutki partii kości – wyobrażał ją sobie w swoim łóżku, z rumieńcami na twarzy i rozpuszczonymi włosami, budzącą się po spędzonej z nim nocy… Tak, wyobrażał sobie to wszystko, ale nigdy jako zemstę na Philipie.

Tylko dlatego, że sam tego pragnął.

Z bijącym sercem obserwował śpiącą Sophie. To, co do niej czuł, nie miało nic wspólnego z Philipem, a wszystko – z jego własnymi pragnieniami.

Ale teraz… Deszcz przestał padać. Nie miał już żadnej wymówki, by zatrzymać ją w Chiswick. Co czekało ją w mieście? *Kto* czekał na nią w mieście? Nie dawało mu spokoju wspomnienie mężczyzny czającego się za nią w klubie Vega. Cichy adorator? Potajemny kochanek? Głęboka zmarszczka pojawiła się między jego brwiami. Nie miał prawa o to pytać, ale, do diabła, zastanawiał się.

– Sophie – szepnął, otrząsając się z tych myśli.

Gdyby udało mu się sprawić, żeby zapomniała o wszystkich innych mężczyznach w Londynie, nie miałoby znaczenia, kim on był. Pochylił się i musnął wargami jej odsłonięte ramię.

– Obudź się, kochanie.

Jej powieki zatrzepotały, a twarz rozjaśnił senny, lecz radosny uśmiech. Pocałował ją, jeszcze przez chwilę pragnąc czuć tylko tę radość.

Kiedy uniosła głowę, wszystko się skończyło. Spojrzała w rozświetlone okna, a potem na niego.

– Drogi wysychają.

– Być może. – Jack wzruszył niezobowiązująco ramionami.

Zamknęła na moment oczy i usiadła na łóżku.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać, jeśli mamy wrócić do Londynu…

– Dlaczego? – Uniósł jej rękę i musnął wargami wewnętrzną stronę nadgarstka. – Nie chcę o tym teraz rozmawiać.

– Ja też nie, ale…

Pocałował ją znowu, nie pozwalając powiedzieć tego, co zamierzała. Objęła go za szyję, a on nie potrzebował innej zachęty. Położył ją na materacu i odsunął pościel, by móc ją przycisnąć do siebie. A potem przetoczył się, przytrzymując ją przy sobie tak, że znalazła się nad nim.

Wyprostowała ręce, jakby chciała się podnieść, ale Jack przytrzymał jej biodra.

– Jeszcze nie czas się ubierać – szepnął.

– Myślałam, że wstałeś o świcie, bo czekają na ciebie setki obowiązków – odparła z uśmiechem, który sprawił, że krew znowu zaczęła się w nim gotować.

– Tak się składa. – Uniósł kolano, rozsuwając jej nogi. Poczuł na swojej męskości jej gorącą i wilgotną kobiecość – że rzeczywiście wstałem o świcie, ale nie nazwałbym kochania się z tobą obowiązkiem.

Na moment otworzyła szerzej oczy, podczas gdy on nie przestawał kołysać biodrami. Przesunęła dłonią wzdłuż jego piersi i brzucha.

– Jeżeli nie obowiązek, to co?

– Najlepsza część mojego cholernego dnia – warknął. – Ujeżdżaj mnie, Sophie.

Zarumieniła się.

– O, tak? – Przysiadła na piętach i ujęła jego męskość w obie dłonie.

Jack wciągnął głęboko powietrze w płuca. Jej dłonie były gorące i silne; poczuł, że zaczyna dochodzić, a nie tego pragnął. Wstrzymał oddech, dopóki nie zapanował nad sobą, i dopiero wtedy otworzył oczy.

Z włosami opadającymi na nagie piersi i ramiona wyglądała jak nimfa ze starożytnych mitów. W jej bursztynowych oczach błyszczało pożądanie, ale i coś jeszcze… niepewność…

– Nigdy tego tak nie robiłaś? – Nie musiał widzieć jej rumieńca, żeby wiedzieć, że zgadł.

Uniósł się na łokciach.

– Jest prawie tak samo jak przedtem, tylko trochę inaczej. Rozchyl kolana… szerzej… weź mnie… pokieruj mną… – ochrypłym szeptem udzielał instrukcji. Nie mógł się powstrzymać i odruchowo uniósł biodra.

Sophie znieruchomiała na moment. Powoli zsunęła się w dół, biorąc go głęboko w siebie. Oddech Jacka stał się chrapliwy.

– O, tak? – Sophie uniosła się i znowu opadła, a jej oczy płonęły, gdy patrzyła, jak ich ciała się łączą.

Na miłość boską, nie może pozwolić jej odejść. Philip niech idzie do diabła. Jack potrzebował tej kobiety bardziej niż następnego oddechu.

Opadł na poduszki, aby móc dotykać jej piersi, brzucha, ramion, twarzy… Nigdy nie będzie miał tego dosyć. Naparła na jego dłonie, poruszając się we własnym tempie. Nie chciał jej ponaglać, nie robił tego, ale był bliski wybuchu i czuł, że nie będzie w stanie długo się powstrzymywać. Odgarnął ciemne loki między jej nogami i dotknął.

– Chodź ze mną – wychrypiał. Zacisnął palce na fałdach pościeli i drżał cały, starając się zapanować nad sobą.

– Tak – jęknęła. – *Jack*.

Wyprężyła się, zabrakło jej tchu i Jack poczuł, jak zaciska się wokół niego. Wystarczyłby sam widok wyrazu jej twarzy, ale odczuł jej spełnienie niczym potężny wybuch, który zatrząsł całym jego ciałem. Odrzucił głowę do tyłu i krzyknął, wbijając palce w jej biodra, żeby przycisnąć ją jak najbliżej.

Opadła na niego, wilgotna od potu i rozgrzana. Wciąż dysząc ciężko, pocałował ją w czubek głowy. Do diabła, dlaczego deszcz przestał padać? W tej chwili Jack przyjąłby z radością biblijny potop, cokolwiek, co pozwoliłoby im zostać tutaj, z dala od nieprzyjaznego świata. Niech cały świat idzie się powiesić; Jack nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy jak teraz, trzymając w objęciach Sophie.

Po chwili się poruszyła.

– Jack – szepnęła, muskając palcem zarost na jego policzku. – Wasza wysokość.

Otworzył szeroko oczy.

– Chyba zgodziliśmy się, że nie będziesz tak do mnie mówić.

Roześmiała się i wsunęła dłonie między jego pierś a swój podbródek.

– Co teraz będzie?

– Śniadanie? – zaproponował. – Nie musimy nawet wstawać z łóżka. Wilson każde nam je podać tutaj.

– Tak. – Przesunęła palcami po jego obojczyku, aż niemal jęknął z zadowolenia. – Ale potem. Kiedy wrócimy do Londynu.

– Jeszcze może zacząć znowu padać – powiedział, patrząc z nadzieją w okno.

Parsknęła śmiechem.

– Jack!

– Wciąż chcesz wrócić. – Skrzywił się. – Wiem, że musimy.

Usiadła obok niego i Jack poczuł niemal chłód, kiedy zabrakło mu jej dotyku na skórze. Wydawała się odległa, nawet kiedy objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Ja na pewno muszę – westchnęła. – Za długo byłam poza domem…

– Nie dość długo, gdybyś mnie pytała. – Złapał niesforny kosmyk jej włosów i lekko pociągnął. – Gdzie w Londynie znajdziemy takie zacisze?

Wydawało się, że wstrzymała oddech, a jej oczy otworzyły się szeroko.

– Chcesz powiedzieć… chcesz…?

Skinął głową.

– Oczywiście, że chcę cię znowu zobaczyć.

Jej uśmiech był jedną z najsłodszych rzeczy, jakie kiedykolwiek widział. Szczęście omal nie rozsadziło mu piersi. Boże, sam jej uśmiech sprawiał, że czuł się jak król.

– Naprawdę?

Jack roześmiał się z niedowierzaniem.

– Jak możesz w to wątpić, kochanie? – Pogładził dłonią jej nagie plecy. – W mieście to będzie trudniejsze, oczywiście, ale wystarczy odrobina planowania. Mogę wynająć dom. W pobliżu twojego, jeśli chcesz, albo gdziekolwiek.

Jej twarz znieruchomiała.

– Dom.

– Blisko twojego. – Pocałował ją w kark, nie zwracając uwagi na to, że wzdrygnęła się i odwróciła głowę. – Wiem, że dyskrecja ma kluczowe znaczenie w tych sprawach. Możesz go sama wybrać, jeśli chcesz, i zrobić w nim, cokolwiek ci się podoba.

Spróbował ją przytulić. Tak, muszą wrócić do Londynu, ale jeszcze nie teraz…

Odsunęła się, kładąc mu ręce na ramionach.

– Nie chcę być utrzymanką.

– Więc nie bądź – powiedział po chwili wahania. – Bądź taka jak teraz… ale wymykaj się nocami, żeby się ze mną spotkać.

– Nocami chodzę do klubu Vega… – zaczęła.

– W takim razie po południu. Albo rano, zanim wszyscy się obudzą. Mogę się z tobą kochać o każdej porze dnia.

– To nie takie proste – powiedziała, przygryzając dolną wargę.

– Może być całkiem proste. – Pocałował ją w ramię.

– Nie – szepnęła. – Nie, Jack. – Wyślizgnęła się z jego objęć i usiadła plecami do niego. – Nie jest. My… powinniśmy byli porozmawiać o tym wcześniej.

Jack uniósł się na łokciu i patrzył, jak zakłada jego szlafrok i poprawia włosy, które ciemnymi falami opadły na niebieski aksamit. Boże, jak lubił patrzeć na nią w tym szlafroku.

– Nie musimy się spieszyć z wyjazdem. Mamy czas, żeby porozmawiać o czymkolwiek zechcesz.

Sophie wstała i zawiązała pasek.

– Nigdy się nie spodziewałam, że wydarzy się coś takiego.

– Ani ja. – Kiedy spojrzała na niego, uniósł rękę. – Przysięgam.

Przygryzła wargę.

– W takim razie rozumiesz, dlaczego nie możemy się nigdy więcej spotkać.

– Oczywi… – odruchowo zaczął przyznawać jej rację. – Co?!

Zarumieniła się gwałtownie.

– Nie możemy się widywać po tym, co się stało – powtórzyła. – Nikt nie może się dowiedzieć o… o tym. Wiesz dlaczego.

Jack patrzył na nią osłupiały. Nie, chciał warknąć, nie wiedział.

– Jeśli nie, to zrozumiesz, kiedy wrócimy do miasta. Philip… – Zawiesiła głos i zmarszczyła brwi, nie patrząc na niego. – Philip opowiedział mi wystarczająco dużo o tobie i zobowiązaniach wynikających z tytułu, a w czasie, który spędziliśmy razem, widziałam… Rozumiem to, naprawdę. Ale moja pozycja jest o wiele bardziej delikatna i ja… – Wzięła głęboki oddech. – Nie pasowałabym do twojego życia ani ty do mojego.

Jack wyprostował się gwałtownie.

– Nie bądź śmieszna. To jedna z zalet bycia księciem. Robię, co mi się podoba.

– Oboje wiemy, że to nie jest do końca prawdą – odparła cicho. – Ty masz obowiązki, nie tylko bronienie Philipa przed nim samym. A ja… ja nie mogę robić wszystkiego, co mi się spodoba. Muszę też dbać o swoją reputację, a to… – Zawahała się. – To interludium nieodwracalnie jej zaszkodzi. Nie mam tytułu, który uchroniłby mnie przed ruiną.

– Kto mówi o ruinie?

Zamilkła i spojrzała na niego zaskoczona.

– Co… co chcesz powiedzieć?

Właśnie, co chciał powiedzieć? Chciał budzić się w łóżku obok niej, a żeby tak się stało, były tylko trzy sposoby: gdyby została jego utrzymanką,

kochanką albo żoną. I tylko jeden z tych sposobów uchroniłby szacowną wdowę przed skandalem.

Jack wstał, podszedł do okna i spojrzał na roztaczający się z niego sielankowy widok. Powiedziała, że nie chce być jego utrzymanką. Nie zaryzykuje też bycia kochanką. Zostawało więc tylko jedno wyjście, które było po prostu niemożliwe. Musiałby być szalony, żeby rozważać cokolwiek więcej niż romans z kobietą, którą ledwie znał. Nieprawdaż?

Nieprawdaż?

A jednak o tym myślał. Całe towarzystwo byłoby wstrząśnięte, gdyby zaczął starać się o względy kobiety takiej jak Sophie. Wszyscy zarzuciliby jej, że jest jak współczesna Kirke i próbuje usidlić księcia. Wkrótce całe rzesze ludzi nękających go swoimi sprawami ruszyłyby do niej, mając nadzieję, że zgodziłaby się wpłynąć na niego. A wtedy ona zobaczyłaby w nim księcia, źródło władzy i wpływów, a nie po prostu Jacka…

Nie. Skrzywił się na tę myśl. Ona nie jest taka. Jeśli dowiedział się o niej czegoś przez te dni, to właśnie tego.

Ale mimo całej swej niezależności chciała poślubić kogoś, kogo by kochała. Nie dał się zwieść, kiedy powiedziała, że małżeństwa z miłości są rzadkością. Jej rodzice złamali konwenanse i zostali wydziedziczeni, żeby być razem. Czy ona zdobyłaby się na coś podobnego dla kogoś, na kim by jej zależało? Przypuszczał, że tak.

Ale nie zaryzykowałaby dla niego. Nie chciała być jego kochanką. Była gotowa nie spotkać się z nim nigdy więcej, co mogło znaczyć tylko, że nie widzi możliwości zakochania się w nim.

Nigdy.

Nie powinien się tym przejmować. Czyż sam sobie nie powtarzał, że książęta Ware nie zawierają małżeństw z miłości? Żenili się dla statusu, majątku albo koneksji – jeśli możliwe, wszystkiego równocześnie – a Sophie Campbell nic z tego nie miała do zaoferowania. A nawet gdyby

miała, to nie planuje się małżeństwa z kobietą znaną zaledwie od czterech dni.

Lecz coś w nim buntowało się na myśl, że miałby jej nigdy więcej nie zobaczyć.

– Nie ma potrzeby podejmować pochopnej decyzji.

– Pochopnej? – Spojrzała na niego nieufnie. – Nie jest pochopna, jeśli to jedyne możliwe wyjście. Co się zmieni, kiedy wrócimy do Londynu? Sam powiedziałeś, że pochłaniają cię obowiązki. Ja mam swoje życie, a kręgi, w których się obracam, nie zazębiają się z twoimi. Nie istnieje żaden przyzwoity powód, dla którego moglibyśmy spotykać się w Londynie, a to znaczy, że jeśli się spotkamy, będziemy wzbudzać zainteresowanie. Nie mogę sobie pozwolić na taki skandal – dodała ciszej. – Zakład będzie wystarczającym problemem.

– Dashwood wymaga dyskrecji – zaczął.

– A jeśli ktoś złamie tę obietnicę, może go najwyżej wyrzucić z klubu – dokończyła. – Szanse, że nikt nie będzie o tym mówił… – Machnęła lekceważąco ręką. – Nie liczyłabym na to.

Jack zacisnął pięści. Miała rację, ale… Boże. Przez kilka ostatnich dni czuł się jak zupełnie inny człowiek. O wiele lepiej.

Kiedy nic nie powiedział, westchnęła.

– Obiecaj mi to, Jack. Proszę.

– Jeśli właśnie tego naprawdę chcesz. – *Powiedz, że nie* – prosił w myślach. Wystarczy mu jeden mały znak, a odrzuci konwenanse i będzie się z nią widywał, kiedy tylko jej się spodoba. Jest księciem, do diabła, i może robić, cokolwiek zechce…

Kiedy nie odpowiadała, popatrzył na nią pytająco.

– Chcesz tego?

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Nieważne, czego ja chcę. Taki już jest świat.

Dostał swoją odpowiedź. Szansa na *coś więcej* rozbłysła i zgasła, niczym dopalająca się świeca.

– W takim razie masz moje słowo.

Podróż do Londynu przebiegła w niemal zupełnym milczeniu. Sophie znowu miała na sobie swoją karmazynową suknię, poplamioną aż do kolan. Jack miał nadzieję, że przyśle mu rachunek za nią.

Siedzieli oboje na tylnym siedzeniu, na tyle blisko siebie, że słyszał jej oddech. Pod fałdami jej płaszcza ściskał jej dłoń. Jack czuł, jakby jego umysł został sparaliżowany. W ciągu czterech krótkich dni przyzwyczaił się do tej kobiety – do jej uśmiechów, jej grymasów, jej sceptycznych spojrzeń, które tak go bawiły. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby ten powóz wiózł ich aż do Szkocji.

Ale nie mógł tego wszystkiego powiedzieć. Prawdę mówiąc, bał się, że oszaleje od samego myślenia o tym.

Wcześniej niż oczekiwał, poruszyła się niespokojnie.

– Powinnam wysiąść.

– Co? Dlaczego?

– Stąd pójdę już pieszo. Powiedz woźnicy, żeby się zatrzymał.

Jack zaczerpnął tchu, żeby zaprotestować, ale pochylił się i zapukał w okienko od strony woźnicy. Oczywiście nie mógł odwieźć jej pod frontowe drzwi po tym, jak przysiągł zachować dyskrecję.

– Zatrzymaj się tutaj! – zawołał. Powóz zwolnił, zakołysał się i stanął.

– Czy będziesz… – Ale Sophie nie pozwoliła mu dokończyć. Ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała. Jack przyciągnął ją do siebie, objął i posadził sobie na kolanach.

Oparła głowę o jego czoło, wplatając mu palce we włosy.

– Będę musiała wymyślić jakąś historię, żeby wyjaśnić moją nieobecność w mieście. Myślę, że byłoby najlepiej, gdyby wszyscy sądzili, że w ogóle nie wyjechałam.

– Oczywiście. – Mówiąc to, miał ochotę walnąć w coś pięścią, mimo że na wszystko się zgodził. Zanim wyjechali z Chiswick zabronił całej służbie, grożąc natychmiastowym zwolnieniem bez referencji, mówić komukolwiek o jej obecności w domu.

Ale on wiedział. Nigdy nie zapomni, że tam była, grała na rozstrojonym fortepianie, śmiała się z jego nieudolnej gry w karty i kochała się z nim na sofie w bibliotece. Pocałował ją z desperacją człowieka, który boi się, że zostanie sam, kiedy ona wysiądzie z powozu.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebować… jeśli będziesz *mnie* potrzebować, napisz.

Położyła mu palec na ustach i uśmiechnęła się smutno.

– Żegnaj, Jack.

– Żegnaj – wykrztusił.

Jeszcze raz musnęła jego wargi i odeszła. Podciągnął zasłonę w samą porę, by zobaczyć, jak narzuca kaptur na głowę i włącza się w tłum ludzi idących na targowisko. Było jeszcze wcześnie i powinna dotrzeć do domu niezauważona.

– Ware House – mruknął, nie patrząc na służącego, który stał wyprężony przy drzwiczkach.

– Tak, wasza wysokość. – Drzwiczki się zatrzasnęły i powóz ruszył.

Jack wypuścił powietrze z płuc. Sophie odeszła.

14

Sophie poszła na tyły swojego małego domku i zaskoczyła kucharkę i Colleen przy śniadaniu, kiedy przechodziła przez komórkę przy kuchni.

– Proszę pani!

– Wróciłam – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – I rozpaczliwie potrzebuję kąpieli.

Prawdę mówiąc, nie potrzebowała, ale chciała, żeby służące miały się czym zająć i nie zadawały pytań. Colleen wstała, żeby jej pomóc, a kucharka poszła po wodę. Sophie odetchnęła z ulgą, kiedy znowu znalazła się w zaciszu swojej sypialni.

– Nie spodziewałyśmy się pani jeszcze przez dwa dni – powiedziała Colleen, krzątając się po pokoju. – Służący, który przyniósł wiadomość, powiedział, że została pani gdzieś pilnie wezwana i wróci za tydzień.

Zabrakło jej tchu, kiedy sobie to uświadomiła. Mogła spędzić jeszcze dwa dni w ramionach Jacka… ale nie. Lepiej, że wróciła do domu, zanim sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli.

– Powiedział też, że powód pani wyjazdu jest wielką tajemnicą – dodała, wyraźnie zaintrygowana – i że nie wolno mi o tym mówić.

– Och… O, tak, to się wydarzyło zupełnie nieoczekiwanie – odparła pospiesznie Sophie. – Z przyczyn osobistych, które wolałabym zachować w tajemnicy.

Kiedy zatrudniała Colleen, postawiła warunek, że pokojówka nie będzie o niej plotkować. Miało to na celu ukrycie faktu, że Sophie wcale nie była

wdową i że utrzymywała się z hazardu, ale teraz okazało się bardzo przydatne, bo pokojówka czym prędzej zaczęła ją zapewniać, że nikomu nie pisnęła ani słowa.

– A co się działo tutaj? – spytała, żeby zmienić temat.

– Niewiele. – Colleen wyjęła jej spinki z włosów i zaczęła czesać. Sophie zamknęła oczy, przypominając sobie, jak Jack wplatał palce w jej włosy, jak ją całował, jak bliskie i gorące było jego ciało.

– Przyszedł pan Carter i zostawił wizytówkę, podobnie lord Philip. I jest kilka listów od lady Georgiany i panny Cross.

Nic niezwykłego, ale przypomniało jej, że przez kilka najbliższych dni będzie musiała się poruszać po bardzo niepewnym gruncie.

– Przynieś mi listy, kiedy skończę kąpiel – poleciła. – Co powiedziałaś obu dżentelmenom?

– Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc powiedziałam, że jest pani chora. Dobrze zrobiłam?

Odetchnęła z ulgą.

– Bardzo dobrze się spisałaś.

Colleen przyglądała się przez chwilę jej odbiciu w lustrze.

– Czy… czy dobrze się pani czuje?

Nie. Jack postawił jej życie na głowie i już teraz tęskniła za nim bardziej, niż umiałaby wyrazić. Niemal czuła na skórze dotyk jego świeżo ogolonego policzka.

– Wróciłam do domu, prawda? – rzuciła opryskliwie. – Tylko to się liczy. I to, że nikt nie wie, że mnie nie było. Jak dżentelmeni przyjęli wieść o mojej… niedyspozycji?

Colleen zaczęła rozpinać jej suknię.

– Pan Carter z ulgą. Przysłał kwiaty. – Ponieważ miała zajęte ręce, ruchem głowy wskazała biurko przy oknie, na którym stał bukiet w wazonie. – Lord Philip nie przyjął tego tak dobrze. Zażądał spotkania z panią, a kiedy odmówiłam, zaklął i mruknął coś o zdrajcach. – Dała znak

Sophie, że może wstać i zdjąć suknię. – Był dwukrotnie. Za drugim razem bałam się, że może spróbować wedrzeć się na górę, ale w końcu odszedł, kiedy powiedziałam, że nie chce pani się z nim widzieć. – Zawahała się. – Nie przychodziło mi nic innego do głowy, proszę pani. Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego.

A niech to. Miała nadzieję, że Philip zostawi ją teraz w spokoju.

– Dobrze zrobiłaś – zapewniła Colleen.

Pokojówka podała jej szlafrok, żeby miała czym się okryć, zanim kąpiel będzie gotowa, i Sophie przypomniała sobie niebieski aksamitny szlafrok Jacka. Czy jego następna kochanka także będzie go nosić? Czy zabierze jakąś inną kobietę do Alwyn House? *Chcę cię w moim niebieskim szlafroku, opartą o ścianę, obejmującą mnie nogami…*

– Listy – powiedziała, żeby oderwać się od tych myśli. – Powiedziałaś, że przyszły jakieś listy…?

– Tak. – Colleen podała jej trzy: jeden od Georgiany i dwa od Elizy.

Sophie usiadła w fotelu przy oknie, żeby je przeczytać, kiedy Colleen będzie przygotowywała kąpiel.

Słyszałam bardzo niepokojące wieści o tobie – pisała Eliza w pierwszym liście. – *Czy to może być prawda? Po tym jak ja i G dokuczałyśmy ci na temat lorda Philipa, nie mogę uwierzyć, że zawarłaś zakład z jego bratem. Naprawdę to zrobiłaś? Nie wiedziałam nawet, że go znałaś. Wszyscy o tym mówią, chociaż nie tyle o tobie, ile o księciu Ware. Papa mówi, że uważał go za człowieka z kamienia. Wszyscy są wstrząśnięci tym, że zachował się tak…*

Sophie odłożyła kartkę i sięgnęła po list od Georgiany. Był o wiele krótszy, zawierał zaledwie kilka linijek:

Lady Sidlow pozwoliła mi napisać do ciebie raz i zapytać, czy to prawda, że grałaś na pieniądze z księciem W. Jeśli to prawda, to nie będę mogła więcej do ciebie pisać, ale i tak mówię: brawo! Mam nadzieję, że skorzystałaś z mojej rady, żeby sprawić, że któryś z gości zakocha się w

tobie. Ware to najwspanialsza zdobycz w całej Anglii – i jest bardzo przystojny; nie mogłaś wybrać lepiej. Jeśli to nieprawda, to musisz napisać do mnie natychmiast, w sposób odpowiedni dla lady Sidlow, żebym mogła przyjść i wysłuchać całej historii. Znam cię na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że coś się wydarzyło. Odpisz najszybciej, jak będziesz mogła, bo umieram z ciekawości.

Ten list także odłożyła, ale tym razem się uśmiechała. Jednak drugi list od Elizy, sprzed zaledwie jednego dnia, popsuł jej nastrój.

Ponieważ nie mam od ciebie żadnej wiadomości, mogę tylko przypuszczać, że zdarzyło się coś strasznego. Od kilku dni nie widziano ani ciebie, ani księcia, a w każdym razie tak słyszał papa. Czy on ci coś zrobił? Ukrywasz się? Martwimy się o ciebie, Sophie. Odpowiedz, proszę, i daj mi znać, że nic ci nie jest. Jeśli masz kłopoty, będziesz potrzebować przyjaciół…

Opuściła kartkę na kolana. Przyłożyła dłoń do czoła; czuła się jak wyżęta ścierka. Perspektywa zanurzenia się w wannie z gorącą wodą, a potem długiej drzemki i ukrycia się przed żądnym sensacji tłumem, wypatrującym choćby cienia czegoś niestosownego w jej zachowaniu, była niezwykle kusząca. Najwyraźniej słynna dyskrecja obowiązująca w klubie Vega została naciągnięta do granic możliwości.

Wcale nie przesadzała, kiedy powiedziała Jackowi, że nie ma ani pozycji, ani majątku, które mogłyby ją uchronić przed skandalem. Będzie musiała ratować swoją reputację krok po kroku, zdecydowanym słowem i pewnym siebie uśmiechem. Nie ma innego wyjścia: nikt nie może poznać prawdy.

Spojrzała w okno, zastanawiając się, czy Jack wrócił już do domu. Mówił o nim bardzo chłodno, choć z pewnością była to jedna z najpiękniejszych rezydencji w Londynie. Oparła głowę o szybę. Gdzie jest

Ware House? Nigdy tego nie powiedział, a ona nie miała pojęcia. Jeszcze jeden dowód na to, że całkowicie zniknął z jej życia.

Zanim napisała krótkie, ogólnikowe odpowiedzi do swoich przyjaciółek, zapewniając je, że ma się dobrze i wszystko im opowie przy najbliższym spotkaniu, kąpiel była gotowa. Sophie weszła do wanny i zanurzyła się w wodzie. Jakaś jej część nie chciała zmywać z siebie śladów dotyku Jacka, ale zmusiła się, żeby to zrobić. To był tylko wybryk, powtarzała sobie; romans, który w ogóle nie powinien mieć miejsca. Najlepsze, co mogła teraz zrobić, to ukryć całą sprawę głęboko w sercu i zostawić ją tam na zawsze.

Zanurzyła się nieco głębiej w wodzie, opierając głowę o brzeg wanny. Nie mogła nie myśleć o wielkiej wannie w Alwyn House, stojącej w pokoju księżnej. Tuż obok pokoju Jacka. Zamknęła oczy i wróciła myślami do tamtego pierwszego wieczoru, kiedy była przemoknięta, zirytowana i gotowa dać ujście swojej złości na tego upartego, aroganckiego księcia. Na jej wargach pojawił się uśmiech, kiedy wyobraziła sobie, co musiał pomyśleć, kiedy wpadła do jego biblioteki ubrana tylko w jego jedwabny aksamitny szlafrok. To była najbardziej luksusowa rzecz, jaką kiedykolwiek nosiła.

Ten szlafrok powinien jej powiedzieć – bardziej niż cokolwiek innego – że książę nie jest taki, za jakiego go uważała. Był zbyt dekadencki, zbyt wyszukany. A to, jak oczy Jacka rozbłysły, kiedy zobaczył ją w swoim szlafroku, powinno jej uświadomić, że wypełnia go namiętność, która tylko czeka, by coś ją wyzwoliło.

Co więcej, przejrzał ją. Sophie żyła dzięki ciętemu językowi i rzadko zdarzał się ktoś, przy kim zabrakłoby jej słów, Ale Jackowi się to udało. Nawet kiedy jedynie zerkał na jej bose stopy, docierał do jej najskrytszych sekretów. Przejrzał jej grę i odgadł niemal wszystkie szczegóły jej Wielkiego Planu, nawet jeśli nie zdawał sobie sprawy, jak bliski jest prawdy.

Spoważniała na myśl o swoim planie, swoim precyzyjnym planie osiągnięcia bezpiecznej, szacownej pozycji w społeczeństwie. Zeszłej nocy nie myślała o tym ani przez chwilę. Prawdę mówiąc, przez kilka godzin tego ranka dopuściła do siebie zdradziecką myśl, że być może wcale nie potrzebuje żadnego planu, że może znalazła coś wartego więcej niż dziesięć tysięcy funtów i miłego dżentelmena. Kiedy Jack powiedział, że chce ją znowu zobaczyć, pomyślała… a nawet miała nadzieję…

To był, oczywiście, nonsens. Książę musiałby być szaleńcem, żeby poślubić kobietę taką jak ona. I rzeczywiście, zaproponował tylko romans, w małym, dyskretnym domku, gdzie mógłby się z nią spotykać, dopóki by się nią nie znudził. Bez względu na to, jak bardzo go pragnęła, Sophie nie zaryzykowałaby czegoś takiego. Zdobycie i utrzymanie reputacji kosztowało ją wiele wysiłku i starań. Stracić mogłaby ją w mgnieniu oka, a gdyby tak się stało, nigdy już by jej nie odzyskała. W towarzystwie przedstawiała się jako wdowa, ale gdyby ktoś dobrze poszukał, przekonałby się, że nigdy nie było żadnego pana Campbella, a jedynie panna Graham, która w tajemniczy sposób została wdową w powozie jadącym z Bath do Londynu. Mógłby odkryć, że jej jedynym dziedzictwem jest trzysta funtów pozostawione przez lady Fox, a cztery tysiące, które zebrała i ostrożnie zainwestowała, wygrała od dżentelmenów w kości i karty.

Wprawdzie domyślała się, że Jack byłby dla niej hojny, może nawet bardzo, gdyby została jego kochanką, ale to trwałoby, tylko dopóki by jej pożądał. Kochanka nie ma żadnych praw do swojego opiekuna. Co gorsza, prędzej czy później on ożeniłby się z kimś, a wtedy straciłaby go całkowicie. Sophie nigdy nie flirtowała z żonatymi mężczyznami, a tym bardziej nie wdawała się z nimi w romanse.

Powiedziała mu prawdę: nie miała innego wyjścia. Teraz, po powrocie do Londynu, musi nie tylko wrócić do realizacji planu, ale też powinna podwoić starania, żeby nadrobić straty, jakie poniosła.

To zaś oznaczało powrót do klubu Vega i stanięcie przed tymi samymi ludźmi, którzy widzieli, jak została wyciągnięta za drzwi po skandalicznym zakładzie z Ware’em. Stanięcie przed Philipem, który może być na nią zły, i przed Gilesem Carterem, który może być zdegustowany. Westchnęła ciężko i zanurzyła się w wodzie.

Zanim powóz dojechał do Ware House, Jack kilka razy odtworzył w myślach wydarzenia całego poranka, skutkiem czego był w wyjątkowo podłym nastroju, kiedy przekraczał wysokie, rzeźbione drzwi otwarte przez służącego w nieskazitelnej liberii. Jego wzrok padł na służącą, zajętą swoimi obowiązkami. Jack zmarszczył brwi. Miała na sobie prostą ciemnoniebieską suknię, dokładnie taką samą jak ta, którą Sophie założyła pierwszego dnia w Alwyn House i ostatniej nocy, kiedy kochał się z nią na sofie.

– Pan Percy czeka w gabinecie, wasza wysokość – oznajmił Browne, jego kamerdyner.

– Doprawdy? – Z ponurą miną zdjął płaszcz, Percy może poczekać. – Każ natychmiast przygotować mojego konia. I niech kąpiel będzie gotowa, kiedy wrócę.

Browne spojrzał na niego zdumiony; takie okazywanie emocji było u niego czymś absolutnie niezwykłym.

– Tak, wasza wysokość.

– Czy mój brat tu był?

– Właśnie teraz jest u jej wysokości.

Jack zatrzymał się, ale tylko na moment. A więc Philip jest tutaj, przed południem, u matki. Oboje niewątpliwie będą oczekiwali wyjaśnienia, gdzie spędził ostatnie kilka dni – choć każde z nich z innych powodów. Jack wiedział, że Percy wrócił do Londynu, o niczym nie wiedząc. Wilson odprawił go z Alwyn, kiedy on i Sophie zwiedzali strychy. Myśląc o obietnicy, którą złożył Sophie – że zachowa ich skradzione chwile w

tajemnicy – ruszył w kierunku swojej garderoby. Utrzymać to w sekrecie, kiedy on był w stanie myśleć tylko o niej! Nie móc jej zobaczyć, kiedy tylko ją chciał widzieć. Potrzebował długiej przejażdżki, żeby choć trochę złagodzić napięcie mięśni.

Matka przechwyciła go, kiedy wychodził.

– O, tu jesteś, mój drogi. Zaczynałam się zastanawiać, czy nie jesteś chory; tak długo cię nie było.

– Nie jestem, mamo. – Skłonił się lekko. – A teraz wybacz, wybieram się na przejażdżkę.

Jej ciemne oczy otworzyły się szeroko. Miała niezwykłą umiejętność wyrażania głębokiego oburzenia bez najmniejszego wysiłku, co odziedziczył po niej Philip.

– Wychodzisz? Kiedy dopiero co wróciłeś po tygodniowej nieobecności? Zachowujesz się bardzo dziwnie.

– Doprawdy? – Wziął od Browne’a kapelusz i założył rękawiczki. – Nie widzę w tym nic dziwnego.

Gdyby wrócił do gabinetu i zamknął się tam z Percym, czułby się dziwnie i właśnie dlatego wybierał się na przejażdżkę.

Uniosła brwi ze zdumieniem.

– Ware! Nie igraj ze mną. Słyszałam o scenie w klubie. To było nad wyraz niestosowne.

Tyle są warte zapewnienia Dashwooda o dyskrecji – pomyślał Jack. Co znaczy – niech to diabli – że Sophie ma powód, by martwić się o swoją reputację.

– Jak mogłeś zrobić coś takiego? – dodała matka z niesmakiem.

– Sama prosiłaś, żebym tam poszedł – przypomniał.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Ze względu na Philipa! Nigdy nie…

– Philip odegrał swoją rolę w tej, jak to ujęłaś, scenie. Ufam, że zdążyłaś go już skarcić za to, że złamał słowo i wrócił do gry w klubie Vega tego

samego dnia, w którym obiecał ci, że przez miesiąc będzie tego unikał.

Matce opadła szczęka. Jack pomyślał, że od lat nie wypomniał jej tego, że nie traktuje ich jednakowo.

– Ale… Ale Jack…

Wyprostował się. Zwykle zwracając się do niego, używała tytułu, i to od dnia śmierci ojca. Zwracając się do niego po imieniu zwiększała siłę ataku.

Podeszła bliżej i położyła mu rękę na ramieniu.

– Oczywiście, że Philip powinien się poprawić. Okazał skruchę, o czym z pewnością byś wiedział, gdybyś nie zniknął bez słowa. Bardzo się martwiłam.

Odsunął się od niej i rozłożył ręce.

– Jak widzisz, już jestem w domu, cały i zdrowy. A teraz wychodzę.

– Ależ mój drogi, nie tylko z moimi uczuciami powinieneś się liczyć. Lady Stowe i Lucinda odwiedziły nas, kiedy cię nie było…

Kątem oka zauważył, że służący przyprowadził konia. Nero przebierał niespokojnie nogami, wypoczęty i gotowy do biegu. Dobrze. Jack zamierzał pojechać do Hampstead i z powrotem.

– Ufam, że mają się znakomicie. Mój koń już czeka, mamo. Miłego dnia.

– Ale… ale Ware! Musimy porozmawiać o Philipie!

Jack uniósł rękę w pożegnalnym geście i zszedł po schodach. Rozmowę o Philipie uważał na razie za zakończoną. Wziął wodze od służącego i wskoczył na konia, uchylając kapelusza przed matką, która była tak oburzona, że poszła za nim aż do drzwi, trzymając się za serce. Odjechał bez słowa, doskonale zdając sobie sprawę z odprowadzającego go spojrzenia osłupiałej matki.

Zastanawiał się, czy Philip ukrywa się gdzieś w domu i czeka niecierpliwie, żeby usłyszeć, czy misja księżnej się powiodła. Zwykle tak właśnie postępował: nakłaniał matkę, żeby się za nim wstawiła, najczęściej przedstawiając jej mocno okrojoną wersję wydarzeń. Księżna, zawsze skora zaufać Philipowi, była nieustraszona i Jack zazwyczaj ulegał jej żądaniom,

mając dość nękania prośbami i groźbami, bo matka nigdy nie ustępowała, dopóki przynajmniej częściowo nie osiągnęła swego celu.

Sophie także go przekonywała, ale nigdy nie czuł się przez nią nękany. Mogła się z nim przekomarzać, ale nigdy nie stawiała żądań.

Boże. Sophie. Czy dotarła bezpiecznie do domu? Powinien był pójść za nią, żeby się upewnić. Jednak natychmiast pomyślał, że gdyby wiedział, gdzie mieszka, nie miałby pewności, że udałoby mu się trzymać z dala od niej. Oczywiście, bez trudu mógł się tego dowiedzieć – jego służący poznał adres Sophie, kiedy dostarczał wiadomość po zakładzie – co znaczyło, że stanowczo nie powinien tego robić. Minęła zaledwie godzina, odkąd się z nią pożegnał, a już miał ochotę złamać dane słowo i zabrać ją z powrotem do Alwyn House, nie przejmując się skandalem.

Jak uda mu się przetrwać resztę życia bez niej?

15

Ostatnim miejscem, w którym Sophie chciała się znaleźć tego wieczoru, był klub Vega, a jednak o godzinie ósmej stanęła przed jego drzwiami.

– Dobry wieczór, pani Campbell – powiedział Forbes, menedżer klubu, odbierając od niej płaszcz. – Jak się pani miewa?

Nawet jeśli ciekawiło go jak wszystkich innych, co zaszło między nią a Jackiem – *nie, nie Jackiem*, *ale księciem* – poprawiła się – to nie dał nic po sobie poznać. Posłała mu promienny uśmiech.

– Dziękuję, dobrze.

Forbes przekazał jej płaszcz służącemu.

– Pan Dashwood chciałby zamienić z panią słowo w dogodnej chwili.

– O! – Sophie spięła się na moment, ale natychmiast zmusiła się, by zachować spokój. Nie uda jej się nikogo przekonać, jeśli będzie reagować jak wystraszona mysz za każdym razem, gdy ktoś się do niej odezwie.

– Mogę choćby w tej chwili, jeśli panu Dashwoodowi to odpowiada.

– Proszę tędy – powiedział Forbes i poprowadził ją do biura Dashwooda. Zachowanie spokoju kosztowało ją dużo wysiłku; co chciał jej powiedzieć pan Dashwood? Forbes najwyraźniej otrzymał polecenie sprowadzić ją natychmiast. Czy złamała jakieś zasady i straci członkostwo w klubie? Była w biurze Dashwooda tylko trzykrotnie: kiedy starała się o przyjęcie do klubu i dwa razy, kiedy miała szczęście wygrać sumy na tyle poważne, że sam właściciel postanowił nadzorować wypłatę należności.

Jednak po czasie spędzonym z Jackiem Sophie zaczęła podejrzewać, że to raczej jej płeć niż wielkość zakładu skłoniła pana Dashwooda do interwencji. Wygrała dwieście siedemdziesiąt funtów od sir Edwarda Tisdale'a, a potem prawie pięćset od jakiegoś bardzo pijanego wicehrabiego, który częściej patrzył w jej dekolt niż w karty. Później usłyszała, jakoby wicehrabia twierdził, że celowo ubrała się nieskromnie, żeby rozproszyć jego uwagę. Sophie nie miała z tego powodu najlżejszych wyrzutów sumienia. Jej suknie nie różniły się niczym od tych, które nosiły inne eleganckie damy, a jeśli kogoś rozprasza odsłonięty skrawek kobiecego ciała, to powinien ograniczyć się do gry w wyłącznie męskim towarzystwie. Obaj dżentelmeni spłacili swoje należności, choć wicehrabia uczynił to raczej niechętnie. Pan Dashwood wszystkiego dopilnował.

Niestety, tego wieczoru niczego nie wygrała.

Forbes zapukał w ostatnie drzwi.

– Pani Campbell, sir – oznajmił i skinął głową, kiedy usłyszał odpowiedź. – Pan Dashwood przyjmie panią.

– Dziękuję, Forbes – powiedziała cicho, przyciskając dłonie do spódnicy, żeby zapanować nad ich drżeniem. Uniosła dumnie głowę i weszła do gabinetu.

Pan Dashwood wstał zza biurka i wyszedł ją przywitać.

– Pani Campbell. Dobrze widzieć panią znowu w klubie Vega.

– Tak – odparła z uśmiechem i dygnęła. Ćwiczyła ten spokojny, miły wyraz twarzy tak długo, aż zaczął jej przychodzić zupełnie naturalnie, ale dziś z trudem udawało jej się go utrzymać. – Dobrze jest tu wrócić.

Przechylił głowę i przyjrzał się jej badawczo. Wszystko w Dashwoodzie było nieprzeciętne: jego umysł, rysy twarzy i ambicje. Był bezwzględnym rekinem w stroju dżentelmena.

– Wychodząc stąd ostatnim razem, wywołała pani niejakie poruszenie.

Sophie odetchnęła głęboko i zacisnęła dłonie.

– Przykro mi z tego powodu…

– Nie wątpię – przerwał jej. – Nie życzę sobie tego rodzaju zakładów w moim klubie.

Poczuła, że pieką ją policzki.

– Ja też nie lubię takich zakładów. Jego wysokość nalegał, jak sam pan słyszał…

– Ale pani się zgodziła. – Dashwood skrzyżował ręce na piersi i oparł się biodrem o biurko. Z trudem znosiła jego przeszywające spojrzenie, a on nie pozwalał jej użyć żadnej z przećwiczonych wymówek.

– Rzeczywiście – przyznała cicho. – To był błąd.

– Mam nadzieję, że nie popełni pani więcej tego samego błędu. Jeśli zamierza pani zawierać tego rodzaju zakłady… – Wzruszył ramionami. – Jest mnóstwo miejsc, gdzie może pani to robić. Ale nie w klubie Vega.

Sophie poczuła, że oddech więźnie jej w gardle. Plecy miała sztywne jak żelazny pręt, a twarz niewątpliwie przybrała trzy odcienie szkarłatu.

– Nie. To… to była chwila szaleństwa, z pewnością z mojej strony, a sądzę, że także jego wysokości. To nie był poważny zakład… od tamtego wieczoru nigdy więcej nie spotkałam jego wysokości. Przypuszczam, że zaproponował taki zakład tylko po to, by nie dopuścić, żebym zagrała z jego bratem, lordem Philipem. Przypuszczam, że powstało między nimi jakieś napięcie w związku z długiem, i zaproponował taki zakład w chwili gniewu.

Dashwood uniósł sceptycznie brew.

– Surowa kara dla pani. Mniej surowa dla lorda Philipa.

Zatrzepotała rzęsami.

– Jak pan widzi, nigdy nie została wykonana.

Przez moment na jego twarzy zawitało coś jakby współczucie.

– Nie pojawiła się tu pani od tamtej pory.

– Byłam niedysponowana – odparła.

Colleen powiedziała dwóm osobom, że leży chora w łóżku, co było równie dobrą historyjką jak każda inna. Zaciskała dłonie tak mocno, że

niemal nie czuła koniuszków palców.

– Zawarłam zakład z jego wysokością. W zamian za obietnicę, że nigdy więcej nie zagram z lordem Philipem, odwiózł mnie do domu – było to prawdą, nawet jeśli pominęła milczeniem fakt, że stało się to dopiero dziś rano. – Zmokłam wtedy na deszczu i musiałam spędzić kilka dni w łóżku.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Plotki to podstępne bestie, droga pani. Trudno je złapać, a jeszcze trudniej okiełznać. Sugeruję, aby unikała pani jego wysokości, żeby nie dostarczać pożywki żadnym nieprzyjemnym plotkom.

– Zapewniam pana, sir, że nie zamierzam nigdy więcej zrobić niczego podobnego.

Serce biło jej jak szalone.

– Doskonale, pani Campbell – powiedział po chwili. – Proszę dopilnować, żeby do tego nie doszło. W każdym razie nie tutaj.

– Oczywiście. – Zaschło jej w ustach. A potem, ponieważ nie mogła sobie pozwolić na choćby cień podejrzeń, dodała:

– Mam nadzieję, że kodeks postępowania obowiązujący członków dotyczy również tego przypadku.

Wiedział, co miała na myśli: zakaz mówienia o tym, co wydarzyło się w klubie.

– Oczywiście. I na ile będzie to możliwe, dopilnuję, żeby był przestrzegany. – Spojrzał na nią znacząco. – Nie jestem Bogiem, pani Campbell. Jeśli prawda jest inna, niż głoszą plotki, roztropnie byłoby nagłaśniać prawdę przy każdej nadarzającej się okazji.

Skinęła głową, potwierdzając, że zrozumiała ostrzeżenie.

– Tak też zrobię.

Pan Dashwood wrócił za biurko.

– Jeszcze jedna sprawa, pani Campbell. Pani rachunek.

– Tak? – Poczuła ucisk w żołądku. Co może być nie tak z jej rachunkiem?

Właściciel klubu posłał jej przeciągłe spojrzenie.

– Wygrała pani od księcia Ware ponad sześćset funtów. Zgodnie z jego poleceniem zapisałem pieniądze na pani rachunku. Proszę tu podpisać, a natychmiast udostępnię pani pieniądze. – Podsunął jej księgę rachunkową i podał pióro.

Sophie odetchnęła z ulgą.

– Oczywiście – powiedziała cicho, składając podpis.

Sześćset funtów. Prawdziwa fortuna. Więcej, niż wygrała kiedykolwiek dotąd. Co pomyśli Jack, kiedy będzie musiał zapłacić? Czy w ogóle to zauważy?

Kiedy wychodziła z gabinetu, prowadzona przez Forbesa do głównego salonu klubu, lekko kręciło się jej w głowie. Stąpała po cienkim lodzie, a teraz miała wrażenie, jakby zaczynał jej trzeszczeć pod stopami. Poruszyła ramionami, próbując uwolnić się od napięcia, i poczuła tępy ból promieniujący od karku do podstawy czaszki. Ten wieczór już ją zmęczył, a jeszcze nawet nie weszła na dobre do klubu.

W salonie powitały ją szepty rozmów. Nikt nie przyglądał się jej otwarcie, ale zauważyła kilka ukradkowych, ciekawskich spojrzeń. Uprzejmie skinęła głową kilku znajomym, powtarzając sobie w myślach, że musi się zachowywać jak najbardziej normalnie. Większość osób odwzajemniała powitanie, ale niektórzy wyglądali na zamyślonych, co sprawiało, że była jeszcze bardziej spięta.

Drgnęła nerwowo, kiedy ktoś odezwał się tuż przy niej:

– Dobry wieczór, pani Campbell.

– Pan Carter! – Jej śmiech zabrzmiał niemal jak westchnienie ulgi. – Wspaniale znowu pana zobaczyć.

– Rzeczywiście, minęło kilka dni. – Ukłonił się, ale wyraz jego twarzy pozostawał nieodgadniony.

Uśmiechnęła się przepraszająco.

– Niestety, byłam chora. Przeziębiłam się na deszczu. Czułam się źle, więc przepraszam, że nie mogłam pana przyjąć, kiedy przyszedł pan z wizytą.

– Pani pokojówka wydawała się zaniepokojona.

– Doprawdy? – udała zaskoczenie Sophie. – Nie mam pojęcia dlaczego. Może to z powodu pańskiej przystojnej twarzy? – Uśmiechnęła się.

Przyglądał się jej przez chwilę; widziała, że bardzo chce jej uwierzyć. Sophie nie mogła tego znieść; Carter był przyzwoitym człowiekiem. Lubiła go, a teraz musiała okłamywać. Spuściła wzrok i splotła palce.

– Nie, powinien pan poznać powód, dla którego zamknęłam się w domu. Ja… ja… byłam zawstydzona tym, jak zachowałam się tamtego wieczoru. Straciłam panowanie nad sobą i dałam się sprowokować do rzeczy, które nigdy nie powinny mieć miejsca. To powstrzymywało mnie przed przyjściem do klubu. – Spojrzała na niego. – Mam nadzieję, że pan zrozumie i wybaczy.

Napięcie zniknęło z jego twarzy.

– Rozumiem – zawahał się. – A więc książę nie…

– Pozwolił mi pójść do domu i przeprosił za wywołanie publicznej sceny. Myślę, że oboje pożałowaliśmy zawarcia tego zakładu natychmiast po opuszczeniu klubu. – Pokręciła głową. Starannie dobierała słowa, żeby nie brnąć dalej w kłamstwa. Przemilczeń i sugerowania nieprawdy nie dało się uniknąć. Jack rzeczywiście puścił ją do domu i przeprosił. Ale przecież nie mogła powiedzieć panu Carterowi, że stało się to dziś rano, a nie cztery dni wcześniej.

– Ware także zniknął na kilka dni.

– Naprawdę? – Starała się zachować obojętny wyraz twarzy. – Nigdy wcześniej nie spotkałam jego wysokości. Nie wiem, jakie ma zwyczaje.

Carter wzruszył ramionami.

– Cóż, nieczęsto pojawia się w towarzystwie. Jeśli się zastanowić, spotkałem go tylko dwa razy. Może to istotnie przypadek.

Sophie nic nie powiedziała. Mimowolnie przypomniała sobie, jak Jack rozwiązywał krawat, dotykał jej policzka przed pocałunkiem, jak wplatał palce w jej włosy. *Niektóre* z jego zwyczajów znała.

Nagle wzdrygnęła się i odetchnęła gniewnie. Po drugiej stronie do salonu wszedł lord Lindeville, ze zmierzwionymi włosami i ponurą miną. Jego wzrok błądził po pokoju. Pochyliła głowę i modliła się, żeby jej nie zauważył.

– Co się stało, droga pani? – Pan Carter nachylił się ku niej.

Odnotowała w pamięci ten gest – to dobry znak.

– Przyszedł lord Philip.

Pan Carter zacisnął usta.

– Nie chcę go widzieć – powiedziała z zupełnie nieudawaną gwałtownością.

Nie tylko obiecała to Jackowi, ale też straciła niemal całkowicie sympatię do Philipa. Był nierozsądny i nieodpowiedzialny; żeby dokuczyć Jackowi, rozmyślnie ją wykorzystał, sugerując, że łączy ich coś więcej niż przyjaźń. W końcu może mu wybaczy, ale teraz czuła się zbyt dotknięta jego poczynaniami.

Carter przesunął się, zasłaniając ją.

– W takim razie nie zobaczy go pani.

Usiedli przy stoliku na uboczu, zasłoniętym żardynierą przed wzrokiem ciekawskich. Pan Carter poprosił o przyniesienie kart. Sophie nie miała wielkiej ochoty grać, ale wiedziała, że musi. W końcu to właśnie po to przyszła do klubu i gdyby nie grała, zwracałaby na siebie niepożądaną uwagę. Poza tym nic nie zmieniło się w jej Wielkim Planie.

Sophie była zbyt rozkojarzona obecnością Philipa, by w pełni wykorzystać swoje zdolności, ale mimo wszystko udało jej się przegrać tylko dziesięć funtów. Carter zerknął na nią, przeliczając pieniądze, po czym wstał od stolika.

– Może miałaby pani ochotę na kieliszek wina, pani Campbell?

Wstała z ulgą. Wracając dziś do klubu, zrobiła pierwszy krok. To na razie wystarczy. Do jutra powinna poczuć się nieco pewniej, a pojutrze będzie jeszcze lepiej. Wkrótce będzie się czuła – i będzie traktowana – całkiem normalnie, jak wcześniej. Jeśli wyjdzie teraz, może to zostać odebrane nie jako tchórzostwo – którym było – lecz jako osłabienie po fikcyjnej chorobie.

– Bardzo miło, że pan to proponuje, ale myślę, że powinnam wrócić do domu. Chyba jeszcze nie odzyskałam całkowicie sił. Czuję zbliżający się ból głowy.

– Oczywiście. Wygląda pani dość blado. – Podał jej ramię, które przyjęła z wdzięcznością, i okrążyli pokój, dyskretnie kierując się do wyjścia.

Z ulgą stwierdziła, że Philipa nie ma nigdzie w pobliżu. Musiał przejść do innego pokoju. Jack byłby na niego wściekły – ale to nie jest ani jej zmartwienie, ani jej problem do rozwiązania. Sophie chciała tylko wrócić do domu. Tym razem naprawdę czuła się niezdrowa.

Niemal dotarli do donicy z palmą przy biurze menedżera, kiedy ktoś stanął tuż przed nią.

– Tu pani jest, pani Campbell!

Wzdrygnęła się i z trudem powstrzymała okrzyk zaskoczenia. Philip Lindeville złożył jej ukłon tak głęboki, że można było niemal odebrać go jako kpinę. Mówił tak głośno, że wszyscy wokół zamilkli i odwrócili głowy w ich stronę. Nie miała wyboru: mogła się do niego odezwać albo ryzykować kolejną scenę. Zacisnęła zęby i dygnęła.

– Dobry wieczór panu.

– Istotnie dobry, skoro panią widzę. – Spojrzał na stojącego obok niej mężczyznę. – Dobry wieczór, Carter.

Carter ukłonił się sztywno.

– Lindeville. A teraz musisz nam wybaczyć. Właśnie odprowadzałem panią Campbell do domu.

Philip uniósł brwi, udając zdziwienie.

– Do domu? Niemożliwe. Nie ma jeszcze dziesiątej, a ta dama nie odwiedzała klubu od kilku dni. Nie możesz nas pozbawić przyjemności jej towarzystwa.

– Schlebia mi pan – powiedziała, siląc się na uśmiech. *Zachowuj się normalnie*. – Ale niestety, nie czuję się dobrze.

– Wielkie nieba. – Philip zakołysał się na piętach. – Po kilku dniach choroby? Zaczynam się niepokoić, pani Campbell.

A wszyscy wokół zaczynali być coraz bardziej zaciekawieni. Jakże to okrutne, że jedna nieostrożność Sophie doprowadziła do złamania obowiązującej w klubie Vega dyskrecji, wywołując tak wielki skandal, że nikt nie mógł się powstrzymać przed plotkowaniem o nim.

– To bardzo uprzejme z pańskiej strony, ale zupełnie niepotrzebne. Po prostu boli mnie głowa – powiedziała cicho, lecz stanowczo. – Wystarczy, że spokojnie prześpię noc.

– Nie, nie. Kieliszek wina przywróci pani siły. – Philip sięgnął do jej ramienia, delikatnie wsuwając się między nią i Cartera. – Proszę powiedzieć, że pani zostaje.

Sophie uparcie odmawiała, patrząc mu prosto w oczy – oczy na tyle podobne do oczu Jacka, że poczuła ucisk w sercu.

– Nie dzisiaj, sir.

– Pani powiedziała, że nie chce, Lindeville – powiedział cicho Carter.

Oczy Philipa pociemniały, a jego usta zacisnęły się w wąską linię.

– Może powinniśmy posłać po doktora. Ta choroba wydaje się poważna; trwa już przecież od kilku dni i zaczęła się zupełnie niespodziewanie, czyż nie? – Przechylił lekko głowę. – W tej samej chwili, kiedy pojawił się mój brat. – Jego wargi wygięły się w szyderczym uśmiechu. – Choć muszę przyznać, że ostatnio jego obecność źle wpływa także na moje samopoczucie.

– Och, nie – odparła, hamując złość. – Nie jestem poważnie chora. To tylko przeziębienie, chociaż rzeczywiście dość nieprzyjemne. I chyba

przeceniłam swoje siły, wychodząc dzisiaj z domu.

Philip zerknął na jej towarzysza.

– Carter, bądź taktowny i zostaw mnie na chwilę z panią Campbell. – Kiedy Carter zmierzył go złym wzrokiem, położył rękę na sercu. – Martwię się o nią.

Był gotów urządzić scenę; prawdę mówiąc, już zaczął. Sophie spojrzała na pana Cartera i skinęła lekko głową. Ukłonił się i cofnął, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Miłego wieczoru, pani Campbell.

Sophie ze ściśniętym sercem patrzyła, jak odchodzi. Odwróciła się do Philipa, powtarzając sobie, że nie może go skarcić, mimo że na to zasłużył. Jak mogła dopuścić, by ten rozpieszczony, arogancki młody człowiek miał tak wielki wpływ na jej życie?

– Głowa już mnie rozbolała i nie mam siły kłócić się z panem.

Wyglądał na urażonego; przełożył jej dłoń przez swoje ramię.

– Nie będziemy się kłócić. Chcę tylko porozmawiać.

Poprowadził ją do jednej z sof ustawionych wzdłuż ścian. Było to wprawdzie w głównym salonie, ale z dala od stolików, przy których grano w karty i kości, na których skupiała się uwaga obecnych.

– Lordzie Philipie – zaczęła, gdy tylko usiadła. – To nie może trwać…

Uniósł rękę gestem tak przypominającym Jacka, że urwała w pół zdania.

– Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Muszę wiedzieć. Czy mój brat zrobił cokolwiek, co pani uchybiło? – Jego ton zawierał sugestię wszelkiego rodzaju nadużyć i upokorzeń.

Już miała gwałtownie stanąć w obronie Jacka, lecz w porę się powstrzymała i zacisnęła usta.

– Nie.

– Nic? – Ścisnął jej dłoń. – Jeśli zrobił cokolwiek, zapewniam, że tego pożałuje.

Sophie wyrwała rękę z jego uścisku.

– Philipie, to szaleństwo.

Zmierzył ją wzrokiem.

– Co?

– Zwracasz na mnie uwagę – wypaliła. – I na siebie. Proszę, przestań.

– Pani Campbell… *Sophie* – zaprotestował. – Nigdy nie odważyłbym się…

Spojrzała na niego z wyrzutem

– Proszę pomyśleć, milordzie. Nalega pan, żebym została i porozmawiała z panem. Odprawia pan pana Cartera, który odprowadzał mnie do holu, żeby pan Forbes mógł wezwać dla mnie dorożkę. Tamtego wieczoru przerwał mi pan przyjemną partię wista z panami Whitleyem i Fraserem, upierając się, żebym zagrała z panem w kości.

Przez chwilę sprawiał wrażenie wstrząśniętego, lecz szybko opanował się i uśmiechnął ze skruchą. Znowu wyglądał jak Jack, przyprawiając ją o szybsze bicie serca.

– Nie zdawałem sobie sprawy, ale teraz widzę, że ma pani rację. Przepraszam.

– Lubię pańskie towarzystwo – powiedziała. – Ale powinien pan zrozumieć moje położenie. Muszę myśleć o swojej reputacji.

Roześmiał się.

– Musi pani? Reputacja to taka nudna rzecz. – Wzruszył ramionami i przeczesał palcami włosy. – Co za szczęście, że mój brat jest takim sztywniakiem. Gdyby był inny, nigdy nie uwierzyłbym, że pozostał wobec pani obojętny.

Nie wiedziała, czy to ma być pułapka, ale jeśli tak, to była skuteczna. Na tę nieoczekiwaną wzmiankę o Jacku jej maska opadła. Philip, który przez cały czas uważnie ją obserwował, musiał dostrzec coś na jej twarzy, bo nagle posmutniał.

– Co on zrobił?

Nastrój Sophie pogarszał się z każdym jego słowem. Lubiła towarzystwo Philipa, śmiała się z jego żartów, schlebiało jej jego zainteresowanie. Ale nigdy nie zrobiła niczego, co mogłoby go zachęcić, by chciał więcej. Była zbyt świadoma tego, ile mogłoby ją kosztować przekroczenie cienkiej granicy. Wszyscy uważali ją za szacowną, choć nieco zbyt pełną temperamentu wdowę, co usprawiedliwiało ją, kiedy spędzała czas w towarzystwie dżentelmenów takich jak Philip lub pan Carter, ale w żadnym wypadku nie chciała, żeby uznano ją za *taką* wdowę.

A Philip, który wcześniej wydawał się respektować granice ich przyjaźni, nagle stał się zaborczy i zaczął uważać ją za swoją, co nie było i nie mogło być prawdą. Sophie przypuszczała, że zachowanie Philipa ma więcej wspólnego z jego bratem niż z nią, ale nie ulegało wątpliwości, że to jej reputacja ucierpi, jeśli nie przestałby się tak zachowywać.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– To nie jest pańska sprawa, milordzie.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Chciałem tylko wiedzieć, jak mój brat potraktował…

– Nie! Nie będę odpowiadać na takie pytania. Nie ma pan prawa wypytywać mnie, co robię. – Wzięła głęboki oddech. – Jeśli chce pan dowiedzieć się czegoś o poczynaniach swojego brata, powinien pan porozmawiać z nim. Może on poczuje się zobowiązany do odpowiedzi. Ja się nie czuję.

Zapadła cisza. Widać było, że Philip stara się opanować. Jego twarz wyrażała to podejrzliwość, to niepewność.

– Proszę o wybaczenie – powiedział w końcu. – Martwiłem się o panią.

– Dziękuję, ale nic mi nie jest.

Wstała.

– Jestem zmęczona, boli mnie głowa i zamierzam wrócić do domu. Dobrej nocy.

Wyszedł za nią, marszcząc brwi. Sophie starała się go ignorować. Teraz naprawdę źle się czuła: było jej zimno, pociła się i serce jej kołatało. Splotła zdrętwiałe palce, czekając, aż pan Forbes pośle kogoś po dorożkę. Pan Carter gdzieś zniknął, a ona nie potrafiła nawet tego żałować. Chciała tylko wrócić do domu, położyć się do łóżka i schować głowę pod kołdrę.

Frank, służący, który pilnował szatni, przyniósł jej płaszcz. Philip odprawił go i sam pomógł Sophie się ubrać.

– Proszę pozwolić, żebym odwiózł panią do domu – powiedział. – Chcę mieć pewność, że będzie pani bezpieczna.

Gdyby dzisiaj opuściła klub z nim, po tym jak tydzień wcześniej wyszła z Jackiem, nigdy nie udałoby się jej wrócić do normalności.

– Dziękuję, ale nie – powiedziała chłodno. – Poradzę sobie sama.

Niemal niegrzecznie odwróciła się od niego.

– Dobrze. – Jego głos także zabrzmiał ozięble. – Zatem zobaczymy się innym razem.

Skinęła głową.

– Dobranoc panu.

Dorożka przyjechała prawie cztery minuty później. Sophie wiedziała to, ponieważ widziała zegar na niedużym kominku w recepcji. Wydawało jej się, że czekała całą wieczność, ponieważ Philip nie zrezygnował. Stał za nią, milczący i ponury, aż zapragnęła odwrócić się i ostro go odprawić.

Jednak zacisnęła zęby i patrzyła, jak wskazówka zegara odlicza sekundy. Kiedy w końcu Forbes przyszedł, żeby powiedzieć jej, że dorożka czeka, prawie wybiegła z klubu. Nie chciała oglądać się za siebie, ale kiedy wsiadała do powozu, podając adres woźnicy, kątem oka zauważyła Philipa, który z ponurą miną obserwował ją ze schodów klubu.

Ojej.

16

*J*akaś dama chce się z panem zobaczyć, wasza wysokość. Nie chciała podać nazwiska, ale przekazała to – oznajmił kamerdyner.

Jack spojrzał na podsuniętą przez niego srebrną tacę. Minął prawie tydzień, odkąd ostatni raz widział Sophie; pięć dni, mówiąc ściśle. Przez pięć dni osobiście oglądał każdy przychodzący list w nadziei, że zobaczy coś od niej. Nie znał jej pisma, a jednak wystarczył mu rzut oka na tę wiadomość, żeby wiedzieć, że ona ją napisała. Bezwiednie wstrzymując oddech, wziął do ręki list i złamał pieczęć.

Muszę się z Tobą natychmiast zobaczyć w pilnej sprawie. S.

– Wprowadź ją – polecił kamerdynerowi. – Percy, to byłoby wszystko na dziś.

Zaskoczony sekretarz spojrzał znad swojego biurka w głębi gabinetu. Jack skinął krótko głową: *Idź*. Percy zebrał papiery i wyszedł w ślad za kamerdynerem, zamykając za sobą drzwi.

Jack wstał i chodził nerwowo wokół biurka, próbując zapanować nad przyspieszonym biciem serca. Czego mogła chcieć? Powtarzał sobie, że to będzie raczej zła niż dobra nowina, ale nawet to nie pomogło. Ona była *tutaj*, w jego domu…

Drzwi się otworzyły.

– Wasza wysokość. – W głosie Browne’a zabrzmiał ton głębokiej dezaprobaty. – Pański gość.

Odwrócił się. Miała na bonnecie czarny welon, lecz ledwie kamerdyner zamknął drzwi, zdjęła go. I na widok jej twarzy Jack poczuł, że znowu może oddychać – po raz pierwszy od pięciu dni.

– Wasza wysokość – szepnęła ze swoim ekstrawaganckim dygnięciem.

– Pani Campbell. – Ukłonił się. Zupełnie jakby byli tylko znajomymi, a nie kochankami. – Wejdzie pani?

– Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć. Przepraszam, że pana niepokoję. – Weszła do pokoju i zdjęła bonnet. Jej włosy były spięte w ciasny kok i Jack zapragnął wyjąć z nich szpilki i zobaczyć, jak opadają falami na plecy.

Odchrząknął, starając się odsunąć od siebie wizję jej włosów rozsypanych na poduszce.

– Ależ zupełnie nie.

Stała naprzeciwko niego, poważna i piękna; nieświadomie zacisnął palce na krawędzi biurka, aż kłykcie zbielały. Gdyby czegoś się nie przytrzymał, nie potrafiłby utrzymać się z dala od niej.

– Trzeba coś zrobić z Philipem.

Jack pomyślał, że się przesłyszał.

– Co z nim? – warknął.

– Nie daje mi spokoju – powiedziała z napięciem w głosie. – Pojawia się wszędzie, gdzie pójdę. Mówiłam mu kilkakrotnie, że nie będę z nim więcej grała, więc tylko chodzi za mną. Gra nierozważnie i przypuszczam, że sporo przegrywa. Któregoś wieczoru słyszałam, jak tłumaczył swoje niepowodzenia w grze utratą przychylności Pani Szczęścia, a potem odwrócił się i spojrzał na mnie znacząco… a wtedy wszyscy też zaczęli na mnie patrzeć. Przez to nie tylko on sam, ale i ja staję się obiektem plotek i spekulacji.

Jack wypuścił powietrze z płuc. Niech diabli wezmą Philipa.

– Porozmawiam z nim.

Policzki Sophie poczerwieniały.

– Nie jestem pewna, czy to wystarczy. Próbowałam z nim rozmawiać, a potem próbowałam *nie* rozmawiać. Inni także próbowali przemówić mu do rozsądku, ale bezskutecznie. Jest zły i nawet nie próbuje tego ukrywać.

Jack bardzo chciałby wiedzieć, kto jeszcze rozmawiał w jej imieniu.

– I myślisz, że moje słowa nie wywrą na nim większego wrażenia.

Zawahała się i niespokojnie oblizała wargi. Przyglądał się temu bezradnie, żałując, że nie może posmakować tych ust.

– Jest na ciebie zły – powiedziała cicho.

– To normalne. – Philip zwykle się o coś na niego gniewał.

– Nie. – Sophie pokręciła głową, najwyraźniej rozumiejąc, co ma na myśli. – Jest zazdrosny. Chciał wiedzieć, co zaszło między nami.

Na jego twarzy pojawiło się napięcie.

– Co mu powiedziałaś?

Jego brat – nikt na świecie – nie mógł poznać prawdy, a jednak coś w nim buntowało się na myśl o twierdzeniu, że nic nie wydarzyło się między nim a Sophie. Niech to, pragnął jej i chciał, żeby wszyscy wiedzieli, że ona należy do niego… Tyle że nie należała. I dał jej słowo.

– Powiedziałam, że to nie jego sprawa! – wykrzyknęła. – Dwukrotnie odwiedzał mój dom, kiedy ja… kiedy mnie nie było. Moja pokojówka powiedziała mu, że jestem chora, ale nie był do końca przekonany. Pozwala sobie na insynuacje i sugestie, stara się zdobyć informacje. Starałam się jak mogłam unikać go, ale on jest uparty.

– Co ma nadzieję osiągnąć?

– Nie mam pojęcia! – Wzięła głęboki oddech i zniżyła głos. – Przez niego ludzie zaczynają snuć różne przypuszczenia na mój temat. – Przygryzła wargę, wyraźnie wzburzona. – Sugerował, że zostałam twoją dziwką.

Jack puścił blat biurka i zacisnął pięści.

– Kiedy?

– Wczoraj. Był pijany. Nie sądzę, żeby ktokolwiek go usłyszał, ale to tylko kwestia czasu…

– Nie obchodzi mnie, jaką znalazłby wymówkę. To jest nie do przyjęcia.

Na jej twarzy po raz pierwszy pojawił się nieśmiały uśmiech. Jack nieco się uspokoił i zanim zdał sobie z tego sprawę, ruszył w jej stronę.

– To się nigdy więcej nie powtórzy – powiedział i, nie mogąc się powstrzymać, poprawił kosmyk włosów, który opadł jej na skroń. – Masz moje słowo.

– Jak to zrobisz? – W jej oczach malowały się nieufność i nadzieja. – Jak powstrzymasz go przed przychodzeniem do klubu?

Jack owinął sobie jej włosy wokół palca. Zapewne nie byłby w stanie powstrzymać Philipa, chyba że postawiłby przed wejściem do klubu kogoś, kto by go fizycznie zatrzymał. Dashwood nie byłby tym zachwycony.

– Nie pozwolę, żeby cię nękał. Możesz mi zaufać. – Nie miał pojęcia jak, ale teraz najważniejsze było dodanie jej otuchy.

Widział, że uszło z niej napięcie. Uśmiechnęła się promiennie i patrzyła na niego z nieskrywanym podziwem.

– Dziękuję. Nie wiedziałam, co robić.

Boże. Nie minął jeszcze tydzień, a on miał wrażenie, że nie widział jej całe wieki. Ujął ją pod brodę i uniósł jej głowę.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. – I pocałował ją, ujmując w obie dłonie jej twarz.

Stanęła na palcach, przywarła do niego i odwzajemniła pocałunek. W jego duszy obudziło się coś zaborczego. Wcale z niej nie zrezygnował. Może nigdy nie zrezygnuje.

– Tęskniłem za tobą – szepnął jej do ucha, lekko muskając wargami skroń.

– I ja za tobą – westchnęła. – Och, Jack…

Objęła go za szyję i wplotła palce w jego włosy.

Jack przygarnął ją do siebie. Dotyk jej ciała, zapach jej skóry uderzały mu do głowy niczym najmocniejsza whisky wypita zbyt szybko. Ale nie; to nie tak. To nie był krótkotrwały stan, który mija po przebudzeniu rankiem. Czekał pięć długich dni, a kiedy to się nie stało, pragnął znaleźć jakikolwiek pretekst, żeby znowu ją zobaczyć. Nawet odrażające zachowanie Philipa oburzało go mniej, skoro dzięki temu przyszła do niego.

Wpił się żarłocznie w jej usta. Jęknęła cicho, a on naparł na nią, zmuszając, żeby cofnęła się o krok, potem następny i jeszcze jeden, aż oparła się o biurko. Ujął ją w talii, podniósł i posadził na biurku, nie przejmując się leżącymi na nim papierami. Przeszedł go dreszcz, kiedy poczuł jej kolana przy swoich biodrach. Pięć niekończących się dni…

Jack chwycił jej kolana i uniósł je, żeby zmieścić się między udami. Sophie wyprężyła się i wbiła palce w jego kark, przyciągając go do siebie i ponaglając. Ani na chwilę nie przestawał jej całować, ale jego dłonie odszukały guziki sukni i zaczęły je rozpinać.

To było czyste szaleństwo. Pożegnali się, wiedząc, że to szaleństwo, ale on wciąż jej pragnął, bardziej niż kiedykolwiek, tak bardzo, że gotów był zlekceważyć dostojeństwo domu ojca, swoje zobowiązania wynikające z tytułu i to, że drzwi nie były zamknięte na klucz. Potrzebował jej. Zignorował wszelkie argumenty przemawiające przeciwko temu i pocałował delikatnie pulsującą skórę na szyi. Wyszeptała jego imię, podpierając się jedną ręką, a drugą trzymając go kurczowo za szyję.

Pukanie do drzwi zabrzmiało jak huk pioruna. Sophie podskoczyła gwałtownie, omal nie spadając z blatu biurka, i chwyciła go za ramiona.

– Przestań – szepnęła. – Nie możemy… Muszę iść.

Jack wahał się przez chwilę, zirytowany tym, że im przerwano, ale pukanie się powtórzyło. Znowu poczuł na ramionach przytłaczający ciężar obowiązków i odsunął się od biurka. Sophie gorączkowo poprawiała suknię. Jej twarz płonęła z pożądania, wargi wciąż były miękkie i kuszące.

Jack musiał się cofnąć i odwrócić od niej, żeby odzyskać kontrolę nad sobą i stłumić przemożne pragnienie – żeby zablokować drzwi i kochać się z nią na sofie, na biurku, nawet na cholernej podłodze, jeśli będzie trzeba.

– Spotkam się z Philipem – powiedział, dysząc ciężko. Z frustracji czuł niemal fizyczny ból. – Nie będzie ci się już więcej narzucał.

– Dziękuję. – Zapiąwszy guziki, założyła bonnet. Nerwowymi ruchami zawiązała wstążki. Zanim zarzuciła na głowę welon, posłała mu spojrzenie pełne żalu i tęsknoty. – Przykro mi, że musiałam cię niepokoić…

– Nie przepraszaj za to, że do mnie przyszłaś. – Zdobył się na uśmiech. – Nigdy.

– Nie będę – powiedziała cicho.

Drżącymi dłońmi opuściła welon. Nawet to przyprawiło go o dreszcz; gdyby rzeczywiście zablokował drzwi i zaniósł ją na sofę, nie miałaby nic przeciwko temu.

Podszedł do drzwi i otworzył je, żeby zobaczyć stojącego za nimi kamerdynera.

– Tak? – warknął.

– Jej wysokość, pańska matka, domaga się pilnego spotkania z waszą wysokością – powiedział Browne z niewzruszonym spokojem.

Jack zacisnął zęby. Browne nigdy nie niepokoiłby go z własnej woli; był kamerdynerem doskonałym. To znaczyło, że to matka zmusiła go, by zapukał nie raz, ale dwukrotnie do drzwi jego gabinetu. Oczywiście matka mogła wiedzieć o wizycie Sophie, tylko jeżeli Browne jej o tym powiedział, co czyniło kamerdynera współwinnym.

– Zobaczę się z nią później – rzucił ozięble i odprawił go władczym gestem.

– Pani pozwoli – zwrócił się do Sophie. – Odprowadzę panią.

Podał jej ramię i poprowadził do wyjścia.

Żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Kiedy ostatnim razem się rozstawali, oboje myśleli, że rozstają się na zawsze. Wtedy patrzył na nią z

rozpaczą. Ale tym razem…

Kiedy dotarli do drzwi, Sophie dygnęła pospiesznie.

– Dziękuję, wasza wysokość – powiedziała cicho i nie oglądając się za siebie, zniknęła za przytrzymywanymi przez służącego drzwiami.

Jack odprowadził ją wzrokiem. Spotkanie z nią wyrwało go ze skorupy rezygnacji i zobowiązań. Działał, żeby ratować Philipa, najpierw wywożąc Sophie z miasta, potem wyrzekając się jej.

Ale jego brat z niczego nie rezygnował ani nie słuchał żadnych ostrzeżeń. Po wszystkim, co Jack zrobił, żeby wywiązać się z tego, czego od niego oczekiwano, byłby idiotą, gdyby teraz nie zrobił czegoś dla siebie.

– Poślij po konia dla mnie – zwrócił się do służącego.

Został wpuszczony niemal natychmiast, mimo wczesnej pory i faktu, że klub nie był jeszcze otwarty dla gości. Dashwood pospiesznie zakładał żakiet, kiedy menedżer otworzył drzwi. Jack wkroczył do jego biura.

– Rozumiem, że mój brat znowu bywa przy pańskich stolikach – powiedział, pomijając grzecznościowe wstępy.

Dashwood zamarł, po czym poprawił żakiet.

– Nie zwykłem rozmawiać o zwyczajach członków klubu.

Jack zmierzył go kamiennym spojrzeniem.

– To nie było pytanie.

– Nadal jest członkiem klubu. – Dashwood pośrednio potwierdził jego słowa.

– Nadal gra i przegrywa znaczne sumy w pańskim klubie. Pieniądze, których nie ma i których nie dostanie ode mnie. – Jack bardzo starannie przemyślał, jak powinien podejść do Dashwooda. – Wydawało mi się, że jedna z pańskich reguł dotyczy spłacania długów.

– Istotnie.

– Ostrzegam więc pana, że mój brat wkrótce nie będzie w stanie spłacać żadnych długów. Proszę go powstrzymać. Proszę pozbawić go członkostwa.

Ponury uśmiech przemknął przez twarz Dashwooda.

– Wtedy, jako dżentelmen, będzie musiał zmierzyć się z konsekwencjami.

– W takim razie proszę przyjąć mnie do klubu.

Nie przypuszczał, żeby Dashwood się zgodził, ale musiał spróbować. Właściciel zamrugał, co było jedyną oznaką zaskoczenia.

– To wymaga pewnej procedury, wasza wysokość…

– Którą, jako właściciel, może pan obejść… w co nie wątpię.

Dashwood powoli skinął głową, intensywnie się nad tym zastanawiając. Przez chwilę jego twarz wydawała się twarda i zimna, a Jack przypuszczał, że właśnie wtedy zobaczył jego prawdziwe oblicze. Liczył na to, że właściciel dostrzeże korzyści, jakie może mu przynieść przyjęcie do klubu księcia Ware.

– Jeśli nie usunie go pan z klubu, mój brat doprowadzi się do ruiny – kontynuował Jack. – Nie mogę go powstrzymać przed zaprzepaszczeniem dobrego imienia i perspektyw na przyszłość, ale nie będę spokojnie patrzył, jak staje się plamą na moim honorze. Proszę mnie przyjąć do klubu, żebym mógł mieć oko na jego poczynania i interweniować, gdyby miał przegrać więcej, niż mógłby spłacić.

W twarzy Dashwooda nie drgnął nawet jeden mięsień.

– Mógłbym się na to zgodzić, oczywiście ze względu na pana własne zasługi i pozycję. Jest jednak coś, co mnie przed tym powstrzymuje.

Jack domyślał się, o co może chodzić. Wsunął dłoń do kieszeni, żeby nie było widać zaciśniętej pięści.

– Cóż takiego? – wycedził.

Właściciel klubu spojrzał mu prosto w oczy.

– Pani Campbell.

Otóż to. Jack zachował kamienną twarz.

– Kto? – spytał z nutą pogardy w głosie.

– Dama, z którą zawarł pan zakład, bardzo niestosowny, kiedy odwiedził nas pan ostatnim razem, wasza wysokość.

Jack zbył to lekceważącym machnięciem dłoni. W żaden sposób nie mógł zdradzić, że ją pamięta.

– Ach. Ona. Chciałem tylko odseparować ją od mojego brata, którego najwyraźniej zamierzała oskubać z pieniędzy.

– Pani Campbell wciąż należy do naszego klubu. Nie pozwolę, żeby pan nękał ją lub jakąkolwiek inną z obecnych tu dam.

Jack wyprostował się dumnie i zmierzył go wzrokiem, w którym zawarł całą książęcą arogancję, na jaką było go stać.

– Pan się zapomina, panie Dashwood.

– To mój warunek – odparł niezrażony Dashwood. – Nie życzę sobie w moim klubie tego rodzaju zakładów, ani z pańskim udziałem, ani kogokolwiek innego. A zwłaszcza powinien pan zachować dystans do pani Campbell.

– Oczywiście – powiedział Jack głosem zimnym jak sopel lodu.

Gdyby tylko Dashwood wiedział, że znosił tę obraźliwą rozmowę wyłącznie ze względu na Sophie! Odpuściłby Philipowi, jeżeli ten okazałby choć cień honoru i zostawił ją w spokoju.

– Zatem zakładam, że się porozumieliśmy. – Wziął kapelusz i odwrócił się do wyjścia. – Zamierzam przyjść dziś wieczorem.

– Dopilnuję, żeby Forbes zapisał pańskie nazwisko.

Jack skinął głową i wyszedł. Dopiero kiedy dosiadł konia i skierował się do domu, pozwolił sobie pomyśleć o skutkach, całkowicie zamierzonych, swojego manewru. Dostał się do klubu Vega, gdzie będzie mógł pilnować Philipa i nie pozwolić mu nękać Sophie. A w tym celu…

Będzie musiał widywać także ją…

17

Dwa wieczory później Sophie przeszła przez drzwi klubu Vega, czując niejaki niepokój. Nie miała wielkiej nadziei, że Jackowi udało się przekonać Philipa, by zostawił ją w spokoju. Za każdym razem kiedy przychodziła, on już tam był, jakby na nią czekał, obserwował każdy jej ruch.

To było niepokojące i zastanawiające zarazem. Z pewnością nie mógł czuć się do niej tak przywiązany tylko dlatego, że ze sobą grywali. Jak zauważył Jack, ona wygrała od Philipa więcej niż on od niej. To on był powodem sceny, która sprowokowała Jacka do zaproponowania tego skandalicznego zakładu. To on powinien ją przeprosić, kiedy się następnym razem spotkali.

Tymczasem zachowywał się podejrzliwie i zaborczo, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzało. Wszystko to kazało jej przypuszczać, że jest zły raczej na Jacka niż na nią. Sophie nie miała rodzeństwa i gdzieś w głębi duszy ubolewała nad tym, że dwaj bracia wydawali się tak skłóceni po tym, jak bliscy sobie byli w młodości. Niestety, nie mogła tego powiedzieć Philipowi, nie zdradzając przy tym, że wcale nie chorowała, lecz była w Chiswick i kochała się z jego bratem, ponieważ właśnie taka możliwość najwyraźniej doprowadzała go do furii… Była bezradna.

Dzisiaj skierowała się do stolików do wista. Zupełnie straciła ochotę na kości, faraon był niewiele lepszy. Wist był spokojniejszy i wymagał myślenia – a kiedy musiała się skupić na kartach, nie myślała o Jacku, o

tym, jak wziął ją w ramiona i całował, a ona prosiłaby, żeby kochał się z nią ostatni raz na biurku, gdyby ktoś nie zapukał do drzwi i nie wyrwał ich z oszołomienia namiętnością. Myślała, że po kilku dniach z dala od Jacka przestanie czuć tak potężne pożądanie albo przynajmniej że będzie jej łatwiej nad nim zapanować. Tymczasem w chwili gdy go zobaczyła, zapłonęło jeszcze mocniej niż kiedykolwiek.

– Pani Campbell!

Drgnęła nerwowo, słysząc ten okrzyk.

– Wielkie nieba – westchnęła, łapiąc się za serce. – Przestraszył mnie pan.

Fergus Fraser uśmiechnął się szeroko. Był całkiem miły, chociaż straszliwie płytki. Jego dziadek był szkockim lordem i pan Fraser wykorzystywał to, odkąd Sophie go znała. Przypuszczała, że odwiedzał klub Vega w tym samym celu co ona – żeby zdobyć majątek, a przynajmniej przyzwoity dochód.

– Nie było to moim zamiarem. Chciałem tylko przekazać pani wiadomość od naszego wspólnego przyjaciela.

Sophie spięła się w sobie. Mieli kilku wspólnych znajomych, ale najważniejszym z nich był Philip Lindeville.

– O?

Zamaszystym gestem podał jej złożoną kartkę.

– Miałem poprosić, żeby przeczytała ją pani na osobności, a gdyby pani zechciała przekazać odpowiedź, z przyjemnością ją doręczę.

Z przodu widniało jej nazwisko zapisane ozdobnym pismem Philipa. Stukając listem o dłoń, posłała panu Fraserowi lekceważący uśmiech.

– Dziękuję panu. To bardzo uprzejme z pana strony.

Ukłonił się z leniwą elegancją i odszedł. Sophie spod opuszczonych rzęs patrzyła, w którą poszedł stronę. Do pokoju, gdzie grano w blackjacka, ulubionego przez Philipa. Stanęła pod ścianą, złamała pieczęć i rozłożyła kartkę.

Odniosła wrażenie, jakby list napisał zupełnie inny Philip.

Byłem głupcem – pisał. – *Zbyt usilnie próbując zostać pani przyjacielem, straciłem pani przychylność i teraz czuję się zagubiony, pozbawiony pani towarzystwa. Proszę powiedzieć, że mi pani wybacza, droga Sophie, a wszystko będzie jak dawniej. Powinna pani wiedzieć, że mi na niej zależy, ale ktoś, komu interes żadnego z nas nie leży na sercu, zabronił mi nawet rozmawiać z panią. Nikomu nigdy nie uda się powstrzymać mnie przed myśleniem o pani.*

Pozostając pani oddanym sługą

P. Lindeville

Ktoś, komu interes żadnego z nas nie leży na sercu…

Z nagle drżącym sercem podeszła bliżej drzwi pokoju do blackjacka. Wciąż jeszcze było stosunkowo wcześnie, ale przy kilku stolikach już toczyła się gra. Po chwili zauważyła Philipa, który z ponurą miną odłożył kartę i sięgnął po następną. Ale za nim…

Za nim stał Jack.

Z najbardziej onieśmielającym książęcym wyrazem twarzy, z zaciśniętymi ustami, ale był. A Philip nie ośmielił się do niej podejść.

Zrobiło jej się ciepło na sercu i westchnęła cicho. Jack nienawidził hazardu, gardził klubem Vega, a jednak tu przyszedł. I mógł przyjść tylko dla niej. Przez chwilę nie mogła oderwać od niego wzroku; pragnęła podbiec do niego, podziękować mu, rzucić mu się w ramiona i zobaczyć, jak uśmiecha się do niej, a potem ją całuje…

– Słyszałem, że książę Ware starał się o członkostwo, ale nie spodziewałem się zobaczyć go tutaj – zauważył Giles Carter, stając przy niej.

Sophie nawet nie usłyszała, kiedy się zbliżał, i omal nie wyskoczyła ze skóry, słysząc jego głos. Ale przyjęła to jak błogosławieństwo, ponieważ dało jej szansę zamaskować to, jak patrzyła na Jacka.

– Doprawdy?

– Podobno otrzymał je z punktu – prychnął Carter. – Przywilej arystokracji, jak sądzę.

Zmusiła się do kpiącego uśmiechu.

– A więc będzie tu bywał regularnie?

– Zapewne. – Przyjrzał się jej badawczo. – To panią cieszy czy martwi?

Zamarła z przerażenia.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Chodzi mi o to, że po zupełnie niezwykłej sytuacji z udziałem was obojga on zabrał panią do swojego powozu. I ani jego, ani pani nie widziano przez kilka dni.

– Byłam w domu – powiedziała ostrożnie. – Leżałam chora w łóżku. Mówiłam panu.

Skinął głową.

– Owszem. A ja pani uwierzyłem. Ale teraz…

– Co teraz? – spytała ostro. Co pan sugeruje?

Uniósł rękę uspokajająco.

– Tylko to, że jego obecność tutaj może być dla pani nieoczekiwaną okazją.

Nie. To była nieoczekiwana tortura, przypomnienie o tym, czego nigdy nie będzie miała. I nikt nigdy nie może się dowiedzieć, że kiedykolwiek o tym marzyła, a tym bardziej – że coś ją z nim łączyło. Zmusiła się, by wzruszyć ramionami.

– Okazja, żeby przeżyć kolejne upokorzenie? – Pokręciła głową. – Doświadczyłam tego bardzo boleśnie, dziękuję bardzo.

Carter milczał przez chwilę.

– Kobiety są dla mnie bardzo tajemniczymi istotami – powiedział w końcu. – Mam trzy siostry i cztery siostrzenice, ale nigdy nie potrafię odgadnąć ich myśli. Najmniejsze drobiazgi stają się dla nich tragediami godnymi Szekspira, a poważne sprawy błahostkami. Kiedy panią poznałem,

sądziłem, że w niczym ich pani nie przypomina. Rozsądna i inteligentna, pomyślałem. Kobieta, przy której mężczyzna może czuć się swobodnie, a nie musi mieć się cały czas na baczności.

Powinna wyjść z siebie, zapewniając go, że jest właśnie taka. Powinna się ucieszyć, że tak ją poważał, i zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby to poważanie odzyskać. Przecież jeszcze trzy tygodnie temu umieściła Gilesa Cartera na początku swojej listy możliwych kandydatów na męża. On był dżentelmenem, a ona córką dżentelmena i miała cztery tysiące funtów. Wprawdzie o tym Carter nie wiedział, ale Sophie bardzo się starała sprawiać wrażenie kobiety mającej własne pieniądze. Wydawało się całkiem możliwe, że Giles Carter ożeniłby się z nią.

Czego Jack nigdy nie zrobi.

Sophie wiedziała to wszystko. Zawsze to wiedziała. Było rzeczą zupełnie nie do pomyślenia, by książę poślubił kobietę żyjącą z hazardu, a Jack nie powiedział ani nie zrobił nic, co sugerowałoby coś innego. Powiedział jej wprost, że książęta, a zwłaszcza książęta Ware, nie zawierają małżeństw z miłości. Mógł jej pożądać – a jako grzesznica Sophie chciała wierzyć, że tak jest – ale tylko jako kochanki. W najlepszym razie utrzymanki. Była pod każdym względem idiotką, pragnąc go mimo to, nawet gdyby nie zamierzała wyjść za porządnego dżentelmena, który mógłby jej zapewnić rodzinę i bezpieczeństwo.

Postanowiła zapanować nad swoją instynktowną reakcją na widok Jacka. Czas głupoty skończył się w chwili, gdy minęli bramę Alwyn House w drodze do Londynu.

– Obawiam się, że chce pan powiedzieć, że zmienił pan zdanie w tej sprawie – powiedziała cicho.

– Nie jestem już tak tego pewien jak niegdyś – przyznał pan Carter. – Nie z powodu tego, co wydarzyło się przy stoliku do kości… Jak pani pamięta, byłem świadkiem całego zdarzenia i widziałem, że książę zachował się prowokacyjnie i grubiańsko. Każdy mężczyzna miałby ochotę dać mu w

zęby, a niewielu oparłoby się jego wyzwaniu. Ale od powrotu do klubu… – Zawahał się. – Nie jest pani już taka sama.

Nie było sensu kłamać.

– Nie – przyznała cicho. – Przypuszczam, że nie.

Posłał jej krzywy uśmiech.

– Zatem pozostaje tylko pytanie, jak się pani zmieniła. Taki zakład z księciem może podsunąć damie różne pomysły. Przypuszczam, że to coś podobnego, jak kiedy młoda dama stara się zatańczyć z księciem. Kto wie, co może się wydarzyć, gdy uda jej się przykuć jego uwagę, a książęta, nawet książę Ware, są mężczyznami z krwi i kości, jak my wszyscy.

Zanim zdążyła się powstrzymać, Sophie zerknęła w stronę pokoju do blackjacka. Jack rozmawiał z jakimś dżentelmenem, w pełnej gracji pozie, oparty ramieniem o ścianę. Uśmiechał się nieznacznie, kiedy jego rozmówca coś powiedział, i zerkał w jej stronę. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały i Sophie przeszył ten sam dreszcz, który poczuła w Alwyn House. W tej samej chwili poczuła, jakby cały świat gdzieś zniknął i zostali tylko oni dwoje, dopełniające się połówki całości. *Jestem w nim zakochana* – pomyślała z zaskoczeniem Sophie.

A wtedy Jack odwrócił wzrok, nie zmieniając wyrazu twarzy. Podobnie Sophie odwróciła się do Gilesa Cartera.

– Gdyby pan pytał, czy żywię jakiekolwiek nadzieje na związanie się z księciem Ware – powiedziała spokojnie – to odpowiedź brzmi: nie. Sam taki pomysł jest nonsensem. Ostatnie, czego mogłabym sobie życzyć, to kolejna scena i związane z tym nieprzyjemności. Doskonale zdaję sobie sprawę, jak lekkomyślnie zachowałam się tamtego wieczoru, i postanowiłam nigdy więcej tego nie powtórzyć.

Pan Carter słuchał z uwagą. Sophie serce się ścisnęło; był dobrym człowiekiem, miała nadzieję, że mogłaby z czasem obdarzyć go szczerym uczuciem. Gdyby Philip nie był tak uparty… gdyby Jack jej nie uprowadził, zniecierpliwiony i wściekły… gdyby ona nie straciła panowania nad sobą i

nie uległa pokusie zdobycia takiej sumy… zapewne teraz flirtowałaby z panem Carterem, starając się podbić jego serce. Spełniał wszystkie wymagania, jakie stawiała swojemu przyszłemu mężowi, i naprawdę go lubiła.

Ale nie był Jackiem – i nigdy nim nie będzie. Kilka dni w Alwyn House coś w niej odmieniło, jak w glinie wypalonej w piecu, i nigdy już nie miała być taka jak dawniej. Nie potrafiła się zdobyć na oszukiwanie pana Cartera, bo wiedziała, że w jej sercu nie ma miejsca dla nikogo oprócz Jacka. Może z czasem to się zmieni, ale teraz…

Zmusiła się do uśmiechu.

– Pyta pan, jak się zmieniłam. Sądzę, że stałam się bardziej wyrachowana. Dzisiaj zamierzam wygrać duże pieniądze, a za bardzo pana lubię, żeby wybrać go na moją ofiarę. Czy możemy się pożegnać do lepszego wieczoru?

Rozpogodził się, a nawet uśmiechnął.

– Mógłbym powiedzieć, że to świadczy o pani szacunku dla mnie. Ostrzega mnie pani, żeby ocalić moją sakiewkę… i dumę!

– Najwyższym szacunku, sir. – Pacnęła go w ramię wachlarzem. – Chociaż przegrywa pan z takim wdziękiem…

– Ale tylko z panią. – Podał jej ramię.

Sophie przyjęła je i pozwoliła się odprowadzić do stolika z faraonem. Wist był jednak zbyt spokojny, a ona była dziś w zuchwałym nastroju i biada temu, kto stanie jej na drodze.

Szczęście dopisywało jej przez cały wieczór. Zanim zegar wybił drugą, zdążyła wygrać zacną sumę, nieco ponad sto funtów. Powinna być zadowolona, lecz czuła tylko wyczerpanie. Najwyższa pora wracać do domu. Pożegnała się z partnerami w grze i skierowała do recepcji, żeby odebrać płaszcz i poprosić Forbesa o sprowadzenie dorożki.

W holu o tej porze panowały cisza i spokój. Drzwi klubu pozostawały otwarte aż do świtu, ale większość osób, które zamierzały grać tego

wieczoru, była już w głównym salonie. Najbardziej zatwardziali gracze zwykle o tej porze przenosili się, w poszukiwaniu większych podniet, w inne miejsca, o bardziej podejrzanej reputacji, więc nie było trudno o dorożkę. Frontowe drzwi były otwarte i kiedy weszła do holu, poczuła powiew rześkiego powietrza. Z przyjemnością odetchnęła głęboko.

– Panie Forbes – zaczęła, podchodząc do wysokiego, jasnowłosego mężczyzny, stojącego tyłem do niej.

Odwrócił się szybko, a Sophie stanęła jak wryta. To nie był majordomus.

Twarz Jacka była nieruchoma, jak wykuta z marmuru.

– Pani Campbell.

Oczywiście. Nie może zdradzić, że ją zna – ani ona jego.

– Wasza wysokość – szepnęła, dygając. – Proszę wybaczyć.

– Forbes wyszedł sprowadzić dorożkę. Wygląda na to, że zabrakło ich w okolicy. – Ton jego głosu był chłodny i wyniosły, iście książęcy.

Zarumieniła się.

– Owszem, tak bywa.

Przez minutę stali w niezręcznym milczeniu. Chciała powiedzieć coś do niego – cokolwiek – ale się nie odważyła. Wystarczyłoby jedno słowo usłyszane przez kogoś, jeden zbyt zażyły gest, a plotki wybuchłyby ze zdwojoną siłą. A jednak… stanie tak blisko niego było niemal nie do zniesienia, zwłaszcza dzisiaj.

Na szczęście wrócił pan Forbes, który uniósł brwi na jej widok.

– Pani Campbell! Czy pani także potrzebuje dorożki?

– Tak.

Skinął głową.

– Natychmiast poślę kogoś. Pański powóz czeka na zewnątrz, wasza wysokość.

Dał znak Frankowi, służącemu odpowiedzialnemu za szatnię, który już biegł, niosąc w jednej ręce płaszcz, a w drugiej kapelusz – niewątpliwie należące do Jacka.

– Przynieś płaszcz pani Campbell – polecił mu Forbes.

Jack narzucił płaszcz i odebrał od Franka kapelusz.

– Nonsens – powiedział wyniośle. – Pani powinna wziąć ten powóz.

– Jak pan sobie życzy, wasza wysokość. – Forbes ukłonił się. – Natychmiast wezwę następny.

– Nie. – Jack założył kapelusz. – Dobrze mi zrobi świeże powietrze. Pójdę pieszo.

Sophie uniosła głowę, starannie unikając patrzenia na niego.

– To bardzo uprzejme z pańskiej strony, sir.

Jack skinął wyniośle głową, nie przerywając zakładania rękawiczek. Bez słowa, nie oglądając się za siebie, wyszedł w ciemność. Sophie odetchnęła głęboko i w chłodnym nocnym powietrzu poczuła delikatny zapach jego mydła do golenia.

– Czy dobrze się pani czuje? – spytał Forbes, przyglądając się jej nieco zbyt badawczo. – Czy jego wysokość narzucał się pani?

– Słucham? Nie. – Pokręciła głową. – Jestem tylko zmęczona. To bardzo uprzejme ze strony jego wysokości, że odstąpił mi tę dorożkę.

Forbes wydawał się nie do końca przekonany.

– Skoro jest pani pewna…

– Tak. – Uśmiechnęła się z autentyczną ulgą, widząc Franka wracającego z jej płaszczem. – Jestem pewna. A skoro nie muszę czekać na dorożkę, czuję się jeszcze lepiej.

Kiedy już zawiązała tasiemki płaszcza, Forbes podał jej ramię, by odprowadzić ją do czekającej dorożki.

Rozejrzała się ukradkiem po ulicy, lecz Jacka nigdzie nie było. Wsiadła do powozu, srebrną koroną dziękując panu Forbesowi za przysługę. Dorożka ruszyła, a Sophie starała się uspokoić bijące szybko serce. Powinna się przyzwyczaić do widoku Jacka, jeśli Giles Carter nie mylił się co do tego, że został członkiem klubu. Kiedy poprosiła go, żeby powstrzymał Philipa przed dalszym jej nękaniem, nie przypuszczała, że

zrobi to osobiście. Nie była pewna, czy gdyby wiedziała, w ogóle by o to poprosiła. Odczuła wielką ulgę, nie widząc obserwującego ją nieustannie Philipa, ale ukradkowe spojrzenia Jacka były jeszcze bardziej niepokojące. Oparła głowę o szybę, rozmyślając o tym, jaką farsą stało się jej życie.

Dorożka skręciła w główną ulicę i nagle Sophie drgnęła i zerwała się z siedzenia.

– Zatrzymaj się! – zawołała do woźnicy. Powóz zwolnił i stanął, a Sophie otworzyła drzwi w chwili, gdy zrównał się z idącym chodnikiem Jackiem.

Zatrzymał się i spojrzał na nią. Sophie patrzyła na niego z zapartym tchem, trzymając się kurczowo uchwytu przy drzwiczkach.

– Ta dorożka była przeznaczona dla pana, sir.

– Tak – powiedział.

– Nie przyjęłabym pańskiej propozycji, gdybym wiedziała, że przez to będzie musiał pan iść pieszo.

Zbliżył się o krok i przykrył dłonią jej dłoń.

– Może moglibyśmy… pojechać razem.

Zaschło jej w ustach. Stłumiła wewnętrzny głos, który ostrzegał ją, że popełnia błąd. Głos Jacka zupełnie stracił chłodny, arystokratyczny ton. Teraz znowu brzmiał jak ten mężczyzna, który razem z nią śmiał się w Alwyn House, a to, jak na nią patrzył, przyprawiało ją o szybsze bicie serca. Skinęła głową i wsunęła się głębiej, robiąc mu miejsce.

18

Ledwie usłyszała, jak Jack polecił woźnicy jechać dalej; serce biło jej tak mocno, że czuła je w gardle. Dorożka z lekkim szarpnięciem ruszyła z miejsca i to rozwiązało jej język.

– Słyszałam, że zostałeś członkiem klubu Vega.

– Tak. – Pod osłoną płaszcza odszukał jej rękę.

Jego palce dotarły do nadgarstka, gdzie zajęły się rozpinaniem guzików rękawiczki.

– Tylko tak mogłem dotrzymać danego ci słowa.

– To o wiele więcej, niż oczekiwałam – powiedziała drżącym głosem. Jack zdejmował jej rękawiczkę, wzbudzając drżenie w całym ciele.

– Nie doceniasz mnie.

– Wiem, co myślisz o hazardzie… – Rękawiczka spadła i Sophie poczuła jego dotyk na nagiej skórze. Kiedy zdążył sam zdjąć rękawiczkę? Ścisnęło ją w gardle, Jack splótł palce z jej palcami.

– Nikt nie powiedział, że muszę grać, kiedy tam jestem – mruknął.

– To musi być dla ciebie straszny kłopot. Nie mogę prosić…

Ścisnął jej dłoń.

– Może chciałem mieć pretekst, żeby tam bywać. – Zerknął na nią i w jego oczach odbiło się światło latarni, którą mijali. – Wbrew temu, co niektórzy o mnie mówią, nie jestem z kamienia, a to był boleśnie długi tydzień.

Sophie wydała dziwny dźwięk przypominający westchnienie i zdała sobie sprawę, że cały czas wstrzymywała oddech. *Nawet książęta są mężczyznami z krwi i kości*.

– To prawda.

Ścisnął jej dłoń, muskając palcami jej palce.

Była idiotką. Nie tylko straciła głowę dla niewłaściwego mężczyzny, ale w dodatku nie przejmowała się tym. Nawet jeśli za tę chwilę spędzoną z Jackiem, który tylko trzymał ją za rękę, miała zapłacić utratą wszelkich szans na porządne małżeństwo, nie będzie żałowała. Straciła zbyt wiele osób, które kochała, żeby nie chwytać każdej chwili radości. Wtuliła twarz w jego ramię, starając się wyryć w pamięci jego zapach, dotyk i ciepło.

Zbyt szybko powóz zatrzymał się na Alfred Street. Jack otworzył drzwiczki, wysiadł i wyciągnął rękę, żeby jej pomóc. Podał jej ramię i poprowadził do drzwi. Unosząc głowę, obejrzał dom, potem rozejrzał się po ulicy. Wydawała się skromna, ale czysta i stosunkowo bezpieczna.

– A więc tu mieszkasz.

– Tak. – Powoli wyjmowała klucz, starając się przedłużyć tę chwilę. – Myślałam, że możesz to już wiedzieć.

– Nie. – Posłał jej palące spojrzenie. – Gdybym wiedział, gdzie cię znaleźć, nie potrafiłbym trzymać się z dala od ciebie.

Boże dopomóż. Jej mocne postanowienie, żeby pójść dalej, ukrywając głęboko w sercu dni, które ze sobą spędzili, legło w gruzach.

– Wejdź – szepnęła, zanim zdążyła się powstrzymać. – Zostań ze mną.

Widząc jego promienny uśmiech, poczuła uniesienie.

– Daj mi chwilę. – Kiedy Sophie wkładała klucz do zamka, podszedł i powiedział coś do woźnicy, który strzelił z bata i odjechał.

Gdy otworzyła drzwi, był już przy niej, jego twarz wyrażała napięcie. Położył jej palec na ustach i objął w talii; popchnął ją lekko do środka, zamknął drzwi i zasunął zasuwę.

– Co ze służbą? – spytał szeptem.

– Jest tylko pokojówka – odparła. – Colleen. Umie trzymać język…

– Doskonale. Gdzie jest? – Jego palce muskały delikatną skórę poniżej ucha i Sophie zaczęła się obawiać, że może zemdleć.

– Na piętrze. Teraz na pewno mocno śpi.

Błysnął zębami, uśmiechając się, i pocałował ją. Klucz z cichym brzęknięciem spadł na podłogę. Chwyciła poły jego żakietu, przyciągając go do siebie, i odwzajemniła pocałunek. Cała promieniała, gdy ujął ją pod brodę – zdążył pozbyć się obu rękawiczek – i ich języki się spotkały. Kiedy uniosła głowę, zachwiała się i omal nie upadła, upojona jego smakiem.

– Zabierz mnie do łóżka – szepnął, przygryzając płatek jej ucha. – Powiedziałem woźnicy, żeby wrócił za dwie godziny.

Oczywiście nie mógł zostać dłużej. To powinno przywrócić jej choć odrobinę rozsądku, ale wzięła go za rękę i poprowadziła na piętro. Nie mieli czasu do stracenia.

Ledwie zdążyła zamknąć drzwi do sypialni, gdy znalazła się w jego objęciach. Jedną ręką rozpiął jej płaszcz, który opadł na podłogę.

– Czy wiesz – powiedział, zdejmując jej bonnet – jak niewiele brakowało, żebym wziął cię na moim biurku?

– Nie stawiałabym oporu. – Próbowała zdjąć z niego ubranie, ale rozpraszał ją jego dotyk i jej własne serce, które biło tak, że obawiała się, czy nie zemdleje.

Jack zaśmiał się cicho. Poczekał, aż zdejmie z niego płaszcz i żakiet, po czym odwrócił ją, żeby zająć się zapięciem sukni.

– Nie masz pojęcia, jak trudno mi było, kiedy widziałem, że znowu ode mnie odchodzisz. Mało brakowało, żebym cię nie wypuścił. – Rozluźnił wiązania gorsetu i przywarł ustami do jej karku. Sophie oparła się rękoma o ścianę, żeby nie upaść; pod wpływem dotyku Jacka jej nogi stały się zupełnie miękkie.

– Każdego dnia przeglądałem pocztę, mając nadzieję, że przyjdzie list od ciebie – mówił cicho, nie przestając zdejmować z niej ubrania. – Za

każdym razem gdy wychodziłem z domu, miałem nadzieję, że cię zobaczę.

Zadrżała, kiedy objął ją od tyłu, przytulając do siebie.

– Umówiliśmy się – wykrztusiła – że to nie byłoby rozsądne dla żadnego z nas.

– Nie byłoby, ale mam to gdzieś – warknął. – Boże, Sophie, pragnę cię bardziej niż kiedykolwiek.

Jęknęła cicho. Czuła mrowienie na całym ciele, a serce próbowało wyrwać się z jej piersi. *Kocham cię* – pomyślała bezradnie. Odwróciła się w jego objęciach i chwyciła go za kamizelkę.

– Ja też mam to gdzieś.

Wpił się w jej usta, jeszcze zanim skończyła mówić. Niecierpliwymi palcami zdjęli z siebie resztę ubrań i padli na łóżko. Czując na sobie ciężar Jacka, Sophie była bliska szaleństwa z pożądania. Wodził dłońmi po jej skórze, jakby nie mógł uwierzyć, że jest prawdziwa. Bezwstydnie rozchyliła nogi i objęła jego biodra, przyciągając go do siebie.

Nie poddał się jej wysiłkom.

– Myślałem o tym, żeby cię taką zobaczyć, od chwili gdy nasze spojrzenia spotkały się w klubie – szepnął. Powoli zdjął jej ręce ze swojej szyi i rozłożył je szeroko na łóżku, unosząc się nad nią. – Byłaś z innym mężczyzną i musiałem się bardzo starać, żeby nie podejść i nie dać mu w zęby.

– To tylko przyjaciel – szepnęła. – Nic więcej.

Teraz już nigdy nie będzie mogła wyjść za Gilesa Cartera.

– Hmm. – Jack nie wydawał się przekonany. – A czy on o tym wie?

Pocałował ją w szyję, gdzie czuł bijący puls; czując jego wargi na skórze, była bliska omdlenia.

– Chciałam, żeby wiedział. Chciałam, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteś mój. – Przesunął się po niej, jakby się kochali.

To było najlepsze zaproszenie, by zapytała, do czego zmierza. Bardzo szybko stawało się jasne, że nie uda im się trzymać z dala od siebie, nawet

jeśli będą bardzo chcieli. Philip może iść się powiesić ze swoją zazdrością; Giles Carter i jego szlachetne intencje przestały się liczyć. Jej myśli i serce wypełniał tylko ten mężczyzna. Chciała być tylko z nim, jako kochanka, utrzymanka, ktokolwiek – nie dbała o to, dopóki mogli być razem.

Lecz to były zbyt poważne myśli, by zajmować się nimi teraz, kiedy tak rozpaczliwie go pragnęła.

– Jack – szepnęła. – Kochaj się ze mną.

Wyprężyła się i uniosła biodra, a jemu zabrakło tchu.

– Myślałaś o mnie? – Trzymał ją przyszpiloną do łóżka, ale jego wargi błądziły po jej twarzy i szyi. – O tak?

– Tak. – Jej oddech stał się płytki i nierówny. Jego biodra poruszały się powoli, ocierając o nią, ale wciąż nie dawał jej tego, czego najbardziej pragnęła. – Cały czas, wiesz o tym…

– To dobrze. – Przesunął się i wszedł w nią. Sophie wciągnęła głęboko powietrze w płuca i wbiła pięty w materac. Chciała mieć go całego w sobie, żeby nigdy jej nie opuścił.

Puścił jej ręce i wsunął jej dłoń pod głowę, zmuszając, by popatrzyła mu w oczy.

– Nie mogę przestać myśleć o tobie.

Wycofał się i pchnął znowu, tym razem mocniej i głębiej.

– Nie mogę przestać cię pragnąć.

Kolejne mocne pchnięcie. Wbiła mu palce w plecy, próbując go skłonić, żeby poruszał się szybciej, mocniej, głębiej. Tymczasem on uniósł się na rękach, nie odrywając od niej przenikliwego spojrzenia błękitnych oczu.

– Straciłem dla ciebie rozum.

Wsunął rękę między nich, przesuwając kciukiem między jej nogami. Ten lekki, delikatny dotyk wywołał w niej dreszcz, który narastał i narastał, aż przełamał tamę i przetoczył się przez nią niczym fala powodziowa. Jack uciszył jej zdyszane jęki pocałunkiem, nie przestając wbijać się w nią, aż w końcu odrzucił głowę do tyłu i zesztywniał w spazmie rozkoszy. A kiedy

padł na łóżko obok niej, przyciskając ją mocno do siebie wciąż drżącymi rękoma, położyła głowę na jego piersi i słuchając bicia jego serca, szepnęła bezgłośnie: *Kocham cię*.

– Jeśli każda noc w klubie Vega będzie się tak kończyć, to nic mnie nie powstrzyma przed bywaniem tam – mruknął.

Zachichotała.

– To mój pierwszy wieczór w klubie, który zakończył się w łóżku z księciem.

Zaczął wyjmować jej szpilki z włosów, które i tak były w nieładzie.

– Dopóki to ja jestem tym księciem, z całego serca polecam, żebyś powtarzała to jak najczęściej.

Uśmiechnęła się, ale w głębi serca poczuła ukłucie lęku. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Zanim opuściliśmy Alwyn House, uzgodniliśmy, że to nie może trwać dalej.

– A jednak jesteśmy tutaj. – Wyciągnął ostatnią szpilkę i jej pukle opadły aż na podłogę. Z rozpuszczonymi włosami ułożyła się przy nim wygodniej, kładąc policzek na jego ramieniu.

– To znaczy – zawiesił głos i przyjrzał się jej – dokładnie to, co chcemy, żeby znaczyło.

– Co *ty* chcesz, żeby znaczyło. Ja już przyznałam, że nie potrafię nad sobą zapanować, kiedy chodzi o ciebie. Cokolwiek mi dasz, przyjmę.

Przez myśl przemknęły jej słowa *Weź mnie całą* – ale tylko przez moment. Kiedy gorączka namiętności zaczęła opadać, powoli odzyskiwała rozum i rozsądek i staranniej dobierała słowa.

– Chcę cię widywać.

– Dobrze – odparła natychmiast i Jack uśmiechnął się lubieżnie.

– Tak często, jak to będzie możliwe – mówiła dalej. – Wiem, że nie chcesz, żeby Philip się dowiedział…

Skrzywił się z irytacją.

– Tylko ze względu na ciebie. Jeśli idzie o mnie i o niego, nie dbam o to. – Sophie otworzyła szerzej oczy, a on odsunął z jej skroni niesforny kosmyk włosów. – Doskonale zdaję sobie sprawę, że to nie jest łatwa decyzja dla kobiety. Jedyne, co mogłoby mnie utrzymać z dala od ciebie, to obawa przed konsekwencjami, jakie mogłabyś ponieść, gdyby to wyszło na jaw. Duma Philipa z czasem przestanie cierpieć, ale nie chcę, żeby urażony zrujnował ci reputację.

Jej reputacja miała znaczenie, ponieważ zamierzała znaleźć dobrego męża. Jeśli zostałaby kochanką Jacka, takie rozwiązanie nie wchodziłoby w grę. Choć już wcześniej stanowczo odrzuciła ten pomysł, wciąż wracał niczym mgła spowijająca jej umysł, przesłaniająca rozsądek i logikę. Może nigdy nie zrealizuje swojego Wielkiego Planu; może będzie szczęśliwsza jako kochanka Jacka niż jako żona jakiegoś poczciwego dżentelmena. Czy żałowałaby tego przez resztę życia, gdyby zrezygnowała z Jacka z powodu nadziei na dobre, lecz pozbawione namiętności małżeństwo?

Tego Sophie nie wiedziała. Ufała swojej intuicji, odkąd skończyła dwanaście lat, ale teraz nie była niczego pewna. Czy powinna pójść za głosem serca i ufać, że wszystko będzie dobrze? Tu pojawiało się pytanie, co właściwie znaczy „wszystko będzie dobrze”. Była całkiem szczera, kiedy powiedziała panu Carterowi, że nie liczy na związanie się z księciem. Książę nie poślubiłby kobiety takiej jak ona, kobiety o fałszywym nazwisku, z nigdy nieistniejącym zmarłym mężem i głęboko zakorzenionym instynktem przetrwania. Georgiana tak często narzekała na surowość zasad swojej przyzwoitki, że Sophie doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo sama nieustannie zbliża się do granicy tego, co przyzwoite. Ale śmiało przekroczyć tę granicę, żeby zostać kochanką Jacka…

Czy się odważy?

Jack nie obiecywał jej niczego więcej niż romans. Sophie nie mogła się oszukiwać. Jack – podobnie jak ona – chciał kontynuować ten romans, ale

tak jak w Alwyn House: dyskretnie i w ukryciu. Przyznawała sama przed sobą, że pokusa była silna, podobnie jak zakład w klubie Vega, ale powtarzała sobie, że nie może oczekiwać niczego więcej.

– Sophie – powiedział cicho Jack. Drgnęła, wyrwana z zamyślenia. – O czymkolwiek myślisz, przestań. Wyglądasz strasznie ponuro.

Położyła dłonie na jego nagiej piersi. *Napawaj się tym*. Leżał znowu w jej objęciach, a rozmyślanie o tym, kiedy i jak się to skończy, może ją tylko doprowadzić do szaleństwa.

– Nie wydajesz się przestraszony.

Uśmiechnął się szeroko. Lampa, którą Colleen postawiła przy łóżku, oświetlała jego twarz ciepłym światłem, a włosom nadawała połysk polerowanego mosiądzu.

– Wprost przeciwnie, moja droga. Widząc cię taką, pragnę tylko sprawić, żebyś zapomniała o tym, o czym rozmyślasz.

Gdyby tylko mógł to zrobić. Powiodła palcami po jego nagiej piersi, a kiedy znowu skupiła się na jego bliskości, smętne myśli zaczęły blednąć.

– To nie jest coś, o czym można łatwo zapomnieć.

Przesunęła dłońmi wzdłuż jego ramion i splotła palce na karku.

– Knułam, co mogłabym zrobić, żeby spotykać się z tobą poza klubem każdej nocy… moglibyśmy brać jedną dorożkę albo iść razem i w końcu trafić tutaj, jak dziś, co noc.

Zaśmiał się znowu, tym cichym szelmowskim śmiechem, od którego przechodził ją dreszcz.

– Zrobię wszystko, żeby było tak, jak mówisz. – Przewrócił ją na plecy i uniósł się nad nią. – I zacznę teraz.

Kochał się z nią znowu, tym razem powoli, aż jej umysł spowiła mgiełka rozkoszy. Zasnęła, zwinięta przy nim, z policzkiem na jego piersi, zamknięta w jego objęciach; obudziła się dopiero, gdy wstał z łóżka. Wydała cichy pomruk niezadowolenia, kiedy podniósł swoje ubranie porozrzucane na podłodze i zaczął się ubierać.

– Dorożka za chwilę przyjedzie.

– Wolałabym, żebyś nie musiał iść – szepnęła bez zastanowienia.

Jack uniósł głowę i znieruchomiał w połowie zapinania koszuli. Spojrzał jej w oczy i przez jedną długą chwilę przyglądał się jej tak, jakby czekał na coś, jakieś słowo lub gest, który zatrzymałby go tutaj. Sophie jeszcze raz pomyślała o wszystkich konsekwencjach i tym razem jej determinacja osłabła. Kiedy zaczerpnęła tchu, żeby powiedzieć to brzemienne w skutki słowo – *zostań* – on odwrócił wzrok.

– Muszę. – Sięgnął po krawat i założył go sobie na szyję.

Niepokojące trzepotanie, które czuła w piersi, ustało. Odetchnęła, myśląc o tym, że ocaliła się przed samą sobą.

– Wiem.

Wpatrywała się w mrok i słuchała cichego szelestu jego ubrań. Podłoga zaskrzypiała, gdy podszedł do łóżka.

– Kiedy się zobaczymy? – Usiadł na brzegu łóżka, pochylił się, żeby ją pocałować, i musnął w czułej pieszczocie jej odsłoniętą pierś. – Podaj mi dzień i godzinę.

– Jack. – Sophie oparła się na poduszkach, starając się opanować pokusę zatrzymania go przy sobie. I do diabła z dorożką. – Przychodzę do klubu niemal co wieczór, najczęściej między ósmą a dziewiątą.

Nie odrywał od niej wzroku.

– A kiedy wychodzisz?

– Rzadko przed trzecią. – Przesuwał palcami po jej żebrach, przyprawiając ją o dreszcz. – Ale to dość późno. Myślałam, żeby zacząć wychodzić wcześniej…

– O pierwszej – szepnął. – Wyjdź o pierwszej. Ja trafię tutaj.

– A jeżeli…? – zaczęła.

– Jeżeli nie będziesz chciała mnie widzieć? – Uśmiechnął się smutno. – Nie wychodź o pierwszej. Wyjdź wcześniej albo zostań dłużej, a ja będę wiedział, żeby nie przychodzić.

– Skąd będziesz wiedział, kiedy wychodzę?

– Jestem spostrzegawczy… zwłaszcza jeśli chodzi o ciebie. Nietrudno obserwować kogoś, kiedy nie musisz patrzeć w karty.

Sophie wydęła usta i pocałowała go w palec.

– Mógłbyś rozegrać partyjkę od czasu do czasu. To klub dla graczy i będziesz wydawał się dziwakiem, jeśli nigdy nie zagrasz.

Uniósł jedną brew z rozbawieniem.

– Doprawdy?

– Nie chodzi mi o to, żebyś grał nierozważnie – dodała. – Mówię tylko, że będziesz zwracał na siebie uwagę, unikając gry.

– Dziękuję za radę. Rozważę to. – Pocałował ją jeszcze raz, najpierw delikatnie, potem głębiej i mocniej, aż westchnęła z rozkoszy.

Musiała wstać, żeby odprowadzić go do drzwi i zamknąć je na noc. Mając na sobie tylko szlafrok, zeszła za nim po wąskich schodach do maleńkiego holu. Tam wziął ją w objęcia i przez chwilę tylko trzymał przy sobie. Przytuliła policzek do jego piersi okrytej nienagannie skrojoną wełną i zrobiło jej się ciepło na sercu.

– Dobranoc, kochanie – szepnął Jack, składając pocałunek na jej czole. – Do jutra.

– Dobranoc, Jack. – Wypuściła go i odprowadziła wzrokiem, kiedy się oddalał, zbyt wysoki i zbyt elegancki na tę skromną uliczkę. W końcu zamknęła drzwi i zasunęła zasuwę.

To był tylko romans. I nie będzie trwał długo. Ale, na Boga, postara się cieszyć każdą jego chwilą.

19

Jack wsiadł do czekającej na niego dorożki tuż za rogiem, przy Tottenham Court Road. Mały dom Sophie stał w spokojnej uliczce i lepiej było nie zwracać na siebie uwagi. Od lat nie chodził po Londynie o tak późnej porze. Oparł się wygodnie i uśmiechnął szeroko na wspomnienie Sophie w kwiecistym szlafroku, pod którym nic na sobie nie miała. Wolał ją w swoim szlafroku. Może powinien go jej posłać…

Ta myśl go otrzeźwiła. Oczywiście, że nie mógł tego zrobić. Ich romans musiał pozostać tajemnicą. Tylko idiota nie zauważyłby, jak jej nastrój nagle się popsuł, kiedy powiedział, że zaakceptuje wszelkie warunki, jakie Sophie postawi w ich związku. Nie chciała, żeby ktokolwiek się o nich dowiedział, bo to zrujnowałoby jej reputację; wciąż miała nadzieję wyjść za innego mężczyznę. Spochmurniał na myśl o niej w objęciach kogoś innego, kogoś, kogo pokocha. A on będzie musiał bezczynnie na to patrzeć.

Ale obiecał utrzymać ich związek w tajemnicy. Powoli stawało się dla niego jasne, że Sophie ma wiele sekretów.

Zaklął soczyście w cichym wnętrzu powozu. Członkostwo w klubie Vega może się okazać dla niego zabójcze. Philip wpadł we wściekłość, kiedy go zobaczył, ale dwa krótkie zdania przywołały brata do porządku. Jack dał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza się przejmować jego irytacją. Philip może go unikać, jedynie przestając bywać w klubie.

Brat zmrużył oczy i nachylił się ku niemu.

– Jesteś tutaj z *jej* powodu.

– Chodzi ci o panią Campbell? – spytał chłodno Jack. – Tak. Słyszałem plotki, że robisz z siebie widowisko, uganiając się za nią. To musi się skończyć. Podobnie jak twoje przegrane. Jeśli sam nie potrafisz trzymać się z dala od gry, ja zajmę się tym za ciebie.

Philip zmierzył go wściekłym wzrokiem i mruknął coś, ale nie zbliżył się do Sophie. A w końcu – na co miał nadzieję – Jack sam zaczął ją obserwować. Ekscytacja, którą poczuł na jej widok, trwała jednak tylko chwilę, ponieważ był z nią inny mężczyzna. Mężczyzna, który stał niepokojąco blisko i rozmawiał z nią, a ona się do niego uśmiechała. Mężczyzna, który podał jej ramię i odprowadził gdzieś poza zasięg wzroku Jacka, wywołując w nim falę mrocznej i palącej zazdrości.

Wystarczyło mu tylko kilka dyskretnych pytań, by poznać nazwisko tego człowieka: Giles Carter, dżentelmen pochodzący z szacownej rodziny i mający godny majątek. Nikt nie miał do powiedzenia nic złego na jego temat; prawdę mówiąc, cieszył się poważaniem bywalców klubu Vega jako człowiek honorowy, rozsądny, a czasem nawet dowcipny. Jack przekonał się na własne oczy, że pan Carter nie był odrażający ani ułomny i umiał wywołać uśmiech na twarzy Sophie. Jack miał ogromną ochotę dać mu w zęby. I chociaż Sophie twierdziła, że jest tylko przyjacielem, to mogło się zmienić w mgnieniu oka, gdyby tylko dała mu jakiś znak. Zainteresowanie Cartera było oczywiste, nawet widziane z daleka.

Jack mógł nie być zainteresowany rynkiem małżeńskim, ale doskonale znał zasady jego działania. Mężczyzna taki jak Carter był cenną zdobyczą, zwłaszcza dla kobiety bez koneksji albo o reputacji niebezpiecznie balansującej na krawędzi przyzwoitości. Wiedział, że Sophie ma swoje sekrety; powtarzał sobie, że nie ma prawa żądać ich wyjawienia. Dopóki chodziło tylko o krótki romans w Alwyn House, mógł to zignorować, ale teraz… teraz chciał więcej, chciał wszystkiego. Jej towarzystwa, jej czasu, jej uwagi, jej zaufania.

Jak ją przekonać, żeby mu to dała?

Dorożka zatrzymała się w pobliżu Ware House; wysiadł i zapłacił woźnicy. Koła zaturkotały po bruku, kiedy powóz odjechał w ciemność nocy, i resztę drogi do domu przeszedł pieszo.

Nawet o tej porze przy wejściu czuwał służący, który otworzył drzwi, kiedy zobaczył go wchodzącego po schodach. Jack zrzucił płaszcz i kapelusz, po czym wysłał służącego do łóżka. Przez chwilę stał w pogrążonym w ciszy holu. O tej godzinie dom był spokojny jak grobowiec. Jack sięgnął z irytacją po lampę i przeszedł korytarzami do swojego gabinetu. Nalał sobie kieliszek brandy, ale odstawił go po jednym łyku. Co ukrywa Sophie?

Domyślił się już, że grała, żeby zebrać majątek. Nie zasługiwało to może na pochwałę, ale nie było też przestępstwem.

Przypuszczał, że poluje na męża. Podobnie jak mnóstwo innych kobiet w Londynie.

Nicholas Dashwood ostrzegał go, żeby z nią nie rozmawiał. A jednak ona go odszukała i zaprosiła do domu, łamiąc tym własne postanowienie, że nie będą się widywać.

Ale coś musiało mu umknąć. Gdyby chciała pieniędzy, wystarczyłoby, żeby poprosiła, a obsypałby ją kosztownościami. Na pewno o tym wiedziała; proponował przecież, że kupi jej dom. Tymczasem ona poprosiła, żeby obiecał, że nikomu nie powie o ich romansie w Alwyn House i że nigdy więcej się nie spotkają… a sama wpuściła go nocą do swojego łóżka. Już wcześniej stracił dla niej rozum, ale to zaprowadzi go wprost do Bedlam.

Czy to wszystko było jakimś wielkim przekrętem? Czy wpadł w ręce naprawdę utalentowanej oszustki? Kobiety, która potrzebuje pieniędzy, kusi mężczyzn, z którymi gra, odrzuca tych, którzy nie mają odpowiednio dużego majątku, kocha się z nim, a potem oznajmia, że ich romans jest skończony, ale zgrabnie omija wszelkie dzielące ich przeszkody, kiedy jej to pasuje? Każde jej zachowanie sprawiało, że pragnął jej jeszcze bardziej;

czy takie były jej intencje? Czyżby nieświadomie dał się wciągnąć w grę, w której to on jest zwierzyną, a nie łowcą? Czy zostanie wykorzystany i upokorzony przez kobietę?

Wzdrygnął się, zaklął i przeczesał palcami włosy. Znowu to robi – doszukuje się cienia Portii tam, gdzie go najprawdopodobniej nie ma. Jakimż byłby idiotą, gdyby pozwolił, żeby prześladowała go do śmierci. Prawdę mówiąc, od kilku lat w ogóle o niej nie myślał. Ale teraz znowu zaczął, przypisując te same motywy i intencje Sophie, mając ku temu bardzo wątłe podstawy.

Klucz leżał w jego biurku. Znalezienie go zajęło mu chwilę, ale w końcu podszedł do dużej szyfoniery stojącej między oknami. Postawił w pobliżu lampę i otworzył górną szufladę. Miniatura była mniejsza, niż zapamiętał, a jej delikatna srebrna ramka nieco pociemniała przez lata. Jack uniósł ją do migotliwej lampy i spojrzał na swoją pierwszą miłość.

Wyglądała tak młodo. W jego wspomnieniach była kobietą piękną i zwodniczą jak Ewa, ale na tym portrecie wyglądała jak dziewczynka. Zaskoczyło go to. Przechylił miniaturę i przyglądał się jej zaokrąglonym policzkom, drobnym, różowym ustom, złotym lokom. Zauroczyła go niemal od pierwszego wejrzenia i myślał, że ona odwzajemnia jego uczucia. Życzliwie przyjęła jego zainteresowanie, uśmiechała się, kiedy mówił, pozwoliła nawet się pocałować. Przy niej czuł się zupełnie inaczej niż przy wszystkich młodych damach, które zbyt jawnie widziały w nim kandydata na męża. Portia wydawała się zupełnie tym nie przejmować.

Wydawała się idealna: piękna, energiczna, niekonwencjonalna. Uczyła się rosyjskiego zamiast francuskiego, jak większość młodych dam, ponieważ czytała o carskim dworze i uznała, że jest bardziej interesujący. Pod każdym względem należała do jego klasy i świata, a jednak wnosiła powiew świeżości. Ojciec Jacka ją zaakceptował, a rodzice Portii wspierali jego starania. Ku własnemu zaskoczeniu Jack przyznał im rację, że powinien się z nią ożenić. Wyobrażał sobie nawet, że jest w niej zakochany.

A potem uciekła z innym mężczyzną. Wieczorem tańczyła z nim na balu, wywołując falę plotek i nadziei, a następnego dnia wymknęła się tylnymi drzwiami ze sklepu, w którym ze służącą kupowała bonnety, wsiadła do czekającego na nią powozu i wyjechała na północ. Dopiero później dowiedział się, że przez cały czas, kiedy z nim flirtowała, była potajemnie i wbrew woli rodziców zaręczona z jakimś oficerem floty. Jej ojciec, hrabia Farnsworth, nie zgadzał się na to i przez swoje koneksje spowodował, że młody człowiek został wysłany na morze. Oznajmił córce, że ma sobie znaleźć kogoś bardziej odpowiedniego. Portia znalazła Jacka i wykorzystała go do swoich celów: odwróciła uwagę rodziców, żeby zaplanować ucieczkę do Szkocji, gdzie mogła poślubić swojego ukochanego bez zapowiedzi i zgody ojca.

W liście, który zostawiła, błagała o wybaczenie, ale dopiero po dłuższym czasie Jack poznał całą prawdę. Nigdy jej na nim nie zależało. W jej oczach był gnuśnym młodzieńcem, który stanie się gnuśnym mężczyzną czekającym na odziedziczenie tytułu. Trwała wojna, a jej marynarz już wsławił się śmiałym atakiem na hiszpański port. Portia widziała samą siebie w roli żony bohatera wojennego i nieustraszonego podróżnika, pływającej z nim po całym świecie. Wśród przyjaciółek drwiła z Jacka, mówiąc, że nigdy nie będzie niczym więcej niż kolejnym numerem w linii książąt Ware. Chciała człowieka czynu, a nie kogoś, kto odziedziczy wszystko, co czyni go wartym zainteresowania.

Jack powoli odłożył miniaturę do szuflady. Dawno już pogodził się z tym, że wybrała innego mężczyznę. Okazała się nieczuła i wyrachowana, wykorzystała go i złamała mu serce, ale te wspomnienia z czasem zbladły. Blizną, która została mu po Portii, nie było złamane serce, jak sądzili niektórzy plotkarze, lecz świadomość, że nikt nigdy nie będzie cenił go z powodu tego, jakim jest człowiekiem. Niecały miesiąc po ucieczce Portii ósmy książę Ware, ojciec Jacka, umarł. W wieku dwudziestu czterech lat,

zupełnie na to nieprzygotowany, Jack odziedziczył rozległe posiadłości, ogromny majątek i wielką odpowiedzialność wiążącą się z tytułem.

Jego bardziej szczęśliwi przyjaciele – ci, którzy jeszcze nie zdążyli albo nigdy nie mieli odziedziczyć tytułów – drażnili się z nim z tego powodu. Teraz nie musiał się liczyć z żadnymi ograniczeniami w zachowaniu ani w wydatkach. Teraz mógł mieć każdą kobietę, której zapragnął, mówili z porozumiewawczymi spojrzeniami i rubasznymi uśmiechami. Mógł hulać, ile mu się podoba. Była to niewielka pociecha, kiedy jedyna kobieta, której – jak mu się wydawało – pragnął, uciekła z innym, a jego beztroskie życie legło w gruzach, przygniecione ciężarem książęcych obowiązków. Teraz każda kobieta, którą poznał, widziała w nim nie mężczyznę, ale książęcy diadem.

Sophie Campbell była pierwszą kobietą od czasów Portii, która sprawiała wrażenie, że nie dba o jego tytuł. Przez chwilę kołatała mu się po głowie myśl, która dręczyła go w Alwyn House – dlaczego nie może wybrać kobiety, której zechce? Skoro nie musi się żenić dla pieniędzy ani koneksji, to dlaczego nie miałby zerwać przestrzeganej od kilku pokoleń tradycji i ożenić się po prostu z kobietą, której pragnął? Zakładając, że chciał się z nią ożenić.

A czy chciał? Czy taką decyzję można podejmować po kilku tygodniach znajomości?

Wcale jej nie znasz, syknął jakiś głos w jego głowie. Myślał to samo o Portii, ale okazało się, że ona go oszukiwała. Najwyraźniej mało wiedział o kobietach. Wprawdzie przeczucie mówiło mu, że Sophie nie jest taka jak Portia, ale nie ulegało wątpliwości, że miała jakieś sekrety. Sekrety, których postanowiła mu nie zdradzać.

Co ukrywała Sophie?

20

Przez następne dwa tygodnie Jack starał się nie myśleć o tych sekretach ani o tym, co mogło z nich wynikać.

Wciąż realizował swój plan pilnowania Philipa. Kiedy brat szedł do klubu, on także się tam udawał – i wychodził kwadrans po pierwszej, czasami żegnany kpiącym salutem przez Philipa, który w końcu pogodził się z jego obecnością, choć nie był z tego powodu szczęśliwy. Ale Jack przestał się tym przejmować. Pan Forbes, który był wyjątkowo spostrzegawczy, jeśli idzie o zwyczaje gości klubu, wkrótce zaczął dbać o to, by dorożka już czekała na Jacka w chwili, gdy zbliżał się do recepcji. Co noc Jack dojeżdżał dorożką do Tottenham Court Road, a stamtąd szedł do domku Sophie przy Alfred Street pieszo, żeby nie niepokoić jej sąsiadów – ani nie zwracać ich uwagi.

Te wykradzione godziny w środku nocy odżywiały jego duszę. Za każdym razem kiedy Sophie otwierała drzwi i wpuszczała go do środka, czuł ucisk w sercu na jej widok. Kiedy wbiegali po schodach, trzymając się za ręce, czuł, że żyje, jak nigdy wcześniej. A kiedy drzwi do jej sypialni zamykały się za nimi i mógł ją całować, rozebrać i kochać się z nią, aż w końcu leżeli, obejmując się, zdyszani i spoceni, wtedy pozwalał sobie myśleć o swojej sytuacji.

Był dziewiątym księciem Ware, spokrewnionym lub spowinowaconym z każdą arystokratyczną rodziną w Anglii i połową dynastii w Europie. Nie musiał zabiegać o wyższy status dla swojej rodziny.

Był jednym z najbogatszych ludzi w Anglii. Nie musiał się żenić dla pieniędzy.

Zasiadał w Izbie Lordów, podobnie jak wszyscy jego przodkowie, ale polityka nie była jego pasją. Nie czuł potrzeby zawierania politycznego małżeństwa.

Krótko mówiąc, nie było żadnego powodu, dla którego nie miałby poślubić zwyczajnej kobiety.

Rozmawiali w łóżku; czasem były to niemądre rozmowy, po których oboje trzęśli się ze śmiechu, czasem poważne, które robiły na nim duże wrażenie. Widziała sporo świata – więcej niż on – i doceniała drobne rzeczy, które go zaskakiwały i zawstydzały. Na przykład to dygnięcie, ten wyszukanie subtelny ruch przypominający taneczny krok; nauczyła ją tego rosyjska baletnica, kiedy miała osiem lat. Wspominała z rozbawieniem, jak ćwiczyła go i ćwiczyła bez końca przed lustrem, przygotowując się do spotkania z carem – które oczywiście nigdy nie nastąpiło. Ale dygnięcie pozostało, ponieważ przypominało jej tamtą baletnicę, która nie nosiła niczego, co nie byłoby uszyte z czerwonego jedwabiu, miała oswojoną mangustę i była miła dla małej dziewczynki.

Jack zastanawiał się, jak trafiła do Petersburga, ale nigdy mu tego nie powiedziała. Zdał sobie sprawę, że coraz mniej zależy mu na sekretach Sophie, a coraz bardziej – na jej uczuciach wobec niego.

Nie byłaby konwencjonalną księżną, ale to nie miało znaczenia. Książę Exeter ożenił się z wdową po wiejskim pastorze i świat się nie zawalił, nawet mały, duszny światek wyższych sfer. A poza tym, czy to nie jego zdanie się naprawdę liczyło? Czy nie tylko od niego zależy, kto będzie stał u jego boku na balach, czyj portret zawiśnie w galerii w Kirkwood i kto urodzi jego dzieci? Pewnej nocy Sophie leżała przytulona do jego boku i opowiadała zabawną historię z dzieciństwa o wiedeńskich ciastach i zabłąkanym kocie, którego próbowała ukryć przed rodzicami. Jack słuchał

z lekkim uśmiechem i pomyślał: *Nie obchodzi mnie, co myślą inni. Ona jest tego warta.*

Coraz silniejsze przekonanie, że powinien podążyć za głosem swojego serca i rozumu, towarzyszyło mu do chwili, gdy pewnego dnia matka dołączyła do niego przy śniadaniu, trzy tygodnie po tym, jak Sophie pojawiła się w Ware House.

– Dzień dobry – powiedziała, gdy służący odsunął jej krzesło.

– Dzień dobry. – Jack z zaskoczeniem patrzył, jak siada. Księżna zwykle jadła śniadanie w swoim pokoju i nigdy o tak wczesnej godzinie. Jej pojawienie się tego ranka było zdecydowanie niezwykłym zdarzeniem.

Zanim służący przyniósł wszystko, czego potrzebowała, i ułożył przy niej, Jack zdążył prawie skończyć posiłek. Nim poznał Sophie, miał w zwyczaju udawać się na godzinę do gabinetu, potem, jeśli pogoda dopisywała, wybierał się na poranną przejażdżkę w parku, zanim wrócił do obowiązków. Teraz większość rutynowych zajęć zostawiał Percy'emu. Jeździł codziennie, czy padał deszcz, czy świeciło słońce, a dzisiaj po raz pierwszy od lat wybierał się poboksować. Nie był jeszcze gotów wejść na ring, ale chciał wyjść z domu i coś zrobić. Odsunął krzesło, zamierzając wstać od stołu.

– Pozwolisz, matko.

– Czy dobrze się czujesz, mój drogi?

To pytanie, zadane łagodnym tonem, zbiło go z tropu.

– Doskonale – odparł, myśląc, że nigdy nie czuł się lepiej. – Dlaczego pytasz?

– Od jakiegoś czasu nie jesteś sobą – powiedziała z zatroskaną miną. – Zaniedbujesz pracę, wychodzisz co noc i wracasz nad ranem… Takie szaleństwa są do ciebie niepodobne. To oczywiste, że jestem zdziwiona.

Trudno było to porównać z życiem, jakie prowadził przed śmiercią ojca, i oczywiście było niczym w porównaniu ze zwyczajami Philipa.

– Percy świetnie sobie radzi. Ojciec powinien był bardziej mu ufać. Nie ma potrzeby, żebym osobiście akceptował każdy zakup w Kirkwood House czy przeglądał plany remontu lodowni w Alwyn.

Wciąż patrzyła na niego z dezaprobatą.

– Co cię martwi? Która z przyjaciółek odwiedziła cię półprzytomna z przerażenia moim trybem życia?

– Nie bądź śmieszny. Jestem twoją matką. Moja troska wynika z moich własnych obserwacji. I nie mogłam nie zauważyć, że twoje zwyczaje zmieniły się diametralnie od *incydentu* w tamtym klubie.

Księżna Ware nigdy nie wymieniła nazwy klubu Vega, nawet kiedy nalegała, żeby wydostał stamtąd brata. Powstrzymał uśmiech, słysząc, w jaki sposób mówi o jego zakładzie z Sophie. Nie miała pojęcia, jak bardzo zmienił się od tamtego czasu.

– Może to wytrąciło mnie z letargu – powiedział łagodnie.

– To nie jest zmiana na lepsze! – wykrzyknęła. Jej nóż szczęknął o talerz. – Jak możesz co noc odwiedzać tak okropne miejsce?

– Okropne? Chodzę tam z Philipem. Czy jego zachowanie tak samo cię martwi?

Jej oczy rozbłysły. Jack od dawna wiedział, że Philip jest jej ulubieńcem, więc nie zaskoczyło go, że wolała omijać ten temat.

– Rozmawiamy o tobie, nie o twoim bracie. Czy zaniedbujesz swoje obowiązki z jego powodu?

Jack omal nie parsknął śmiechem. Philip dostarczył mu doskonałego pretekstu do widywania Sophie i Jack był za to wdzięczny.

– Wcale nie zaniedbuję obowiązków. Prawdę mówiąc, wykonuję swój obowiązek – obowiązek, który sama na mnie nałożyłaś – pilnując brata, żeby nie zrujnował się przy karcianym stoliku.

Matka była wyraźnie zirytowana.

– Przestań obwiniać Philipa – warknęła. – Nie mówiłam o twoich obowiązkach wobec niego, ale wobec rodziny. Twój ojciec byłby bardzo

rozczarowany.

Jack nie odpowiedział. Od siedmiu lat robił wszystko, co możliwe, żeby ojciec mógł być z niego dumny, a matka ani razu go za to nie pochwaliła. Powtarzała tylko, jak rozczarowany byłby ojciec, za każdym razem kiedy nie zgadzał się postąpić tak, jak *ona* chciała. I Jack dawno już przestał próbować zadowolić swoją matkę.

– Zostaw dziś Philipa w spokoju – powiedziała łagodniejszym tonem. – Jestem pewna, że w kilka godzin nie wpakuje się w poważniejsze kłopoty. Chodź ze mną do teatru.

– Do teatru – powtórzył zaskoczony. Taka prośba była czymś nowym.

– Tak. – Wypiła łyk herbaty. – Zaprosiłam do mojej loży lady Stowe i Lucindę. Ucieszą się ze spotkania z tobą po tak długim czasie.

Ale on bardziej ucieszy się ze spotkania z Sophie. Lady Stowe dużo mówiła i jeszcze więcej się śmiała, piskliwym chichotem, od którego bolała go głowa. Jack nie wyobrażał sobie, że mógłby spędzić trzy godziny zamknięty razem z nią w ciasnej loży.

– Nie dzisiaj.

Księżna westchnęła.

– Zaczekaj. – Machnęła ręką, odprawiając służących. – Bądźmy ze sobą szczerzy, mój drogi. Jesteś niewybaczalnie nieuprzejmy wobec lady Stowe i Lucindy.

– Nieuprzejmy! – Jack zaczął żałować, że nie zjadł śniadania w gabinecie. – W jakiż to sposób byłem nieuprzejmy wobec Lucindy?

Matka posłała mu surowe spojrzenie.

– Unikałeś jej przez cały sezon, podczas gdy powinieneś postępować dokładnie odwrotnie.

– Nie unikałem jej. Byłem zajęty. A przede wszystkim, dlaczego miałbym jej szukać? Bo o to ci chodzi, prawda?

– Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Wszyscy oczekują, że w tym roku się jej oświadczysz.

Jack nie mógłby być bardziej zaskoczony, gdyby sufit zawalił im się na głowy.

– Oświadczę? Mam się ożenić… z Lucindą? To jeszcze dziewczynka – zaprotestował z niedowierzaniem.

– Ma osiemnaście lat – odparła niezrażona matka. – I obiecałeś ojcu, kiedy leżał na łożu śmierci, że się z nią ożenisz. Dorosła i spodziewa się twoich oświadczyn, a ty hulasz po mieście jak niedojrzały młodzieniaszek, kiedy powinieneś starać się o jej względy.

Jack był oszołomiony. To prawda, że obiecał ojcu zaopiekować się Lucindą, ale… żenić się z nią? Zerknął na matkę, licząc, że zobaczy choćby najlżejszą oznakę niepewności, ale ona była całkowicie poważna. Wielkie nieba. Czy ona naprawdę uważała, że zaręczył się z dzieckiem, siedem lat temu…?

Odchylił się do tyłu w nagłym przypływie podejrzliwości.

– Matko, nigdy nie obiecywałem, że się z nią ożenię. Była jeszcze dzieckiem, kiedy ojciec umierał.

– I błagał cię, żebyś zaopiekował się córką jego najbliższego przyjaciela.

– To prawda. Zaopiekował. Właśnie o to prosił i to mu obiecałem. I dotrzymałem słowa.

Księżna machnęła ręką.

– Kilka zapłaconych rachunków! Nie to twój ojciec miał na myśli i dobrze o tym wiesz.

Zrobił o wiele więcej. Jack dobrze wiedział, że Percy od siedmiu lat załatwiał praktycznie wszystkie interesy za lady Stowe – wynajmował jej domy, zatrudniał służbę, organizował wszystko, co mogło być potrzebne w londyńskim domu. Znając lady Stowe, Jack przypuszczał, że zapłacił też mnóstwo jej rachunków. Nie miał wątpliwości, że nowy lord Stowe, młodszy brat zmarłego hrabiego, był z tego bardzo zadowolony, ponieważ jego szwagierka nie słynęła z oszczędności.

Ale Jack nie miał nic przeciwko temu. To była ostatnia rzecz, o jaką prosił go ojciec, i był gotów skoczyć w ogień, żeby dotrzymać słowa. Pamiętał dzień, kiedy ojciec i Stowe, przyjaźniący się od czasów Eton, wypłynęli jachtem księcia, „Circe”. Trochę wiało, od czasu do czasu spadło kilka kropel deszczu i było raczej pochmurno, ale nic nie zapowiadało tragedii. To był dobry dzień na rejs, uznał książę. Uwielbiał pływać, a rzeka w pobliżu Kirkwood była szeroka i spokojna.

Stowe nie chciał płynąć. Lady Stowe nie czuła się dobrze, oczekiwała dziecka i chciała, żeby mąż był przy niej. Wciąż jeszcze nie miał dziedzica, a jedynie córkę, Lucindę. Była molem książkowym, cichą dziewczynką, wysoką i chudą, z wiecznie opadającymi na twarz rudymi lokami. Jack był w domu tylko dlatego, że jego ulubiony koń zranił się w nogę, a stajenni z Kirkwood byli najlepsi w całej Anglii. Za sprawą tego niefortunnego zbiegu okoliczności Jack znalazł się w Kirkwood, kiedy jego ojciec i Stowe weszli na pokład i postawili żagle.

Burza przyszła niespodziewanie i minęła równie szybko, ale kiedy słońce znowu zaświeciło, „Circe” leżała na brzegu, z żaglami w strzępach. Fala niemal przewróciła jacht i Stowe wypadł za burtę. Przerażony książę skoczył za przyjacielem, lecz na próżno. Księżna ze służącymi musieli zanieść księcia do łóżka. Następnego dnia dostał wysokiej gorączki, a ciało lorda Stowe’a rzeka wyrzuciła na brzeg niedaleko domu.

Książę walczył z gorączką zaledwie cztery godziny. Lekarze puszczali mu krew kilka razy, zanim oznajmili, że nic więcej nie są w stanie zrobić. Jack przypuszczał, że to krzyki rozpaczy lady Stowe i wieść, że straciła nienarodzone dziecko, sprawiły, że ojciec chciał umrzeć. *To ja go zabiłem* – powtarzał w malignie. *Zabiłem Stowe’a*. W noc przed śmiercią chwycił Jacka za rękę i kazał mu przysiąc, że zaopiekuje się lady Stowe i jej córką. Zdenerwowany i przerażony stanem ojca, Jack przysiągł.

Ale nie przysięgał *ożenić się* z Lucindą. Mrużąc oczy, spojrzał na matkę; domyślał się, co zamierza.

– Gdyby chciał, żebym obiecał *poślubić* Lucindę – która miała wtedy, jak wspomniałem, jedenaście lat – odmówiłbym, nie tylko ze względu na mnie, ale przede wszystkim na nią. Lucinda zasługuje, żeby mieć coś do powiedzenia w tej sprawie. To ty i lady Stowe postanowiłyście, że się z nią ożenię, prawda?

– Tylko wyszłoby ci to na dobre – odparła niespeszona. – Ostatnio zachowujesz się jak szaleniec. Twój ojciec byłby wstrząśnięty, gdyby usłyszał o połowie rzeczy, które zrobiłeś w ciągu ostatniego miesiąca. Zaufaj mi; ożeń się z porządną młodą damą, taką, która od dziecka była przygotowywana do zostania księżną, a wtedy znowu będziesz sobą.

– Znowu będę sobą – powtórzył z niesmakiem.

– Właśnie. – Skinęła głową. – Jesteś księciem. Jesteś Lindeville'em i musisz żyć jak Lindeville'owi przystało, z cieszącą się szacunkiem księżną u boku. Pora, żebyś spełnił swój obowiązek i spłodził dziedzica.

Jack prawie nie usłyszał jej ostatnich słów. Z opóźnieniem dotarło do niego, co powiedziała matka: Lucinda dorastała w przekonaniu, że zostanie księżną. Boże. Czy to prawda? Jeśli tak, to stawiałoby go w koszmarnej sytuacji. Wprawdzie nigdy nie wspomniał przy niej o małżeństwie ani ona nie sugerowała, że tego oczekuje, ale jeśli była przekonana, że są od lat nieoficjalnie zaręczeni, to co mógłby zrobić? Opiekował się nią i jej matką, jakby należały do rodziny. Jeśli wszyscy w mieście uważali, że on i Lucinda są zaręczeni… jeśli jego matka i lady Stowe mówiły wszystkim, że się pobiorą… każdy by w to uwierzył.

Co gorsza, mogła uwierzyć i Lucinda. Debiutowała w tym sezonie – jedyne dziecko zmarłego hrabiego, z pokaźnym posagiem. Cały Londyn oczekiwał, że w tym roku znajdzie wspaniałego męża.

A sama Lucinda… Zawsze się lubili. Jeśli wierzyła, że się pobiorą, to nigdy nie powiedziała ani słowa na ten temat. Była piękną dziewczyną i doskonałą partią. Czy naprawdę od jedenastego roku życia przygotowywano ją, że zostanie księżną? Czy odrzucała innych

kandydatów dlatego, że spodziewała się jego oświadczyn? Jack otarł spotniałe nagle dłonie. Niech to szlag.

Nie chodziło tylko o to, że nie ufał matce i podejrzewał, że mogła manipulować faktami, żeby dostosować je do własnych oczekiwań. Nawet nie o to, że nie chciał się żenić z Lucindą, którą uważał bardziej za młodszą siostrę niż za obiekt pożądania. Chodziło o to, że postanowił ożenić się z *Sophie* i niech diabli porwą wszystkie jej sekrety. Pragnął jej. Chciał być z nią przez cały czas. Zakochał się w niej.

Co zrobi z Sophie, jeśli nagle okaże się, że wbrew własnej woli jest zaręczony z Lucindą Afton?

21

Sophie zdawała sobie sprawę, jak bardzo ryzykuje, spotykając się nadal z Jackiem. Każdej nocy, kiedy stawał przed jej drzwiami, jakiś wścibski sąsiad mógł go zauważyć i zacząć rozsiewać plotki, które zrujnują jej życie. Musiała powiedzieć Colleen, gdy Jack pewnej nocy zostawił w holu rękawiczki, a pokojówka znalazła je rankiem. Wprawdzie dziewczyna obiecała zachować dyskrecję, ale Sophie nie wątpiła, że służba plotkuje. Raz po raz powtarzała sobie, że powinna z nim zerwać, dla swojego i jego dobra.

Ale potem on stawał przed jej drzwiami, a ona otwierała je bez wahania, a jej serce biło szybciej, kiedy wchodził, brał ją w objęcia i całował namiętnie. To wystarczało, by zapomniała o własnych zasadach, nie zważając na ryzyko. Miłość być może ją ogłupiała, ale dawała jej też szczęście, jakiego nie zaznała od wielu lat. Czasami czuła się, jakby promieniała radością na samą myśl o nim, dlatego nie chciała się zastanawiać, jak i kiedy może się to skończyć.

Jednej tylko próby się obawiała – i wkrótce musiała się z nią zmierzyć. Sophie kilkakrotnie zbywała swoje przyjaciółki. Wiedziała, że słyszały o jej skandalicznym zakładzie. Początkowo na ich pytania odpowiadała lekceważąco, zapewniając, że był to tylko błąd w ocenie sytuacji. Było to prawdą i zgadzało się z historyjką, jaką przedstawiała wszystkim innym. Kiedy jednak Jack zaczął spędzać każdą noc w jej łóżku, nie mogła dłużej okłamywać swoich najbliższych przyjaciółek, ale nie potrafiła się też

zdecydować, co im powiedzieć. Odkładała ich regularne dotąd spotkania i odpowiadała na ich listy, nie wspominając o klubie Vega, Jacku ani niczym istotnym; pisała o pogodzie i nowych butach, które kupiła.

Męczyło ją to. Nie chciała okłamywać Elizy ani Georgiany, ale nie chciała też zrazić ich nadmierną tajemniczością. Kiedy Eliza przysłała jej list, pytając, czy spotkają się jak zwykle na herbatce, odpowiedziała twierdząco. Wyglądało na to, że plotki o jej zakładzie już ucichły. Mogła mieć tylko nadzieję, że przyjaciółki także straciły zainteresowanie. A jeśli nie i zapytają wprost o zakład albo o Jacka… będzie musiała pamiętać, że to dla ich własnego dobra nie mówiła im wszystkiego. Hrabina Sidlow była niezwykle wyczulona na wszystko, co robiła Georgiana, a nawet pan Cross, który zawsze odnosił się do Sophie bardzo serdecznie, mógłby sobie nie życzyć, żeby jego córka spędzała czas w towarzystwie kobiety rozwiązłej.

Właśnie zeszła do swojego maleńkiego gabinetu, kiedy Colleen oznajmiła, że przyszła Eliza.

– Elizo! Jak dobrze znowu cię zobaczyć.

Przyjaciółka uśmiechnęła się i objęła ją.

– I ciebie! Umierałam z ciekawości, a ty byłaś ostatnio bardzo tajemnicza.

Rzeczywiście, była, i to w pełni świadomie. Ale jeśli zamierzała nadal spotykać się z Jackiem, musiała się nauczyć żyć normalnie, dochowując sekretu.

Sophie machnęła beztrosko ręką i usiadła.

– U mnie wszystko jak dawniej. Co u ciebie? Mam nadzieję, że twój ociec dobrze się miewa.

– Papa ma się świetnie. Ja też. Ojej… nie mogę tego dłużej trzymać w tajemnicy! Sophie, poznałam pewnego dżentelmena!

– Naprawdę? Och, Elizo, to cudownie! – Ognisty rumieniec na twarzy Elizy wskazywał, że było to coś więcej niż *poznanie* dżentelmena. Eliza znała wielu dżentelmenów… którzy doskonale wiedzieli, że jest jedyną

spadkobierczynią znacznej fortuny swojego ojca. Ale na wzmiankę o żadnym z nich nie uśmiechała się i nie rumieniła tak jak teraz.

– Kto to jest? Kiedy go poznałaś? Czemu wcześniej nie powiedziałaś o nim ani słowa?

Eliza roześmiała się.

– Jest cudowny! I naprawdę się mną interesuje, Sophie. Prowadzi jakieś interesy z papą, więc bywa u nas regularnie i zwraca na mnie uwagę tak, jak nikt dotąd. – Przewróciła oczami i zaśmiała się z zakłopotaniem. – Oczywiście, jest czarujący, więc może traktować tak każdą młodą damę i to właśnie dlatego nie mówiłam nic wcześniej…

– Tylko te, które są tak słodkie i miłe jak ty, ale jest ich bardzo niewiele. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy przyzwoici dżentelmeni w Londynie nie zakochali się jeszcze w tobie.

Przyjaciółka zaczerwieniła się znowu.

– Nie żartuj sobie ze mnie, Sophie. Ale… och, naprawdę jestem zakochana!

Mimo że szczerze cieszyła się szczęściem Elizy, mimo że przyjemnie było widzieć jej rozpromienione spojrzenie, Sophie poczuła ukłucie w piersi. Nie mogła powiedzieć, że ona także się zakochała, ponieważ jej miłość nie była przyzwoita i ona nie miała żyć ze swoim ukochanym długo i szczęśliwie. Poczuła ucisk w gardle, a jej uśmiech stał się nieco wymuszony, kiedy mówiła:

– Opowiedz mi wszystko.

Elizy nie trzeba było prosić dwa razy. Usiadła na brzegu fotela.

– Wszystko! – powiedziała z błyszczącymi oczami. – Tak naprawdę nie ma dużo do opowiadania. Kiedy odwiedził nas po raz pierwszy, myślałam, że jest tylko jeszcze jednym partnerem papy w interesach, ale wkrótce, przychodząc do papy, zaczął się starać zobaczyć ze mną. Wiesz, tak z grzeczności. Któregoś dnia przyszedł wcześniej, kiedy papy jeszcze nie było, i przez chwilę spacerowaliśmy w ogrodzie, rozmawiając. Nawet nie

zauważyłam, jak szybko minął czas, kiedy papa przyszedł i powiedział, że czeka w domu od pół godziny! A wtedy on przeprosił tak uprzejmie, że nawet papa nie potrafił się złościć, a wiesz, jak nie znosi czekać.

Sophie parsknęła śmiechem.

– Wiem! – Kiedy spędzała święta w domu Crossów, bardzo szybko nauczyła się nie spóźniać na kolację nawet o minutę. – Czy twój ojciec wie, że ci na nim zależy?

Policzki przyjaciółki poczerwieniały jeszcze bardziej.

– Wie. I zgadza się. I… i papa sugerował, że jego lordowska mość rozmawiał z nim o mnie. Sophie… myślę, że on zamierza się mi oświadczyć!

Sophie klasnęła w ręce i uśmiechnęła się promiennie, widząc radość przyjaciółki.

– Och, Elizo, to ekscytujące. Ale czekaj… nie powiedziałaś jeszcze, jak on się nazywa. Kto zostanie moim prawie szwagrem? – zażartowała.

– Och! – zaśmiała się Eliza, zawstydzona swoim roztargnieniem. – Hugh Deveraux, hrabia Hastings – wyrecytowała z uczuciem.

Sophie spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Naprawdę? – spytała po chwili. – Hrabia Hastings?

– Tak. – Spojrzenie zielonych oczu Elizy stało się rozmarzone na myśl o nim.

Właśnie wtedy Colleen przyniosła przekąski, co dało Sophie bardzo pożądaną chwilę na zastanowienie, w czasie gdy nalewała herbatę. Znała to nazwisko. Lord Hastings często bywał w klubie Vega. Był przystojny i uprzejmy, ale Sophie nigdy nie siadała z nim przy jednym stoliku, ponieważ zawsze grał o znacznie wyższe stawki, niż ona była gotowa zaryzykować. Nic więcej o nim nie wiedziała, jednak już to wystarczyło, by wzbudzić jej czujność.

Ale pan Cross na pewno znał go wystarczająco. Edward Cross zawsze wydawał się wiedzieć wszystko o wszystkich i z pewnością nie pozwoliłby,

żeby nałogowy hazardzista lub co gorsza zrujnowany łowca posagów spędził choćby minutę w pobliżu jego córki. Pan Cross chciał dla Elizy wszystkiego, co najlepsze, łącznie z pomaganiem jej przyjaciółkom. Przyjął Sophie z otwartymi ramionami, kiedy Eliza zaprosiła ją do domu na święta; poręczył za nią, kiedy starała się o przyjęcie do klubu. Sophie wiedziała nawet, że wiedział, ale nie protestował, kiedy Eliza oddała jej całe swoje kieszonkowe w trudnych dniach po przyjeździe do Londynu. Nic nie uszło jego uwadze.

Musiał zatem w pełni zaakceptować lorda Hastingsa, mimo pogłosek o jego dużych przegranych, które słyszała Sophie. Hrabia nie wyglądał na człowieka, który ma finansowe kłopoty, i z całą pewnością nie zachowywał się, jakby je miał. Pan Dashwood z pewnością pozbawiłby go członkostwa, gdyby stał się niewypłacalny, co znaczy, że mógł sobie pozwolić na przegrywanie. A może kiedyś dużo wygrał.

Dzięki Bogu; nigdy nie widziała Elizy tak podekscytowanej i szczęśliwej. To było najważniejsze i Sophie z radością do tego wróciła.

– Zgaduję, że twój ojciec dał swoje błogosławieństwo.

– Oczywiście. – Eliza roześmiała się. – Lord Hastings zaprosił mnie do Hastings House i przedstawił mnie swojej matce, hrabinie. Była bardzo miła i uprzejma. Nie poznałam jeszcze jego sióstr, ale… – Pokręciła głową, promieniejąc ze szczęścia. – Ja nie znałam mojej matki – dodała cicho. – Zakochać się w dżentelmenie i zdobyć nie tylko męża, ale też matkę i siostry… Czy naprawdę mogę mieć aż tyle szczęścia?

– Oczywiście, że możesz – rozwiała jej wątpliwości Sophie. – *Powinnaś*. Jesteś najmilszą osobą, jaką znam, a lord Hastings ma wielkie szczęście, że zakochałaś się właśnie w nim.

Przyjaciółka zmarszczyła nos i zaśmiała się.

– Mogę mieć tylko nadzieję, że się oświadczy. Och, Sophie, tak bym chciała, żebyś i ty miała szczęście spotkać kogoś, kogo pokochasz.

– Pff! Szczęście to mit – odparła Sophie z wymuszonym śmiechem.

Coś w wyrazie twarzy musiało ją zdradzić, bo uśmiech Elizy zbladł.

– Co się stało?

Pociągnęła łyk herbaty i spojrzała w okno.

– Nic! Ale gdzie jest Georgiana? Bardzo się spóźnia, nawet jak na nią. Powiedziałaś jej o Hastingsie?

– Och. – Eliza znieruchomiała. – Ja… zapomniałam. Georgiana nie będzie mogła dziś przyjść, ale przesyła ci pozdrowienia.

– Nie? Zachorowała, czy…? – Zawiesiła głos, widząc zaciśnięte dłonie i nieruchome spojrzenie Elizy. Posmutniała, domyślając się, co powstrzymało Georgianę.

– Lady Sidlow nie pozwoliła jej przyjść, prawda?

Eliza przewróciła oczami.

– Lady Sidlow nie pozwala jej pójść do Astleya, bo uważa, że to ją zanadto pobudzi. Była umówiona z modystką, czy coś podobnego. Przysłała mi wczoraj wiadomość i prosiła, żebym ci powiedziała, kiedy się spotkamy…

– Elizo… – Sophie zawahała się. – Nie musisz kłamać.

Przyjaciółka wydęła usta i przez chwilę patrzyła w okno.

– Nie, lady Sidlow nie pozwoliła jej przyjść – powiedziała w końcu. – Teraz, kiedy w końcu zaczęli planować ślub, lady Sidlow mówi, że musi być bardziej niż kiedykolwiek ostrożna, żeby niczym nie zrazić lorda Sterlinga ani nie rozzłościć lorda Wakefielda. Ale Sterling ją kocha. Wie, że jesteś jej przyjaciółką, i nigdy nie powiedział złego słowa. I wcale nie jest tak, że ma absolutnie czystą i szlachetną duszę! On też grywa, a czasami odwiedza niemoralne domy… – Zarumieniła się, gdy Sophie spojrzała na nią zdziwiona. – Papa tak mówi. Wiesz, że uwielbia Georgianę, i chciał mieć pewność, że Sterling jest odpowiednią partią dla niej. Zatrudnił kogoś, żeby przyjrzał się wicehrabiemu.

Sophie poruszyła się niespokojnie na wzmiankę o tym, że pan Cross nie tylko wie różne rzeczy, ale też każe śledzić ludzi. To znaczyło, że mógłby

się dowiedzieć o najmniejszym błędzie, jaki popełniłaby w związku z Jackiem.

– Lady Sidlow to wredna stara wrona! – wykrzyknęła Eliza, błędnie odgadując powód milczenia Sophie. – Georgiana ciskała na nią gromy w liście, który mi przysłała. Uważa, że to bzdury, zupełnie jakby Wakefielda to miało obchodzić, skoro nigdy nie dbał o to, co robiła. Od lat grywasz w klubie, a Wakefield nigdy nie powiedział ani słowa, żeby zabronić Georgianie spotykać się z tobą.

Sophie poprawiła suknię na kolanach.

– Wcześniej grałam o pieniądze.

– A tym razem nie? – spytała zdumiona przyjaciółka.

Chcę spędzić tydzień w pani towarzystwie – zabrzmiał w jej głowie głos Jacka. Przez chwilę poczuła się, jakby coś ścisnęło ją w piersi na wspomnienie o dniach spędzonych w Alwyn House, o jego zafascynowanym spojrzeniu i pożądaniu w jego oczach, kiedy w końcu ją pocałował.

– W swoim liście niewiele napisałaś – odezwała się Eliza, kiedy Sophie milczała. – Wiem, że *coś* się wydarzyło, bo inaczej powiedziałabyś, że to wszystko jest jakąś niewiarygodną farsą.

Posłała przyjaciółce ironiczne spojrzenie.

– To jest jeszcze bardziej niewiarygodne.

– Nie chcesz o tym porozmawiać? Może mogłabym pomóc?

Sophie wpatrywała się z uwagę w zmarszczkę na swojej sukni, żeby nie zareagować na lojalną propozycję przyjaciółki. Nie było najmniejszej szansy, żeby mogła pomóc. Eliza nie mogła sprawić, żeby odkochała się w Jacku, ani nie mogła spowodować, żeby Jack zakochał się w niej tak bardzo, by zdecydował się odrzucić poglądy i oczekiwania swojej rodziny i ożenić się z nią.

– Co słyszałaś? – spytała. – Co słyszał twój ojciec? – uściśliła.

Policzki Elizy lekko poczerwieniały.

– Powiedział, że książę Ware zaproponował ci skandaliczny zakład, oferując wielką sumę pieniędzy, a ty się zgodziłaś. Papa powiedział, że rozumie dlaczego – dodała pospiesznie, jakby ten opis mógł zdenerwować Sophie. – Papa też należy do klubu Vega i powiedział, że to był jeden z największych zakładów w tym roku i że to skusiłoby każdego.

Sophie uśmiechnęła się smutno jednym kącikiem ust.

– Mnie skusiło.

– Czy książę potraktował cię nieuprzejmie? – dopytywała się Eliza. – Papa obawiał się, że tak mogło być, bo chciał cię sprowokować, żebyś się zgodziła. Wiem, że nie chcesz mieć złej reputacji i że nie jesteś nierozsądna. A Ware słynie z tego, że jest chłodny i powściągliwy. To, że zrobił coś tak niezwykłego, wstrząsnęło wszystkimi, nawet papą.

Jack wcale nie jest chłodny i powściągliwy – pomyślała, znowu czując ukłucie w sercu.

– Nie, nie był nieuprzejmy.

– Georgiana przypuszcza, że książę zakochał się w tobie od pierwszego wejrzenia i zaproponował tak skandaliczny zakład, bo stracił dla ciebie głowę. – Sophie drgnęła niespokojnie, a Eliza uśmiechnęła się przekornie.

– Która wersja jest bliższa prawdy, Georgiany czy papy?

Sophie powoli odstawiła filiżankę. Herbata i tak na pewno wystygła, bo nie tknęła jej od kilku minut.

– Prawda może sprawić, że twój ojciec zabroni ci się ze mną widywać, podobnie jak lady Sidlow Georgianie.

– Papa świetnie zna się na ludziach. Nie daje się zwieść plotkom i pogłoskom. Zawsze chce poznać prawdę, zanim kogoś oceni. – Głos Elizy brzmiał bardzo stanowczo. – Nie oponował, kiedy powiedziałam mu, że zamierzam się dziś z tobą spotkać.

Skinęła głową, energicznie wygładzając fałdy sukni. Pan Cross słyszał o warunkach zakładu – tyle jest warta zasada dyskrecji w klubie Vega – a jednak Eliza przyszła tu dzisiaj.

– Jesteś wzburzona? Smutna? Boisz się? – zgadywała Eliza. – Wydajesz się bardzo zdenerwowana, a to nie wróży dobrze. Wiesz, że do śmierci dochowam tajemnicy. – Zamilkła, ale Sophie nadal nie odpowiadała.

Nie powinna o tym rozmawiać. Eliza była miła i współczująca, z pewnością nie zrobiła też nigdy nic choćby w połowie tak skandalicznego. Czy pan Cross zabroniłby im się przyjaźnić, gdyby wiedział, w jak bardzo niestosowną sytuację wdała się Sophie? Przyzwoitka Georgiany już to zrobiła. Nie chciała stracić obu przyjaciółek.

Ale z drugiej strony Eliza znała ją lepiej niż ktokolwiek inny – a Sophie rozpaczliwie potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać. Eliza przynajmniej wysłuchałaby jej i okazała współczucie. Od dwunastego roku życia Sophie ufała własnej intuicji, ale teraz czuła się kompletnie zagubiona.

– Masz rację… coś się wydarzyło – przyznała. – Nie mogłam napisać tego w liście. I musisz przysiąc, że nikomu nie powiesz.

– Nawet Georgianie, jeśli nie chcesz, żeby się dowiedziała – zapewniła Eliza.

– Nie wiem, jak to ująć w słowa! Wszystko zaczęło się tak niewinnie… – Sophie skrzywiła się. – Cóż, może nie całkiem niewinnie.

Eliza słuchała z uwagą.

– Zgaduję, że nie pozostało niewinne, inaczej nie byłoby plotek, które doprowadziły do szału lady Sidlow.

Spohie spłonęła rumieńcem.

– Myliłam się co do Philipa Lindeville. Pamiętasz, jak Georgiana żartowała na jego temat? Myślałam, że to był flirt… zabawny, ale nieszkodliwy.

– Mówiłaś, że jest czarujący.

– Był, ale z czasem coraz mniej.

Znowu pomyślała o wszystkich problemach, których mogła uniknąć, gdyby wcześniej była bardziej oziębła wobec Philipa. Ale wtedy nie

doszłoby też do niczego między nią i Jackiem, a tego nie potrafiła żałować. Wszystko to przyprawiało ją o o ból głowy.

– Ale nie chciałam stracić przyjaciela, *żadnego* przyjaciela, dlatego ignorowałam jego sugestie, że moglibyśmy być czymś więcej niż przyjaciółmi.

– Wybacz, że pytam – przerwała jej Eliza. – Ale czy to byłoby takie straszne?

Ona i Georgiana były jedynymi osobami na świecie, które znały jej Wielki Plan, a na pierwszy rzut oka Philip wydawał się świetnym kandydatem: był przystojny i uroczy, z doskonałej rodziny.

– Tak – odparła Sophie natychmiast. – Gorzej niż straszne. On jest nierozważny. Nierozważny przyjaciel może być zabawny, ale nierozważny mąż to prosta droga do ruiny. A w jego zachowaniu ostatnio nie było nic, co przemawiałoby na jego korzyść. To przez jego upór dałam się wciągnąć w zakład, od którego wszystko się zaczęło. Zaproponowałam grę w kości…

– Kości! – wykrzyknęła z niesmakiem Eliza. – Ty nigdy nie grasz w kości!

Sophie ukryła twarz w dłoniach.

– Myślałam, że to da mu nauczkę. On nie umie grać, spodziewał się, że przegra. Gdyby przegrał, wróciłby do domu i zostawił mnie w spokoju.

– Jaskinie hazardu muszą wydobywać z ludzi wszystko, co najgorsze – powiedziała z wahaniem przyjaciółka. – Georgiana mówi, że jest taki przystojny i czarujący…

Westchnęła. Eliza była zbyt romantyczna, żeby mogło jej to wyjść na dobre, wychuchana i rozpieszczana przez kochającego ojca. Sophie widziała zupełnie inną stronę dżentelmenów niż jej przyjaciółka. Ludzie, którzy traktowali lady Georgianę Lucas z szacunkiem i galanterią, bez wahania zdarliby suknię z Sophie, gdyby mieli szansę. Ludzie, którzy wiedzieli, że Edward Cross pourywałby im głowy za najdrobniejsze

niestosowne zachowanie wobec Elizy, nie mieli oporów przed rzucaniem nieprzyzwoitych sugestii przy grze w karty z Sophie.

– Wiem. Ale on nalegał, żebym z nim zagrała, i w końcu ustąpiłam.

– Ale jak w ogóle doszło do tego zakładu?

– Przyszedł do klubu, żeby spłacić dług Philipa. Musiał być spory, bo Philip przysiągł, że przez miesiąc będzie unikał hazardu, ale jeszcze tego samego dnia złamał dane słowo. Książę był wściekły, widząc go przy stoliku. Kazał Philipowi wyjść z klubu.

Eliza otworzyła szerzej oczy.

– Przy wszystkich?

– Tak – odparła smutno Sophie. – Później przyznał, że to nie był dobry pomysł. – Eliza spojrzała na nią pytająco i Sophie zebrała się na odwagę. – Kiedy Philip odmówił, książę na siłę wprosił się do gry. Ja… mogłam odezwać się do niego nieco impertynencko, a on powiedział, żebym przestała oskubywać Philipa, a zagrała z nim. Byłam tak urażona, że się zgodziłam.

– Georgiana będzie bardzo żałować, że nie usłyszała tej historii – mruknęła Eliza. – Papa nie powiedział mi nawet połowy.

Sophie miała nadzieję, że to prawda, ale kontynuowała.

– I przegrał, co uraziło jego dumę, więc wtedy zaproponował ten skandaliczny zakład, a ja, jak idiotka, znowu się zgodziłam. – Sophie pokręciła głową. – To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe… pięć tysięcy funtów! Albo tydzień mojego towarzystwa. Powinnam była wiedzieć, że przegram.

Eliza otworzyła usta ze zdumienia. Na chwilę w pokoju zapadła cisza, aż zegar na kominku wybił godzinę, wyrywając je z zamyślenia.

– Sophie, co ty sobie myślałaś?

– Myślałam o pięciu tysiącach funtów – przyznała. – Sądziłam, że wygram. On nie umiał grać i miał strasznego pecha.

– A więc przegrałaś? I spędziłaś z nim cały tydzień? – Eliza wytrzeszczyła oczy. – Nie mogę w to uwierzyć. Pisałaś, że leżałaś chora w łóżku!

Sophie pociemniało w oczach i poczuła ucisk w piersi. Pomyślała o Jacku wpatrzonym ze skupieniem w karty, kiedy próbowała go nauczyć blackjacka. Albo o tym, jak śmiał się, kiedy jechali we mgle i wiatr zwiał jej pożyczony kapelusz. Albo o jego uśmiechu, kiedy obudziła się i zobaczyła go w łóżku obok siebie, i pragnęła, żeby deszcz znowu zaczął padać. Pociągnęła nosem i przełknęła ślinę.

– Wszystko zaczęło się tak skandalicznie, jak słyszałaś, ale… Elizo, jest znacznie gorzej. Zakochałam się w nim i nie wiem, co robić.

Eliza zerwała się, podbiegła i objęła ją.

– Och, moja droga! Ale dlaczego to jest takie straszne? Jeśli go pokochałaś, to znaczy, że nie może być takim zimnym, wyrachowanym człowiekiem, jak się o nim mówi. Wiem… wiem, że nie zależałoby ci na kimś bez serca.

– Nie jest zimny ani wyrachowany. Jest dobry, miły i cudowny – powiedziała Sophie drżącym głosem i sięgnęła po chusteczkę, którą podała jej Eliza. – Ale jest księciem, a ja jestem kobietą, która kłamie w sprawie swojego nazwiska, gra w karty co wieczór i nie ma żadnych koneksji.

– Przypuszczam, że wszystko zależy od tego, jak bardzo on *ciebie* pragnie. Papa mówi, że arystokraci mogą robić, co im się podoba, jeśli tylko dostatecznie mocno tego chcą.

Sophie otarła oczy. Ona też tak myślała, ale nawet jeśli to była prawda, to Jack nie pragnął jej wystarczająco.

– To nie pomaga.

– Hm, a jak sytuacja wygląda teraz? – spytała Eliza rzeczowo.

– Mamy romans – wyznała cicho Sophie. – W całkowitej tajemnicy. Wiem, że powinnam to skończyć, ale nie potrafię. Pewnej nocy był w klubie i chociaż wiedziałam, że nie mogę pozwolić, żeby znowu zaczęto

łączyć nasze nazwiska, zaproponowałam, żeby pojechał ze mną dorożką, a potem zaprosiłam go do domu i prosiłam, żeby się ze mną kochał.

– Ojej. – Eliza puściła ją, a Sophie zdała sobie sprawę, że powiedziała za dużo. – Czy… czy robiłaś to już wcześniej?

– Nie! – wykrzyknęła. – To zupełnie do mnie niepodobne. Wiem, że to niebezpieczne i może zrujnować wszystko, na co tak ciężko pracowałam. Więc dlaczego nie mogę przestać o nim myśleć?

Eliza uścisnęła jej dłoń.

– Bo jesteś w nim zakochana. A kiedy jesteś zakochana, tracisz rozum, jak sądzę, i robisz rzeczy, o których w innej sytuacji nawet byś nie pomyślała. Myślisz tylko o nim, o tym, kiedy go zobaczysz, i że oddałabyś wszystko, żeby to przyspieszyć. Miłość sprawia, że zaczynasz wierzyć, że wszystko musi się udać.

Kiedy to mówiła, jej głos znowu stał się rozmarzony i serce Sophie ścisnęło się z bólu. Eliza mówiła o lordzie Hastingsie, nie o Jacku. Spotkała porządnego dżentelmena, który starał się o nią jak należy. Sophie naprawdę cieszyła się szczęściem przyjaciółki, ale to jednocześnie uświadamiało jej, w jak trudnym położeniu sama się znalazła.

– A czego ty byś chciała? – spytała Eliza, odrywając się myślami od lorda Hastingsa. – Może to on jest rozwiązaniem twojego Wielkiego Planu?

Sophie westchnęła.

– Wątpię.

Jack bardzo poważnie traktował swoje dziedzictwo i obowiązki, a książęta Ware nie żenią się z miłości, jak sam powiedział. Philip wspomniał kiedyś, że jego brat z pewnością poślubi najnudniejszą damę w całym Londynie. Czy kiedykolwiek brał pod uwagę małżeństwo z kimś takim jak ona? Raczej nie, choćby dlatego, że nigdy o tym nie mówił.

Tylko raz, w pewien słoneczny poranek w Alwyn House, wydawało jej się, że mógł to rozważać: warknął, że ich związek nie musi prowadzić do ruiny. To rozbudziło w niej nadzieje, że mógłby chcieć czegoś więcej,

podobnie jak ona. Ale kiedy ostrożnie spytała, co ma na myśli, odwrócił się do niej plecami i odszedł. Spytał tylko, czy Sophie naprawdę chce, żeby to się skończyło, a ona – nie mając wielkiego wyboru – odparła twierdząco.

Oczywiście skłamała. Chciała więcej, ale to od Jacka wszystko zależało. A jednak pragnęła go na tyle mocno, że była gotowa postąpić wbrew rozsądkowi i kontynuować romans, który mógł tylko złamać jej serce, ale chciała, żeby dał jej najmniejszy znak, że mu na niej zależy.

– A czy ty chciałabyś tego? – Eliza trzymała ją za rękę. – Gdyby ci się oświadczył, przyjęłabyś go?

– Tak – szepnęła Sophie bez zastanowienia. Tęsknota w jej głosie zaskoczyła ją samą, ale nie Elizę, która tylko skinęła głową.

– Zaplanowałaś, że znajdziesz męża. Czemu to nie miałby być on?

– Jest księciem – zauważyła Sophie.

– A ty jesteś wnuczką wicehrabiego.

– Wydziedziczoną wnuczką wicehrabiego mizantropa – sprostowała Sophie. – I córką rodziców, którzy dopuścili się skandalu, a cały majątek, jaki mam, wygrałam w karty. Nawet gdybym wyjawiła, że jestem spokrewniona z Makepeace’em, to by mi nie pomogło, bo dla niego jestem tak samo martwa jak mój ojciec.

– Jeśli książę cię kocha, nie będzie na to zważał – upierała się Eliza.

– I co wieczór gram w karty – dodała Sophie. – On nie znosi hazardu.

– Jeśli za niego wyjdziesz, nie będziesz musiała więcej grać. Zrezygnowałabyś z tego?

Sophie zaśmiała się ponuro. Niekiedy myślała, że chodzi do klubu Vega tylko po to, żeby jakoś spędzić czas, zanim Jack zapuka do jej drzwi. Od dwóch tygodni nawet nie sprawdziła swojego rachunku, co nigdy wcześniej jej się nie zdarzało.

– Tak. Ale…

– Sophie – przerwała jej Eliza. – Jeśli go kochasz, musisz mu powiedzieć prawdę.

– Że go kocham?

– Nie, o sobie. Miłość nie może rozkwitać bez szczerości.

Jeśli Sophie miała jakiś sekret, który ukrywała bardziej niż romans z Jackiem, to była nim jej historia. Cofnęła rękę.

– Szczerość może mieć fatalne skutki. – Zerwała się z miejsca i podeszła do okna. – Obawiam się, że on nie chce niczego więcej, niż łączy nas teraz. Jeśli powiem mu wszystko, to tylko potwierdzi, że nie nadaję się na księżnę.

Jeśli powie mu całą prawdę, mógłby także zerwać ich związek, a tego Sophie obawiała się najbardziej. Już pogodziła się z tym, że nigdy nie będzie księżną, ale skoro wdała się w ten przeklęty, cudowny, namiętny romans, pragnęła, żeby trwał jak najdłużej.

– Cóż. – Eliza spojrzała na nią współczująco. – Wiesz, że jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Musisz go zapytać; po tym, jak powiesz mu prawdę o sobie.

Sophie złożyła ręce na piersi i wyjrzała przez okno. Niemal nieświadomie zaczęła się zastanawiać, jakie ma szanse. Jack nigdy nie pytał o jej rodzinę, ale z życzliwym uśmiechem słuchał jej opowieści z dzieciństwa. To dobry znak. Nigdy nie powiedział nic złego o tym, że bywała w klubie, zapewne dlatego, że sam odwiedzał go co wieczór. To też dobrze. I, choć mogło się to wydawać dziwne, czuła się, jakby w ich związku byli równymi partnerami. *Cokolwiek mi dasz, przyjmę* – powiedział. Co zrobiłby, gdyby ofiarowała mu swoje serce, wraz z całą resztą? Może jednak była jakaś szansa…

Usłyszała szelest tkaniny, gdy Eliza podeszła do niej.

– Kiedy powiedziałam ci o Hastingsie, ty zapewniłaś, że nie mógłby mnie nie kochać. To dość niedorzeczne, bo wcale go nie znasz. Dlaczego nie chcesz uwierzyć, kiedy sugeruję, że książę mógłby się w tobie zakochać?

– Bo nie jestem tak urocza jak ty.

– Bzdura – stwierdziła przyjaciółka. – Przeżyłaś o wiele więcej niż ja. Jesteś silniejsza, bardziej zaradna i mądrzejsza…

– Wcale nie – zaprotestowała Sophie.

– O *wiele* mądrzejsza i piękniejsza – upierała się Eliza. – Jestem pewna, że jego wysokość widzi to równie wyraźnie jak ja. Musisz dać mu szansę.

Sophie skrzywiła się, ale jej umysł zaczął ulegać wobec argumentów Elizy. Jack wiedział, jaka jest – nie znał wszystkich szczegółów, ale wiedział dość. Jeśli chciała mieć szansę na prawdziwe szczęście u jego boku, powinna powiedzieć mu całą prawdę. Jeśli wzdrygnie się z odrazy i przestanie do niej przychodzić, będzie musiała pogodzić się z tym, że jego uczucia nie są tak głębokie jak jej. Może to będzie impulsem, którego potrzebowała, żeby zakończyć całą sprawę.

Ale jeśli nie będzie wstrząśnięty…

– Tak – powiedziała cicho. – Masz rację.

Wzięła głęboki oddech i skinęła energicznie głową.

– Powiem mu.

22

Jack przez cały dzień zastanawiał się, czy Lucinda może uważać, że jest z nim zaręczona.

Należało to zbadać z najwyższą dyskrecją. Choć nie miał wątpliwości, że wszystko jest planem, który matka uknuła wraz z lady Stowe, to gdyby rozeszła się wieść, że *on* rozmawia na ten temat, wszyscy uwierzyliby, że lada dzień zamierza się oświadczyć. Gdyby zaś cały Londyn uwierzył, że są zaręczeni, to znalazłby się w sytuacji bez wyjścia. Kiedy zaręczyny, o których krążyły plotki, nie dochodziły do skutku, powszechnie zakładano, że albo dama odrzuciła propozycję małżeństwa, albo dżentelmen zmienił zdanie. To ostatnie wywołałoby falę nieprzyjemnych plotek na temat Lucindy, czego Jack nie chciał. Pierwsze rozwiązanie jednak składało całą odpowiedzialność w ręce Lucindy. A jeśli rzeczywiście oczekiwała, że zostanie księżną… To mogła być sytuacja bez honorowego wyjścia.

Poczynił pewne kroki w obu kierunkach. Prawnik zapewnił go, że nie ma żadnych formalnych zobowiązań, dopóki nie została zawarta oficjalna umowa. Percy jednak przedstawił mu dokumenty pokazujące skalę jego „dbania” o lady Stowe i jej córkę – skalę, która zaskoczyła Jacka. Akceptował wszystkie wydatki, ale dopiero kiedy zobaczył ich sumę na przestrzeni siedmiu lat, zdał sobie sprawę, jak oddany mógł się wydawać.

W desperacji odwiedził człowieka, którego znał tylko przelotnie. Dawno temu, przed śmiercią ojca, Jack zadawał się z bandą piekielnych łobuzów. Najdzikszym wśród nich był niejaki lord David Reece. Jack nie sądził, żeby

Reece miał mu cokolwiek ważnego do powiedzenia – był gwałtowny i z pewnością niedyskretny – ale jego starszy brat to zupełnie inna sprawa. Jack mgliście pamiętał, że książę Exeter był zaręczony z jakąś damą z towarzystwa, gdy nagle przedstawił zupełnie inną kobietę jako swoją narzeczoną. Nowa księżna wywołała burzę plotek; była zwykłą kobietą, wdową po wiejskim pastorze i cały Londyn umierał z ciekawości, jak Exeter ją poznał, nie wspominając o tym, dlaczego się z nią ożenił.

Ponieważ Jack rozważał zrobienie niemal tego samego, zapragnął się dowiedzieć, jak Exeter sobie poradził. Na szczęście książę był w domu, kiedy Jack wybrał się do niego z wizytą.

– Mam dość delikatne pytanie – zaczął, kiedy znalazł się w prywatnym gabinecie Exetera. – Pytanie, które wolałbym, żeby pozostało między nami.

Exeter uniósł ciemne brwi.

– To brzmi intrygująco.

– W swoim czasie krążyły pogłoski, jakoby był pan zaręczony z lady Willoughby.

Uprzejme zainteresowanie w oczach Exetera zgasło, a wyraz jego twarzy stał się nieprzystępny.

– Nie było żadnych zaręczyn – oznajmił chłodno.

Jack skinął głową.

– Nie zamierzałem sugerować niczego innego. Chodzi mi o plotki… a zwłaszcza o to, jak wpłynęły na lady Willoughby, kiedy okazały się nieprawdziwe.

Exeter przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niego. Jack pamiętał, jak David Reece mówił, że spojrzenie jego brata może przenicować człowieka, i pomyślał, że było w tym dużo prawdy. Jednak rozpaczliwie pragnął poznać odpowiedź, więc po prostu czekał. W końcu Exeter się odezwał.

– Uleganie plotkom może człowieka przedwcześnie wpędzić do grobu.

– To prawda.

Jack wolałby móc zapytać kogoś innego, ale stracił kontakt z większością swoich kompanów z dawnych lat i zdawał sobie sprawę, że nie ma z kim na ten temat porozmawiać.

– Nie pytałbym, gdyby nie to, że sam mogę się znaleźć w podobnej sytuacji, całkiem niespodziewanie i bez żadnych działań z mojej strony.

Exeter wyraźnie się odprężył. Coś w rodzaju uśmiechu przemknęło przez jego wargi.

– Ach. Wiem jedno: małżeństwo z kimś innym szybko kładzie kres plotkom.

– Ale dama, z którą rzekomo miał pan być zaręczony… jak jej pan powiedział?

Nie mógł zostawić lady Lucindy na pastwę plotek o tym, dlaczego jej nie poślubił. Jeśli wszyscy – lub ktokolwiek – sądzili, że zamierza to zrobić.

Exeter odwrócił się i wyjrzał przez okno. Było lekko uchylone i do pokoju dobiegał z oddali cichy głos podekscytowanego dziecka.

– Sądzę, że przeczytała o tym w gazetach – mruknął. – To było… niefortunne, ale jak powiedziałem, nigdy nie byliśmy zaręczeni.

Jack westchnął rozczarowany. Nie mógł tak potraktować Lucindy.

– Zawsze uważałem, że to żałosne, jak towarzystwo interesowało się moją narzeczoną – rzucił od niechcenia Exeter. – Mogę decydować w Izbie Lordów o losach Brytanii, ale mój wybór żony musi zostać zaakceptowany przez cały Londyn. – Zerknął na Jacka. – Zapewne w towarzystwie są tacy, którzy uważają, że mężczyzna z tytułem i majątkiem powinien należeć do kogoś spośród nich, i małżeństwo z kimś spoza tego kręgu odbierają jak osobisty afront.

– Ale pan to zrobił – powiedział cicho Jack.

Twarz jego rozmówcy rozjaśnił szczery uśmiech. Wstał zza biurka.

– Zrobiłem. Zechciałby pan pójść ze mną do ogrodu?

Jack był zaskoczony, ale skinął głową. Exeter okazał się niezwykle otwarty w rozmowie na bardzo osobisty temat. Nie pomogło mu to w

sprawie Lucindy, ale wzmocniło narastające w nim przekonanie, że jest gotów zaryzykować skandal, żeby zdobyć Sophie.

To przekonanie umocniło się jeszcze bardziej, kiedy wyszli do skąpanego w słońcu ogrodu. Exeter House, jedna ze starszych rezydencji w mieście, był niedużą posiadłością w środku Londynu, niecisnącą się między innymi domami jak Ware House. Za domem znajdował się wypielęgnowany ogród, a kiedy mijali klomb z różami, podbiegła do nich mała dziewczynka o długich blond lokach.

– Papa!

Zmiana, jaka zaszła w Exeterze, była zdumiewająca. Jego chłodna rezerwa zniknęła, i ciepły uśmiech rozjaśnił mu twarz, kiedy porwał dziecko w ramiona.

– Molly, kochanie, przywitaj się z naszym gościem. To jego wysokość książę Ware. – Postawił dziewczynkę na ziemi. – Ware, niech pan pozwoli, że przedstawię moją pasierbicę, pannę Molly Preston.

Dygnęła niezgrabnie i wyrecytowała:

– To prawdziwa przyjemność poznać pana, sir.

Jack uśmiechnął się do niej i zrobiło mu się ciepło na sercu na myśl o innej małej dziewczynce ćwiczącej powitania przed lustrem. Ukłonił się.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panno Preston.

Uśmiechnęła się do niego szeroko i spojrzała na Exetera.

– Mama złapała motyla! Chodź zobaczyć!

– Za chwilę. Czy dzisiaj jest dużo motyli?

– Bardo dużo! – wykrzyknęła i pobiegła ścieżką do stojącej nieco dalej ciemnowłosej kobiety. Miała na sobie najmodniejszą suknię, ale trzymała długą siatkę na motyle.

– Dziękuję panu, Exeter. To było niezwykle pouczające. – Jack skinął głową na pożegnanie i odwrócił się, żeby odejść.

– Ware – zatrzymał go głos Exetera. – Poślubienie właściwej kobiety jest warte skandalu. Warte *każdego* skandalu. Nie mam żadnej lepszej rady dla

pana. Miłego dnia.

Odwrócił się i odszedł do swojej księżnej z siatką na motyle i swojej pasierbicy, która wspięła się na gałąź, sięgając do motyli latających nad różami.

Służący podszedł, żeby go odprowadzić. Jack nie mógł zapomnieć wyrazu twarzy Exetera. Ten człowiek ucieszył się, widząc dziecko, ale kiedy zobaczył żonę… było jasne jak słońce, że kocha ją głęboko i namiętnie.

Rzeczywiście, warte każdego skandalu.

Tego wieczoru Philip czekał na niego w holu klubu Vega.

– Drogi bracie – powiedział z nieszczerym uśmiechem. – Czy możemy zamienić słowo na osobności?

Jack stłumił westchnienie. Miał nadzieję przechwycić Sophie, zanim dotrze do klubu, ale nie udało się. Wprawdzie nie był bliższy rozwiązania kwestii Lucindy, ale rozpaczliwie pragnął się z nią zobaczyć. Poślubienie właściwej kobiety kładzie kres wszelkim plotkom o zaręczynach z inną – powiedział Exeter, a Jack zaczynał uważać to za dobre rozwiązanie. Gdyby zabrał Sophie do najbliższego kościoła i ożenił się z nią na podstawie specjalnej licencji, to zakończyłoby sprawę… do diabła ze skandalem. Musiał tylko wiedzieć, czy ona go zechce.

Jednak spodziewał się konfrontacji z Philipem. Nie zrobił nic poza obserwowaniem go przez cały czas, ale przypuszczał, że to denerwowało jego brata bardziej, niż gdyby go beształ i kazał skończyć z hazardem.

– Oczywiście. Prowadź.

Przeszli przez główny salon, potem korytarzem z kilkoma drzwiami. Philip otworzył jedne z nich, po czym zamknął, gdy weszli do środka. Znaleźli się w niewielkim pokoju ze stolikiem i dwoma skórzanymi fotelami. W pobliżu stał kredens z karafkami, a w powietrzu unosił się zapach dymu. Tutaj, w zaciszu, zapewne grano o wysokie stawki.

– Czego ode mnie chcesz, do diabła? – wybuchnął Philip.

Jack złożył ręce na piersi.

– Wyraziłem tylko jedno życzenie.

– Które spełniłem co do joty!

– Co do joty – przyznał Jack.

– Więc dlaczego wciąż tu jesteś?! – wykrzyknął jego brat. – Dlaczego chodzisz za mną jak niańka?

– Ponieważ twoim obietnicom nie zawsze można ufać.

Philip machnął rękami z irytacją.

– Jeden cholerny raz!

Jack posłał mu znaczące spojrzenie i Philip poczerwieniał.

– Jeden raz, kiedy cię to obchodziło.

– Tu się mylisz – zauważył Jack. – Obchodzi mnie zawsze, kiedy łamiesz dane słowo. To był po prostu jeden raz za dużo.

– Nie – wycedził Philip. – Tym razem obchodziło cię bardziej niż zwykle. Z *jej* powodu.

Jack zesztywniał.

– Nie bądź śmieszny.

– Śmieszny! – parsknął brat. – Tego słowa można użyć raczej w odniesieniu do ciebie, kiedy grałeś w kości. Początkowo myślałem, że chcesz tylko mnie upokorzyć, ale nigdy wcześniej nie zależało ci na tym na tyle, żeby zaryzykować własną reputację i pieniądze. I nie cierpisz hazardu! Za często prawiłeś mi kazania na ten temat, żebym mógł mieć co do tego wątpliwości. Nie, ty chciałeś Sophie… panią Campbell… i zrobiłeś to, żeby mi ją odebrać.

Jack miał ochotę warknąć, że Sophie nigdy nie należała do Philipa i nigdy nie chciała do niego należeć. Znowu czuł chęć wykrzyczenia, że Sophie jest *jego*, i znowu zdławił to pragnienie. Dał słowo.

– Ona nie była twoja.

Philip popatrzył na niego gniewnie.

– Była…

– Nie była twoja – powtórzył z naciskiem Jack. – Zapytałem ją o to, a ona zaprzeczyła. Jak śmiesz sugerować, że mógłbym skraść ci uczucia kobiety? Za jakiego brata mnie uważasz?

– Chciałeś jej! – zaatakował Philip.

– Załóżmy, że tak. – Jack zdawał sobie sprawę, że ryzykuje, ale był wściekły, a ktoś w końcu musiał przemówić Philipowi do rozumu. – Jakie to miałoby znaczenie, gdyby ona wolała ciebie? Czy to nie ona powinna zdecydować?

Brat posłał mu ponure spojrzenie.

– Oczywiście.

– I co ci powiedziała? – Rozłożył ręce. – Ma prawo wybrać, kogo zechce.

Dobrze wiedział, co Sophie powiedziała Philipowi. I, na co miał nadzieję, jego brat nieco się uspokoił. Wbił wzrok w podłogę.

– Zabrałeś ją, żeby mnie ukarać.

– Tak – przyznał. – Nic innego do ciebie nie docierało. Philipie, prosiłeś się o nieszczęście. Nie mówię o pani Campbell, ale o hazardzie. Publiczna scena i utrata jej towarzystwa to niewielka cena, jeśli dzięki temu skończysz z grą.

– Skończę!

– A przynajmniej graj rozważniej – przekonywał Jack. – Dla własnego dobra, ale pomyśl też o matce. Pobłaża ci, ale nawet jej cierpliwość kiedyś się skończy.

– Rozważniej! – Philip siadł ciężko na fotelu. – Co to znaczy? Gdybym przestawał grać, kiedy przegrywam, to z pewnością nigdy nie odzyskam pieniędzy.

– Sam jestem zdumiony, że mówię coś takiego – Jack przypomniał sobie, co Sophie mówiła o grze Jacka – ale mógłbyś spróbować się trochę

poduczyć. Nie umiesz dobrze grać, a kiedy przegrywasz, stajesz się nierozważny i przez to ponosisz tak wielkie straty.

Jego brat otworzył usta ze zdumienia.

– Sugerujesz, żebym brał lekcje? Gry w kości i blackjacka?

– Pomyśl o tym jako o zwiększeniu swoich szans.

Philip patrzył na Jacka, jakby nagle wyrosły mu rogi i ogon.

– Oszalałeś? Lekcje *hazardu*?

– To ty musiałeś oszaleć, żeby grać tak niefrasobliwie – odciął się Jack. – Czego się spodziewałeś? Jeśli grasz nieudolnie, a często, nie zwiększasz swoich szans na wygraną, tylko przegrywasz coraz więcej. Skoro nie chcesz z tego zrezygnować ani zacząć grać rozważniej, to przynajmniej naucz się robić to dobrze!

Zapadła chwila ciszy. I gdy Jack zaczął już przypuszczać, że jego taktyka zawiodła, Philip mruknął:

– Cóż, myślę, że odrobina praktyki nie zaszkodzi.

Jack nie zwrócił uwagi na fakt, że właśnie zachęcał brata, by został lepszym graczem, co może sprawić, że zacznie grać o jeszcze wyższe stawki.

– Oczywiście, że nie. Weź się w garść, człowieku. To nie jest jak nauka łaciny.

Na te słowa jego brat parsknął śmiechem.

– Dzięki Bogu – Spojrzał na Jacka, po raz pierwszy od tygodni bez wrogości. – Ale jak znaleźć nauczyciela?

Jack pomyślał o Sophie, w milczeniu obliczającej prawdopodobieństwo przed rzutem kośćmi albo wpatrującej się z napięciem w karty. Wzruszył ramionami i skierował się do drzwi.

– Poproś kogoś, kto dobrze gra.

Philip się roześmiał.

– Znam tylko jedną taką osobę! Pani Campbell gra lepiej niż wszyscy inni. Poproszę ją.

To wytrąciło go z równowagi.

– Nie – rzucił natychmiast. – Nie Sophie.

– Wiedziałem! – Philip zerwał się na równe nogi. – To o nią chodziło.

Niech to szlag. Zdradził się, wymieniając jej imię. Jack odwrócił się powoli i spojrzał na brata.

– Nie – powtórzył. – Nie będziesz z nią rozmawiał.

Philip zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Nie wolno mi z nią rozmawiać, nawet o czymś tak zwyczajnym jak karty… stoisz mi nad głową co wieczór, pilnując, żebym się do niej nie zbliżał… ale nie dlatego, że się nią interesujesz! Nie, podstępnie wciągnąłeś ją w grę po tym, jak upokorzyłeś mnie na oczach wszystkich gości, potem porwałeś ją z klubu, wywołując burzę plotek o jej moralności. – Pokręcił głową z niesmakiem. – Możesz się okłamywać, ale nie mów mi, że jej nie pragniesz.

– To nie twoja sprawa – warknął Jack.

– Nie? – prychnął Philip. – Była moją przyjaciółką, jeszcze zanim ją pierwszy raz zobaczyłeś. Dlaczego miałbyś mieć do niej większe prawa niż ja?

– Ani słowa więcej na jej temat. – Cierpliwość Jacka wisiała na włosku. Odwrócił się na pięcie i sięgnął do klamki.

– Ona zasługuje na coś lepszego, Ware.

Zatrzymał się. W głosie brata zabrzmiało ostrzeżenie. Philip stał z zaciśniętymi pięściami, gotowy do walki.

– Nie ty będziesz decydował, na co ona zasługuje.

– Ani ty!

Jack cofnął się o krok.

– Już dość jej zrobiłeś – rzucił ze złością Philip.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wycedził Jack.

– Na przykład to, że zawlokłeś ją do Alwyn House jak Rzymianin Sabinkę? – To zaskoczyło Jacka, choć starał się nie dać nic po sobie

poznać. – Nie ja jeden nie wierzę w to, co ona opowiada, chociaż być może tylko ja wiem, jak lubisz wymykać się na kilka dni do Alwyn. Dogodnie blisko, a jednocześnie miejsce na tyle ustronne, by kogoś uwieść.

Jack zbliżył się powoli do brata. Minęło wiele lat, odkąd naprawdę się bili, ale zacisnął pięści i napiął mięśnie.

– Zamknij cholerną gębę.

– Mam dla ciebie maleńką radę – kontynuował Philip – skoro ty tak hojnie mnie dzisiaj obdzielałeś. Sophie Campbell nie będzie twoją utrzymanką, więc możesz porzucić wszelkie nadzieje.

– Zamknij się – warknął.

– Nie, nie zamknę się – odciął się brat. – Daj jej spokój. I zrób to, zanim ogłosisz swoje zaręczyny, na miłość boską.

Jack zamarł.

– Co?

Philip pokręcił głową z szyderczą miną.

– Matka mi o wszystkim powiedziała. Sophie nie będzie chciała mieć z tobą nic wspólnego, kiedy się dowie. Odrzuca każdego żonatego mężczyznę, który próbuje się do niej zbliżyć.

– Nie jestem zaręczony – powiedział Jack, czując przyspieszone bicie serca.

Philip uniósł sceptycznie brwi.

– W towarzystwie „prawie zaręczony” znaczy tyle co żonaty. Dobrze o tym wiesz.

Niech to. Niech to szlag. Jack starał się skupić na oddychaniu i próbował opanować gonitwę myśli o matce, Lucindzie i Sophie – Sophie, która poczułaby się okrutnie zraniona, gdyby usłyszała takie pogłoski. Musiał zakończyć ten nonsens, zanim wszystko wymknie się spod kontroli, rujnując wszelkie szanse na przekonanie Sophie, że jej nie oszukiwał i że pragnie jej, a nie Lucindy czy jakiejkolwiek innej kobiety.

– Nie powinieneś słuchać czczych plotek – powiedział chłodno.

Philip rozłożył ręce.

– Czczych? Matka powiedziała, że tak będzie, a obaj wiemy, że ona zawsze stawia na swoim. Lada dzień zacznie rozpuszczać pogłoski po całym Londynie, o ile już tego nie robi, a znam cię dobrze i wiem, że jesteś zbyt honorowy, żeby po czymś takim porzucić Lucindę. – Popatrzył na brata ze śmiertelną powagą. – Oto moja szczera rada: zapomnij o Sophie. Zostaw ją w spokoju. Pozbawiłeś mnie szans u niej, trudno. Ale ona zasługuje na kogoś lepszego niż ty.

23

W głowie Sophie rozbrzmiewały słowa Elizy.

Obmyśliła swój Wielki Plan, kiedy miała osiemnaście albo dziewiętnaście lat, cerując najlepsze rękawiczki lady Fox za dwadzieścia funtów tygodniowo jako dama do towarzystwa. Siedząc cichutko za lady Fox, obserwując, jak flirtuje i romansuje z mężczyznami o połowę młodszymi od niej, Sophie określiła krótką, prostą listę swoich własnych celów: bezpieczeństwo, towarzystwo i rodzina. Nie cierpiała martwić się o to, czy będzie miała dach nad głową, gdyby jej pracodawczyni umarła. Nie cierpiała patrzeć, jak inne młode damy w jej wieku uśmiechają się i tańczą z dżentelmenami, a potem zostają żonami i matkami, podczas gdy ona zdawała sobie sprawę, że jej taki los najpewniej nie jest pisany. Nie cierpiała być sama. Jej przyjaciółki były cudowne i oddane, ale Sophie dobrze wiedziała, że wkrótce Eliza i Georgiana będą miały własnych mężów i dzieci. Ponieważ sama straciła całą rodzinę, kiedy miała dwanaście lat, niczego nie pragnęła bardziej niż wygodnego domu z kochającym mężem i jednym lub dwojgiem dzieci.

Żeby mieć rodzinę, potrzebowała męża. Żeby mieć męża, potrzebowała majątku. Żeby zdobyć majątek, siadała do karcianego stolika. I wszystko przebiegało zgodnie z planem… dopóki nie pojawił się Jack.

Eliza sugerowała, że mógłby być rozwiązaniem jej Wielkiego Planu. I mimo że Sophie się tego wypierała, nie potrzebowała większej zachęty, by ten pomysł zakorzenił się i rozkwitł w jej głowie. Dlaczego nie? Szanse na

to może nie były wielkie, ale były. Czasem warto zaryzykować, jeśli można dużo wygrać.

Kiedy zegar wybił pierwszą, wstała od stolika do wista w klubie Vega i zebrała wygraną, uśmiechem zbywając protesty, by nie wychodziła tak wcześnie. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, odebrała swój płaszcz i poprosiła pana Forbesa, żeby sprowadził jej dorożkę – dokładnie tak samo jak co wieczór. Weszła do domu i czekała, chodząc wokół salonu.

Zacznie od najgorszego – od hazardu. Eliza miała rację; powinna albo mu zaufać i powiedzieć całą prawdę, albo zerwać z nim, jeśli nie potrafi.

Kilka minut później rozległo się ciche pukanie do drzwi. Serce podskoczyło jej do gardła i pobiegła otworzyć. Jack przestąpił próg i wziął ją w ramiona.

– Całymi godzinami wpatrywałem się w zegar – szepnął, wplatając palce w jej włosy. – Myślałem, że pierwsza nigdy nie nadejdzie.

Serce zaczęło jej bić jak szalone. Ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała go. Do diabła z prawdopodobieństwem. Kocha go… i ufa mu. Eliza miała rację. Jeśli chciała od niego czegoś więcej, musi być szczera. Zarumieniona, zdenerwowana i jednocześnie pełna nadziei, położyła dłonie na jego piersi.

– Ja też. Czekałam cały dzień, żeby z tobą porozmawiać.

Jack zesztywniał.

– O?

Nieufny ton jego głosu dał jej do myślenia, ale postanowiła się nie przejmować.

– Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć, zanim sprawy między nami jeszcze bardziej się skomplikują.

Zamiast odpowiedzieć, zamknął oczy i przytulił ją mocno, jakby mieli się za chwilę rozstać.

– Musisz? – szepnął, muskając wargami jej czoło.

Poczuła zamęt w głowie i serce jej się ścisnęło. Co to znaczyło? Jack wyraźnie się obawiał.

– Nie chcesz wiedzieć?

Westchnął ciężko i puścił ją.

– Cokolwiek masz mi do powiedzenia, chcę to wiedzieć.

Sophie nawet nie drgnęła.

– Jack, co się stało?

Wziął ją za rękę i gładził kciukiem jej palce, nie odrywając od nich wzroku.

– Miałem ciężki dzień. – Uśmiechnął się cierpko i przez moment patrzył na nią tak jak w Alwyn House. – Dzięki mojej matce i Philipowi, nie tobie.

– Och. – Odetchnęła z ulgą i zaśmiała się cicho. – Przykro mi słyszeć, że uprzykrzają ci życie.

– Teraz, kiedy jestem z tobą, zupełnie się nimi nie przejmuję. – Wziął ją w ramiona, pocałował w czoło i przeszli do salonu, gdzie siedli na sofie, cały czas trzymając się za ręce.

– Myślę, że już od jakiegoś czasu podejrzewałeś, że mam przed tobą sekrety – zaczęła. – Miałeś rację, chociaż prawdopodobnie mylisz się co do tego jakie. Nie byłam z tobą zupełnie szczera.

Jack odchrząknął.

– Sekrety.

– Tak – zawahała się. – Pierwszym jest to, że nie nazywam się Campbell. I nigdy nie było żadnego pana Campbella. – Przyglądała się uważnie jego twarzy, ale nie zobaczyła żadnych oznak przerażenia ani odrazy. – Wymyśliłam go, ponieważ chciałam zacząć od nowa po przyjeździe do Londynu, a wdowa może się cieszyć znacznie większą wolnością.

– Zacząć od nowa – powtórzył. – Od nowa po czym, jeśli mogę zapytać?

Poczuła, że pieką ją policzki.

– Byłam damą do towarzystwa pewnej starszej pani w Bath. W testamencie zapisała mi trzysta funtów, więc skorzystałam z szansy i

przyjechałam do Londynu.

– Ach. – Na jego czole pojawiła się delikatna zmarszczka.

– Chciałam być niezależna – wyjaśniła. – Moja rodzina… Wiesz już, że mój ojciec został wydziedziczony, kiedy ożenił się z matką. Jego ojciec był… wicehrabią. Papa nie był najstarszym synem, ale dostałby znaczny spadek. Jednak zakochał się w mojej matce, a dziadek tego nie zaakceptował, ponieważ była śpiewaczką operową. Ojciec zrezygnował ze wszystkiego, żeby ją poślubić. – Na wspomnienie rodziców uśmiech przemknął przez jej twarz. – Matka śpiewała na wszystkich dworach Europy. Wszyscy troje podróżowaliśmy z miasta do miasta, tam, gdzie dostawała angaże. Wszystko stało się trudniejsze, kiedy wybuchła wojna i mama zachorowała. Musieliśmy wrócić do Anglii. Mama straciła głos i papa musiał nas utrzymywać. On… – zawahała się – zdobywał pieniądze, grając. Ja pomagałam mu ćwiczyć.

– I tak nauczyłaś się grać – szepnął.

Sophie skinęła głową.

– Miałam talent do kart… najgłupszy talent, jaki można mieć. Właśnie dlatego klub Vega był kluczowym elementem mojego planu. Nigdy by mnie nie przyjęto, gdybym była starą panną, i to był jeszcze jeden powód tego, że zostałam wdową.

Przez chwilę się nie odzywał.

– Wygrałaś już ładną sumę, prawda?

Sophie skinęła głową.

– Prawie cztery tysiące funtów w trzy lata, po odliczeniu wydatków. Chcę być niezależna.

Jack uniósł brwi. Jak dotąd jej historia zgadzała się z tym, czego się domyślał. Nic, co powiedziała, nie zmieniło jego opinii o niej – wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej podziwiał jej hart ducha. Miała dobry plan i konsekwentnie go realizowała. Nie sposób było nie zwrócić uwagi na

kontrast między bezmyślnie hulaszczym życiem jego brata i metodycznymi staraniami Sophie.

Zarumieniła się pod wpływem jego spojrzenia.

– Gram, żeby wygrywać, ponieważ nie mam innego sposobu, żeby się utrzymać. Zarzuciłeś mi, że jestem zatwardziałą hazardzistką. Pewnie tak, ale naprawdę nie próbuję doprowadzić nikogo do ruiny. To prawda, że wygrywałam pieniądze od Philipa, ale nigdy dużych sum. Nie chcę skrzywdzić moich przyjaciół i bardzo lubiłam Philipa, dopóki…

Dopóki Philip nie stał się zaborczy i nie zaczął sprawiać kłopotów. Jack postanowił porozmawiać jeszcze na ten temat z bratem i powtarzać te rozmowy tak długo, aż jego brat zrozumie, jak odrażające było jego zachowanie. Co ciekawe, wszystko to sprawiło mu ogromną ulgę. Po tym, jak poważnie zaczęła Sophie, spodziewał się czegoś o wiele gorszego. Ale to… to było coś zupełnie innego niż to, co ukryła przed nim Portia. Sophie była dokładnie taka, jak przypuszczał: niezależna, zdeterminowana i absolutnie szczera. Poczuł się podniesiony na duchu, kiedy zrozumiał, że miał co do niej rację. To zaś znaczyło, że pozbył się wszelkich wątpliwości, co powinien zrobić…

– Bardzo roztropnie – powiedział, żeby zmienić temat.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Roztropnie! Myślisz, że to roztropne?

Wzruszył ramionami.

– Ilu dżentelmenów bez grosza przy duszy ma podobny plan? Oczywiście pomijając fikcyjnego małżonka.

– Tak… cóż, dżentelmenów najwyraźniej obowiązują inne zasady – zauważyła cierpko. – Ja nie zdobyłabym się na niektóre rzeczy, jakie robią mężczyźni w klubie.

Tu musiał przyznać jej rację.

– Czy masz jakieś inne źródła utrzymania? Twój dziadek na pewno pomógłby ci, gdyby znał sytuację. – Miał nadzieję, że Sophie w końcu

wymieni nazwisko starego łajdaka. Zamierzał powiedzieć mu kilka nieprzyjemnych słów na temat porzucania osieroconych wnuczek.

W jej oczach błysnęła pogarda,

– Nie, mój dziadek nie kiwnie palcem, żeby mi pomóc. Wydziedziczył mnie tak samo jak mojego ojca. Wolałabym umrzeć z głodu, niż prosić go o pomoc… Zresztą i tak nie udzieliłby mi jej, nawet gdybym naprawdę umierała z głodu.

– A kuzyni, ciotka… rodzina twojej matki…

Pokręciła głową.

– Nie. Mój ojciec miał brata, ale mówił, że jest tak samo gburowaty jak dziadek. Nie chcę go znać. A z rodziną matki nie kontaktowałam się, odkąd wróciliśmy do Anglii. Nawet nie wiedziałabym, gdzie ich szukać. Wolę radzić sobie sama.

Jack postanowił nie nalegać.

– Mniejsza z tym. Jesteś przecież dorosła.

– To nie wszystko. – Wzięła głęboki oddech. – Przyznaję, że… że miałam nadzieję znaleźć męża – powiedziała, nie patrząc mu w oczy. – Kogoś porządnego, kto dałby mi dom i szansę na założenie rodziny. – Nuta tęsknoty w jej głosie sprawiła, że poczuł ucisk w żołądku. Zapragnął raz na zawsze uwolnić ją od samotności.

– Nie mam nikogo, odkąd skończyłam dwanaście lat. Mój dziadek… ogr się nie liczy. Kobieta bez grosza przy duszy i bez koneksji raczej nie może liczyć na znalezienie dobrego męża, ale pomyślałam, że gdyby udało mi się zaoszczędzić niewielki majątek…

Musiał powstrzymywać się ze wszystkich sił, żeby nie jęknąć. Sophie nie miała pojęcia, jak bardzo była pociągająca w tym momencie. Znowu pomyślał o Gilesie Carterze – człowieku, którego widział przy niej w klubie Vega, który doprowadził ją do śmiechu i trzymał ją za rękę. Jack wiedział, że Carter był nią zainteresowany, i nie przypuszczał, żeby cztery tysiące funtów miały z tym cokolwiek wspólnego.

– Chciałam, żebyś wiedział, żebyś mógł odejść – powiedziała, wytrącając go z zamyślenia.

– Myślisz, że zamierzam odejść?

Zarumieniła się.

– Mam nadzieję, że nie – wyszeptała.

Uniósł do ust jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Czy to wszystkie twoje najgłębsze sekrety?

– Nie – szepnęła, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. – Jest jeszcze jeden…

– Powiedz. – Nie sądził, żeby cokolwiek, co powie, mogło zmienić jego uczucia.

Rozchyliła usta i spojrzała mu w oczy.

– Kocham cię.

Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi; na chwilę przestał oddychać.

– Sophie…

Położyła mu palec na ustach.

– Nie powiedziałam tego, oczekując, że będziesz czuł to samo.

– Nie? To znaczy, że masz nadzieję, że nie czuję?

Przytrzymał jej rękę i odchylił ją na oparcie sofy.

– Co? Nie… – Jej oddech stał się przyspieszony i nierówny, kiedy włożył palec pod brzeg sukni i pociągnął w dół, odsłaniając ramię.

– To dobrze. – Przesunął się tak, że znalazła się pod nim.

Szczęście, które nie sprzyjało mu przez cały dzień, teraz całkowicie się odwróciło. *Sophie go kocha*. Poczuł się odważny i niezwyciężony; następny krok wydawał się tak słuszny, że nie mógł zrozumieć, dlaczego dotąd go nie zrobił.

– Zakochałem się w tobie w chwili, kiedy wpadłaś do biblioteki jak burza i nazwałaś mnie szaleńcem. Miałaś całkowitą rację, a ja chciałem powiedzieć, że straciłem rozum z twojego powodu… kiedy składałaś pocałunek na kościach, kiedy oznajmiłaś, że pójdziesz pieszo do Alwyn

przez błoto i w deszczu, kiedy kusiłaś mnie bosymi stopami, mając na sobie mój szlafrok. – Przycisnął usta do delikatnej skóry na jej ramieniu.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa, Sophie i chcę, żeby to się nigdy nie skończyło.

Wsunęła palce w jego włosy, kiedy obsypywał pocałunkami jej obojczyk.

– Szaleństwo to nie jest coś, o czym marzę…

Uniósł głowę.

– Ja tak… szaleństwo na twoim punkcie. Mój ojciec, podobnie jak jego ojciec i jego dziadek i zapewne kilka pokoleń przed nimi, żenili się z rozsądnych, głęboko przemyślanych powodów. Niektóre z tych małżeństw były bardziej, inne mniej harmonijne, ale nie przypuszczam, żeby ktokolwiek z nich czuł się tak jak ja przy tobie. Wyjdź za mnie, Sophie.

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Chcę tylko ciebie – wyszeptał, obejmując ją w talii.

Exeter pokazał mu, jak rozplątać ten węzeł: poślubienie kogoś innego położy kres wszelkim plotkom o zaręczynach. Jutro odwiedzi Lucindę i upewni się, że nie ma wobec niego żadnych nieuzasadnionych oczekiwań. Ze względu na obietnicę, którą złożył swojemu ojcu, był gotów zrobić niemal wszystko, co w jego mocy, żeby zapewnić jej wygodę i bezpieczeństwo, ale nie ożeni się z nią. *Warte każdego skandalu* – zabrzmiały mu w głowie słowa Exetera.

Natychmiast potem wykupi specjalną licencję. Sophie nie była kobietą, jaką ktokolwiek wyobrażałby sobie jako jego żonę, więc cały Londyn będzie zaskoczony, może nawet wstrząśnięty. Ale była jedyną kobietą, z którą mógłby spędzić życie i, na Boga, zamierzał ją zdobyć – mieć ją w swoim życiu, w swoim łóżku, w swoim sercu.

Ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Jack… nie, nie możesz mieć naprawdę tego na myśli. Nie mam w sobie nic godnego księżnej…

Jack prychnął pogardliwie.

– To może ocenić tylko książę, a ja uznałem, że masz wszystko, czego oczekuję od księżnej. Czy zechcesz mnie?

Uniosła się i pocałowała go. Jej usta były miękkie i gorące. Jack odwzajemnił pocałunek i przeszył go dreszcz, kiedy wessała jego język.

– Tak – szepnęła – Całym sercem i duszą.

– I ciałem, mam nadzieję. – Zaczął zdejmować z niej suknię. – Bo zamierzam wziąć cię tu i teraz.

Jej oczy pociemniały z pożądania.

– Tak.

– Wiesz, odkąd wróciliśmy do Londynu, marzyłem o tym, żeby kochać się z tobą na sofie.

– Naprawdę? – Przymknęła oczy i wyprężyła się, przywierając mocno do niego.

– Każdej nocy. – Sięgnął do podwiązki nad jej kolanem i rozwiązał ją. Zachęcona dotykiem, objęła jego biodra nogami.

– W takim razie… mam nadzieję, że będziesz to robił… co noc.

Uśmiechnął się, słysząc jej wydyszaną odpowiedź.

– Nic nie sprawi mi większej przyjemności. – Serce biło mu tak mocno, że na pewno to czuła. Chciał, żeby czuła. Nigdy wcześniej nie biło tak mocno i Jack przypuszczał, że mogłoby przestać bić, gdyby ją kiedykolwiek stracił.

Kochał się z nią na sofie, a potem zabrał ją na piętro i kochał się z nią znowu, tym razem niespiesznie, w jej łóżku. Kiedy Sophie wyczerpana przytuliła się mocno do niego, on czuł się tak wycieńczony, że z pewnością nie utrzymałby się na nogach. Owinął sobie wokół palca kosmyk jej włosów i porzucił myśl o powrocie do domu przed świtem.

Był w domu. I chciał, żeby cały świat się o tym dowiedział.

24

Lady Stowe miała elegancki dom przy Berkeley Square, z oknami wychodzącymi na południe, na park pośrodku placu. Jackowi przemknęła przez głowę myśl, ile kosztował go czynsz, ale postanowił się nad tym nie zastanawiać. Po ostatniej nocy, kiedy Sophie szeptała, że go kocha, kiedy on poruszał się nad nią rytmicznie, łącząc się z nią ciałem, sercem i duszą, był gotów opłacić wszystkie domy przy tej ulicy i jeszcze podziękować za to lady Stowe. Przywiązał konia i sięgnął do kołatki.

Jego przybycie wywołało w domu znaczne poruszenie. Kamerdyner wpuścił go do jasnego salonu, a tymczasem na piętrze rozległy się szybkie kroki kilku par stóp. Podszedł do okna i obserwował ruch na ulicy, a jego myśli powędrowały do Sophie – jego ukochanej. Pragnął rozpieszczać ją wszelkimi luksusami. Może po ślubie mógłby zabrać ją na miesiąc do Alwyn.

Drzwi za nim się otworzyły.

– Wasza wysokość! – zawołała lady Stowe. – Jak miło, że nas pan odwiedził!

Jack się odwrócił. Hrabina dygnęła – raczej sztywno, w porównaniu z płynnym ruchem Sophie.

– Dzień dobry, lady Stowe. Przyszedłem w nadziei, że uda mi się porozmawiać z lady Lucindą.

Rozpromieniła się. Lady Stowe była drobną kobietą, bardzo piękną w młodości, o jasnych włosach i wielkich niebieskich oczach. Teraz jej włosy

zaczęły pokrywać się siwizną, a w kącikach oczu pojawiły się drobne zmarszczki, lecz Jack nie dał się zwieść pozorom. Hrabina mogła wyglądać jak porcelanowa laleczka, ale miała charakter tak samo twardy jak jego matka.

– Moja córka wkrótce zejdzie, żeby się z panem zobaczyć. Będzie zachwycona pańską wizytą. – Uśmiechając się z dumą, weszła do pokoju. – Nie zechce pan usiąść? – Podeszła do sofy, a Jackowi nie pozostało nic innego, jak zająć fotel. – Mam nadzieję, że księżna, pańska matka, ma się dobrze?

– Owszem. – Jack pomyślał, że z pewnością wiedziała, jak się miewa jego matka, znacznie lepiej niż on, zwłaszcza że starał się jej unikać od rozmowy na temat Lucindy.

– Miło mi to słyszeć. Rodzina jest bardzo ważna.

Sophie chciała mieć rodzinę. Nie miała jej od dwunastego roku życia – ani apodyktycznej matki, ani nieodpowiedzialnego rodzeństwa. Jack, który nigdy nie zaznał wolności od rodzinnych zobowiązań, pomyślał, że także chciałby mieć rodzinę, ale taką, którą sam założy. Uśmiechnął się bezwiednie do tej myśli. Jego synowie będą grać w karty lepiej niż Philip; nie miał co do tego wątpliwości. Jego córki także. Sophie o to zadba.

– Brat mojego męża, lord Stowe, także jest teraz w mieście. Czy już go pan poznał?

Uprzejmy uśmiech zastygł na twarzy Jacka. Gdyby zamierzał oświadczyć się Lucindzie, musiałby zdobyć błogosławieństwo jej opiekuna. Ale on nie zamierzał się oświadczać i nie czuł potrzeby rozmawiać z lordem Stowe.

– Nie.

– Stowe przepada za moją Lucindą – kontynuowała hrabina. – Traktuje ją, jakby była jego własnym dzieckiem! Nie mogłabym sobie życzyć lepszego opiekuna dla niej, odkąd nie ma z nami jej ojca.

– Miło mi to słyszeć – odparł. Rozejrzał się po pokoju, desperacko pragnąc zmienić temat. – Percy mówił mi, że w tym sezonie nie narzeka pani na dom.

– Och, nie – powiedziała natychmiast. – Jest nam tu znakomicie. Oczywiście jest za mało miejsca, żeby urządzić bal, ale pańska matka, to bardzo uprzejme z jej strony, zaproponowała, że zorganizuje bal na cześć Lucindy. – Zaśmiała się perliście. – Ale naturalnie dobrze pan o tym wie, skoro odbędzie się w pańskim domu.

Jack nie miał najmniejszych wątpliwości, że jego matka spiskowała z lady Stowe, żeby ów bal był zarazem przyjęciem zaręczynowym jego i Lucindy.

– Obawiam się, że nie – powiedział. – Moja matka nie zawsze informuje mnie o wszystkich swoich planach, a ja rzadko bywam na balach.

Lady Stowe zamilkła na moment i na jej twarzy pojawił się wyraz konsternacji, ale szybko odzyskała uśmiech.

– Mam nadzieję, że tym razem zrobi pan wyjątek i w tym balu weźmie udział. To byłoby bardzo ważne dla Lucindy i dla pańskiej matki, jak sądzę.

Pochylił głowę.

– Być może.

Weźmie udział w tym balu, tylko mając u boku Sophie jako swoją żonę. Inaczej nawet pułk żołnierzy nie zmusi go do przyjścia.

Lady Stowe wydęła usta.

– Gdzież podziewa się Lucinda? Zwykle jest bardzo punktualna, wasza wysokość. – Chwyciła sznur dzwonka i szarpnęła energicznie. – Z pewnością będzie niepocieszona, kiedy się dowie, że kazała panu czekać.

Drzwi otworzyły się z impetem i stanęła w nich Lucinda, zdyszana i zarumieniona. Wbiegła do pokoju i niemal potknęła się, dygając.

– Wasza wysokość, mamo – powiedziała cicho.

– Jesteś w końcu, moja droga. Dalej, zadzwoń po coś do picia dla jego wysokości – powiedziała hrabina, wskazując jej miejsce obok siebie.

– Prawdę mówiąc – odezwał się Jack, widząc, że Lucinda spłonęła rumieńcem pod wpływem przytyku matki – zastanawiałem się, czy lady Lucinda zgodziłaby się wybrać ze mną na spacer wokół placu. Mamy piękny dzień, a muszę przyznać, że tęsknię za słońcem.

Lady Stowe spojrzała na niego zaskoczona, po czym znowu zaśmiała się perliście.

– Cóż za wspaniały pomysł! Ostatnio tak często padało, więc cudownie będzie odetchnąć świeżym powietrzem. Ja także chętnie przejdę się…

Jack odchrząknął i lady Stowe natychmiast zamilkła.

– Jeśli pani pozwoli, lady Stowe, chciałbym porozmawiać z Lucindą w cztery oczy.

Hrabina spojrzała triumfalnie na swoją córkę.

– Oczywiście, wasza wysokość.

Lecz Jack patrzył uważnie, czy Lucinda podziela entuzjazm matki. Nawet jeśli tak, to nie dała tego po sobie poznać; wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na lepsze, ani na gorsze. Ponieważ wielokrotnie widywał, jak damy rozpromieniały się na sam jego widok, wziął to za dobry znak. Jeżeli wyczekiwała jego oświadczyn, jak twierdziła matka, to zapewne okazałaby choć cień radości. Tymczasem Lucinda wydawała się wręcz nieco zdenerwowana i bezwiednie bawiła się wstążką przy sukni.

Kiedy zauważyła, że ją obserwuje, natychmiast puściła wstążkę i zarumieniła się.

– Tak, wasza wysokość. Byłoby uroczo.

Lady Stowe majestatycznym krokiem wyszła do holu, gdzie już czekał kamerdyner.

– Lady Lucinda wybiera się na przechadzkę, Wilkes – poinformowała go, po czym odwróciła się do Jacka. – Każę przygotować napoje, żeby czekały, kiedy wrócicie.

Szczerze ufał, że nie będzie miał powodu wracać do tego domu. Gdyby Lucinda załamała się i wpadła w rozpacz, a on musiałby ją odprowadzić do

matki, czułby się strasznie. Spojrzał na Lucindę, która zawiązywała wstążkę bonnetu.

– Pójdziemy, lady Lucindo?

Przeszli ulicą do położonego pośrodku ogrodu, przez kutą bramę w żelaznym ogrodzeniu. Znaleźli się naprzeciwko herbaciarni Guntera; w pobliżu w cieniu drzew stało kilka powozów, a na ławkach siedziało mnóstwo osób. Jack poprowadził Lucindę do spokojniejszej części parku.

– Czy dobrze się pani bawi w tym sezonie?

– Tak, wasza wysokość. – Lucinda była wysoką dziewczyną, smukłą jak trzcina, z burzą niesfornych rudych loków. A właściwie miała burzę niesfornych rudych loków w dzieciństwie; dziś nosiła je ciasno spięte w kok, teraz ukryty pod bonnetem.

– To dobrze.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Poprosiłem, żebyśmy poszli na spacer, ponieważ chciałbym omówić z panią pewną bardzo delikatną kwestię – powiedział Jack.

– Nie – wypaliła Lucinda.

Jack stanął jak wryty.

– Przepraszam?

Policzki Lucindy stały się ogniście czerwone.

– Matka powiedziała mi, o co zechce pan zapytać, i choć jestem zaszczycona, muszę odmówić.

– Musi pani? – spytał cicho, czując zamęt w głowie.

Puściła jego ramię i cofnęła się nieco, splatając nerwowo palce.

– Muszę. Wiem, że złożył pan obietnicę i był pan bardzo hojny i dobry dla mnie i mamy, odkąd papa utonął, ale obawiam się, że absolutnie nie mogę za pana wyjść.

– Ach. – Poczuł tak wielką ulgę, że zakręciło mu się w głowie. – Nie może pani?

– Och! Chodziło mi o to, że nie chcę!

Jack zaczął się uśmiechać. Wydawała się najpierw przerażona, a potem zawstydzona, kiedy dotarło do niej znaczenie tego, co powiedziała. Ale to było coś, o czym nawet nie śmiał marzyć, i mimowolnie wybuchnął śmiechem.

– Och, proszę. – Twarz Lucindy była blada jak kreda, przycisnęła ręce do brzucha, jakby zrobiło się jej niedobrze. – Proszę mi wybaczyć… Nie powinnam być tak nieuprzejma. Proszę pozwolić mi wyjaśnić, wasza wysokość…

W końcu opanował się na tyle, że był w stanie mówić.

– Proszę się uspokoić. Wcale nie czuję się urażony. Tak się składa, że wręcz przeciwnie. Właśnie o tym chciałem z panią porozmawiać. – Lucinda westchnęła cicho. – Ale pani odpowiedź mnie nie zaskakuje.

Odwróciła wzrok.

– Nie?

Pokręcił głową.

– Domyślam się, że nasze matki knuły, żeby doprowadzić do małżeństwa, całkowicie bez mojej wiedzy. Zakładam, że matka rozmawiała z panią o tym.

– Cóż… – Przygryzła wargę. – Tak…

Co kazało Jackowi przypuszczać, że lady Stowe nie mówiła o niczym innym w tym sezonie.

– Czy nigdy nie zapytała, co pani sądzi na ten temat?

Lucinda znowu spłonęła rumieńcem.

– Nie – szepnęła.

– W takim razie nie mamy sobie czego więcej wyjaśniać. – Podał jej ramię. – Ale myślę, że możemy się cieszyć spacerem? Dzień jest naprawdę piękny.

Zachichotała, po czym ostrożnie wzięła go pod rękę.

– Nie jest pan zły?

– Przypuszczam, że to może być odrobinę upokarzające, usłyszeć od damy, że nie chce za mnie wyjść, ale nie, nie jestem zły.

Prawdę mówiąc, czuł tylko ogromną ulgę.

Lucinda ściągnęła brwi i przez chwilę wyglądała, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiała.

– Nie przypuszczam, żeby naprawdę chciał się pan ze mną ożenić. Mama powiedziała, że dał pan słowo, ale to było lata temu i nie sądzę, żeby zdawał pan sobie sprawę, co obiecuje.

– Uroczyście przysiągłem opiekować się panią i pani matką – odparł. – I nigdy nie złamałbym tej obietnicy. Zaś co do małżeństwa… żaden mężczyzna nie postąpiłby rozsądnie, obiecując poślubić dziewczynę zbyt młodą, żeby mieć cokolwiek do powiedzenia na ten temat. Miała pani wtedy zaledwie jedenaście lat.

Zacisnęła palce na jego ramieniu.

– Kiedy mój papa umarł.

– Tak.

Milczała przez chwilę.

– A więc nigdy nie obiecywał się pan ze mną ożenić.

– Nie – potwierdził.

Lucinda odetchnęła głęboko.

– Dzięki Bogu! Och, wasza wysokość, to dla mnie ogromna ulga. Matka powtarzała, że moim obowiązkiem jest przyjąć pańskie oświadczyny, żeby mógł pan dotrzymać słowa… wiem, że to bardzo ważne dla dżentelmenów… i od tak dawna obawiałam się pańskiej wizyty! Kiedy wyjechał pan z miasta kilka tygodni temu, nabrałam nawet nadziei, że nie wróci pan już w tym sezonie i nie będę musiała jeszcze nic robić.

Kilka tygodni temu wyjechał z miasta z Sophie. Uśmiechnął się nieznacznie.

– Brałem taką możliwość pod uwagę.

– Nie miałabym nic przeciwko temu – przyznała szczerze Lucinda. – Matka codziennie przypominała mi, że moim przeznaczeniem jest zostać księżną, a ja myślałam tylko o tym, jak strasznie to brzmi.

– Dlaczego? – To wszystko było o wiele bardziej zabawne, niż się spodziewał.

Zmarszczyła nos.

– Po pierwsze, księżna musi być taka doskonała. Bałabym się, że wszyscy będą obserwować, jak się ubieram i jak się zachowuję. Wystarczy mi, kiedy matka to robi. A poza tym pan jest taki stary… – Zamilkła i otworzyła szeroko oczy. – Ojej… nie chciałam…

Jack dzielnie walczył ze śmiechem, ale przegrał. Rzeczywiście musiał jej się wydawać starcem, chociaż dzieliło ich zaledwie kilkanaście lat.

– Nie, nie. Rozumiem. Proszę mówić dalej.

– Chciałam powiedzieć… starszy ode mnie – powiedziała czerwona jak burak. – Oczywiście, bardzo miły i dobry dla mamy i dla mnie, ale… – Przygryzła wargę. – Ale najważniejsze jest to, że gdybym została księżną, nie mogłabym pojechać do Egiptu, a tego pragnę najbardziej na świecie.

Zdziwił się, dlaczego sądziła, że księżna nie może podróżować, ale nie zastanawiał się nad tym długo.

– Lady Lucindo, zaskoczyła mnie pani i sprawiła wielką radość. Może zjemy lody i opowie mi pani, dlaczego Egipt jest tak ważny?

Wciąż zarumieniona, zgodziła się, więc zaprowadził ją na ławkę w pobliżu Guntera i skinął na kelnera, który właśnie skończył obsługiwać kilka dam w stojącym nieopodal powozie. Na entuzjastyczne życzenie Lucindy zamówił lawendowe lody, modląc się w duchu, żeby herbaciarnia Guntera była jednym z nielicznych miejsc, gdzie ludzie mogą go zobaczyć z damą i nie zakładać, że stara się o jej względy.

Okazało się, że Lucinda dostała kilka tomów *Description de l’Egypte*, ilustracji i opisów sporządzonych przez armię Napoleona w Egipcie. Przekonała matkę, że robi to dla doskonalenia francuskiego, i nieustannie

ślęczała nad nimi. Lucinda była zafascynowana, zwłaszcza egipskim pismem, które opisała jako misterne, małe obrazki.

– Co znaczą? – spytał Jack znad lodów.

– Tego nikt nie wie! Chciałabym nauczyć się greki i łaciny, żeby mieć jakąś szansę na ich odczytanie. – Lucinda była tak podekscytowana, że ledwie mogła usiedzieć. – Ale ten kraj wydaje się taki egzotyczny, obcy i taki piękny. Marzę, żeby tam pojechać, zobaczyć starożytności i rozległe połacie piasku, całkiem pozbawione drzew i wszelkiej roślinności. Potrafi pan sobie wyobrazić coś tak wspaniałego tutaj, w Anglii, gdzie tak często pada deszcz?

Od tygodnia spędzonego w Alwyn z Sophie Jack znacznie bardziej lubił deszcz.

– Nie potrafię.

Dojadła lody i odstawiła miseczkę.

– Nie przypuszczam, żeby udało mi się tam pojechać, dopóki nie skończę dwudziestu jeden lat. Matka nie puści mnie, zanim nie będę pełnoletnia. Ona myśli tylko o modzie i fryzurach, i o tym, jak umiem haftować, a nikt się tym wszystkim nie przejmuje. Ale Egipt to zupełnie nowy świat, bardzo stary i pełen tajemnic i skarbów. W Anglii nie ma niczego podobnego.

– To niewątpliwie prawda. – Jack jeszcze raz skinął na kelnera, który podszedł pospiesznie, żeby odebrać puste naczynia. – Co powiemy pani matce?

Lucinda rozgarnęła stopą trawę.

– Nigdy nie zgodzi się na podróż do Egiptu.

– Jest pani pewna? Teraz to nie takie trudne, kiedy wojna się skończyła. I jest o wiele bezpieczniej. Powiedziałbym, że to nie jest niemożliwe, jeśli będzie pani bardzo chciała.

– Naprawdę tak pan myśli?

Uśmiechnął się.

– Nigdy nie ośmieliłbym się nie doceniać możliwości kobiety, która ma plan.

Lucinda się rozpromieniła.

– Właśnie! Matka mówi, że nie muszę umieć niczego poza prowadzeniem domowych rachunków i układaniem menu, ale ja chciałabym wiedzieć o wiele więcej. To takie frustrujące, kiedy czuję się głupia. Może mogłabym podróżować z jakimś uczonym i pomagać finansować jego poszukiwania w zamian za nauki. Czy myśli pan, że ktoś by się na to zgodził?

– Uczeni, których znam, zawsze chcą znaleźć kogoś, kto sfinansuje ich ekspedycje. – Jack wiedział, że Lucinda jest dziedziczką znacznej fortuny. Z pewnością nie będzie jej brakowało funduszy, kiedy będzie pełnoletnia.

– A więc tak zrobię! – Uśmiechnęła się do niego radośnie, kiedy powoli szli do domu. – Dziękuję, wasza wysokość – dodała nieśmiało. – Nie potrafię wyrazić, jak wielką czuję ulgę. Od tygodni zastanawiałam się, co zrobić, ale teraz kamień spadł mi z serca i jestem pełna nadziei.

Jack był piekielnie zadowolony z siebie. Lucinda nie chciała za niego wyjść i oszczędziła mu konieczności powiedzenia, że on także nie chce się z nią żenić.

– Całkowicie się z panią zgadzam. Czy matka nie będzie pani robić wymówek?

Lucinda skrzywiła się nieznacznie.

– Oczywiście, że będzie. Robi mi wymówki o wszystko. Ale ja jestem zdeterminowana, a ponieważ dałam już panu stanowczą odpowiedź, nie będzie mogła nic zrobić. Zamierzam czytać wszystko, co uda mi się znaleźć, na temat Egiptu, a ona niech się zajmuje modą i plotkami. Ja chcę *coś* zrobić w życiu.

– Mam nadzieję, że się pani uda – powiedział szczerze. – Czy napisze pani do mnie, kiedy już zostanie słynną podróżniczką w Egipcie?

Roześmiała się.

– Oczywiście! I przyślę panu zabytek, jeśli uda mi się jakiś znaleźć.

– To bardzo miłe z pani strony. – Mrugnął do niej porozumiewawczo i ucałował dłoń. Okazała się naprawdę urocza, kiedy uwolniła się od strachu przed poślubieniem go.

– Do zobaczenia, lady Lucindo.

Dygnęła, uśmiechając się promiennie.

– Do zobaczenia, wasza wysokość.

Poczekał, aż wbiegła po schodach i weszła do domu; uchylił kapelusza, gdy jeszcze raz pomachała mu na pożegnanie. Jej matka będzie nieszczęśliwa – podobnie jak jego – ale ważniejsze było szczęście Lucindy. Zapamiętał, żeby posłać jej kilka litografii i wspomnień podróżników z Egiptu, po czym dosiadł konia.

Jego szczęście także było ważniejsze niż rozczarowanie matki. Przyszła pora wybrać pierścionek dla Sophie.

25

Sophie spała długo i obudziła się z uśmiechem na twarzy.

Jack został u niej znacznie dłużej niż zwykle. Świtało już, kiedy pomachała mu na pożegnanie z frontowych schodów, tym razem zupełnie nie przejmując się, kto może go zobaczyć. Uśmiechała się, patrząc, jak odchodzi wąską, cichą uliczką. To wszystko było niemal zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, pomyślała, kiedy weszła na piętro i położyła się w łóżku, wciąż jeszcze ciepłym od jego ciała. Podjęła ogromne ryzyko i nie mogła w to uwierzyć, ale opłaciło się bardziej, niż mogłaby marzyć. Jack chciał się z nią ożenić i nie przejmował się jej nędzną przeszłością. Po raz pierwszy od dwunastu lat komuś naprawdę na niej zależało.

Nie spieszyła się przy śniadaniu; pisała do przyjaciółek, dzieląc się z nimi dobrą nowiną. Miała ochotę wyglądać co chwilę przez okno i wciąż się uśmiechała. Nagle weszła Colleen.

– Ktoś chce się z panią zobaczyć, proszę pani. – Pokojówka podała jej bilet wizytowy.

Sophie wstrzymała oddech, widząc wypisane na nim nazwisko: „Wicehrabia Makepeace”. Oddała kartonik Colleen.

– Wyrzuć go.

Dziewczyna spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Proszę pani?

– Wyrzuć tego obmierzłego starucha z mojego domu – powtórzyła cicho. Nie chciała nigdy więcej widzieć Makepeace’a. Czego mógł chcieć?

Zmieniła nawet nazwisko, żeby przeciąć wszystko, co ją z nim łączyło.

– Ależ on wcale nie jest stary – zaprotestowała Colleen. – I był dla mnie uprzejmy. Na pewno mam tak zrobić?

Sophie się zawahała.

– Nie jest stary? – Jej dziadek musiałby mieć prawie osiemdziesiąt lat. Colleen pokręciła głową, niezdolna wykrztusić słowa.

– I uprzejmy? – Pokojówka przytaknęła.

Sophie nie sądziła, by dziadek umiał zachować się uprzejmie, a z pewnością nie wobec służby. To mógł być tylko starszy brat ojca, George – jej stryj. Papa nie wyrażał się o nim ciepło; mówił, że jest tak samo sztywny jak ich ojciec. Sophie nigdy go nie poznała, ponieważ nie było go w domu tej strasznej wiosny, kiedy prawnik ojca przywiózł ją do Makepeace Manor po śmierci rodziców. Skoro stryj przedstawiał się jako lord Makepeace, to musiało znaczyć, że pozbawiony serca ogr ze wspomnień Sophie umarł.

Ale… czego on mógł chcieć?

Nieufnie skierowała się w stronę salonu. Może był równie okrutny i złośliwy jak jego ojciec, może przyszedł tylko po to, żeby jej naubliżać. Nigdy wcześniej nie okazywał jej najmniejszego zainteresowania. Kiedy papa został wygnany z Makepeace Manor, zostawił za sobą niemal całą przeszłość. Rzadko wspominał o rodzinie, która wcale nie była ciepła i kochająca. Z tego, co mówił jej papa, zapamiętała przede wszystkim to, że wskazał ojca jako wykonawcę swojego testamentu. Był już ciężko chory, kasłał krwią tak, że Sophie obawiała się, że nic nie zostanie w jego żyłach, ale chciał wyjaśnić, dlaczego tak postąpił. Makepeace miał pieniądze; Makepeace znał swoje zobowiązania względem rodziny i mógł zadbać o jej utrzymanie, kiedy papa umrze.

Mama umarła tydzień wcześniej i Sophie szlochała, że jeśli Papa umrze, ona chce umrzeć także, żeby być z nim i z mamą. Nigdy nie zapomni, jak ścisnął ją wtedy za rękę i powiedział, żeby nigdy więcej tak nie mówiła.

– Teraz musisz żyć dla niej – wyszeptał głosem zniszczonym przez suchoty. – I dla mnie. Makepeace nie jest miłym człowiekiem, ale ty jesteś silniejsza od niego. Nie daj się mu zastraszyć. Należysz do rodziny Grahamów i Makepeace dopilnuje, żebyś była odpowiednio traktowana.

Cóż. Na myśl o dziadku, ciskającym się i wrzeszczącym, że nie zamierza wychowywać żadnej wnuczki, jej wargi zacisnęły się w wąską linię. Jedyną bezsprzecznie dobrą rzeczą, którą zrobił, było zostawienie jej w Akademii pani Upton. Jeśli stryj jest do niego podobny, wyrzuci go za drzwi, bez względu na to, czy był uprzejmy wobec Colleen.

Gotowa na konfrontację, nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

Mężczyzna czekający wewnątrz spojrzał na nią, kiedy stanęła w progu. Kiedy wstał, był wysoki jak papa, chociaż bardziej korpulentny, wyglądał jednak o wiele za młodo na jej stryja. Włosy miał brązowe, nie jasne jak jej ojciec, ale oczy takie same – i patrzył życzliwie. Zatrzymała się, nagle tracąc pewność siebie.

– Pani Campbell. – Ukłonił się i uśmiechnął nieśmiało. – Jestem lord Makepeace. Ja… przypuszczam, że jestem pani stryjem.

Oblizała wargi.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Czy pani rodzicami byli Thomas Graham z Lincolnshire i jego żona Cecile? Cecile była Francuzką, ale zupełnie nie pamiętam jej nazwiska – dodał przepraszającym tonem.

Na moment zabrakło jej tchu. Znał jej rodziców.

– Tak – wykrztusiła.

Uśmiech rozjaśnił jego twarz.

– W takim razie z całą pewnością jestem pani stryjem. Ale wiedziałem to od chwili, gdy panią zobaczyłem. Ma pani rysy twarzy Toma. Spotkałem Cecile tylko raz, ale odziedziczyła pani po niej kolor oczu i włosów.

– Co pan tu robi? – spytała niepewnie. – Nie miałam żadnego kontaktu z pańską rodziną, odkąd wicehrabia przestał opłacać moją naukę kilka lat

temu.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

– Tak, to prawda. Mój ojciec był uparty. Kiedy umarł, znalazłem wśród jego papierów stos listów od Toma. Wszystkie starannie zapakowane w pudełko. Nie sądzę, żeby na którykolwiek odpowiedział.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Co papa pisał do ojca? *Kiedy* pisał? Zawsze przysięgał, że nie odezwie się do Makepeace'a, dopóki wicehrabia nie zaakceptuje jego żony i córki. Sophie przypuszczała, że to nigdy nie nastąpiło.

– Nic mi o tym nie wiadomo – powiedziała cicho.

Nowy lord Makepeace skinął głową.

– On i Tom wielokrotnie ostro się ścierali. Ja sam… cóż, to nie leży w mojej naturze, ale Tom był dla mnie zawsze dobrym bratem. Wiedziałem, że ma dziecko, ale mój ojciec nigdy nie mówił o pani. Ostatnim razem, kiedy go zapytałem, odparł, że była pani w szkole, ale z niej uciekła. – Spojrzał na nią niepewnie. – Przyszedłem upewnić się, jak się pani wiedzie. Jest pani jedyną krewną, jaka mi została.

Powoli weszła do pokoju. Czuła, że nogi się pod nią uginają. Był zupełnie inny, niż się spodziewała. Wskazała mu sofę, a sama usiadła w fotelu.

– Proszę mi wybaczyć, sir… Nie wiem zupełnie nic o rodzinie mojego ojca. Poznałam tylko lorda Makepeac'a i nie było to ciepłe ani czułe spotkanie. Mój ojciec w ogóle rzadko wspominał o swojej rodzinie.

Parsknął śmiechem.

– Nie wątpię! Mój ojciec był starym gburem. George był taki sam, ale Tom i ja… – Pokręcił głową. – Mam nadzieję, że ja okażę się lepszy.

Patrzyła na niego zaskoczona. George? George był starszym bratem papy, który dokuczał mu przy nauce muzyki i kpił z niego, kiedy nie chciał oglądać szczucia niedźwiedzia we wsi. Gorączkowo przeszukiwała

wspomnienia. Minęło tyle czasu, a papa nigdy nie opowiadał dużo o swojej rodzinie, ale coś zaczynało jej świtać…

– Pan musi być Henry! – wypaliła.

Rozpromienił się.

– Tak! Tom na pewno o mnie wspominał.

– Tak. – Zmarszczyła brwi i potarła czoło. Henry był przyrodnim bratem papy, młodszym o kilka lat. Papa zawsze opisywał go jako dziecko. – To już tyle lat… Miał pan oswojonego jeża.

– Humberta – powiedział z nostalgią.

– Kiedy miał pan osiem lat, spadł pan z kucyka – dodała z ożywieniem, przypominając sobie kolejne szczegóły. – I złamał pan nogę! Papa musiał panu przez miesiąc pomagać w lekcjach, bo leżał pan w łóżku.

– Starał się – odparł ze śmiechem Makepeace.

Sophie także się roześmiała, lecz nagle zasłoniła usta.

– Co się stało z…

– Moim ojcem? George’em? – Stryj skinął głową, nie tracąc dobrego humoru. – George umarł kilka lat temu. Doktor powiedział, że to był rak. Ojciec wyzionął ducha krótko po świętach. Uporządkowanie spraw trochę trwało, a potem zmarnowałem czas, szukając panny Graham. Nie wiedziałem, że wyszła pani za mąż – dodał przepraszająco.

– Szukał pan mnie? – spytała ze zdumieniem.

– Oczywiście. – Spuścił wzrok. – Znalazłem rachunki za pani szkołę i napisałem do dyrektorki. Pani Upton, jeśli dobrze pamiętam. Wyrażała się o pani bardzo ciepło i odesłała mnie do Bath. Cóż, tam już pani nie było. Lord Fox powiedział mi, że jego ciotka zapisała pani jakieś fundusze, więc założyłem, że wyjechała pani do Londynu. Wynająłem ludzi, żeby rozpytali w mieście.

Sophie ledwie mogła oddychać.

– Dlaczego?

– Pomyślałem, że chciałbym wiedzieć, jaka pani jest – odparł po chwili milczenia. – Nie mam dzieci, nigdy nie udało mi się też ożenić… młodszy syn bez większych perspektyw. Wiedziałem, że mój ojciec nie przyjął dobrze małżeństwa Toma z Cecile, ale ja nie zachowałem się dużo lepiej. Napisałem do niego tylko kilka razy, młody idiota, i nie udało mi się z nim spotkać, kiedy wrócił do Anglii. Pomyślałem więc, że jestem coś winny jego córce, gdyby czegoś pani potrzebowała.

Lekko zdezorientowana pokręciła głową. Gdyby tylko wiedziała, że ma stryja – miłego stryja, który zainteresował się jej losem – być może miałaby dokąd się udać po odejściu z Akademii pani Upton.

– Cóż. Tak… Cieszę się, że dobrze się pani miewa. – Potarł dłońmi kolana. – Wcale na to nie liczę, ale gdyby się pani zgodziła, mógłbym panią odwiedzić od czasu do czasu. Upewnić się, że niczego pani nie brakuje. – Wzruszył ramionami. – Poopowiadać o Tomie, jeżeli zechce pani słuchać. Był ode mnie kilkanaście lat starszy, ale pamiętam go doskonale. Miałem dwanaście lat, kiedy poznał pani matkę i odszedł z domu.

– Tak – szepnęła. – Będzie mi bardzo miło, milordzie.

– Stryju Henry, jeśli pani zechce.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Bardzo chętnie.

Wyglądało, jakby stryj się zarumienił. Powiedział, gdzie może go znaleźć w Londynie, potem wstał i założył kapelusz. Sam znalazł drogę do drzwi i wyszedł na zewnątrz, gdzie czekał piękny deresz. Zaczął go odwiązywać, kiedy coś przyszło Sophie do głowy.

– Stryju Henry! – zawołała.

Spojrzał na nią pytająco.

– Czy w Makepeace Manor są strychy? – spytała. – Takie ze starymi meblami i może jakimiś rzeczami papy z dzieciństwa?

– Są strychy – odparł nieco zaskoczony. – Chociaż nie mam pojęcia, czy jest tam cokolwiek należącego do twojego ojca. Możesz… będzie mi miło,

jeśli przyjedziesz i sama sprawdzisz.

Pomyślała o tamtym deszczowym popołudniu z Jackiem, na poddaszu Alwyn House. Może mógłby pojechać razem z nią, odkrywać historię jej rodziny.

– Dziękuję. Myślę, że tak zrobię.

Stryj Henry uśmiechnął się, uchylił kapelusza i odjechał.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie. Miała rodzinę. Tylko stryja, ale stryja, który wydawał się miły, który nie gardził nią ani jej rodzicami. Który zapytał, czy może ją odwiedzać, i dyskretnie zaproponował pomoc.

Wstrzymała oddech. Miała rodzinę. Miała koneksje. Ze swoimi czterema tysiącami funtów i stryjem wicehrabią nie była już nikim; była niemal… odpowiednią kandydatką na żonę.

Jack mógł twierdzić, że go to nie obchodzi, ale obchodziło innych. Londyńskie towarzystwo patrzyłoby z góry na ledwie zasługującą na szacunek kobietę, która uwiodła księcia Ware. Obawiała się, że mogliby ją lekceważyć albo podejrzewać, że podstępem skłoniła Jacka do małżeństwa. Łatwo mówić, że nie zważa na to, co myślą i mówią inni, ale spędzić następnych kilka dekad, pokutując za to, że zrobiła, co musiała, żeby przetrwać…

Ale teraz już nie musiała się tym martwić. Jako bratanica lorda Makepeac’a, z własnym skromnym majątkiem mogła zostać przyjęta do towarzystwa. Mogła zostać księżną. Serce zadrżało jej na myśl, że wieczorem powie o tym Jackowi.

Jej radość trwała całe dwie godziny i dwadzieścia minut. Skończyła pisać listy do Elizy i Georgiany, które znacząco rozrosły się, uzupełnione o najnowsze wieści, i dała je Colleen do wysłania. List do Georgiany włożyła w list do Elizy, ponieważ lady Sidlow przeglądała jej korespondencję i z pewnością skonfiskowałaby wszystko przychodzące od nieodpowiednich osób – to znaczy od Sophie. Poczuła satysfakcję, kiedy pomyślała, że obiekcje lady Sidlow wkrótce stopnieją jak lód w promieniach letniego

słońca. Jest przecież nie tylko bratanicą wicehrabiego, ale też przyszłą księżną. Nie mogła się doczekać, kiedy znowu zobaczy Georgianę.

Trudno więc opisać jej zaskoczenie, kiedy usłyszawszy gwałtowne pukanie do drzwi, otworzyła je i zobaczyła na progu Georgianę we własnej osobie, zaczerwienioną i zdyszaną.

– Co…? – zaczęła zdumiona.

– Sophie, posłuchaj mnie – powiedziała pospiesznie przyjaciółka. – Nie powinno mnie tu być… obiecałam Nadine całe moje kieszonkowe za następny miesiąc, jeśli nie powie lady Sidlow, że przyszłyśmy tutaj, zamiast do biblioteki. Eliza napisała mi o tobie i księciu. Czy nadal jesteś w nim zakochana?

Sophie zamrugała, zaskoczona natarczywością pytania.

– Tak, ale Georgiano…

Przyjaciółka przymknęła oczy.

– Cóż to za łajdak. Ne możesz nigdy więcej się z nim spotkać, Sophie. Dla własnego dobra. Zaufaj mi!

– Dlaczego? – Sophie wzięła ją za rękę. – Właśnie pisałam do ciebie… o nim. Georgiano, on poprosił, żebym za niego wyszła. Możesz w to uwierzyć?

Oczy Georgiany rozbłysły.

– Nie – powiedziała ponuro. – Nie mogę. Och, gdyby tylko lady Sidlow puściła mnie wtedy do ciebie. Mogłabym cię uchronić…

– Co? Uchronić mnie przed czym?

– Przed zakochaniem się w nim.

Pokojówka, czekająca w odległości kilku kroków, zakasłała znacząco i Georgiana machnęła na nią ręką z irytacją.

– Jeszcze chwila, Nadine. Słyszałam o nim jakieś plotki – zwróciła się do Sophie, mówiąc cicho i szybko – że ma się ożenić z lady Lucindą Afton, która jest serdeczną przyjaciółką księżnej… wszyscy wiedzą, że obie matki bardzo sobie życzą tego związku. Ale Ware rzadko bywa na balach i nigdy

nie widziałam, żeby z nią tańczył, a tym bardziej okazywał większe zainteresowanie, więc nie wierzyłam w to wszystko. Ale wczoraj jadłyśmy lody u Guntera i on tam był!

– Jack? – spytała zdezorientowana Sophie, gdy Georgiana przerwała, żeby zaczerpnąć tchu.

– Ware! – Georgiana spojrzała na nią z dezaprobatą. – Nie myśl o nim jako o Jacku. Był dzisiaj na Berkeley Square, pod ramię z Lucindą Afton.

Sophie pokręciła głową, choć ciarki przeszły jej po plecach.

– To jeszcze nie znaczy, że się z nią ożeni.

– Nie widziałam, jak ukląkł, żeby poprosić ją o rękę – odparła Georgiana – ale szli pod rękę. Siedzieli na ławce niedaleko powozu lady Sidlow i rozmawiali dłuższy czas, odnosząc się do siebie bardzo serdecznie. Zamówił dla niej lody. Lady Capet, jedna z przyjaciółek lady Sidlow, nie mogła się powstrzymać, żeby o tym nie wspomnieć. Powiedziała, że Ware jest bardzo sztywny i oficjalny, ale z lady Lucindą uśmiechał się i był wesoły. Lady Sidlow mówi, że zaręczyny zostaną ogłoszone lada dzień, więc byłam oburzona i spytałam, dlaczego tak uważa.

Sophie nic nie powiedziała. Poczuła ogarniający ją chłód. Objęła się ramionami i słuchała, choć jej umysł protestował. Znała Jacka. On nigdy nie byłby tak okrutny i pozbawiony serca, by poprosić ją o rękę, kiedy zamierzał ożenić się z kimś innym… damą ze swojej klasy… którą jego rodzina i towarzystwo zaakceptowaliby bez zastrzeżeń…

– Lady Sidlow powiedziała, że to dlatego, że jego ojciec doprowadził do śmierci ojca lady Lucindy – ciągnęła Georgiana. – I że od tamtej pory obie panie Afton były pod opieką księcia. Powiedziała, że dawno ustalono, że Ware poślubi Lucindę. Słyszała to od samej lady Stowe, która dlatego zniechęcała innych do starania się o rękę jej córki. Lucinda jest ładna i odziedziczy duży majątek i w innych okolicznościach rzesze dżentelmenów zabiegałyby o jej względy.

– Więc dlaczego dotąd się z nią nie ożenił? – spytała Sophie. – Nic go nie powstrzymuje, jeśli tego chce.

Georgiana spojrzała na nią ze współczuciem.

– Lucinda jest znacznie młodsza od niego. Ma dopiero osiemnaście lat. Przypuszczam, że chciał poczekać, aż dorośnie i zostanie przedstawiona na dworze.

Pokojówka Nadine zakasłała znowu, tym razem głośniej. Georgiana machnęła gniewnie ręką.

– Za chwilę! Nie mogę dłużej zostać – zwróciła się do Sophie. – I tak będziemy musiały pobiec, żeby zdążyć do biblioteki, zanim wróci po nas powóz lady Sidlow. Posłuchasz mnie? Sophie, nie zniosłabym, gdyby on cię upokorzył i złamał ci serce!

– Zawsze słucham twoich rad – odparła cicho Sophie. – Dziękuję ci, Georgiano.

Przyjaciółka ją uścisnęła.

– Do zobaczenia. Przykro mi, że to ja musiałam ci o tym powiedzieć, ale nie mogłam czekać. Kiedy będę wiedziała więcej, napiszę i przekażę list Elizie. Do zobaczenia! – Narzuciła szal na ramiona i pospiesznie oddaliła się wraz z pokojówką.

Sophie patrzyła za nimi w milczeniu. Georgiana była wiarygodnym świadkiem i nie narażałaby się na gniew lady Sidlow, gdyby nie uznała, że sprawa jest naprawdę poważna. Problem tylko w tym, że Sophie nie mogła w to uwierzyć. To niemożliwe. Jack nie okłamałby jej w taki sposób. Musiałaby usłyszeć to z jego ust, żeby uwierzyć, że oszukał ją w tak podły sposób.

Nie. Ostro przywołała się do porządku. To śmieszne. Georgiana musiała się pomylić. Jack poprosił ją o rękę, a potem kochał się z nią całą noc, aż w końcu zasnęła w jego ramionach. Został aż do rana, kiedy wszyscy mogli zobaczyć, jak od niej wychodzi. Nie postąpiłby tak, gdyby zamierzał ją

porzucić dla innej kobiety, jeśli… – aż się zachwiała, gdy dotarła do niej ta straszna myśl – jeśli cały czas był zaręczony z lady Lucindą.

Oddychając głęboko, przytrzymała się drzwi. Ufała mu. Musiałaby oszaleć, żeby pozwolić, by plotki i przypadkowe spotkanie u Guntera zniszczyły jej wiarę w niego.

A jednak… Sophie poznała w życiu wielu kłamców. Niektórych przejrzała natychmiast, innym udawało się ją zwodzić, ale każde takie spotkanie czegoś ją uczyło. Ktoś przyłapany na wystarczająco bezczelnym kłamstwie zwykle kłamał jeszcze raz, by je ukryć. Jeśli Jack ją oszukał, mówiąc, że chce się z nią ożenić, podczas gdy naprawdę zamierzał poślubić inną kobietę, to nie ma powodu sądzić, że teraz byłby wobec niej szczery. Georgiana powiedziała, że sprawa jest dawno ustalona, co znaczy, że powinno jej się udać potwierdzić to u innego źródła…

Serce jej się ścisnęło, kiedy przyszło jej do głowy rozwiązanie. Będzie musiała zapytać Philipa, dziś wieczorem, w klubie Vega.

26

Tego wieczoru weszła do klubu wcześniej niż zwykle. Jack zazwyczaj przychodził później, ponieważ Philip dotrzymywał słowa i nie zbliżał się do niej. Sophie była mu za to wdzięczna, ale dziś przeszła cały klub, wypatrując go.

Kiedy w końcu zauważyła Philipa siedzącego wygodnie w fotelu z kieliszkiem w dłoni, od razu do niego podeszła.

– Dobry wieczór, lordzie Philipie. – Dygnęła.

Wyprostował się w fotelu, po czym zerwał się na równe nogi i ukłonił.

– Pani Campbell. Cóż za nieoczekiwana przyjemność. – Któryś z jego znajomych zachichotał i Philip zbył go nieuprzejmym gestem. – Porozmawiajmy gdzie indziej. – Uśmiechnął się krzywo. – Bo nie przypuszczam, żeby przyszła pani namawiać mnie do gry w kości.

– Nigdy więcej kości – odparła lekko, przyjmując ramię, które jej podał. – Chciałam tylko zamienić z panem słowo na osobności, jeśli mogę.

– Zawsze – odparł. Przeszli przez świecący jeszcze pustkami klub i po chwili znaleźli wolną sofę. Sophie usiadła pierwsza, Philip – na odległość wyciągniętej ręki.

– Co panią niepokoi?

– Chciałabym zawrzeć pokój.

Uniósł brwi.

– Czyżbyśmy toczyli wojnę?

– Ja tak nie uważam – odparła szczerze. – Chociaż stosunki między nami stały się nieco napięte.

Westchnął ciężko i spojrzał w przestrzeń.

– Naprawdę byłem dla pani aż tak okropny?

– Cóż… tak. – Skinęła głową, gdy spojrzał na nią z zaskoczeniem. – Chodził pan za mną wściekły jak chmura burzowa, miotając błyskawice z oczu i mrucząc gniewnie. Coś takiego każdego mogłoby wyprowadzić z równowagi.

– Przepraszam za to. – Spuścił głowę i potarł dłonią czoło. – Tak bardzo się martwiłem, kiedy mój brat panią zabrał… rzecz w tym, że ja go znam, a pani nie. Powiedziała pani, że *ja* urządziłem widowisko, ale to on wywiózł panią niczym wojenną zdobycz.

Właśnie o tym zamierzała porozmawiać, ale nagle zaschło jej w ustach. Zwilżyła wargi.

– Co pan miał na myśli, mówiąc, że zna go, a ja nie?

Parsknął krótkim, ponurym śmiechem.

– Znam go! Znam go całe moje życie. Kiedyś był świetnym kompanem, śmiałym i otwartym na przygody. Czasem myślę, że ten człowiek wciąż jeszcze jest w nim, gdzieś głęboko ukryty, ale nigdy się nie pokazuje.

Pomyślała o szkicu, który widziała w Alwyn House, przedstawiającym młodego Philipa śmiejącego się na drzewie. Z trudem zwalczyła chęć stanięcia w obronie Jacka, zawołania, że nadal jest tak samo troskliwy i odważny, i że wolałby być blisko z bratem, zamiast nieustannie się z nim kłócić.

– Jak pan sądzi, dlaczego?

– To oczywiste. Bo jest cholernym księciem. – Oczy Philipa błysnęły. – Kimś zbyt ważnym, żeby pójść do teatru albo walczyć na pięści. Zbyt dostojnym, żeby zagrać w karty albo uprawiać sport. Stał się potwornym nudziarzem… cóż, najwyraźniej do tamtego wieczoru, kiedy bez oporów odłożył na bok całą tę swoją słynną godność i powagę.

– Nie wszyscy wśród nas mogą żyć beztrosko, mając majątek i pozycję pozwalające im robić, co zechcą. – Philip spojrzał na nią ostro. Sophie zdobyła się na wymuszony uśmiech. – Chcę powiedzieć, że ma pan wielkie szczęście, będąc wolnym od zobowiązań, jakie niesie ze sobą tytuł. To musi być… uciążliwe. Ja znam się tylko na prowadzeniu swojego małego domku. Z wielką posiadłością musi być o wiele trudniej.

– Jest. – Philip westchnął ciężko i pochylił się, opierając łokcie na kolanach. – Wiem, że jest. I ma pani rację, mam szczęście, że nie jestem księciem, bo niezbyt dobrze wychodzi mi bycie odpowiedzialnym. – Na jego wargach błąkał się szatański uśmieszek. – Ale za to świetnie znam się na ryzykowaniu.

Roześmiała się.

– O tym wiem doskonale! Chociaż sugerowałabym, żeby przy stoliku ryzykował pan nieco mniej.

– Pani także? – Przysunął się nieco bliżej i wyprostował nogi. – Ktoś powiedział mi całkiem niedawno, że powinienem nauczyć się lepiej grać w karty. Czy może mi pani coś doradzić? Jest pani w tym świetna.

– Hmm. – Przechyliła lekko głowę, udając, że się namyśla. – Sugeruję, żeby unikał pan kości. To diabelska gra.

Zaśmiał się.

– Cała reszta to tylko praktyka. Proszę przestudiować zasady, ocenić szanse w każdej rozgrywce i skupić uwagę na kartach, a nie na flirtowaniu z przeciwnikiem – zakończyła, posyłając mu znaczące spojrzenie.

Znowu się roześmiał.

– Cóż, nie udało mi się. – Zerknął na nią z ukosa. – Nie mogło się udać, prawda?

Zawahała się. Nie miał na myśli gry.

– Nie. Nie ze mną.

– Czy to się stało po tym, jak mój brat panią porwał? – zapytał wprost, otwarcie, bez żadnych podejrzeń.

– Wcześniej. Dużo wcześniej. Ma pan zbytnią skłonność do przygód i ryzyka. Obawiam się, że w głębi duszy ja też jestem śmiertelnie nudna.

Philip spojrzał na nią i nagle zdała sobie sprawę, że jakimś cudem *wie* o niej i Jacku.

– Jest pani zupełnie inna niż on, Sophie.

Poczuła, że policzki ją pieką.

– Jak kto? – spytała, starając się, by zabrzmiało to niewinnie, ale wyraz twarzy Philipa nie zmienił się ani o jotę. Odchylił się i spojrzał na nią ze znużeniem.

– Wiem, że coś jest między panią a Ware'em. Zdradził się którejś nocy, kiedy powiedziałem mu, że powinien zostawić panią w spokoju.

Sophie nie odpowiedziała. Zaniemówiła.

– Rozumiem, dlaczego chce pani utrzymać to w sekrecie – kontynuował Philip. – I nie mam żalu. Z pewnością nie pani pierwsza dostrzegła szansę i zapragnęła spróbować. Ale jest pani rozsądna i dobra, a… cóż, zależy mi na pani, nawet jeśli nie chce już ze mną flirtować i wygrywać. Próba zdobycia serca Ware'a jest z góry skazana na klęskę.

Miała ochotę uderzyć go w twarz za mówienie w ten sposób o Jacku. *Ale co ty o nim wiesz?* – przypomniała sobie. Właśnie dlatego chciała porozmawiać z Philipem.

– Wielkie nieba, Philipie, mówi pan, jakbym była myśliwym, a pański brat zwierzyną.

Prychnął.

– Niejedna kobieta myślała o nim w ten sposób! Jest tak cholernie wyniosły, a kobiety to tak irytująco pociąga… ale Ware nie ma serca. Zakochał się przed laty. Dziko, bez pamięci, nie zgadłaby pani, że to był ten sam człowiek. Ale ona go porzuciła. Uciekła z jakimś bohaterem wojennym czy kimś podobnym, a on nigdy się z tym nie pogodził.

Przed laty – miała ochotę powtórzyć. Jeśli Jack wciąż leczył ranę w sercu, to nigdy nie dał tego po sobie poznać.

– Ale przecież książę musi się ożenić, żeby mieć dziedzica.

Nie powinna była zaczynać tej rozmowy. Philip mówił chętnie, jednak nie tylko jej nie pomagał, ale wręcz wszystko pogarszał. Jack nigdy nie mówił o swojej dawnej miłości.

– Och, na pewno się ożeni – parsknął Philip. – Ale z poczucia obowiązku, a nie z jakichś niepoważnych powodów.

Niepoważne powody, takie jak miłość. Dłonie jej drżały, dopóki nie splotła palców na kolanach.

– Słyszałam plotkę – powiedziała, siląc się na beztroskę. – O nim i lady Lucindzie Afton. Podobno są zaręczeni od jakiegoś czasu. – Te słowa miały w jej ustach smak popiołu, ale musiała to wiedzieć…

Philip zerknął na nią, unosząc brwi ze zdziwieniem.

– Słyszała pani o tym? Ho, ho. Obiecał naszemu ojcu na łożu śmierci, że będzie się nią opiekował. Jak powiedziałem, ma poczucie obowiązku. Można trochę współczuć Lucindzie, ale jestem pewien, że poradzi sobie w roli księżnej. To mądra dziewczyna i już jako dziecko zawsze wiedziała, czego chce.

Tą rzuconą od niechcenia uwagą pozbawił ją tchu. Sophie zakręciło się w głowie i musiała przytrzymać się poduszki, żeby utrzymać równowagę. Oszołomiona spojrzała na Philipa, który przyglądał się jej badawczo.

– Moja matka twierdzi, że pobiorą się przed końcem roku – powiedział. – Matka Lucindy chce, żeby najpierw dokończyła sezon.

Ma dopiero osiemnaście lat – rozbrzmiały jej w głowie słowa Georgiany.

– Czy on ją kocha? – spytała niczym tonący, który chwyta się brzytwy.

– Lucindę? – Philip wydawał się zaskoczony. – Nie sądzę. Mężczyźni w mojej rodzinie, a przynajmniej ci, którzy dziedziczyli tytuł, zawierają małżeństwa z rozsądku, Sophie. Zawsze tak było i zapewne zawsze będzie. – Spojrzał na nią ze współczuciem. – To nigdy nie przeszkodziło żadnemu z nich mieć na boku mnóstwa utrzymanek i kochanek, ale żenili się wyłącznie dla majątku i władzy. Ostrzegłbym panią wcześniej, ale

zabroniono mi rozmawiać z panią. Przypuszczam, że teraz rozumiem, skąd się wziął ten zakaz.

Serce biło jej jak szalone, a w głowie lekko się kręciło. Obawiała się, że dostanie mdłości. Jack powiedział jej to samo – *książęta Ware nie żenią się z miłości* – ale potem powiedział też, że to ona jest wszystkim, czego pragnie. Zapytał, czy wyjdzie za niego. Kto się mylił? Georgiana, która widziała, jak śmiał się, idąc pod rękę z lady Lucindą? Philip, który wiedział o swoim bracie rzeczy, których ona wiedzieć nie mogła? A może Sophie, która raz po raz łamała swoje własne zasady – kochając się z Jackiem, kontynuując romans z nim po powrocie do Londynu, tracąc dla niego głowę, a nawet przyjmując jego szokującą propozycję małżeństwa?

– Dziękuję, Philipie – powiedziała drżącym głosem. – To było bardzo pouczające.

– Sophie. – Chwycił ją za rękę, kiedy wstawała. – Wiem, że wcześniej zachowywałem się jak osioł. Zazdrościłem Ware'owi tego, że ma panią tylko dla siebie, nawet jeśli nie stało się to z pani wyboru. – Próbował się uśmiechnąć, ale zrezygnował, kiedy spojrzała na niego, wyglądając jak Ofelia popadająca w obłęd. – Przepraszam panią i przysięgam, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Czy możemy znowu być przyjaciółmi?

Wyrwała rękę z jego uścisku.

– Być może. – Chciała krzyknąć, że nie! Nie, bo jego twarz będzie jej zawsze przypominała Jacka.

– Proszę mi wybaczyć… – Odwróciła się i odeszła pospiesznie, ledwie panując nad sobą. Wślizgnęła się do pierwszego pustego pokoju, jaki znalazła, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie.

Oddech wiązł jej w gardle. Boże. Czy naprawdę mogła być aż taką idiotką? Czy naprawdę myślała, że jej los tak dramatycznie się odmienił? Że grę w karty, żeby zdobyć pieniądze, mogła zamienić na bycie księżną Ware?

– Idiotka – szepnęła do samej siebie. Powinna była się domyślić, kiedy Jack… Ware… patrzył na jej bose stopy pierwszej nocy w Alwyn House. Nie myślał o miłości ani o małżeństwie. Lady Fox ostrzegała ją przed czymś takim: *Kiedy mężczyzna pragnie kobiety, której nie powinien zdobyć, staje się niebezpiecznym stworzeniem* – powiedziała.

Ale Sophie, najgłupiej jak można sobie wyobrazić, uległa wszystkiemu, ponieważ go pragnęła. I przez tych kilka wspaniałych dni myślała, że Jack należy do niej.

Przetarła wierzchem dłoni piekące oczy. Żadnych łez. Popełniała już wcześniej błędy i teraz musiała się otrząsnąć i odzyskać dumę. Z tego też wyjdzie cało. Będzie bolało, o wiele bardziej niż wtedy, gdy pomyliła się w obliczeniach i w jedną noc przegrała sto funtów. O wiele, wiele bardziej, niż gdy porzucił ją jej poprzedni kochanek. On przynajmniej nigdy się jej nie oświadczył, za to podarował piękną diamentową bransoletkę jako pożegnalny prezent. Sprzedała ją za dwieście pięćdziesiąt funtów, co pięknie uzupełniło jej dotychczasowe oszczędności.

A więc będzie bolało, a rana w sercu być może nigdy się nie zagoi, ale przetrwa. Nie ma wyboru. Może wybierze się na święta do Makepeace Manor, jak proponował jej stryj. Jej nieliczne wspomnienia z tego domu były mroczne i ponure, ale może tym razem uda jej się odnaleźć jakąś cząstkę dzieciństwa swojego ojca.

Dawno temu sądziła, że historia jej rodziców jest pięknie romantyczna. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, jak wielkie mieli szczęście. Papa kochał jej matkę tak samo jak zawsze, gdy straciła głos i nie mogła już śpiewać. Mama kochała go nawet wtedy, gdy nie wygrywał już w karty tyle, by wystarczyło im na utrzymanie. Ich miłość przetrwała wszystkie trudy i niepowodzenia, łączyła ich aż do śmierci. Sophie sądziła, że każda miłość może być taka.

Papo – pomyślała – *jaka szkoda, że nie ostrzegłeś mnie, jak straszna może być miłość*.

Jack dotarł do klubu Vega później niż zwykle, ale we wspaniałym nastroju.

W kieszeni miał specjalną licencję. Zdobycie jej zajęło mu kilka godzin, ale przybrał swoją najbardziej książęcą pozę i tak długo nie dawał spokoju urzędnikom, aż przynieśli mu dokument.

W kieszeni miał też pierścionek, nieskazitelnie czysty rubin w złotej oprawie; czerwień pasowała do Sophie.

Głównym powodem jego późnego przybycia była matka, która na przemian groziła, płakała i prosiła, żeby zmienił zdanie. Lady Stowe już wcześniej zdążyła przekazać jej nowinę, niewątpliwie w histerycznym liście, i Jack musiał wziąć na siebie burzę jej rozczarowania. Kiedy pierwsza furia minęła, oznajmił jej, że nie może poślubić lady Lucindy z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że Lucinda go nie chce, a po drugie – ponieważ on chce kogoś innego.

– Lucinda się opamięta! – krzyknęła, idąc za nim po schodach.

– Ona chce pojechać do Egiptu. – Uśmiechnął się na wspomnienie jej entuzjazmu.

Księżna spojrzała na niego beznamiętnym wzrokiem.

– Do Egiptu? Nie bądź śmieszny. Oczywiście, że nie. Cóż to za pomysł, żeby młoda dama wybierała się do Egiptu? Zostanie tu, w Anglii, i wypełni swój obowiązek.

Jack, gotowy już wyjść do klubu Vega, narzucił płaszcz, który podawał mu Browne.

– Jej obowiązki nie obejmują poślubienia mnie.

– Ale twoim obowiązkiem jest się z nią ożenić!

– Nie – powiedział stanowczo. – Nie jest.

Księżna otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Jack uniósł rękę.

– Obiecałem ojcu, że się nią zaopiekuję. Zrobiłem to; ona i jej matka zawsze miały wygodny dom, dobrze zaopatrzoną spiżarnię i najmodniejsze

stroje. Ale teraz Lucinda jest dorosła, ma swoje własne przemyślenia i plany; nie chce wychodzić za kogoś tak starego i nudnego jak ja.

– Wciąż jest dziewczynką i pójdzie za radą swojej matki!

– Nie, jest młodą kobietą, która zasługuje na to, żeby sama mogła wybrać swojego męża. – Posłał jej miażdżące spojrzenie. – To zamyka sprawę.

Księżna zacisnęła usta i na moment przymknęła oczy.

– Postępujesz pochopnie i to zupełnie niepodobne do ciebie, Ware. Porzucasz Lucindę dla pospolitej hazardzistki! – Skinęła głową, nie zważając na jego wściekłe spojrzenie. – Oczywiście, że słyszałam o tym głupim zakładzie. Oczywiście wiem, że pojechałeś z nią do Alwyn, i oczywiście wiem, że nadal się z nią widujesz. Ostatnio zachowujesz się dziwnie, a ja nie mam złudzeń co do tego, co jest przyczyną. Mężczyźni są najbardziej przewidywalnymi stworzeniami na świecie, jeśli idzie o ich najprymitywniejsze potrzeby. Ale jeśli sprowadzisz tę kobietę do tego domu, zhańbisz pamięć swojego ojca, dziadka i wszystkich innych przodków, którzy znali swoje zobowiązania i traktowali małżeństwo z całą powagą, na jaką zasługuje.

Wziął od Browne’a kapelusz i rękawiczki.

– Dobranoc, matko.

– Nie możesz oczekiwać, że zaakceptuję tę kobietę! – zawołała. – Kobietę bez nazwiska, bez koneksji, bez charakteru!

– Ta kobieta ma nazwisko, koneksje mnie nie obchodzą, a charakter ma silniejszy niż połowa towarzystwa razem wzięta.

Założył kapelusz, a służący otworzył drzwi.

– A jeśli nie chcesz jej zaakceptować, to poleć Percy’emu, żeby znalazł dla ciebie nowy dom. Spodziewam się, że w ciągu najbliższych dwóch tygodni przywiozę tu moją żonę. – Zignorował jej zdławiony okrzyk przerażenia i wyszedł na zewnątrz, zszedł po schodach i wsiadł do czekającego na niego powozu.

Zerknął na przeciwległe siedzenie i przypomniał sobie Sophie, zarumienioną z oburzenia i czyniącą mu wyrzuty z tego miejsca. Serce zaczęło mu bić szybciej i uśmiechnął się na myśl o tym, co zrobi z nią następnym razem, kiedy znajdą się w powozie.

Wpadł do klubu Vega, ledwie zatrzymując się, by oddać płaszcz i kapelusz. Gdzie ona jest? Dziś nie przejmował się obietnicą, którą wymusił na nim Dashwood. Od dzisiaj jedyne plotki, w których pojawi się imię Sophie, będą dotyczyć jej nowego miejsca w społeczeństwie jako jego żony. Od dzisiaj Dashwood może zabronić mu wstępu do swojego klubu, a na nim nie zrobi to najmniejszego wrażenia.

Jednak przeszedłszy żwawym krokiem przez klub, nie znalazł Sophie. Zmarszczył brwi, kiedy wrócił do głównego salonu, i zaczął się zastanawiać, czy mogła zostać w domu. Odesłał już powóz, ale mógł wezwać dorożkę, jak zwykle, kiedy wybierał się do domu Sophie…

– Tu jestem. – Brat stanął przed nim, rozkładając szeroko ramiona.

– Nie ciebie szukam.

– Nie? – Philip udał zaskoczonego. – Czyż to nie był jedyny powód, dla którego znalazłeś się w tym klubie?

Jack zaczął zazdrościć Sophie braku rodziny.

– Philipie, nie mam nastroju na taką rozmowę.

– O? – ożywił się Philip. – A więc może zagrasz partyjkę? Fraser i Whitley z pewnością znajdą dla nas stolik.

– Nie wątpię – odparł cierpko.

Fergus Fraser nigdy nie miał grosza przy duszy, a Angus Whitley był najbardziej bezużytecznym z przyjaciół Philipa.

– Może innym razem. Teraz kogoś szukam.

– Kogo? – Jack zaczął się oddalać, a Philip nie odstąpił go ani na krok. – Pomogę ci szukać.

Jack przyjrzał mu się, mrużąc oczy.

– Skąd taka zaskakująca życzliwość?

– Poczułem przypływ braterskiej miłości.

– Nie, naprawdę, dlaczego? – Jack minął stolik, przy którym grano w kości, ale nie zauważył tak dobrze mu znanych mahoniowych włosów.

– Może staram się mieć cię dzisiaj na oku.

– Co? – Ledwie docierało do niego to, co mówił brat. Czy naprawdę jej tu nie było? Przecież gdyby zamierzała zostać w domu, wspomniałaby o tym poprzedniego dnia.

– Żeby uchronić cię od niezręcznych sytuacji z osobami, które nie życzą sobie twojego towarzystwa.

Spojrzał na brata zaskoczony i w końcu zauważył dziwny wyraz jego twarzy.

– O czym ty mówisz?

Philip spojrzał w lewo, potem w prawo i powiedział cicho:

– Sophie wie o Lucindzie.

– Co?! – Jego okrzyk zwrócił uwagę gości grających przy najbliższym stoliku. Jack także ściszył głos. – Nie ma o czym mówić.

Philip rozłożył ręce.

– Spytała mnie. Ktokolwiek powiedział jej, że zamierzasz ożenić się z Lucindą, to nie byłem ja.

– A ty zaprzeczyłeś? – spytał opryskliwie. – Nie jestem zaręczony z Lucindą, nigdy nie byłem, a jeśli powiedziałeś jej, że jestem… na miłość boską, Philipie…

– Zaprzeczyć? Kiedy moja własna matka powiedziała, że tak będzie? Ware, wszyscy są przekonani, że od lat jesteś zaręczony z Lucindą…

Jack zaklął, odwrócił się i ruszył przed siebie. Philip poszedł za nim, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że nie powinni kontynuować tej rozmowy publicznie. Kiedy znaleźli się w bardziej zacisznym miejscu, Jack odwrócił się i spojrzał na brata.

– Powiedziałem ci, że to są bezpodstawne plotki, bez względu na to, czego życzy sobie matka – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Te mityczne

zaręczyny zostały wymyślone przez nią i lady Stowe. Nikt nigdy nie spytał Lucindy o zdanie, a okazuje się, że ona woli badać egipskie starożytności niż poślubić takiego starego nudziarza jak ja.

Philip uśmiechnął się szeroko.

– Tak powiedziała? Zawsze lubiłem Lucindę.

– A ja z radością wyślę *ciebie* do Egiptu, raz na zawsze, jeśli powiedziałeś Sophie, że zamierzam polubić inną kobietę. – Jack zmierzył go wzrokiem. – Kocham ją, niech cię szlag. I ona powiedziała, że mnie kocha. Jeśli to zniszczyłeś, Philipie, jeżeli złamałeś jej serce, mówiąc nieprawdę… Bóg mi świadkiem, nie dostaniesz ode mnie ani pensa i nie będzie dla ciebie miejsca w żadnej posiadłości, która do mnie należy.

– Kochasz? – Jego brat wytrzeszczył oczy. – Ty… kochasz?

Patrzył na młodszego brata, który niegdyś ufał mu i uważał za wzór do naśladowania. Teraz stał przed nim ktoś zupełnie inny, kto widział w nim bezdusznego potwora zdolnego zwodzić kobietę fałszywymi obietnicami, równocześnie planując ślub z inną. Kto uważał go za niezdolnego do żadnych wyższych uczuć poza odrazą wobec hazardu. *Jego własny brat*.

Zaklął półgłosem. Nie powinien marnować czasu na spory z Philipem, lecz odszukać Sophie i zapewnić ją, że to wszystko było kłamstwem, a jedyną prawdą jest to, co powiedział jej ostatniej nocy: że ją kocha i chce się z nią ożenić. Liczyła się dla niego tylko Sophie, nie dezaprobata matki ani niechęć brata.

– Nieważne. – Minął Philipa, lecz ten chwycił go za ramię.

– Ware. *Jack*.

Zatrzymał się i obrzucił go lodowatym spojrzeniem. Philip puścił go i cofnął się o krok.

– Nie wiedziałem.

– Nie mogłeś wiedzieć, skoro dąsałeś się, bo przeszkodziłem ci w zrobieniu z niej swojej kochanki.

Philip zaczerwienił się.

– Nawet jeśli nie wierzysz, naprawdę zależy mi na niej. Kiedy ją wywiozłeś, nie masz pojęcia, co chciałem zrobić. I jak się o nią martwiłem.

Jack spojrzał na niego z najczystszą pogardą.

– Masz dziwny sposób okazywania troski i przywiązania.

– Mógłbym powiedzieć to samo o tobie – odciął się Philip. – Naprawdę ją kochasz?

– Desperacko. – Zawahał się. – Poprosiłem ją o rękę.

Philip odetchnął.

– Przypuszczam, że się zgodziła. – Jack skinął krótko głową, nie mogąc wykrztusić nawet słowa. Philip zastanawiał się przez chwilę, potem wziął głęboki oddech i wyprostował ramiona.

– Ponieważ obaj marnie sobie z tym radzimy, może powinniśmy działać razem. Może choć jednemu z nas się poszczęści. Chodź, pomogę ci ją znaleźć.

27

Sophie nie chciała być sama.

Kiedy Philip potwierdził to, co widziała Georgiana, jej pierwszą myślą było wrócić do domu, położyć się do łóżka, zakryć głowę kołdrą i nie wstawać do końca roku. Jak mogła tak bardzo mylić się co do Jacka? Mylić się aż tak głupio i fundamentalnie? Jak on mógł okłamywać ją i zwodzić tak błyskotliwie? Wszystko, co zrobił, było starannie zaplanowane, by wykorzystać jej słabości, rozmontować jej zasady jedną po drugiej i roztrzaskać jej świat na drobne kawałeczki. Jak długo mógłby jej powtarzać, że ją kocha, zastanawiała się w odrętwieniu. Jak długo jeszcze czarowałby ją, żeby wkraść się do jej łóżka? Położyła rękę na brzuchu i pomyślała, że tak naprawdę ważne jest inne pytanie: jak długo jeszcze ona by mu wierzyła?

Ale gdyby położyła się do łóżka, toby jej tylko przypomniało, jak leżał tam razem z nią i szeptał, że ją kocha. Myślałaby tylko o tym, jak czuła się, leżąc przy nim, i byłaby jeszcze bardziej nieszczęśliwa.

Musiała się czymś zająć, żeby o nim nie myśleć. Kiedy Sophie wyszła z tamtego pokoju, miała złamane serce, ale odzyskała determinację. Wzięła od kelnera kieliszek wina i rozejrzała się po sali, aż w końcu zauważyła Anthony'ego Hamiltona, siedzącego samotnie z kieliszkiem brandy w dłoni.

Pan Hamilton był jednym z bardziej znanych dżentelmenów. Był dziedzicem hrabiego, ale nie używał tytułu. Plotki łączyły jego nazwisko z

połową dam z towarzystwa i wszyscy zachodzili w głowę, dlaczego nie został potępiony za żaden z tych romansów. Był tajemniczy i powściągliwy – jeden z tych ludzi, o których wszyscy mówią, ale nie rozmawiają z nimi.

Jednak teraz dla Sophie najważniejsze było to, że grał bezwzględnie i żadna stawka nie była dla niego za wysoka. Czując ucisk w żołądku, przeszła przez salę, kierując się w jego stronę. Słyszała, że pewnego razu postawił cały swój majątek, włącznie z ubraniem, które miał na sobie – i wygrał. Zwykle unikała ludzi skłonnych do podejmowania takiego ryzyka, ale dziś potrzebowała czegoś, co odwróciłoby jej uwagę. Mogła albo dużo wygrać i ukoić ból rozdzierający jej duszę, albo dużo przegrać, a wtedy będzie miała ważniejszy powód do zmartwienia niż przystojny, kłamliwy książę.

– Dobry wieczór, sir. – Dygnęła, gdy pan Hamilton spojrzał na nią, unosząc ze zdziwieniem ciemne brwi. Obserwował ze skupieniem grę w kości przy pobliskim stoliku.

Wstał.

– Dobry wieczór, pani Campbell. – Nigdy nie zostali sobie oficjalnie przedstawieni i Sophie zadrżała, uświadamiając sobie, że ją rozpoznał.

– Mam nadzieję, że wybaczy mi pan śmiałość – powiedziała z promiennym uśmiechem – ale słyszałam, że nikt w całym Londynie nie gra w pikietę lepiej niż pan.

Uśmiechnął się.

– To pochlebstwo czy raczej potępienie?

Roześmiała się.

– Podziw! Czy to prawda?

– Nie umiem odpowiedzieć. Nie grałem jeszcze ze wszystkimi. – Przyjrzał się jej, przechylając lekko głowę. – Nie grałem jeszcze z panią.

To był początek, jakiego potrzebowała. Jej puls przyspieszył ostrzegawczo. Sophie zignorowała to, uśmiechając się jeszcze szerzej.

– Może chciałby pan temu zaradzić?

Wydawał się rozbawiony. Jego wargi wygięły się w oszczędnym uśmiechu, który nie znalazł odbicia w spojrzeniu.

– Jaka stawka?

– Dwie gwinee za punkt. – Punktacja w pikiecie mogła być bardzo wysoka i Sophie wiedziała, że może stracić nawet tysiąc funtów, jeśli nie więcej.

Jednak pikieta była ulubioną grą papy. Jeśli przegrywał, to przy innych stolikach. Sophie od dzieciństwa umiała grać w pikietę. Była to skomplikowana gra, polegająca na strategii, a nie tylko na szczęściu, wymagająca umiejętności i skupienia – a właśnie tego potrzebowała teraz Sophie. Miała też szansę wygrać sporą sumę.

Pan Hamilton uniósł rękę.

– Za panią, madame.

Wypatrzyła mały stolik w głębi sali, osłonięty przed wzrokiem ciekawskich słynnymi palmami klubu Vega. Służący przyniósł nową talię kart, Sophie odstawiła wino. Wygrała losowanie i pierwsze rozdanie należało do niej. Kilkakrotnie przetasowała karty, pamiętając opinię papy, że układ kart nie jest całkiem przypadkowy, dopóki talia nie zostanie kilkakrotnie przetasowana. Pan Hamilton obserwował ją z lekkim rozbawieniem. Rozdała pierwszy raz i przystąpili do wymiany.

Partia pikiety składała się z sześciu rozdań. Po słabym początku Sophie odrobiła straty na koniec piątego rozdania. Miała rację co do pana Hamiltona: gra z nim pochłaniała całą jej uwagę. Ani na sekundę nie tracił skupienia, mimo że siedział w fotelu w tak swobodnej pozycji, jakby zupełnie nic go nie obchodziło.

Właśnie sięgała po karty do ostatniego rozdania, kiedy jeden ze służących podszedł do pana Hamiltona, pochylił się i szepnął mu coś do ucha. Wstał, sprawiając wrażenie zaskoczonego.

– Proszę wybaczyć, pani Campbell. Muszę się oddalić na moment.

– Oczywiście. Czy wróci pan, żeby dokończyć partię?

Zawahał się.

– Tak sądzę. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Mam nadzieję.

Ukłonił się i odszedł.

Sophie sięgnęła po kieliszek. W ostatnim rozdaniu musi zagrać znacznie lepiej albo dużo gorzej. Nie udało jej się dotąd zdobyć stu punktów, co znaczyło, że jeśli przegra, straci mniej, niż straciłaby, gdyby przegrała, przekraczając sto punktów. Sophie rzadko grała tak, by przegrać, ale czasami taka taktyka była najwłaściwsza. Była pochłonięta obliczaniem swoich szans, kiedy pan Hamilton odsunął swój fotel.

– Dobry wieczór – usłyszała nie ten głos, którego się spodziewała.

Wzdrygnęła się i usiadła prosto. To nie był pan Hamilton, lecz mężczyzna, o którym przez cały wieczór starała się zapomnieć. Ubrany w nienaganny strój wieczorowy, był olśniewająco przystojny – jak zawsze. Coś ścisnęło ją w gardle, kiedy uśmiechnął się do niej, tak piekielnie, rozdzierająco smutno, choć przecież wiedziała, że jest najbardziej odrażającym kłamcą.

– Szukałem cię – powiedział Jack.

Uniosła rękę w szyderczym pozdrowieniu.

– Znalazłeś. Czego chcesz?

– Porozmawiać z tobą. Sophie…

– Nie – przerwała mu. – Dzisiaj nie chcę cię widzieć, a tym bardziej rozmawiać z tobą.

Jack zawahał się.

– Masz prawo być zła.

Jeśli miała choćby iskierkę nadziei, że zaszło jakieś straszne, nieprawdopodobne nieporozumienie, to iskierka ta właśnie zgasła.

– Proszę mi wybaczyć, sir, ale jestem w tej chwili *zajęta* – powiedziała cierpko, licząc na to, że zauważy kąśliwą dwuznaczność. – Wkrótce wróci mój partner i chciałabym kontynuować z nim partię pikiety.

– Masz na myśli Hamiltona? – Jack nachylił się, opierając łokieć na blacie. Jego oczy były tak intensywnie błękitne, że musiała odwrócić wzrok. – On nie wróci.

– Co? – Spojrzała za niego zaniepokojona. – Dlaczego? Co mu zrobiłeś?

– Nic. Philip z nim rozmawia. – Sięgnął po karty leżące pośrodku stolika. – Zagraj ze mną. Słyszałem, że właśnie to się tutaj robi.

Poczuła, że pieką ją policzki.

– Nie ze mną.

– Dlaczego? – Przetasował karty. – Dużo ćwiczyłem. Tym razem nie powinienem przegrać w każdym rozdaniu.

Wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Doskonale wiesz dlaczego.

– O? – Jeszcze raz przetasował talię, patrząc na nią z zagadkowym uśmiechem. – Wyjaśnij mi.

Sophie z coraz większym trudem przychodziło zachowanie spokoju. Dostatecznie trudne było to, że musiała go spotkać. Wystarczało, że wyobrażała go sobie z jego narzeczoną – jakimś uroczym, ślicznym stworzeniem o pozycji odpowiedniej dla księżnej. Nie mogłaby siedzieć naprzeciwko niego i udawać, że to wszystko nie ma znaczenia, że Jack wcale nie złamał jej serca.

Nie potrafiła się na to zdobyć; jeszcze nie teraz.

– Pan Dashwood wyraźnie przestrzegał mnie przed zbliżaniem się do pana, wasza wysokość. – Wymówiła tytuł z naciskiem, starając się przypomnieć mu, gdzie jest jego miejsce. Gdzie jest jej miejsce.

– Doprawdy? – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – Dashwood przestrzegał i mnie przed tobą. Ale tym razem nie będzie się wtrącał. Nie martw się, nie stracisz członkostwa w klubie za to, że zagrasz ze mną.

Czuła, że za chwilę zrobi coś niewybaczalnego – wpadnie w furię i zacznie wrzeszczeć, ciśnie mu karty w twarz, może wręcz zaleje się łzami.

– Odejdź – powiedziała powoli i z naciskiem. – Proszę.

– Dlaczego?

– Ponieważ to nie jest miejsce odpowiednie dla człowieka o twojej pozycji – powiedziała tym samym cichym, stanowczym głosem.

Obejrzał się przez ramię.

– Właśnie widzę hrabiego, który gra w kości, jeśli to ma dla ciebie jakieś znaczenie.

Przesłoniła dłonią oczy.

– *Proszę*.

– Sophie – poprosił cicho. – Pozwól mi wyjaśnić. Wiem, co słyszałaś…

– Jack – powiedziała ze znużeniem. – To koniec. Tak będzie najlepiej.

Wypuścił powietrze z płuc.

– W takim razie zagrajmy. – Zaskakująco zręcznie rozdał karty.

– Nie dzisiaj. – Odsunęła fotel i wstała.

Gdzie się podział pan Hamilton? W pobliżu musi być ktoś znajomy, kto ją uratuje. Może dziś powinna poszukać Gilesa Cartera. Nie kochała go, ale był dobrym człowiekiem. Może właśnie tego potrzebowała – czegoś, co oderwałoby ją od tej nieszczęsnej, przeklętej miłości do księcia Ware. Jeśli zajęłaby myśli i czas planowaniem swojego życia jako pani Carter, może udałoby się jej zapomnieć. Nic innego nie pomagało, ale gdyby wyszła za Gilesa, zmusiłaby się, by myśleć tylko o nim, żeby zaczęło jej na nim zależeć. Położyłaby tamę wszelkim myślom o księciu Ware i o tym, jak niegdyś całował ją, śmiał się razem z nią i sprawiał, że nogi uginały się pod nią z pożądania.

Jack położył na stole stos żetonów.

– Stawiam w tym rozdaniu pięć tysięcy funtów.

Coś ścisnęło ją w żołądku. Już kiedyś postawił tę samą sumę i wtedy przegrała – nie tylko zakład, ale ostatecznie i serce.

– Jeśli wygrasz, to będzie ślubny prezent – mówił dalej. – Wystarczy, żebyś urządziła sobie życie z Carterem albo jakimś innym gościem. Będziesz na tyle zamożna, że znajdziesz niejednego adoratora.

Sophie zdawała sobie sprawę, że powinna wstać i odejść. Ale jakoś tak wyszło, że kiedy otworzyła usta, żeby odmówić, spytała:

– Przeciwko czemu?

Nachylił się ku niej. W blasku świecy jego włosy miały złocisty połysk.

– Jeśli wygram… wyjdziesz za mnie, jak obiecałaś.

Otworzyła usta ze zdumienia. Jak on śmie? Przecież ma poślubić lady Lucindę Afton. Tak powiedzieli jej Georgiana i Philip.

– Przyjmujesz taki zakład? – spytał.

Spojrzała na karty, potem na niego. Zranił ją i okłamał, a teraz zachowywał się, jakby to wszystko było tylko grą. Doskonale, w takim razie ona postąpi tak samo. Pikieta była trudną grą, a Sophie wiedziała, że Jack nie ma doświadczenia. Po nocy wielkiej radości i rozdzierającym serce dniu zasłużyła na to, by wygrać od niego pięć tysięcy funtów. Usiadła i sięgnęła po karty.

– Tylko głupiec grałby o małżeństwo, ale skoro jesteś na tyle głupi, by ryzykować pięć tysięcy, z przyjemnością wygram je od ciebie. – Obejrzała swoje karty. – Mam *carte blanche* i wymieniam pięć.

Jack skinął głową.

– Istotnie jestem głupcem. Powinienem był wcześniej wspomnieć o Lucindzie…

Sophie nie chciała nawet słyszeć jej imienia.

– Ile kart wymieniasz?

Westchnął.

– Trzy.

– Jak przypuszczam, nie wspomniałeś o niej wcześniej, ponieważ obawiałeś się, że nie będę chciała wdawać się w romans z zaręczonym mężczyzną. Miałeś rację.

Zręcznym ruchem wyłożyła karty na stół, pozwalając mu zobaczyć, że rzeczywiście ma *carte blanche*, po czym równie szybko je zebrała. Już miała nad nim dziesięć punktów przewagi.

– Nie wspomniałem o niej, ponieważ nie jestem z nią zaręczony – powiedział.

– Och? – Wybrała pięć kart, odłożyła je i dobrała pięć z talonu. Szczęście jej dopisało. – To dziwne, skoro twoja rodzina uważa, że jesteś.

Jack odłożył trzy karty i wziął trzy z talonu.

– Moja matka miała nadzieję, że ożenię się z Lucindą, ale to nigdy nie było nic więcej niż jej nadzieje.

– Właśnie dlatego zabrałeś ją na lody do Guntera? – Sophie zerknęła na niego, ani na moment nie zapominając o kartach. Nie ulegnie mu tak łatwo po raz drugi. – Mam sekstę.

Jack zacisnął wargi.

– Dobrze – wycedził, przyznając, że nie ma sześciu kart w jednym kolorze.

Sophie dodała sobie sześć punktów.

– Musiałem porozmawiać z nią, żeby się upewnić, że nigdy nie byliśmy zaręczeni – dodał. – Matka od lat wmawiała jej, że małżeństwo ze mną to jej obowiązek…

Sophie pociemniało w oczach.

– *Sixième* – wycedziła lodowatym głosem. Miała trefle od siódemki do damy.

– Dobrze – powtórzył Jack po chwili milczenia. Nie miał sekwencji dłuższej niż sześć.

Uśmiechnęła się, nie patrząc mu w oczy.

– *Repique* dla mnie. – Kolejne trzydzieści punktów dodane do szesnastu za *sixième*. Zebrała sześćdziesiąt dwa, zanim jeszcze gra się na dobre zaczęła.

– Miała nawet nadzieję, kiedy kilka tygodni temu wyjechałem z miasta, że już nie wrócę i nigdy więcej nie będzie musiała mnie spotykać.

Sophie bezwiednie spojrzała na niego. Był blady, ale spojrzenie jego błękitnych oczu było spokojne.

– Ja też wolałbym nigdy nie wracać z Alwyn House.

Zaczęło jej brakować tchu. I ona żałowała, że nie mogli zostać w Alwyn House tylko we dwoje, na zawsze.

– Ale wróciliśmy – zauważyła. – Z poczucia obowiązku.

– Cholerny obowiązek – rzucił. – Czy naprawdę sądzisz, że oświadczyłbym ci się, gdybym był zaręczony z Lucindą?

Nie udało jej się zapanować nad drżeniem podbródka.

– Philip powiedział, że byłeś jej obiecany od lat…

– Philip jest idiotą – warknął.

Zaczęła widzieć go przez mgłę i musiała zamrugać kilka razy.

– Powiedział, że przed laty ktoś złamał ci serce i nigdy potem nie doszedłeś do siebie. Powiedział, że ożenisz się z praktycznych powodów.

– Co do tego miał rację. – Jack odłożył karty. – Nie widzę bardziej praktycznego rozwiązania niż poślubienie kobiety, którą chciałbym widzieć każdego dnia, kiedy otwieram oczy. Kobiety, która miała dość odwagi i mądrości, żeby przybyć do Londynu, wierząc, że utrzyma się z gry w karty. Kobiety, która jest zdolna wysiąść z powozu i iść pieszo milę w deszczu i błocie, a potem zapytać, gdzie są lochy. Kobiety, którą chcę prowadzić pod rękę na bale i przyjęcia, która potrafi mnie rozśmieszyć nawet w tej niekończącej się nudzie. Myślę, że poślubienie ciebie to najlepszy pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł mi do głowy, ponieważ jesteś odpowiedzią na wszystkie moje pragnienia. Kocham cię, Sophie… tylko ciebie.

Sophie była tak oszołomiona, że nie była w stanie się odezwać – i dobrze, ponieważ dzięki temu jej umysł zaczął znowu pracować. Kiedy pierwszy raz ją pocałował, to *ona* prosiła, żeby się z nią kochał. Po powrocie do Londynu to *ona* złamała swoje postanowienie, że nigdy więcej się z nim nie zobaczy. Kiedy poprosiła go o pomoc w sprawie Philipa, zadał sobie dużo trudu, żeby rozwiązać problem – osobiście. To ona zaprosiła go, żeby wsiadł do powozu, a potem żeby spędził z nią noc. We wszystkim to on szedł za nią, a teraz odpłaciła mu, myśląc o nim wszystko, co najgorsze.

Spojrzała na niego, na jego idealną twarz, eleganckie ubranie i intensywne, pełne niepokoju spojrzenie. Powoli odłożyła karty.

Pomyślała o swoim stryju, który przyznał, że nigdy nie znalazł sobie żony, ponieważ nie oczekiwał niczego od losu. O Gilesie Carterze, który wydawał się tak dobrą partią, który był tak miły, a jednak pozostawał kawalerem i całe noce spędzał przy karcianym stoliku. I o swoim ojcu, który zrezygnował z rodziny, pozycji i majątku, ponieważ poznał jej matkę i został przy niej w ubóstwie i chorobie, nigdy tego nie żałując.

Znalezienie kogoś, kogo kochałaby tak mocno, jak pokochała Jacka, było wyjątkowym darem losu, wyjątkowym szczęściem. A jeśli Sophie wiedziała coś o szczęściu, to to, że w żadnym wypadku nie można z niego rezygnować.

– Wygrałeś – powiedziała, zgarniając ze stolika karty i żetony.

Jack zerwał się z fotela, zanim zdążyły spaść na podłogę. Porwał ją na ręce i wpił się w jej usta pocałunkiem.

Sophie obawiała się, że wybuchnie. Przywarła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję, żeby odwzajemnić pocałunek. Wplótł palce w jej włosy, całując coraz głębiej, aż straciła całkiem poczucie rzeczywistości. W tej chwili Jack był całym jej światem i kochał ją – *tylko ją*.

W końcu uniósł głowę i przycisnął Sophie do piersi. Sophie poczuła na skroni bicie jego serca, a wtedy jej serce omal nie wyskoczyło z piersi.

– Dobrze – mruknął Jack. – Mam dość tego miejsca.

Skierował się do holu, wciąż obejmując ją w talii i prowadząc tak samo, jak to zrobił już kiedyś. Tym razem Sophie szła chętnie, niemal biegnąc, by dotrzymać mu kroku, i przytrzymując się jego marynarki. Jak przez mgłę widziała przyglądających się im ludzi – prawdę mówiąc, wstrząśniętych tym, co widzieli – ale teraz zupełnie się tym nie przejmowała. Niech patrzą. Zauważyła Philipa i pana Hamiltona siedzących przy stoliku z butelką sherry; pan Hamilton uniósł kieliszek w toaście, lecz Philip nawet na nią nie spojrzał.

– Niech to diabli – mruknął Jack.

W ich stronę maszerował wielkimi krokami, z twarzą pociemniałą z gniewu, pan Dashwood, a tuż za nim Forbes.

Sophie zarumieniła się na wspomnienie surowego ostrzeżenia, którego udzielił jej pan Dashwood.

– Chyba czeka nas reprymenda.

– Nie bardzo – odparł Jack, nie zwalniając kroku. Gdy znaleźli się w holu, spojrzał władczo na zdumionego Franka.

– Przynieś płaszcz pani Campbell i moje rzeczy. – Służący przełknął ślinę i pobiegł wykonać polecenie.

– Jack, pan Dashwood wymusił na mnie obietnicę, że nie będę z tobą grała – szepnęła Sophie.

Jack wciąż trzymał ją mocno przy sobie. Nigdy więcej go nie opuści, nawet jeśli pan Dashwood wyrzuci ją z klubu.

– Tak? Dzięki Bogu, że go nie posłuchałaś. Dashwood – powiedział głośno, gdy właściciel stanął naprzeciwko nich.

– Wasza wysokość. – Dashwood ukłonił się sztywno. – Czy możemy zamienić słowo?

– Nie – odparł Jack. – Właśnie wychodzę.

Pan Dashwood nie wydawał się usatysfakcjonowany, ale chłodny, arystokratyczny ton Jacka nie dopuszczał sprzeciwu. Właściciel spojrzał na Sophie, która zdała sobie sprawę, że jej policzki muszą być intensywnie czerwone.

– Pani Campbell. Ufam, że nie zapomniała pani o naszej umowie.

– Nie, sir. Ale zapewniam, że dziś nie przegrałam z jego wysokością…

– Wprost przeciwnie. Wygrała wszystko, co mam. – Jack puścił ją na chwilę, żeby odebrać od Franka jej płaszcz i owinąć nim ją. – Może pan skreślić moje nazwisko ze swojej listy. Może pan skreślić też nazwisko pani Campbell. Jeśli będzie chciała pozostać w klubie, będzie musiała zapisać się pod swoim nowym tytułem, księżnej Ware.

Cokolwiek chciał powiedzieć pan Dashwood, ostatnie słowa Jacka go powstrzymały. Jego twarz zastygła w wyrazie będącym czymś pośrednim między ponurą dezaprobatą a osłupieniem. Jack spojrzał ponad jego ramieniem.

– Forbes, potrzebuję powozu. Natychmiast.

– Tak, wasza wysokość. – Nie patrząc na swego pracodawcę, Forbes wybiegł na ulicę.

Sophie zdobyła się na uśmiech.

– Dziękuję, panie Dashwood. Było mi bardzo miło należeć do klubu. Myślę jednak… – Spojrzała na Jacka, którego twarz złagodniała, kiedy na nią patrzył. – Myślę, że skończyłam z hazardem. Przepraszam za całe zamieszanie, które mogłam wywołać.

Pan Dashwood odzyskał rezon.

– Wygląda na to, że rozegrała pani swoje karty nadzwyczaj dobrze. Życzę pani dużo radości. – Posłał jej cierpkie spojrzenie, odwrócił się i odszedł właśnie w chwili, gdy Forbes wrócił oznajmić, że powóz już czeka.

Frank podał Jackowi jego płaszcz i kapelusz, po czym wyszli z klubu. Zapewne po raz ostatni – uświadomiła sobie z zaskoczeniem Sophie. Jako księżnej nie będzie jej wypadało grać, a pieniędzy nie będzie potrzebowała. Musi się jeszcze dużo nauczyć o swoim nowym życiu.

Jack pomógł jej wsiąść do powozu i usiadł z godnością obok niej, ale ledwie ruszyli, objął ją i porwał na kolana.

– Znacznie lepiej – mruknął, przyciskając usta do jej szyi.

– Wywołamy skandal – powiedziała z westchnieniem, przechylając głowę, żeby zrobił to jeszcze raz.

– Będziemy szczęśliwi, a to pośle wszystkie plotki do grobu.

Rozpiął jej płaszcz i rozchylił tak, żeby móc ją objąć w talii.

– Jack. – Odwróciła się i spojrzała na niego. – Odwiedził mnie mój stryj. Ogr umarł i stryj stara się być serdeczny. On… on jest lordem, wicehrabią Makepeace.

Wiadomość o jej arystokratycznym pochodzeniu nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia.

– Jest mile widziany, dopóki będzie miły.

– Ale… nie rozumiesz? Teraz już nie jestem nikim, bez żadnej rodziny. Nigdy nie wymówiłabym nazwiska Makepeace, dopóki żył mój dziadek, ale stryj Henry… cóż, on wydaje się miły jak mój ojciec.

Jack położył jej palec na ustach.

– Sophie. Nie zrozumiałaś. Nie obchodzi mnie, czy pochodzisz z rodziny królewskiej, czy wędrownych karciarzy. Chcę *ciebie*. Kocham *ciebie*. Twój stryj i ktokolwiek z twoich krewnych lub znajomych będzie mile widziany w moim domu, o ile ty będziesz chciała go zaprosić.

– Wędrowni karciarze? – Przewróciła oczami, nie przestając się uśmiechać. – Towarzystwo nigdy nie zaakceptowałoby takiej księżnej.

– Do diabła z nimi – odparł. – Czy masz suknię do ślubu?

– Cóż… tak, ale powinnam kupić lepszą…

– Mam w kieszeni specjalne upoważnienie. – Skinął głową, widząc jej zdumione spojrzenie. – Zmusiłem urzędników, żeby je przygotowali. Potrzebny nam tylko jakiś kościół i pastor. Czy może być jutro?

– Żaden książę nie żeni się w takim pośpiechu! – Odsunęła się nieco, tylko na tyle, żeby dobrze widzieć jego twarz. – A ty jeszcze dziś rano byłeś rzekomo zaręczony z kimś innym.

– Rzekomo – powtórzył z naciskiem. – Tylko w wyobraźni mojej matki, która była w błędzie.

– Mimo wszystko mogłeś mnie ostrzec – powiedziała z lekkim wyrzutem. – Zamierzałam ograć cię w pikietę, tylko po to, żeby wynagrodzić sobie cierpienia, które przeżyłam, kiedy Philip powiedział mi o niej. Czemu nic nie powiedziałeś?

– Wiedziałem, że wygrałbym tylko wtedy, gdybyś tego chciała. – Powstrzymał pocałunkiem jej pytanie. – A ty nigdy więcej nie powinnaś słuchać tego, co mówi Philip. Obiecałem zaopiekować się Lucindą po

śmierci jej ojca, kiedy była dzieckiem. To moja matka zadecydowała, że powinienem się z nią ożenić, nie ja.

– Philip twierdzi, że jest piękna i mądra…

Jack uśmiechnął się i przyłożył czoło do jej czoła.

– Jest. Na tyle mądra, że woli pojechać do Egiptu i odkrywać starożytności zamiast wychodzić za starego, sztywnego księcia.

Sophie uniosła brwi, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu.

– Ciebie?

Posłał jej szelmowski uśmiech – jeden z tych uśmiechów, które, w co nie wątpiła, były zarezerwowane wyłącznie dla niej.

– Obawiam się, że tak.

Parsknęła śmiechem, a on przesunął ją tak, że oparła się plecami o jego pierś.

– Wiesz, co zamierzałem robić w czasie długiej podróży do Alwyn House? – szepnął jej do ucha.

– Powiedziałeś… – Głos jej się załamał, kiedy jego dłonie przesunęły się po jej udach i brzuchu, zatrzymując się na piersiach. – Powiedziałeś, że chciałeś tylko dać Philipowi nauczkę…

– Hmm? A, tak. Chciałem, żeby zapamiętał, że nie powinien się wtrącać, kiedy cię uwodzę.

Zsunął jej suknię z ramienia i złożył gorący pocałunek na odsłoniętej skórze.

Sophie pisnęła.

– Taki był twój plan?

– Plan? – Zaśmiał się cicho. – Nie miałem żadnego planu. Ale nie mogłem przestać o tym myśleć, choć usilnie się starałem. Nawet kiedy miałaś na sobie sukienkę służącej i pajęczyny we włosach.

Pomyślała o tamtej chwili na strychu, kiedy stał tak blisko, a ona miała wrażenie, że jej ciało stanęło w płomieniach.

– Czy wiesz, że pragnęłam cię wtedy? – szepnęła, odchylając do tyłu głowę i poddając się pieszczocie jego dłoni.

Znieruchomiał

– Myślę, że powinniśmy zamieszkać w Alwyn House – powiedział po chwili. – Wypełnić go dziećmi, śmiechem i szczęściem, żeby pewnego dnia nasze prawnuki, buszując po strychu, odkryły, jak bardzo dziewiąty książę kochał swoją żonę.

Pocałował ją w szyję.

– Moja przyszła księżna.

– Jack – westchnęła cicho. – Mój przyszły książę.

– Aż do końca świata – potwierdził.

Epilog

Sześć tygodni później

Nie ruszaj się, Sophie.

– Nie ruszam się.

– Ruszasz – powiedział, marszcząc brwi ze zniecierpliwieniem. – Dotykasz swojego gorsetu, a to doprowadza mnie do szaleństwa.

Sophie roześmiała się.

– O tak? – Powiodła palcami po piersi i odchyliła się do tyłu.

Mąż nie odrywał wzroku od jej dłoni. Przez moment myślała, że ulegnie pożądaniu, które mogła wyczytać z jego twarzy, ale potrząsnął głową i wrócił do szkicownika.

– To ty prosiłaś, żebym cię narysował.

Uśmiechnęła się. Prosiła, ale to on kazał jej się położyć na sofie w bibliotece w tej niewymuszonej, uwodzicielskiej pozie. Skraj sukni odsłaniał jej bose stopy, rozpuszczone włosy opadały swobodnie za oparcie. Już samo to sprawiło, że przypomniała sobie pierwszy raz, kiedy się z nią kochał, i zdała sobie sprawę, jak łatwo może zrobić to znowu teraz, odkąd są małżeństwem.

Ale to prawda, że ona namówiła go do rysowania.

– Zaproponowałam tylko, żebyś mnie narysował, bo od miesiąca jesteśmy sami w Alwyn House – zauważyła. – O ile nie wolisz rysować Wilsona polerującego srebra, to tylko ja mogę ci pozować.

– Nie interesuje mnie rysowanie Wilsona ani nikogo innego polerującego srebra. – Złote włosy opadły mu na oczy, kiedy wycierał coś gumką w szkicowniku. Długo trwało, nim udało się jej przekonać go, że wcale nie będzie żałosny, jeśli spróbuje wrócić do rysowania. Ale gdy wziął do ręki papier i ołówek, jego wahanie zniknęło, a na twarzy pojawił się wyraz skupienia. Serce rosło jej w piersi.

– Nie? – Uśmiechnęła się szeroko. – Rujnujesz mój plan wypolerowania całkiem nago *plat de menage* twojej matki.

Jego ołówek znieruchomiał. Jack wciągnął powietrze w płuca i spojrzał na nią.

– Za moment zostaniesz zniewolona, pani. I nigdy nie będziesz miała portretu, który mogłabyś komukolwiek pokazać.

Sophie roześmiała się znowu. Skrzyżowała nogi i odsunęła stopą brzeg sukni, żeby mógł zobaczyć, jak poruszyła zalotnie palcami. Jack upuścił szkicownik i ołówek na podłogę i jednym krokiem znalazł się przy niej, na kolanach.

– Wiedźma bez serca – szepnął. – Jak możesz tak kusić swojego biednego męża…

Objęła go za szyję.

– Pokornie przepraszam. Jak mogę mu to wynagrodzić?

– O, nie. To ja zamierzam ci odpłacić. Ostrożnie wyrażaj życzenia, moja droga… – Objął palcami jej kostkę i zaczął powoli przesuwać dłoń wyżej. – Rysowałem cię nagą i teraz chciałbym cię tak zobaczyć.

Sophie westchnęła, zaśmiała się, a wreszcie wstrzymała oddech kiedy przywarł ustami do jej szyi. Bez słowa przycisnęła do swojej piersi jego głowę, poddając się ogarniającej ją fali pożądania. Teraz obie jego dłonie znajdowały się pod jej suknią i sunęły w górę, przyprawiając ją o drżenie. Pięć tygodni małżeństwa ani odrobinę nie osłabiło w niej pragnienia jego dotyku. Wszystko inne w nowym życiu wydawało jej się dziwne i trudne – od chłodnego spojrzenia teściowej przez wspaniałą nową garderobę po

służbę gnącą się w ukłonach, kiedy przechodziła – ale kiedy znaleźli się tylko we dwoje, wszystko było takie, jak powinno.

Rozległo się pukanie do drzwi. Pewnego dnia Wilson wkroczył do jadalni akurat w chwili, gdy Jack namiętnie ją całował, i odtąd nigdy nie wchodził bez pukania. Sophie to doceniała, choć Jack, przyzwyczajony do nieustannej obecności służby, nie uważał tego za konieczne.

Tym razem oboje zignorowali pukanie, lecz po chwili rozległo się znowu. Za trzecim razem Jack uniósł głowę i warknął z wyraźną irytacją w głosie:

– Tak?

Sophie leżała na sofie w rozpiętej i wymiętej sukni, kiedy kamerdyner otworzył drzwi.

– Wasza wysokość, jakaś młoda dama nalega na spotkanie z księżną. Przedstawiła się jako lady Georgiana Lucas. – Wydaje się bardzo poruszona, wasza wysokość – dodał Wilson. – Mówi, że to bardzo pilne.

Sophie bez słowa chwyciła Jacka za rękę. Jack zacisnął zęby.

– Wprowadź ją do błękitnego salonu i zapewnij, że księżna wkrótce się z nią zobaczy.

– Tak jest, sir.

Kiedy drzwi zamknęły się z głośnym szczęknięciem, Sophie wstała z sofy.

– Co Georgiana może tutaj robić?

– No właśnie. – Jack przyglądał się ponuro, jak poprawiła gorset i zaczęła go sznurować.

Sophie pokręciła głową.

– Nie przyjechałaby bez zapowiedzi, zwłaszcza tutaj, jeśli nie chodzi o coś naprawdę ważnego. Co to może być?

– Kłopoty z narzeczonym? – podpowiedział Jack, niechętnie pomagając jej przy guzikach.

– Być może. – Sophie nie wydawała się przekonana.

Lord Sterling musiałby zrobić coś wyjątkowo strasznego, żeby Georgiana zmieniła zdanie na jego temat. Odkąd Sophie stała się wyższa od niej rangą, lady Sidlow wyzbyła się wszelkich wątpliwości do do tego, czy jest odpowiednim towarzystwem dla Georgiany. Lord Sterling bywał w Ware House razem z Georgianą i dał się poznać wyłącznie z najlepszej strony. Wyraził zazdrość, że Jackowi udało się doprowadzić Sophie do ołtarza w zaledwie kilka dni, podczas gdy brat Georgiany, hrabia Wakefield, przeciągał przedmałżeńskie negocjacje w nieskończoność. Sterling trzymał Georgianę za rękę i wyglądał na zakochanego.

– Rodzina – podsunął kolejny pomysł.

Sophie pokręciła głową. Georgiana dobrze wiedziała, że jej krewni są ekscentryczni, czasami nieco sztywni, ale zwykle mówiła o nich z rozbawieniem i życzliwością.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, co mogło ją zmusić do tak nagłego przyjazdu do Chiswick.

– W takim razie zapewne nie mogę cię zatrzymywać. – Jack uniósł do ust jej dłoń i ucałował. – Idź, moja droga. Ja posiedzę tutaj i popracuję nad szkicem.

– Mimo że nie będę ci pozowała? – Z udanym rozczarowaniem spięła włosy w kok.

Jej mąż mrugnął porozumiewawczo i puścił ją.

– Mam w głowie dokładny obraz tego, jak powinien wyglądać ten rysunek.

– Czy na rysunku w twojej głowie mam na sobie jakieś ubranie? – spytała ze śmiechem.

– Ani skrawka. – Sięgnął po szkicownik i ołówek. – Pospiesz się, proszę, i pomóż mi odświeżyć wspomnienia.

Wciąż uśmiechnięta, Sophie pokręciła głową i skierowała się do błękitnego salonu. Inaczej niż kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, teraz ten pokój lśnił szafirowo w promieniach słońca sączących się przez wysokie

okna; za oknem ogród mienił się tysiącem kolorów i samo wejście do środka sprawiało, że miała ochotę się śmiać. Ale natychmiast spoważniała, kiedy zobaczyła wyraz twarzy Georgiany.

– Co się stało?

Georgiana podbiegła do niej. Miała błędny wzrok, zaczerwienione oczy, włosy w nieładzie i krzywo zapięty płaszcz.

– Musisz jechać ze mną do miasta, Sophie. Chodzi o Elizę.

Sophie zdrętwiała. Eliza powinna być w domu ze swoim świeżo poślubionym mężem. Dwa tygodnie po ślubie Sophie i Jacka Eliza została hrabiną Hastings, promieniejącą z radości. Trzy przyjaciółki dzieliły cudowne chwile szczęścia, wspominając, jak wspaniale powiodło im się w miłości. Dwanaście lat wcześniej, kiedy potajemnie grały w karty w Akademii pani Upton, Sophie nie przypuszczała, że wszystkie trzy równocześnie znajdą szczęście.

– Co się stało z Elizą?

– Nie wiem! – wykrzyknęła Georgiana, wyłamując palce. – Nic nie powiedziała, a lady Sidlow nie pozwoli mi jechać samej. Wybacz mi to wtargnięcie; wiem, że chcecie się sobą nacieszyć w samotności, z dala od Londynu, ale nie mam kogo poprosić! Proszę, Sophie. Musimy ją znaleźć.

– Znaleźć? – powtórzyła Sophie. – Georgiano, co się stało?

Przyjaciółka wzięła głęboki oddech.

– Widziałam Elizę zaledwie dwa dni temu na balu u Montgomerych. Była radosna, wprost promieniała szczęściem. Widziałam nawet, jak tańczyła z Hastingsem, i mogłabym przysiąc, że patrzyli na siebie z miłością. Ale dziś rano… – Urwała i sięgnęła do torebki. – Przysłała mi to.

Sophie wzięła od niej zmiętą kartkę zapisaną ręką Elizy. Przebiegła wzrokiem widniejące na niej dwa zdania, potem przeczytała je jeszcze raz. Oszołomiona spojrzała na Georgianę.

Georgiana skinęła głową z ponurym wyrazem twarzy.

– Porzuciła swojego męża. I nikt nie wie, gdzie się podziała.